

PRZEGLĄD
POWSZECHNY



SPIS RZECZY NA KOŃCU TOMU.

PRZEGLĄD POWSZECHNY



„BŁOGOSŁAWIONY LUD, KTÓREGO PANEM
BÓG JEGO”. *Ps. 143.*

ROK XL.

Tom 158.

KWIECIEŃ — MAJ — CZERWIEC

1923



KRAKÓW
DRUKARNIA „PRZEGLĄDU POWSZECHNEGO”

Dokoła nawrócenia Rosji.

Laetentur coeli et exultet terra. Temi słowy rozpoczynała się bulla papieska, zatwierdzająca dekret Unji Florenckiej między Kościołem Wschodnim i Zachodnim — a obecni dostojnicy obu obrządków ściskali się i całowali. Krótka atoli była ta radość, również krótka jak i radość po uprzednio zawartych już unjach na soborze Laterańskim 1215 r. lub Lyonskim 1274. Wszystkie te unję zawierane ze strony Greków pod presją okoliczności zewnętrznych, kombinacyj politycznych lub obawy przed przemocą turecką, nie miały koniecznego korrelatywu w dziedzinie duchowej — w duszy, sumieniu i przekonaniach — ażeby stać się rzeczywistym połączeniem Kościołów i sprowadzić zaprzestanie schizmy.

Jedynie w Polsce echo unji florenckiej odbiło się głośniejsze, ale w półtora wieku dopiero później dochodzi do skutku Unja Brzeska, która trwa aż po dziś dzień. A trwa nie tylko formalnie, ale pieczętując swą katolickość, swe przywiązanie do Stolicy Apostolskiej krwią licznych męczenników i męczenniczek. W jednej jedynej Polsce unja obu kościołów w szerokim rozmiarze przeprowadzoną została, dokonana i utrwalona. Polska jest jedynym w dziejach przykładem, gdzie udało się do tychczas połączenie obu kościołów w tak wielkim rozmiarze dokonać. Jednocześnie jednak jest Polska też przykładem, jak ze zmianą prawno-politycznych stosunków ta unja trwająca szereg wieków mogła zostać nieomal w kilka lat doszczętnie zlikwidowaną i startą z oblicza ogromnego terytorjum przez carską prawosławną Rosję. Po upadku katolickiej Polski unja zachowała się jeno w Galicji Wschodniej, która przeszła pod panowanie katolickiej Austrii.

Dziś dla obu Kościołów „rozdzielonych nieszczęściem dawnych wieków” — jak się pięknie Pius XI wyraża — nadszedł znowu taki czas, że istnieje być może możliwość ich połączenia podobna do tej z 1439 roku. Tylko że dziś mowa nie o Grekach ale o Rosjanach, gdyż odpowiednią koniunkturę stwarza nie Murad II pod murami Konstantynopola, a Lenin i Trockij w murach Kremlowskich.

Złączenie wszystkich „pod jednym pasterzem w jedno stado” jest odwiecznym dążeniem Kościoła katolickiego, w czym mu wszyscy my pomagać powinniśmy z całego serca i całych sił naszych: jest to obowiązkiem miłosierdzia chrześcijańskiego względem bliźniego i względem jego duszy. Obojętna też jest forma, w jakiej połączenie to nastąpi, aby jeno było ono rzeczywiste i aby stać się mogło. Nie dziw więc, że zagadnieniem kościoła prawosławnego, a raczej może duszy prawosławnej rosyjskiej dziś świat katolicki cały tak się zajmuje, a Watykan postawił je w pierwszym szeregu swych licznych trosk i zajęć.

Wychodząc z doktrynalnego założenia, że rozciąga on swą *curam animarum* nawet na zbłąkane owieczki, nie opuszcza Watykan żadnej okazji, by nie torować drogi do możliwego a tak odwiecznie oczekiwanego momentu. Ponawia więc w swych orędziach słowa zachęty i miłości, ustanawia specjalne modlitwy i bractwa, a nawet msze *pro unione*; występuje przed sowietami w obronie patriarchy Tychona; interwenjuje w sprawie konfiskaty drogocЕННОści cerkiewnych; wysyła misje ratunkowe do Rosji dla pomocy głodnym; zbiera na nich po całym świecie składki; próbuje nawiązać z sowietami jakiś *modus vivendi*, ochraniający interesy religijne chrześcijaństwa wogóle w komunistycznym bezładzie; zadzierzga mniej lub więcej wyraźne kontakty z przedstawicielami ruchu religijnego w Rosji i na emigracji; przysposabia na wszelki wypadek szeregi misjonarzy w obu obrządkach; bada i sonduje, wnika i słucha, a wszystko to robi z tym łagodnym uporem i bezbrzeżną cierpliwością tego, który śpieszyć się nie potrzebuje, bo... jest wiecznym.

Idea unji znalazła dziś na Zachodzie zagorzałą rzeczniczkę swych nadziei w osobie Francji, owianej, jak zawsze, duchem misyjnym, będącym charakterystyczną cechą jej

katolicyzmu. Wspomnienia — nieco może wyidealizowane — przedwojennego jej sojuszu z Rosją, sympatyczne reminiscencje dobrych czasów *entente cordiale*, obecność w Paryżu ogromnej ilości emigrantów rosyjskich — wszystko to złożyło się jednocześnie na to, że Francja ogromnie zainteresowała się sprawą nawrócenia Rosji i jęła z jej wrodzonym impetem wydawać na ten temat liczne wydawnictwa, drukować książki, urabiać opinie jak kół swoich, francuskich, tak i kół emigracyjnych rosyjskich.

Gdy Watykan i Francja się czemś interesują — interesuje to wnet cały świat. Nawróceniem się więc Rosji zainteresował się cały świat katolicki i sprawa nawrócenia Rosji stanęła na porządku dziennym wszędzie... prócz w Polsce, która tak jest zajęta wywalaniem gabinetów, grą na giełdzie, obrzucaniem się wzajemnie błotem, układaniem nowych konstelacyj partyjnych i wogóle państwobórczą pracą, że prawie zupełnie bez echa przeszedł w niej głos arcybiskupa Roppa, nawołujący do zajęcia się także tą sprawą.

Rozwój nadziei, pokładanych na nawróceniu się Rosji, wywołany został dwiema głównie przyczynami: faktem rozpadania się cerkwi prawosławnej i liczeniem na odrodzenie się ducha religijnego Rosji, umęczonej tyranią bolszewicką, a wybawionej z pęt oficjalnego carskiego policyjnego prawosławia.

W rzeczy samej prawosławie znajduje się w zupełnym rozkładzie: prześladowane przez bolszewizm, w dodatku rozbiło się ono na cały szereg oddzielnych kościołów zwalczających się wzajemnie; rozbiło się zaś nie tylko w samej Rosji, ale i po części na emigracji. W Rosji z łona starego prawosławia, uosabiającego się w ex-patriarsze Tychonie, powstała *sub auspiciis* bolszewizmu znana już wszystkim „Żywa Cerkiew“ (zwana też Czerwoną); ta ostatnia, kierowana przez biskupa Antonina, dzieli się znowu na cerkiew odrodzenia religijnego, starożytną cerkiew apostolską, wolną cerkiew pracowniczą, Lipkowszczyznę i t. d. Wszystko toby jeszcze uszło, gdyby nie zupełny upadek moralności i wiary wśród duchowieństwa jak świeckiego tak i zakonnego, na tle antagonizmów, między którymi całe to rozprzężenie się rozwija, spotęgowane jeszcze bardziej uwidacznia-

jącami się wpływami protestantyzmu na pojęcia religijne w Rosji. Propaganda tow. Łunaczarskiego, działająca w duchu radykalnej dechrystjanizacji życia, nie pozostaje też bez głębokiego wpływu i dziwnie splata się z anglo-amerykańskimi imprezami, wśród których zanotujmy choćby dzieło pastora Brown'a, dowodzącego, że marxizm i darwinizm są legalnymi płodami „prawdziwego chrystjanizmu“, uosabiającego się w protestantyzmie.

Nie dziwi więc nikogo, jeśli w tym całym chaosie ginie i organizacja cerkiewna i samo poczucie religijne: deprawowane przez rząd sowiecki od góry, przez samo duchowieństwo od środka, przez niezliczone sekty od dołu — a stale podminowywane otaczającą zewsząd biedną duszę rosyjską ohydą, poniewierką wszelkich uczuć człowieczych, terrorem, wreszcie zeszłorocznym głodem z całym jego korowodem najstraszniejszych scen do kannibalizmu włącznie. Wydaje się nawet, że krew obficie przelana duchownych prawosławnych — Makarego, Benjamina i wielu innych umęczonych w okrutny sposób przez bolszewików (wykluwano im oczy, zdzierano żywcem skórę) — że krew ta nie zapłodniła duszy rosyjskiej do wzlotu w górę i nie wyswobodziła jej ze stanu „metamorfozy w bestję“, o której mówił Dostojewskij.

Natomiast z katolicyzmem — o ile sięgają nasze informacje z Rosji — rzecz się ma zgoła inaczej. Prześladowania nie złamały go, nie podminowały; przeciwnie wzniosły na wyżyny ducha, modlitwy i miłosierdzia. To też promieniuje on dokoła silniej niż kiedykolwiek, a jego siła atrakcyjna potęguje się tem, że szukający w nim ukojenia Rosjanie znajdują jednocześnie zapomnienie wszystkiego, co im formalnie nawet mogłoby przypominać dezolację cerkwi rosyjskiej. Istnieje także coprawda kościół katolicki obrządku rosyjskiego, zaprowadzony przez ks. metropolitę Szeptyckiego jeszcze przed upadkiem caratu (1917), atoli w swem postępowaniu, w duchu, który w nim panuje, w pewnych swoich przejawach nie jest on wcale tem, czem widziećby się go pragnęło. Wpływ jego jest nikły, jeśli nie wprost ujemny na dzieło ratowania duszy rosyjskiej. Zresztą rezultaty zdają się jasno mówić o sobie: tam gdzie nawrócenia na łacinizm liczą się tysiącami, on — kościół katolicki obrządku rosyj-

skiego — zdobywa zaledwie setki i setki wielce niepewne pod względem swej wartości duchowej...

Jeśli zwrócimy się teraz do emigracji rosyjskiej, to ujrzymy również całą gamę nastrojów, koncepcyj i tendencji, tworzącą niepodobny do rozwikłania spłot. Głęboko wkorzenione, mistyczne nieomal wierzenie, datujące jeszcze z czasów Puszkina, Turgeniewa, Chomiakowa, Dostojewskiego o powołaniu narodu rosyjskiego — dokonać syntezy między Wschodem i Zachodem a odnaleźć drogę do koncepcji „powszechnego Chrystusa” — powszechnego chrześcijaństwa — wylewa się na emigracji w postać najrozmaitszą. Spotykamy tam zatem realistyczną koncepcję „Trzeciej Rosji” p. Brianczaninowa, wskrzesiciela pewnych tendencji słowianofilów, a który na zebraniach tow. „Święta Rosja” szuka jakie formuły religijno-polityczne i socjalne dadzą się zastosować w Rosji po upadku bolszewizmu. Widzimy tam p. Kartaszewa, obrońcę i przedstawiciela najczystszej idei prawosławnej, odrzucającego w katolicyzmie wszelkie wartości mistyczne; spotykamy p. Szestowa z jego teorjami subiektywnego deizmu i ks. Trubeckiego widzącego w unji kościołów zapowiedź bliskiego przyścia królestwa bożego na ziemi. Widzimy relatywistę i panteistę p. Mereżkowskiego, głoszącego „przedewszystkiem nawrót do Boga”, twierdzącego, że „miazmaty dekadencji bizantyńskiej do reszty rozżerają ogromne cielsko słowiańskie” i prekonizującego powstanie w Rosji jakiejś mglistej teokracji — republiki z Chrystusem na czele bez żadnych pośredników między Nim a ludem.

Wszystkie te kierunki myśli zdobywają sobie licznych adeptów, a doktryny teozoficzne, spirytystyczne i wogóle spirytualistyczne dopełniają ogólnego rozprzężenia. Wszystko to powoduje w mentalności emigracyjnej brak wszelkich jasno-określonych formuł i stwarza, że myśl religijna zostaje w stanie płynnym, nieokreślonym, nieskonsolidowanym a w częstej niezgodzie ze zdrowym wprost rozsądkiem, zawsze zaś z poczuciem miary i równowagi.

Jedynie może twardo i wyraźnie na swych zasadach stoi frakcja skrajnie-prawicowa, dążąca do wskrzeszenia caryzmu i integralności dawnych koncepcyj ultra-prawosławnych. Hasłem jej jest: wiara, wola i wierność, a jako enuncjacja

służyć może orędzie zwołanego przez nią Soboru kościoła rosyjskiego w Karłowicach — orędzie przeciwko któremu zaprotestował nawet patriarcha Tychon.

Oto bardzo powierzchowny i aż zbyt niedostateczny obraz stanu duszy rosyjskiej — i tam w bolszewji i tu na emigracji. I tu i tam dusza ta pozostała w najwyższym stopniu indywidualistyczną, nie rozumiejącą potrzeby autorytetu pod względem religijnym. Jak ktoś się dobrze o niej wyraził, jest ona chrześcijańską ale w znaczeniu chrystjanizmu nominalnego: szuka swego ideału poza kościołem, w bezpośrednim obcowaniu z bóstwem, w jakimś nieuchwytnem braterstwie ogólno-ludzkim i jedności powszechnej.

Czy w takich warunkach można mówić o jedności z katolicyzmem i połączeniu się kościołów — któż przesądzać się ośmieli? Z tego chaosu wszystko jeszcze wyłonić się może, ale jak dotąd trudno zaprawdę dosłuchać się nuty, jakąkolwiek w tym względzie pewność dającej. Wprawdzie wielu Rosjan uznaje w teorii konieczność połączenia się kościołów; p. Mereżkowski nawet wprost stawia pytanie: dlaczego by nie uznać autorytetu papieża, a ks. Trubeckoj wyraźnie mówi o jednym stadzie i jednym pasterzu. Wszystko to tak, ale w praktyce dzieje się inaczej: katolicyzmowi żadnego autorytetu się nie przysądza, traktuje się go w najlepszym wypadku jak równy równego. Rosjanie, którzy nawet odnoszą się sympatycznie do idei połączenia, widzą je raczej w postaci syntezy: katolicyzm i prawosławie się zlewają i ich zlanie się wytwarza dopiero wymarzoną przez te obie części jedność. Ta formuła komplikuje się jeszcze u wielu koniecznością takiego syntetycznego zlania się i z wszystkimi innemi chrześcijańskimi wyznaniem. Myśl o podporządkowaniu się, choćby dogmatycznem, pod władzą duchową „Namiestnika Chrystusowego“ jest większości prawosławnych zupełnie obcą, bodaj absolutnie niezrozumiałą... a zawsze niesympatyczną.

Wskazać jeszcze należy na duże trudności, na które natyka się sprawa połączenia kościołów. Pierwsza leży w tem, że wśród Rosjan popolicie panuje przekonanie, że bolszewizm jest rezultatem cywilizacji zachodniej; przekonanie to napawa ich — zupełnie zresztą logicznie — szeregiem wą-

pliwości do wszystkiego, co ma coś wspólnego z zachodem, a zatem i do Rzymu. Dodać tu trzeba łatwo zrozumiałą hipertrofię ich poczucia narodowego, hipertrofię prowadzącą wprost Rosjan do ksenofobji, która obejmie nie tylko samych cudzoziemców, ale i wszystko przez nich przedstawiane. Nastroje te uwidoczniły się poniekąd już w zwalczaniu przez nich autokefalji cerkwi prawosławnej w Polsce — idei, którą przypłacił życiem metropolita Jerzy.

Druga trudność — kapitałna — leży w tem, że całe duchowieństwo prawosławne i w Rosji i na emigracji jest zasadniczo wrogie idei unji, tak jak my ją pojmujemy. W masach zaś ta idea prawa obywatelstwa nie uzyskała — przeciwnie widziana jest raczej niechętnie.

Oczywiście wszystko to — jakeśmy już raz powiedzieli — niczego nie przesądza. Zresztą tyczy się to jedynie metod działania, a te zmieniać się muszą w czasie i warunkach. Watykan się dotąd nie opowiedział za żadną z prekonizowanych metod ...i wątpić trzeba czy się prędko stanowczo wypowie. Niezliczona jest bowiem ilość dróg prowadzących do zbawienia; niezliczona jest też ilość drzwi, przez które się wchodzi do kościoła katolickiego. Któż ośmieli się przesądzać jakimi drzwiami danem jest komu wejść lub jaką drogą dążyć. Dla chcących wszystkie stoją otworem...

EFPE.

Badania naukowe w Palestynie¹⁾.

Starożytności palestyńskie mają doniosłe znaczenie kulturalne i religijne dla całego świata. Wszak Ziemia Święta stała na pograniczu czterech wielkich cywilizacji: egipskiej, babilońskiej, hetejskiej i egejskiej; wszak była zawsze jabłkiem niezgody między dwoma rywalizującymi mocarstwami starożytnego świata: Egiptem i Babilonem (względnie Asyrią); wszak przez jej pola przeciągały od wieków wielkie karawany handlowe, zdążające z Azji do Afryki; wszak była ojczyzną „wybranego” ludu, a potem kolebką i widownią działalności Boga-Człowieka i początków Jego nowej, cały świat obejmującej religii.

Wszystkie te względy już oddawna przemawiały do umysłów i serc narodów, a nawet głośno domagały się szczególniejszego zajęcia się krainą Izraela. Toteż już od pierwszych wieków po Chrystusie uwaga chrześcijan skupiła się około tej krainy i jej pamiątek, a liczne „Itineraria” pielgrzymów wszystkich wieków są tego wymownym świadectwem. Nieco później, bo dopiero w wieku XVII, rozpoczęto systematycznie zbierać wszelkie dane o Palestynie. Zasługa w tem takich mężów, jak Chr. Adrichomius (1590), F. Quaresmio (1639) i inni. W wieku XVIII: A. Reland (1714), R. Pococke, St. Schultz, Carsten Niebuhr, — a w wieku XIX: U. Seetzen, J. L. Burckhardt, T. Tobler, E. Robinson i Guérin — rozpoczęli w Palestynie poważniejsze poszukiwania geograficzno-topograficzne.

Aliści dopiero Anglicy przez założenie londyńskiego stowarzyszenia „Palestine Exploration Fund” (22

¹⁾ Praca niniejsza jest jednym z rozdziałów książki: „Palestyna po wojnie światowej”, która w tych dniach opuści prasę.

czerwca 1865) położyli silne podwaliny pod wszelkiego rodzaju naukowe, a owocodajne badania nad Palestyną. Do najznakomitszych dzieł, podjętych i dokonanych przez „Palestine Exploration Fund“, należy zdjęcie wielkiej a dokładnej mapy Palestyny przedjordańskiej w latach 1872—1875 i 1877—1878. Pracy tej dokonali Ch. Wilson, Cl. R. Conder, znany z wojny z Burami i z wojny światowej, wódz Kitchener i inni. Olbrzymia a dokładna mapa na 26-ciu arkuszach (1:63,360), wydana r. 1880 i 7 olbrzymich tomów tekstu in folio, ogłoszonych w latach następnych — oto owoc sumiennej pracy angielskich pionierów wiedzy! Polityczne przeszkody nie pozwoliły z początku Anglikom dokończyć tej samej pracy co do krainy zajordańskiej. Conder zdołał zaledwie w r. 1883 wydać jeszcze jeden arkusz mapy zajordańskiej, której towarzyszy jeden tom in folio tekstu ¹⁾. Obecnie także i Zajordanie dzięki temuż Stowarzyszeniu posiada olbrzymią a dokładną mapę w 10 arkuszach.

Nie poprzestając na tej wielkiej zdobyczy, pierwsze ze wszystkich „Palestine Exploration Fund“, obok pomniejszych prac i publikacyj podjęło w Palestynie cały szereg wykopalisk. Wprawdzie już w r. 1867—1870 z ramienia tegoż Stowarzyszenia kopał Ch. Warren w Jerozolimie, w pobliżu placu świątyni Haram esz-Szerif, Maudsley zaś około szkoły Gobata (1874), a niemiecki uczony H. Guthe (1881) na pagórku Ofel (staraniem „Deutscher Palaestina-Verein“, założonego na wzór Anglików w r. 1877), — aliści dopiero z r. 1890 rozpoczyna się świetna era wykopalisk palestyńskich, wykopalisk systematycznych, podjętych przez rozmaite stowarzyszenia i narody, wykopalisk — wyznajmy to odrazu — nader uciążliwych a kosztownych. Tak np. wykopaliska w Tell Ta'annuk kosztowały 52.000 franków, w Megiddo pochłonęły przeszło 84.000 franków, w Tell Dżerer około 130.000 franków, na Samarię zaś odłożyli Amerykanie 500.000 franków.

Jak w tylu innych krajach, tak i tu pierwsi za łopatę chwycili Anglicy. „Palestine Exploration Fund“ wykołatało firman sułtański i wyszukało dla wykopalisk tak dzielnego

¹⁾ Na szczęście Niemiec G. Schumacher od r. 1896—1902 podjął się pomiarów i zdjęć w Palestynie zajordańskiej i częściowo wydał owoc swej żmudnej pracy.

a szczęśliwego kierownika, jakim jest bezsprzecznie znany Flinders Petrie. Zawezwany, przerwał swe zwyczajne pochody w Egipcie, pośpieszył do Palestyny i okiem biegłego znawcy odkrył niebawem biblijne Lakisz w Tell el-Hesi (1890). Wracając do Egiptu, dalszą pracę w Tell el-Hesi złożył w ręce F. J. Blissa, który aż do stycznia 1893 r. ciągnął swe poszukiwania w Lakisz. Tenże Bliss przez cztery lata następne (1894—1897) odkopał południowe mury miasta Jeruzalem, a potem (1898—1900) razem z R. A. Stewart Macalisterem podjął się wykopalisk w Tell Zakarija, w Tell es-Safije, w Tell el-Dżudejde i w Tell Sandahanna (Maresa). Skoro zaś w r. 1901 Bliss opuścił placówkę palestyńską, kierownictwo nad badaniami stowarzyszenia „Exploration Fund” objął R. A. Stewart Macalister. On to niezmordowanie przez cały szereg lat (1902—1905, 1907—1909) przeprowadził rozległe a nader wydatne wykopaliska w Tell Dżezer. W ostatnich latach Mackenzie i Newton rozpoczęli ciekawe wykopaliska w Ain Szems (Bethsems). Wykopaliska angielskie zajmują przeto, tak co do czasu jak i co do rozmiarów, pierwsze miejsce w Palestynie.

Tymczasem inne także narody poczęły żywo się krzątać około wykopalisk w Ziemi Św. Profesor wiedeński E. Sellin (później w Rostock) z pomocą dr. Schumachera prowadził wykopaliska w Tell Taannuk (1902—1903). Po ich ukończeniu G. Schumacher z ramienia niemieckiego Palestina-Verein podjął się nader ważnych poszukiwań w Tel el-Mutessellim czyli w biblijnym Megiddo (1903—1905). W kilka lat później (w latach 1908, 1909 i 1911) wspomniany powyżej Sellin rozkopuje stare Jerycho (Tell es-Sultan, Tell Abu Alaik), a prawie równocześnie (1909—1911) amerykańscy profesorowie D. G. Lyon i Reisner kierują wykopaliskami w Sebastije (w starej Samarii). Jeśli do tego dodamy wykopaliska Anglika Parkera w Jeruzalem (około źródła Ain Sitti Marjam) w latach 1910—1911, Ojców Białych w Eleona (na górze Oliwnej, 1910) i Francuza Weilla na Ofelu (tuż przed wojną), — to będziemy mieli wprawdzie wyczerpaną naszą suchą statystykę przedwojenną, ale będzie to zarazem wymowny katalog rozlicznych prac, jakich łopata uczonych dokonała w Palestynie w ostatnich 20 latach.

Dla całości obrazu należy koniecznie wspomnieć o podróżach naukowych A. Musila (od r. 1895—1911), R. Brünnowa i von Domaszewskiego (1897, 1898) po Arabji, o wyprawie członków Princeton University (1899—1900) do Hauranu, o badaniach Hölschera i jego towarzyszków po ruinach bóżnic galilejskich (1909); dalej o pracach naukowych francuskich Ojców Białych i OO. Assumpcjonistów, włoskich OO. Franciszkanów, niemieckich OO. Benedyktynów itp.

Niepodobna w końcu zbyć milczeniem założenia kilku wybitnych instytucyj naukowych w samej Jerozolimie, które mają za główny prawie cel badania palestynologiczne. Tu należą: „Ecole pratique d' études bibliques“ OO. Dominikanów (od r. 1884), „American School for Oriental Study and Research in Palestine“ (od r. 1900), „Deutsches evangelisches Institut für Altertumswissenschaft des hlg. Landes“ (od r. 1903), wreszcie „Institut für orientalische Studien“ katolickiego stowarzyszenia im. Görresa w Niemczech (od r. 1909). Wszystkie one wedle sił i materialnej możliwości pracowały nad naukowem zbadaniem Palestyny i prawie wszystkie posiadały swe własne czasopisma.

Zaiste, tak żywym ruchem naukowym, taką rzekłbym gorączką i głodem wiedzy nie mogą się wykazać ubiegłe wieki. Ma się prawie wrażenie, że młoda jeszcze palestynologia chciałaby pójść w zawody, a nawet prześcignąć starsze swe siostrzyce: egiptologję i asyriologję. O ilości, bogactwie i różnorodności jej literatury specjalnej w ostatnim dwudziestoleciu przed wojną świadczą wymownie choćby tylko trzy tomy biblijografji Thomsena¹⁾, z których ostatni obejmuje zaledwie pięciolecie, a podaje w systematycznym porządku tytuły dzieł, rozpraw, prac i artykułów, odnoszących się w jakikolwiek sposób do zakresu wiedzy, objętej palestynologją.

Nawet podczas wojny nie ustawały badania, dzięki Niemcom, którzy pod kierunkiem prof. Teodora Wieganda utworzyli „Deutsch-Türkisches Denkmalschutz-Kommando“. Pracowało ono z początku w Azji Mniej-

¹⁾ P. Thomsen, Systematische Bibliographie der Palästina-Literatur: t. I (1895—1904) wydany 1908; t. II (1905—1909) wydany 1911. t. III (1910—1914) wydany w r. 1916 — wszystkie w Lipsku.

szej, później w Palestynie i na Synaju. Na froncie palestyńskim „Komando” rozwinęło bardzo czynną działalność, dzięki środkom wojskowym, jakimi dotychczas żadna misja archeologiczna nie posługiwała się. To też publikacje tego „Kommando”) zawierają cały szereg pięknych fotografii, zdjętych na Synaju i gdzieindziej z pomocą aeroplanów. Fotografje te odkryły istnienie dawnych miejscowości, fortec i klasztorów (opuszczonych po najeździe arabskim r. 625), o których istnieniu zapomniała historia, bo leżały poza trzema utartymi drogami karawan, któremi jedynie (dla ich zbiorników wody) posuwały się gromady kupców i badaczy. Prócz rezultatów, odnoszących się do historii i kultury ostatniej epoki cesarstwa rzymskiego i pierwszych wieków chrześcijaństwa, odkryto i zbadano szereg pomników przedhistorycznych. Osobne studjum poświęcono starożytnemu kościołowi chrześcijańskiemu na górze Harun (koło Petry), na której to górze — w ślad za rabinami — tradycja starochrześcijańska mylnie upatrywała grób Aarona. Następnie zeszyty tegoż „Kommando” poświęcone są Petrze, Damaskowi (starożytnemu i średniowiecznemu), Palmirze, a nadto zbiorom epigraficznym Palestyny.

Anglicy nie mogli pozostać w tyle; na to nie pozwalał ich honor narodowy, ani ich tradycje. Zaraz po zajęciu Palestyny utworzyła się „szkoła archeologiczna” (British School of Archeology in Jerusalem), pod kierownictwem prof. Garstanga z Liverpoolu, która pracuje obecnie w porozumieniu z dawną „Palestine Survey” i „Palestine Exploration Fund”. Obok tego założono w Jerozolimie „Palestine Oriental Society”, której kierownictwo powierzono w pierwszym roku uczonemu dominikaninowi O. Lagrange. Publikacje tejże²⁾ wychodzą po francusku, angielsku i hebrajsku.

¹⁾ Wissenschaftliche Veröffentlichungen des Deutsch-Türkischen Denkmalschutzkommandos, Heft I, Sinai, Berlin 1920 (8 Tafeln 142 Abbildungen). Współpracownicy Th. Wiegand, K. Wutzinger, W. Schubart, C. Watzinger, E. Werth. — Heft IV: Damaskus, die antike Stadt, 1921 (85 rycin, 3 pl. VII—112 in 4-o) — Heft III: Nahr el-Kelb, 1922.

²⁾ „Journal of the Palestine Oriental Society”.

Ale na tem nie można było poprzestać. Jeśli pomniki palestyńskie nie miały ulec zniszczeniu, trzeba było pomocy rządowej. To też niebawem po wprowadzeniu administracji cywilnej rząd angielski — na wzór egipskiego — utworzył osobne „Department of Antiquities“ (w lipcu 1920 r.). Nowe ustawy, dotyczące starożytności, ogłoszono 15. X. 1920 w miejsce dawnego prawa ottomańskiego w tym względzie. Tekst mandatu, zatwierdzony przez Radę Ligi Narodów, podał w art. 21 cały szereg analogicznych przepisów.

Na czele Departamentu Starożytności stoi dyrektor (pro Garstang) wraz z dwoma technicznymi asystentami, z których jeden ma pod sobą wszystkie muzea (Keeper of Museums), a drugi jest kustoszem starożytności nieruchomości (Custodian of all the immovable antiquities). Ten ostatni ma pod sobą vice-kustosza i trzech inspektorów. Ich zadaniem jest piecza nad wszystkim, co ma związek ze starożytnością. Do pomocy mają straż policyjną, rozmieszczoną w ważniejszych centrach archeologicznych (Tyberiada Atlit, Cezarea, Askalon i Jerusalem).

Dyrektor Departamentu ma u swego boku Radę Archeologiczną (Archeological Advisory Board), w której skład wchodzi reprezentanci różnych archeologicznych organizacyj palestyńskich (francuskich, amerykańskich, angielskich, włoskich, greckich i żydowskich). Dyrektor zapytuje swą Radę o zdanie we wszystkich kwestiach ogólniejszej natury, lub co do których mogłaby zachodzić sprzeczność interesów, a także w kwestiach technicznych. Jak dotychczas to poikilon, międzynarodowe ciało, pracuje bardzo jednomyślnie i cały szereg jego rad został już w czyn wprowadzony. Zasady, na których się opiera nowe prawo o starożytnościach palestyńskich, są następujące:

1) Pomniki i starożytności palestyńskie należą do Palestyny.

2) Pozwolenie na wykopaliska będzie wydawane jedynie ciałom naukowemu, które dają gwarancję za kwalifikację kierownika wykopalisk i jego pomocników¹⁾. W granicach tej

¹⁾ Takie pozwolenie otrzymały dotychczas Palestine Exploration Fund, École archéologique française de Jérusalem (= L' École biblique

zasady rząd będzie udzielał wszelkiej możliwej pomocy, ale zarazem — w interesie zbiorów palestyńskich — będzie miał udział w wynikach wykopalisk.

3) Registracja miejsc i budowli historycznych, oraz inwentaryzacja wszelakich (tak publicznych, jak i prywatnych) zbiorów należą do Departamentu Starożytności. Nie podpadają jednak pod zarząd Departamentu historyczne miejsca, ani budowle, poświęcone celom religijnym; ich bowiem konserwacja i protekcja podlega osobnym zarządzeniom.

Na przechowanie wszelkich ruchomych starożytności założono centralne muzeum w Jerozolimie, nad którym pieczę objął Mr. Phytain Adams. Zdołano odszukać 120 pak z przedmiotami wykopalisk, które były ukryte w mieście przez Turków i miały być wywiezione do Konstantynopola; z tego skatalogowano około 6000 sztuk. Muzeum jerozolimskie obejmie w swoich murach mniejsze cenniejsze przedmioty, jakoteż obiekty o ogólnym historycznym interesie. Natomiast przedmioty o charakterze więcej lokalnym, jak i obiekty rzeźb lub architektury, będą umieszczane ile możliwości w miejscowościach, gdzie je znaleziono. Takie lokalne muzea mają powstać w Akko, Atlit, Askalon, Cezarei i Tyberjadzie. W Jerozolimie przedmioty wartości architektonicznej i większe rzeźby będą ugrupowane w dawnej cytadeli; — w wieży Hippikus tejże cytadeli będą rozmieszczone okazy sztuki arabskiej.

Osobne towarzystwo „Pro Jerusalem Society“, utworzone jeszcze za czasów wojskowych rządów angielskich z przedstawicieli wszystkich religijnych i cywilnych zgromadzeń, ma za cel pieczę nad murami i pomnikami Jerozolimy, a nadto nad upiększeniem miasta. Działalność tego towarzystwa z czasów zarządu wojskowego opisał w osobnej książce C. R. Ashbee (Jerusalem 1918—1920). Główną usługą tego towarzystwa jest naprawa walących się murów miasta i cytadeli. Rząd też wspiera je zasiłkiem tej samej wysokości, co zebrana każdorazowo przez towarzystwo suma.

de St. Etienne), The Jewish Archeological Society of Palestine, francuska Custodia di Terra Santa, University of Philadelphia (Ameryka)

Wreszcie należy wspomnieć o istnieniu i działalności żydowskiego Towarzystwa Archeologicznego w Jerozolimie (Hebrew Archeological Society), na którego czele stoi poważny Dawid Jellin, jedna z najwięcej znanych i ruchliwych osób w Jerozolimie. Towarzystwo podjęło się wydawnictwa wszystkich napisów palestyńskich (Corpus inscriptionum palaestinensium), które obejmować będzie 1. wszystkie napisy hebrajskie jakiegokolwiek pochodzenia; 2. wszystkie napisy, znalezione w Palestynie bez względu na ich język. Redakcji tego „Corpusu” podjął się dr. Nahum Slousch, od r. 1904 prof. hebrajskiego na uniwersytecie paryskim i współpracownik znanego „Corpus Inscriptionum semiticarum”.

Osobną kartę winienem poświęcić tak zwanej Akademji języka hebrajskiego, niedawno przez syjonistów założonej w Jerozolimie. Urządzono ją na sposób europejski. Obecnie składa się z 23 członków, z których 10 mieszka w Jerozolimie, a reszta w Jaffie, Haifie i zagranicą. Dwa razy w tygodniu ma ona swe posiedzenia, a co kwartał wydaje biuletyn działalności w neo-hebrajskim języku. Celem Akademji, to przedewszystkiem stworzenie języka neohebrajskiego.

Stary język hebrajski, jako język martwy, nie nadaje się do codziennego użytku, a jego skarbiec słów jest bardzo nieznaczny. Jak więc języki nowożytne — np. romańskie — pomagają sobie zapożyczaniem pierwiastków z łacińskiego i greckiego, tak i neohebrajski język należy stworzyć na podstawie pierwiastków semickich. Wyrazy europejskie będą dopuszczone tylko w bardzo ograniczonej liczbie, i gdy tego zajdzie konieczna potrzeba.

Niemilo mi, że muszę rozwiać tutaj — jak to już nieraz czyniłem w rozmowach i dyskusjach z moimi przyjaciółmi Żydami — tę ukochaną ich iluzję, jakoby teraźniejsze uczone żydostwo mówiło i pisało językiem hebrajskim. Tak nie jest i być nie może. Język hebrajski zamarł i z grobu nie powstanie. To, co z takim wysiłkiem pracy, talentu i mozołu tworzy znany mi osobiście, ceniony i zasłużony, p. Ben Jehuda — nie jest, ściśle rzecz biorąc, językiem hebrajskim, jakim mówili dawni Izraelici i prorocy, ale nowotworem, opartym słownikowo o inne języki semickie, żyjące lub

zamarłe — pod względem fleksji zaś wzorowane na dawnym języku hebrajskim, a częściowo aramejskim. Abraham, Dawid, Izajasz byliby zdumieni, słysząc ten nowotwór językowy, a zwłaszcza jego niesemicką wymowę. Ale bądźmy sprawiedliwi — inaczej być nie może. Cywilizacja w swych poglądach i rozwoju postąpiła o 25 wieków naprzód, stworzyła cały świat nowych pojęć i nowych wyrazów, których brakowało staremu językowi hebrajskiemu. To też mozolna praca p. Ben Jehudy, godna czci najwyższej, — licząc się z tym stanem rzeczy — musiała stworzyć nowotwór, którego ręce przypominają wprowadzić ręce Jakóba, ale którego mowa jest mową Ezawa. Jeśli ten nowotwór chcemy koniecznie nazwać hebrajszczyzną, zgoda! — nie chodzi o nazwę. Ścisłej biorąc, to raczej język neohebrajski.

Drugim zadaniem Akademji jest wprowadzenie tego języka neohebrajskiego w życie ludu, jako języka narodowego. Dokonywa tego głównie przez szkoły, których wykład odbywa się po neohebrajsku. Zaproszony i oprowadzony przez Dyrektora Departamentu szkół syjonistycznych, pana Luriego, zwiedziłem kilka szkół i wszędzie z uznaniem widziałem, jak dziatwa do tego języka chętnie się garnie i jak nim włada. Tylko wymowa, którą przyjęto, a której niesłuszność — jak mi przyznano — wykazałem wobec zebranych profesorów — ta wymowa (hybryda aszkenazyjsko-sefardystyczna!) szpeci nieco nowy ten język. Agitacja za językiem neohebrajskim odbywa się nie tylko przez szkoły. Po ulicach, placach, sklepach i t. d. widnieją napisy: „Żydzie, mów po żydowsku“; napisy na urzędach, ogłoszenia i t. p. są po neohebrajsku. Dwa czasopisma, *ha-Aretz* (Ziemia) i *Doar hajjom* (Pocztą dzienna) są także wydawane w tymże języku. W piśmie przyjęto kursywę, używaną przez naszych polskich Żydów. Prezesem Akademji jest p. Ben Jehuda, zasłużony wielce autor słownika neohebrajskiego: „*Thesaurus totius hebraicitatis veteris et recentioris*“, którego już siedem tomów się ukazało, a trzy ostatnie są na ukończeniu.

Naród żydowski w Palestynie pragnie słusznie rządzić się swemi narodowymi prawami. Bez systemu sądowego prawniczego, któryby brał pod uwagę także nowe potrzeby

życia, jest niepodobieństwem odnowić życie narodowe. Niestety takiego kodeksu prawa Żydzi nie posiadają. Ich stare prawo narodowe, zawarte w Piśmie Świętym i Talmudzie, jest częściowo przestarzałe, a w każdym razie niedostateczne. Temu brakowi trzeba zapobiec także i z tego tytułu, iż wielu nowożytnych prawników żydowskich nie ma dostatecznych znajomości oryginalnych źródeł prawa hebrajskiego; z drugiej zaś strony żydowscy znawcy Talmudu są najczęściej pozbawieni wszelkiej znajomości praktycznej prawa nowożytnego. Należy przeto tę przepaść wypełnić, zebrać wybitne siły z obu obozów, aby stworzyć nowe prawnodawstwo żydowskie.

Aby ten ważny cel osiągnąć, powstało w Jerozolimie Towarzystwo Prawnicze Żydowskie pod nazwą „Hammi-szpał Haibri“, złożone z rabinów i prawników żydowskich. Na czele Komitetu kierowniczego stanął sędzia Frumkin, członek sądu apelacyjnego; na vice-przewodniczących wybrano pp. dr. dr. Eljasza i Pen'a, sekretarzem został p. Friedenberg.

Towarzystwo postanowiło zapoczątkować historyczno-naukowe studjum nad prawem hebrajskim, szerzyć literaturę prawniczą w języku hebrajskim, organizować odczyty i wykłady prawa hebrajskiego. Zamierzonym jest także wydawnictwo czasopisma prawniczo-żydowskiego.

Warto obecnie przejść w krótkości wyniki tych badań i wykopalisk, które po wojnie podjęto w Palestynie.

W Akko (St. Jean d' Acre) usunięto gruzy, które pokrywały słynną kryptę średniowieczną.

W Atlit umożliwiono dojazd do znanego zamczyska Krzyżowców, w którym odkopano cały szereg krypt, łuków i pokoi. Obecnie są nawet dostępne podziemia zamku (od strony północno-wschodniej). Tymczasowe zabezpieczenie od strony morza — zanim stanie tam wielki ochronny wał — ma za cel uratować tę cenną pamiątkę od zniszczenia.

W Ramle grozi zawaleniem piękna wieża, znana pod nazwą „40 Męczenników“. Obecnie czyni się zabiegi u właściciela tejże pamiątki (dobra duchowne mużułmańskie, Wakf), aby uratować ją od zagłady. Rząd ofiarował pomoc i fundusze.

W Ainduk, przy Jerychu, dzięki działaniom wojennym odkryto istnienie pięknej mozaiki. Jej zbadaniem zajęła się francuska szkoła archeologiczna pod kierownictwem O. Vincent'a. Wyszło na jaw, że mozaika należy do bardzo starej bóżnicy. Mozaikę przeniesiono do Cytadeli jerozolimskiej.

W Cezarei odkryto szereg pięknych rzeźb i naczyń glinianych, które dadzą początek lokalnemu muzeum tamże.

XX. Franciszkanie zajęli się uzupełnieniem wykopalisk w Tell Hum (Kafarnaum) pod kierownictwem X. Orfall'ego. Obok starej bóżnicy, w której Chrystus nauczał i po raz pierwszy zapowiedział ustanowienie Najświętszego Sakramentu, znaleziono ciekawą budowlę ośmioboczną o dwóch galerjach koncentrycznych. Opierając się na analogicznej budowlu w Beisan (zob. niżej), sędzę, że to było baptysterjum jakiegoś kościoła z epoki bizantyńskiej, dotychczas jeszcze nieodkopanego.

Zbadaniem ruin Samarii (Sebastijje) zajmie się amerykański Harvard University of Cambridge Mass, a uniwersytet w Chicago własnym kosztem ma objąć uzupełnienie wykopalisk w Megiddo (el-Leżżun).

Przechodząc do wykopalisk ściślejszych i poważniejszych, wymienię na pierwszym miejscu badaczy najmłodszych, Żydów. Hebrew Archeological Society postanowiła zaznaczyć swe istnienie wykopaliskami i za przedmiot badań wybrała Tyberjadę, miasto dziś nawskróś żydowskie, założone w pierwszym wieku po Chrystusie przez Heroda Antypę. Po zburzeniu Jerozolimy Tyberjada — jak wiadomo — stała się w wieku III-im i następnych głównym ośrodkiem życia żydowskiego w Palestynie, a jej sława szeroko i daleko się rozeszła, głównie dzięki pracy naukowej rabinów takich, jak Rabbi Meir, jeden z autorów Miszny. Wykopaliska podjęte tamże przez dr. Slouscha ograniczyły się głównie do starej bóżnicy Kenisza d' Hamatha (synagogi źródeł gorących), tak nazwanej z powodu bliskości tychże. Ustalono przytem granice Cytadeli herodjańskiej i nekropolu (mauzoleum) z II-go i III-go wieku. Plan odkopanej bóżnicy posiada wszystkie cechy charakterystyczne bóżnic z czasów rzymskich. Synagoga ta przeżyła w głównych zarysach przeszło lat 1000,

a uległa zburzeniu za czasów najazdu mongolskiego pod Hulaghu (w XIII w.). Do najciekawszych przedmiotów, znalezionych w tej bóżnicy, należy tak zwana „Menorah” czyli świecznik siedmioramienny. Jest to model w kamieniu (60 cm. szeroki, 46 cm. wysoki, a 12 gruby) dla oryginału, który się znajdował w świątyni Jerozolimskiej, a którego podobiznę znamy także z triumfalnego łuku Tytusa w Rzymie. Model ten przenieśli prawdopodobnie Żydzi z Jerozolimy przed jej zburzeniem lub później, by go ochronić od możliwej profanacji.

Inne towarzystwo archeologiczne żydowskie (Jewish Palestine Exploration Society) zamierza niebawem poddać zbadaniu pomnik, zwany grobem Absaloma, u podnóża góry Oliwnej, a nadto dawną sadzawkę Siloam. Aby zebrać potrzebne fundusze, Żydzi potworzyli w tym celu komitety w Anglii, Francji i Egipcie (Times 4. IV. 1922).

Wykopalisk na większą skalę dokonał w Askalonie, imieniem Palestine Exploration Fund i Angielskiej Szkoły Archeologicznej, prof. Garstang. Askalon uchodzi za jedno z najstarszych miast świata, ale od r. 1270 po Chr. (od zburzenia przez Bibar’a) leży w ruinach. Pierwsze jego dzieje giną w pomrokach. Dopiero z Thutmosisem I i III (wiek XVI przed Chr.), którzy na swych wyprawach zajęli Askalon, wchodzi to słynne miasto na szerszą widownię świata. Jego król Jadaja Dagontakala jest wasalem faraona Amenhotepa. Hebrajczycy nie mogli z początku tego miasta zdobyć; dopiero po śmierci Jozuego wpadło ono w ręce plemienia Judy, ale na czas krótki, gdyż niebawem zdobyli je Filistini i uczynili jednym z głównych miast swego Pentopolu. Od w. IX przed Chr. przechodziło miasto różne losów koleje: posiadali je z początku Żydzi, potem Asyryjczycy (pod Sanherybem), następnie Persowie i Aleksander Wielki. Po jego śmierci Egipt i Syryja wydzierały je sobie, a wreszcie za rządów Rzymian (od r. 104 przed Chr.), miasto otrzymało szeroką autonomję. Z Askalonu pochodził Herod Wielki; to też z wdzięczności ku swemu ojczystemu miastu ozdobił je termami, stoą i różnemi budowlami. Askalon długo się opierał zaprowadzeniu chrześcijaństwa. Za czasów

Krzyżowców przechodził z rąk do rąk, aż w r. 1270 po Chr. sułtan Bibar zburzył je do fundamentów.

Ruiny tego miasta były znane jeszcze przed wykopaliskami. Miasto było średniej wielkości; spadało zlekka ku morzu półkolem (o 1200 mtr. średnicy). Dzięki prof. Garstangowi znamy obecnie słynną stołę Heroda, która otaczała wielkie podwórze z kolumnadą. Do niej przylegała Basilika, przebudowana później w formie teatru, a za czasów arabskich zamieniona na Mihrab. Tamże odkryto piękne statuy Appolina, Wenery i Zwycięstwa, obok olbrzymiej statuy samego Heroda (ważącej 6—7 ton), rozstawione wzdłuż murów starego teatru.

Na akropolu askalońskim ślady pobytu Filistynów są aż nadto widoczne. Ale za najważniejsze należy uważać resztki budowli przedfilistyńskich. Dopiero dalsze wykopaliska wykażą czy one należały do Kaftorin, czy do Kanaanitów, czy też do osadników prafilistyńskich, co przybyli z za morza.

Najwięcej interesujących szczegółów dostarczył Beisan, dzięki wykopaliskom podjętym tuż po wojnie. Już samo położenie geograficzne, u wylotu niziny Jezrael, a nadto obfitość czterech potoków czynią z tej okolicy jeden ogród, którego piękność sławił niegdyś Rabbi Meir, a o którym Rabbi Simeon ben-Lakis miał powiedzieć: „jeśli raj jest w Palestynie, to Bet Szean jest jego bramą“.

Beisan leży na wyżynie bazaltowej 180 metrów ponad doliną Jordanu, od którego jest odległy o 5 kilometrów. Jak dotychczasowe wykopaliska wykazały, miasto to mogło istnieć już około 1800 przed Chr.; miało więc swój okres kananejski (czy amorejcki?), filistyński, izraelski, żydowski, greckobizantyjski, arabski i Krzyżowców. Ale jego dzieje są dość skąpe. Po najeździe Izraela (około 1400 przed Chr.), miasto płaciło mu haracz (Sędz. I, 27, 28). Dawid, mszcząc się za znieważenie zwłok Saula i jego trzech synów, których ciała Filistyni powiesili na murach Betszeanu, — zdobył je i wcielił do swego państwa, atoli charakteru czysto izraelskiego miasto nigdy nie posiadało. Pod panowaniem Greków nadano mu nazwę Skythopolis (miasta Scytów); dlaczego? niewiadomo. Jerzy Synkellos (w. VIII stuleciu po Chr.) twierdzi, że to się

stało, dzięki kolonji Scytów, których najazd na Syrię i Palestynę odparł faraó Psammetyk. Historycy jednak powątpiewają dziś o tem zdarzeniu. Dopiero za czasów machabejskich Scythopolis nabiera rozgłosu. Wchodzi w orbitę interesów żydowskich, którzy tam posiadają bogatą kolonję. W pierwszym wieku przed Chr. Scythopolis, przez swój handel i ogrom ludności, przewyższało Jerozolimę i należało do związku Dekapolu. Pogrom z roku 65 po Chr. przypisał o śmierć w tem mieście 13.000 Żydów, jego mieszkańców. Chrześcijaństwo tylko z trudem zdołało się utrzymać w tem pogańskim mieście; liczni jego męczennicy są tego dowodem. Pod Justynjanem Scythopolis posiadało dwa wspaniałe kościoły i pałac biskupi i było główną siedzibą mnichów. Po najeździe Arabów (637 po Chr.) miasto odzyskało swą starą nazwę, nieco tylko zarabizowaną na Beisan.

Jeszcze przed rozpoczęciem wykopalisk ruiny Beisanu — tak swą rozległością, jak i różnaitością — budziły zajęcie wśród uczonych. Jego stare mury, chociaż w wielu miejscach zburzone, miały około 8 klm. długości. Środkiem starego miasta płynął w przepaścistym jarze Nahr Dżalud. Inne mury (wewnętrzne) dzieliły miasto na 3 lub 4 dzielnice. Dziśjsze miasteczko (o 3000 mieszkańców) obejmuje zaledwie drobną część dzielnicy południowej, w której mieścił się hippodrom (92 m. długi, 53 m. szeroki), a nieco dalej ku północy półkolisty teatr o 60 metrach średnicy (dziś el-Akud zwany), tak urządzony, że w razie potrzeby mógł służyć na naumachję. W tym to teatrze poległo wielu chrześcijan śmiercią męczeńską.

Najważniejszym jednak punktem starego miasta jest tak zwana Cytadela, Tell (Kalat) el-Hosn, która się wznosi na trzech pagórkach, a była otoczona grubym na 2'30 m. murem. Z północy i ze wschodu ma ona brzegi przepaściste; z południa i zachodu jest natomiast dostępną. Wielka ilość kolumn monolitowych, tu i ówdzie opatrzonych korynckimi głowicami, leży na pagórku, na jego zboczach i w łożysku rzeki.

Na ten pagórek już oddawna tęsknem okiem patrzyli archeologowie. Za rządów tureckich wykopaliska były niemożliwe, bo Beisan stanowiło prywatną własność sułtańską

(działalność). Dopiero zajęcie Palestyny przez Anglików i nowe prawa wydane o wykopaliskach pozwoliły przystąpić do pracy. Pozwolenie na wykopaliska otrzymał Uniwersytet Pensylwański (Philadelphia), którego czynny i przedsiębiorczy dyrektor muzeum, dr. C. S. Fisher, już od szeregu lat pracował w Egipcie i pomiędzy Arabami wyszkolił sobie wyborny zastęp robotników. On to pod koniec czerwca 1921 zabrał się do pracy w Beisanie i już w pierwszym jej okresie (do końca października 1921) doszedł do wcale ładnych wyników, zwłaszcza, że miał przy swym boku kapitana E. J. H. Mackaya, byłego inspektora Departamentu Starożytności. Drugi okres wykopalisk rozpoczął się z kwietniem 1922 i miał trwać aż do końca października. To też bawiąc w Beisan pod koniec kwietnia, mogłem widzieć prof. Fishera przy pracy i korzystać z jego uprzejmych wyjaśnień.

Przekop wschodni, mający na celu ustalić ilość i głębokość pokładów historycznych, doprowadził narazie do późnego okresu protokananejskiego i jego czasów następnych (od 1800—1400 przed Chr.). Znalezione cegły z murów protokananejskich, cementarzyska wraz z dość oryginalną ceramiką, sięgającą czasów Średniego Państwa Egipskiego i epoki Hykszosów. Być może, że dalsze podkopy — do skalistego podłoża bowiem jeszcze nie dotarto — naprowadzą na ślad starszych jeszcze czasów.

Po próbnym przekopie zabrał się dr. Fisher do systematycznych wykopalisk do samego szczytu pagórka, gdzie się spotkał z resztkami wczesnej epoki arabskiej w napisach i budowlach. Ciekawe „graffiti” żydowskie (z czasów 800 do 1100 po Chr.) na resztach marmurowych pilastrów, które dawniej wchodziły w skład chrześcijańskiego kościoła, a potem meczetu muzułmańskiego, — stwierdzają niezbicie istnienie kwitnącej kolonii żydowskiej w Beisanie wśród arabskiej osady owych czasów.

Poniżej resztek arabskich dokopał się Fisher ruin bizantyjskiego kościoła i klasztoru. Kształt kościoła jest bardzo oryginalny, bo okrągły, otoczony wokoło kolistą galerią¹⁾.

¹⁾ Podobnego kształtu bizantyjskie kościoły znamy także z innych części Palestyny, jak np. Bosra (w Hauranie).

Do kościoła przylegał od wschodu klasztor, z którego ocalały dwie piekarnie, cysterna i dość ciekawy refektarz; nad nim prawdopodobnie wznosił się dormitarz. Stary sarkofag służył za lavabo. Dużo kolumn, niektóre jeszcze *in situ*, wykazują, że z galerji zewnętrznej był wszędzie dostęp do wnętrza samego kościoła. Bogata mozaika pokrywała podłogę, z której zachowało się niemało szczegółów. Rotunda bazyliki posiadała prawdopodobnie kopułę. Wnętrze kościoła było oświetlone brązowymi lichtarzami, zawieszonemi na łańcuszkach z tegoż metalu. Jest rzeczą prawdopodobną, że ten centralny okrągły kościół bizantyjski wznosi się na ruinach starszej bazyliki rzymskiej czworobocznej. Wskazuje na to między innemi system kanalizacji.

Poniżej owej bazyliki (w głębokości $2\frac{1}{2}$ metra) znaleziono (ale nie *in situ*!) część pięknej steli z bazaltu, z napisem egipskim ku czci Seti I (1313—1292 przed Chr.). Druga jej część znajduje się najprawdopodobniej w Zajordaniu w Tell esz-Szihab. Gdzie cała ta stela była pierwotnie ustawioną? niewiadomo. Materiał jej (bazalt) wskazywałby na okolice Dżolanu.

Gdy się zejdzie ze szczytu pagórka, napotkamy na szeregu murów dawnego akropolu bizantyjskiego wraz z piękną (jedyłą!) bramą z zachodu, do której prowadzi osobna droga, wykładana kamieniami bazaltowemi.

Epoka rzymska i starsze od niej: hellenistyczna, żydowska i kananejska czekają jeszcze na światło dzienne. Biorąc pod uwagę olbrzymie przestrzenie Beisanu i ilość ruin, trzeba będzie jeszcze szeregu lat, zanim ta starożytna osada wyda nam wszystkie swoje tajemnice.

Pewnym jest jednak ten fakt, że archeologiczno-naukowe badania nad Palestyną za rządów angielskich w Ziemi św. doczekają się świetnego rozwoju. Ogólny interes dla Palestyny dostarczy środków, a rząd angielski potrzebnej pomocy i opieki.

KS. DR. WŁAD. SZCZEPAŃSKI.

Filozoficzna jedność organizmu wobec najnowszych badań biologicznych.

Filozofowie dawni nie mieli żadnego powodu do patrzenia na organizm inaczej, jak na jednostkę życiową, której części składowe kierują i podporządkowują swe czynności do wspólnego celu, a jest nim dobro i pożytek całego organizmu. Organizm, wedle nich, to jedność najściślej zespolona, chociaż złożona z dwóch zasadniczych czynników, materji i formy, zwanej tu duszą i często stanowiącej właściwy pierwiastek życiowy. Pogląd taki, oparty na makroskopowej obserwacji, to jest na przypatrywaniu się nieuzbrojonomu we szkła okiem istotom żywym, ich cechom i zewnętrznej ich budowie, nie napotykał ze strony biologji na żadne poważniejsze trudności — aż do chwili, kiedy nauka, uzbrojona w nowy przyrząd, stanowiący jakby niesłychanie daleko sięgające przedłużenie zmysłów, nie doszła do poznania innej, bo drobno-ustrojowej jednostki życiowej, zwanej komórką, stając przed nową zagadką i pytaniem: jaki jest stosunek tego tworu do organizmu. — Po dwuwiekowych, żmudnych a wytrwałych wysiłkach i badaniach najwybitniejszych mężów nauki. biologia doszła do posiadania niewzruszalnej prawdy, że każdy organizm wielokomórkowy powstaje i składa się z komórek i istoty międzykomórkowej, która jednak także jest wyłącznie i całkowicie wytworem żywych komórek organizmu. Prawda, że te komórki różnią się między sobą wybitnie zarówno co do kształtów jak i czynności, bo poczynawszy od komórek takich np., jak komórki nasienne lub krwinki, których w jeden milimetr sześcienny możnaby pomieścić przeszło dziesięć milionów, aż do komórki nerwowej u zwierząt wyższych, długiej na mętr przeszło, lub komórek jajowych ptaków,

jak strusia i innych, znachodzimy wśród komórek w skład organizmu wchodzących, wielkości i kształty przeróżne, pośrednie, odpowiednie do roli, jaka komórce ma przypaść w organizmie. Role zaś te i funkcje są znowu niezmiernie rozmaite, gdyż jedne komórki, stanowiące części składowe systemu odżywczego, bądź wydzielają pewne tak zwane trawiące substancje, bądź chłoną miazdrę już zaprawioną, inne znów, jak mięśniowe, służą do wykonywania czynności ruchowych, czy to miejscowego ruchu robaczkowego, jak u mięśni gładkich, czy też, jak mięśnie prążkowane, dokonują przenoszenia lub pracy całego systemu, inne wreszcie odbierają i przenoszą owe tyle tajemnicze wrażenia lub roznoszą nakazy dla innych komórek — cały tom trzebaby spisać, by wszystkie te rozmaite komórki, ich kształty, czynności i znaczenie w organizmie dokładniej przedstawić, o ile wogóle to nauce dzisiejszej jest znane. Przecież w najnowszej biologii istnieje osobna gałąź nauki, zwana cytologią, zajmująca się tylko komórką, jako taką.

A różnaitość budowy i działania, ściśle i stale wyznaczona dla każdego rodzaju komórek w organizmie, większego jeszcze nabrać musi znaczenia, gdy sobie uprzytomnimy, że istnieją organizmy, nie złożone bynajmniej z wielu komórek, lecz każdy z nich jest jedną, jedyną, samodzielnie i niezależnie żyjącą komórką. Samych gatunków takich organizmów nauka dziś już zna liczne tysiące, podzielone na wielkie grupy, takie jak naprzykład bakterje, pierwotniaki, lub okrzemki. Osobnik każdy takiego pierwotniaka, dla oka nieuzbrojonego przedstawiający się nieraz jako ledwie dostrzegalny pyłek, pod mikroskopem okazuje piękną strukturę. Widać tam otwór, jakby jamę ustną, przez który do wnętrza żyjątki wraz z prądem wody przypływa tak zwany detritus organiczny, powstający z rozkładu organizmów wyższych lub bakterje, służąc na pokarm tego stworzonka. Widać dalej i bańkę, jakby nerkę, której pojemność w oczach się zwiększa, by nagle się wypróżnić i zniknąć i znów rósć; można dostrzec często i jądro wielkie, złożone nieraz z licznych części i rzęski ciągle i szybko się poruszające, rozróżnić można szczegóły w budowie samej plazmy. Choć wszystko to razem jedną jest tylko komórką, to pierwotniak cały mimo

to jest istotą, wykazującą w sposób doskonały wszystkie zasadnicze cechy istoty żywej, mianowicie rodzi się, rośnie, asymiluje pokarm czyli odżywia się i wreszcie umiera. Czasem co prawda kilka lub więcej takich pierwotniaków tkwią jakby listki na jednej wspólnej łodydze, tworząc kolonję stałą ze sobą zrośniętą. A gdy dalej badamy drobnoustrojową budowę innych znów zwierząt, dostrzegamy między nimi takie, jak na przykład gąbki lub hydry, których pojedyncze osobniki nie wiele prawie się różnią od kolonji pierwotniaków jednokomórkowych, gdyż ciało ich składa się z szeregu komórek mało zróżniczkowanych, to znaczy zarówno budową jak i funkcjami swemi nie wiele się różniących. Nic więc dziwnego, że wobec przytoczonych powyżej faktów przyrodnicy postawić sobie musieli pytanie, czy może i organizmów zwierząt wyższych i najwyższych, a więc i człowieka, nie należy uważać raczej za kolonję, złożoną z bardzo licznych komórek — u człowieka podaje Kopsch ich liczbę na ośm biljonów — zlepionych ze sobą bezpośrednio lub zapomocą istoty międzykomórkowej i na wspólne bytowanie skazanych, lecz poza tem zupełnie samodzielnych, a tylko produkty swoje i czynności ofiarujących dla dobra — lub zła — całości? Wedle takiego poglądu organizm wyższy nie byłby niczem innem, jak tylko społecznością i państwem samodzielnych bytów — komórek, z których może każda, ożywiona Leibnicowską monadą, stanowi oddzielne życiowe indywiduum, lecz tak organicznie spojone z innymi współobywatelami, że monada całego organizmu samowiedzą swą zasłania i przylśniewa samowiedzę poszczególnych komórek.

Oczywiście pogląd taki, o ile odniesiemy go do organizmu ludzkiego, ze stanowiska filozofji chrześcijańskiej ani chwili utrzymanym być nie może, niszczy on bowiem metafizyczną jedność substancji człowieka, gdy więc od strony filozofji do problemu tego się zbliżymy, jest on z góry rozstrzygnięty. Organizm człowieka, a stąd także i organizm zwierzęcia jest czemś nie tylko funkcyjnie ale i pojęciowo tak czemś jednym, tak w swych wszystkich większych i drobniejszych częściach ku jedności skierowanem, że nie może być mowy o rozbiciu go, nawet pojęciowo, na pojedyncze części, związane ze sobą nie koniecznością bezwzględną jedności

wewnętrznego celu, lecz tylko jakaś autonomiczna, dowolną dążnością atawistyczną do jedności społecznej z innymi komórkami, jak pszczoły z rojem całym i mrówki z mieszkańcami tego samego kopca. Jednym słowem, forma organizmu całego, jak jego wewnętrzny pierwiastek życiowy, jest tylko jedna, a jest ona nie tylko formą wspólną, ogólną całego organizmu, lecz jest także formą bezpośrednią każdego z jego części, a więc każdej komórki. To filozoficznie jasne i proste.

Ciekawem jednak niezmiernie było obserwowanie, jak z nowym pytaniem zasadniczym o organizmie: społeczeństwo komórek, czy jedność bezwzględna bytowania — radzi sobie fizjologja i wogóle biologja, a więc nauki czysto doświadczalne, które chętną się tem, iż odrzucają wszelkie dociekania metafizyczne, a stoją, przynajmniej stać pragną, jedynie na faktach doświadczalnych. Czyli innymi słowy, czy fakta zdobyte dotychczas przez naukę doświadczalną sprzyjają raczej teorii jedności organizmu, czy też społecznej, autonomicznej wielokomórkowości? I na wstępie od razu wyznać trzeba, że nauka bezstronna, nie spaczona apriorystycznymi doktrynami, dzisiaj nie tylko nachyla się, ale stanowczo się przechyliła na stronę bezwzględnej jedności organizmu. I chociaż na przykład z jednej strony nauczono się z biegiem badań rozróżniać coraz ściślej rozmaite tkanki i komórki w organizmie, i to nie tylko różne budową, ale ściśle i jakby autonomicznie wykonywujące im tylko swoje czynności, to jednak ta sama histologja wskazuje, że nie można utrzymywać, jakoby komórki pojedyncze były hermetycznie od siebie oddzielone, ale owszem da się wykazać, że najważniejsza substancja życiowa, plazma, jest jakby czemś ciągłym poprzez cały organizm, lub przynajmniej przez jego liczne odcinki. Między wieloma komórkami zachodzą się tak zwane mostki plazmatyczne, które łączą plazmę jednej komórki z drugą, w innych znowu napotyka się na tak zwane anastomozy, wikłające nie tylko sąsiednie, ale i dalsze komórki między sobą, tak że w miejscach granicznych niepodobna powiedzieć gdzie kończy się jedna komórka, a gdzie zaczyna druga. Prócz tego istota międzykomórkowa, która w tkankach takich jak kość, tkanka łączna, chrząstka itp. ważną odgrywa rolę, choć jest już jakby poza komórką, to przecież jest wytworem komórek,

jednoczy więc całe zbiory komórek w jedną całość. Dalsze badania pokazały dalej, że i funkcje komórek, czy to ruchowe, czy wydzielnicze lub wydalnicze, nie mają i mieć nie mogą za cel samą tylko ową czynność wykonującej komórki, lecz całość organizmu, i stąd odnoszą się i kierują potrzebami komórek bardzo daleko nieraz odległych. Gdy komórka gruczołu śliniankowego wydziela ptjalinę, służącą do przemiany skrobi na cukier, gdy komórka ścian żołądka produkuje kwas solny, lub pepsyny, trawiące białko, to rzecz jest oczywista, że z tej chemiczno-biologicznej pracy komórki korzystać będzie i musi cały organizm, zarówno dana komórka wydzielnicza, jak i każda inna, nabłonkowa, nerwowa lub mięsna, położona daleko na krańcu organizmu, na końcu palca lub szczycie głowy.

Pogląd ten na ontologiczną i funkcyjną bezwzględną jedność wewnętrzną organizmu znalazł jednak najwyższe potwierdzenie w pracach i teorjach znakomitego fizjologa niemieckiego Pflügera, odnoszących się do systemu nerwowego. Wedle twierdzeń Pflügera, przyjętych dziś bezwzględnie przez wszystkich fizjologów, cały organizm aż do najdalszych swych kończyn, połączony i poprzeplatany jest jakby przez druty telegraficzne, przez system włókien i nitek nerwowych, przy czem stacje centralne, odbiorcze i wysyłające, znajdują się w ośrodkach bądź systemu nerwowego centralnego, to jest mózgu i rdzenia, bądź ganglionów, spłotów komórek sympatycznego układu nerwowego. Podłożem zaś świadomości, czyli tak zwanego zmysłu wewnętrznego, jest zdaje się głównie kora mózgowa ze swemi olbrzymimi komórkami piramidowemi. System nerwowy nie tylko przyjmuje i do świadomości doprowadza oddziaływania świata zewnętrznego w postaci tak zwanych wrażeń zmysłowych, nie tylko wysyła od rdzenia dla mięśni prążkowych rozkazy odruchów a od mózgu rozkazy ruchów świadomych, ale zespała on i kojarzy czynności organizmu nawet od woli niezależne, czy to np. ruch mięśni gładkich kiszek lub innych organów, czy nawet działania chemiczno-biologiczne, wydzielnicze i wydalnicze lub chłonne poszczególnych komórek. Dziś już wiadomo na pewne, że wydzielanie soków trawiących nie odbywa się wyłącznie pod wpływem mechanicznego drażnienia

przechodzącego pokarmu, lecz pod wpływem systemu nerwowego, na który pokarm przez zmysły działa. I wiadomo, że przyrządzenie pokarmów smacznie i podawanie ich estetyczne, jako korzystnie działające na zmysły, niezmiennie przyczynia się do strawności a więc i wartości odżywczej pokarmu. Tak więc chociaż każda z komórek organizmu ma do spełnienia ściśle określone zadanie, to jednak nie jest ona bynajmniej jakąś istotą oddzielnie bytującą, obywatelem w autonomicznym państwie komórek, odrębnym organizmem, a czynności jej i ich sprawność podlega w bardzo wielkiej mierze, normalnie mówiąc nawet wyłącznie rozkazom, podanym przez system nerwowy, który w ten sposób do reszty sprawia, że organizm jest czemś jednym w samym sobie, bytuje bytem wspólnym. Wszystkie czynności jego części poszczególnych są czynnościami całego organizmu, pojętego jako jedna, oddzielna istota żywa, obdarzona jednym wspólnym systemem nerwowym.

Wprawdzie i tu, w tym najważniejszym dla naszej kwestji punkcie, mianowicie w pytaniu, czy sam system nerwowy jest czemś jednym, całością, czy też może i on jest także zlepkiem społeczności pojedynczych komórek, napotkać można na pewne pozorne trudności i różnice mniemań. Dzisiejsza histologia stoi mianowicie na stanowisku tak zwanej teorii neuronowej. Utrzymuje ona, że cały system nerwowy składa się z pojedynczych komórek, opatrzonych jedną dłuższą wypustką, idącą nieraz aż do krańców organizmu, zwaną neurylem i prócz tego większą często ilością wypustek bardzo rozgałęzionych, zwanych dendrytami. Całą zaś komórkę nerwową wraz z wszystkimi jej wypustkami, z neurylem i dendrytami, zwie się dzisiaj za Waldeyerem neuronem. Wyrostki nerwowe, zwłaszcza zaś dendryty, w miarę jak oddalają się od komórki macierzystej, z której wychodzą i której są przedłużeniem, rozgałęziają się na coraz to liczniejsze i coraz delikatniejsze włókienka, zapomocą których wchodzą w zetknięcie bezpośrednie z włóknami komórek sąsiednich, przyczem z takich końcowych włókienek powstają niezmiennie subtelne siateczki, rozciągające się zwłaszcza nad systemem centralnym nerwowym, a mające za zadanie fizjologiczne stworzenie funkcyjnego kontaktu pojedynczych komórek ner-

wowych. Jakkolwiek zapomocą metody wynalezionej przez Golgiego, umiemy włókienka te nawet najsubtelniejsze i złożone z nich siateczki śledzić do najbardziej krańcowych kończyn, jednak do dziś dnia nie zdołali histologowie rozstrzygnąć sprawy zasadniczej, która dla naszego obecnego tematu ma niezmiernie ważne znaczenie, mianowicie, czy w tych siateczkach włókienka komórek jednych przechodzą w drugie, jakby ich nieprzerwane ciągle przedłużenie, czy też włókienka jednych komórek stykają się tylko, przylegają do siebie. Dawniejsi uczeni, jak Gerlach, Virchow, a z początku i Golgi, przechylali się ku pierwszej teorii, później pod wpływem Golgiego i Klikera, przemożła teoria druga, prostego przylegania kończyn nerwowych. Obecnie jednak po pracach Gerlacha i Hallera nie ulega zdaniem Kopscha¹⁾ wątpliwości, że w niektórych miejscach organizmów wykazano z wszelką pewnością istnienie siatki nerwowej ciągłej. Tak więc zarówno funkcyjnie, tak i co do budowy anatomicznej można uważać system nerwowy nie za zbiór pojedynczych, autonomicznych komórek, lecz jako tkanekę, złożoną wprawdzie z komórek, lecz równocześnie zespojoną i złączoną wewnątrznie włóknami plazmy.

Komórka nerwowa tak pod względem budowy, jak działania i przenoszenia podrażnień przedstawia z pewnością najwięcej zagadek dla badacza, i to zarówno dla biologa, jak i psychologa, toteż koło niej toczyły się zawsze i trwają do dzisiaj największe spory naukowe. Samo nawet powstanie i rozwój tej komórki w organizmie wyższym i u człowieka wiele nastroczało trudności. Jak wiadomo, wedle przyjętej powszechnie dziś w biologii teorii, każdy organizm wyższy powstaje z jednej komórki, która następnie przez dzielenie się wytwarza gronko komórek, zwane morrulą; przez dalsze mnożenie się komórek powstaje zeń pęcherzyk blastula, z niego zaś w dalszym stadium rozwoju, gastrula, żołądeczek, twór złożony już z trzech warstw komórkowych, stanowiących tak zwane listki zarodkowe, z których wytwarzają się następnie organa osobnika. Otóż że z zewnętrznej warstwy gastruli, z tak zwanej ektodermy, po-

¹⁾ Kopsch: *Anatomie des Menschen*, t. V str. 6. Lipsk 1920.

wstaje potem skóra czyli powłoka wierzchnia organizmu, to zupełnie nic nie jest dziwnego, ale to jest niezmiernie ciekawe, że z tejże samej ektodermy powstaje także ta część organizmu, która jest potem najgłębiej ukryta, bo właśnie system nerwowy i odbiorcze części nerwowe narządów zmysłowych, jak siatkówka oka, lub narząd słuchowy Cortiego. W wierzchniej części gastruli zaczynają mianowicie komórki ektodermy bujać szybciej, to znaczy mnożyć się szybko przez dzielenie, tak, że utworzą wnet podłużną tarczkę, która zmieni się w rurkę, tworzącą pierwszy początek rdzenia i mózgu. Te rzeczy już na tyle są zbadane, że wątpliwości nie przedstawiają, chodzi jednak o to, w jaki sposób komórka nerwowa otrzymuje te swoje tak długie, bo nieraz metr przeszło wynoszące wypustki, którymi dosięga samej prawie powierzchni skóry. Wedle poglądów dawniejszych histologów dzieje się to w ten sposób, iż od powierzchni ciała aż do komórki nerwowej, leżącej wewnątrz organizmu, układa się łańcuch komórek protoplazmatycznych, które następnie przekształcają się na włókna nerwowe i zlewają się z centralną komórką nerwową w jedną całość, dając twór podobny do jednej komórki. W ten sposób neuron powstawałby ze zlania się wielu komórek. Ramon y Cajal zasadniczymi swymi pracami dał jednak początek pogładowi innemu, dotychczas panującemu, że mianowicie włókno nerwowe jest tylko wypustką komórki i od początku tworzy z nią jedną całość.

W roku ubiegłym wydał prof. Jean Nageotte książkę¹⁾, niezmiernie ciekawą, gdzie opisuje cały szereg własnych doświadczalnych badań nad nerwami i nad tkanką łączną, badań, które z pewnością znajdą wielki oddźwięk po całym świecie naukowym i w niejednym punkcie stanowić będą punkt zwrotny w dotychczasowych kierunkach myśli. Otóż w tej książce Nageotte łączy obie powyższe teorie o powstaniu tkanki nerwowej. Żeby jego wywody bardzo ciekawe i ważne zrozumieć, przypomnieć sobie trzeba, że neuryt,

¹⁾ Jean Nageotte: *L'Organisation de la matière dans ses rapports avec la vie: études d'anatomie générale et de morphologie expérimentale sur le tissu conjonctif et le nerf.* — Paris, Alcan. 1922. — Podaję wedle obszernej recenzji E. W. Mac Bride'a w lond. *Nature* z 20 stycznia 1923.

owa wypustka komórki nerwowej w przeważnej części wypadków, w pewnej odległości po wyjściu z komórki macierzystej otrzymuje dwie osłonki, zwane pochwami, z których bliższa, bezpośrednia, zwie się pochewką rdzeniową, a dalsza pochewką Schwanna. Doskonałym obrazem objaśnienia to Kopsch¹⁾. Przedstawmy sobie mianowicie rurkę szklaną, przez którą przewleczono cienkie niteczki i wypełniono ją wodą, a rurkę z wierzchu otoczono jakąś powłoką. Wiązka niteczek wewnątrz rurki to właśnie owa wypustka komórki nerwowej, ów neuryt, który składa się z wielkiej liczby bardzo subtelnych włókienek, fibril nerwowych, wychodzących z komórki, a połączonych substancją międzywłókienną, przedstawioną w naszym modelu przez wodę. Z jak jednak subtelnymi tworamii mamy tu do czynienia, można poznać z tego, że grubość całego neurytu wynosi dwie tysięczne do jednej tysięcznej części milimetra. Ściany rurki szklanej wyobrażą nam otoczkę rdzeniową, zaś powłoka rurki to pochewka Schwanna.

Nie wchodząc w zbyt szczegółowe opisy mikroskopowego obrazu, jaki przedstawia taki neuryt ze swymi pochewkami, zaznaczyć tylko jeszcze trzeba, że w pochewce Schwanna dostrzec można co pewien odcinek jądro komórkowe. Wracając tedy do teorii Nageotte'a twierdzi ten badacz, że neuryt istotnie, jak to mówił Cajal, wyrasta z komórki nerwowej, ale zanim wyrośnie stamtąd, ustawić się musi wzdłuż jego przyszłej drogi łańcuch komórek ektodermy, i wzdłuż tego łańcucha rośnie wypustek nerwowy, komórki zaś łańcuchowe wytworzą następnie osłonkę Schwanna, zaś otoczka rdzeniowa jest wytworem samego neurytu. Widzimy tu więc jasno, jak w sposób dziwny a tajemniczy wszystkie komórki organizmu są w swych czynnościach i powstaniu kierowane jakąś jedną, do jednego celu, bo do dobra całego organizmu, dążącą dążnością, a ten łańcuch, czy szpaler komórek, ustawiających się niewiedzieć dlaczego i pod czyim wpływem wzdłuż drogi, którą neuryt ma się rozrastać, i to zlewanie się tych komórek w jedną organiczną całość, otoczkę Schwanna, jest chyba niezrównaną ilustracją że organizm

¹⁾ Lehrbuch der Anatomie des Menschen. — Lipsk, 1920. t. I. str. 137.

cały to coś bezwzględnie jednego, a nie jakieś społeczeństwo demokratyczno-komunistyczne samorządnych współobywateli.

Ale dziwniejsze dzieją się rzeczy, gdy w organizmie już dojrzałym włókna nerwowe, neuryty, zostaną przecięte. Mało kto chyba z czytelników nie doznał w życiu swoim niemiłego przypadku rany tak głębokiej, że nerw kończyny ciała, np. palca lub ręki, został przerwany. Jak wiemy z własnego doświadczenia, po pewnym czasie rana się zrasta, lecz odcinek ciała odśrodkowy, to jest leżący ku powierzchni ciała, chociaż całkiem już z resztą ciała zespolony i krwią jego odżywiany, wrażeń czucia nie odbiera zupełnie przez czas dosyć znaczny, nieraz długie miesiące trwający. Znaczy to, że chociaż pozrastały się tkanki inne, jak łączne i mięsne, a nawet i naczynia krwionośne, to jednak wypustka nerwowa, neuryt, drut telegraficzny organizmu, jeszcze przerwany. Naprawa tego przyrzędu dzieje się w przyrodzie w sposób niezmiernie skomplikowany, i znowu wyjaśnienie tej czynności zawdzięczamy żmudnym doświadczeniom i badaniom Nageotte'a. Wedle niego cała ta czynność restauracyjna systemu nerwowego odbywa się w sposób następujący:

Gdy nerw zostanie przecięty, wtedy marnieją, degenerują się oba końce neurytu, tak ten, który jest poza przecięciem, to znaczy ku powierzchni ciała, tak i ten, który znajduje się po stronie środka ciała. Lecz jak teraz nastąpi odrodzenie się nerwu w części odciętej i pozbawionej wobec tego zupełnie zetknięcia się z nerwowym systemem całości? Na to Nageotte daje następujące wyjaśnienie na mocy swych prac doświadczalnych. Po zdegenerowanym nerwie tak końca odśrodkowego, jak i ku-środkowego, to jest połączonego z komórką, pozostały komórki ektodermy, które, jak widzieliśmy, okalały nerw w postaci osłonki. Otóż te komórki jednego i drugiego odcinka nerwu przeciętego zaczynają bujać szybko i mnożyć się przez dzielenie, tworząc po obu stronach rany włókna i siatki tak gęste, że oba końce przecięcia mogą na zewnątrz przybrać postać nabrzmiałych, guzikowatych zgębień. Górną z tych zgębień, zbliżoną do środka ciała, nazywa Nageotte neuromem, dolną, ku powierzchni ciała leżącą, gliomem. Do neuromu wrastają tedy następnie neuronowe włókna

osiowe, idące od komórki nerwowej, a wrastają w ten sposób, że ich nitki idą wzdłuż szeregów komórek ektodermalnych, tworzących nitki siateczki neuromowej. Niektóre z tych włókienek nerwowych, rozrastają się zbyt ku bokom siatki, marnieją, te jednak, które rosną ku przodowi i dojdą do gliomu, to jest do owej siatki, leżącej poza raną, wchodzi do niego, i dosięgają dawnej gałęzi nerwu, a łącząc ją w ten sposób z komórką nerwową centralną, przywracają jej zdolność funkcyjną i w ten sposób znowu odzyskuje się czucie w odciętej, a teraz już zupełnie zrosniętej części ciała.

Tak się dzieje w przypadku rany, przecinającej tylko tkanki i nerwy. Czasami jednak zdarzyć się może, że z ciała, na przykład z ręki lub nogi, zostanie wyrwany jakiś dłuższy odcinek, a z niem i większy kawałek nerwu. Wtedy już sposób powyższy, zostawiający przyrodzie zupełnie naprawę przerwanej sieci nerwowej, nie wystarcza, trzeba jej dostarczyć niejako materiału budowlanego i dokonuje się tego za pomocą przeszczepienia do organizmu na miejsce uszkodzone kawałka nerwu wziętego z innego organizmu. Nageotte udowodnił jednak, że zamiast nerwu lepiej jest wtedy wszczepić kawałek arterji lub ścięgna, bo te tkanki szybciej wywołają powstanie owych siatek komórek ektodermy i łatwiej osiągnie się połączenie między dwoma końcami przerwanego nerwu. A więc dokonuje się tu restauracja nawet przy pomocy i innego rodzaju tkanek — trudno chyba o jaskrawszy dowód, że organizm wszędzie i zawsze działa przedewszystkiem jako całość, a nie jako suma poszczególnych komórek.

Ale niezmiernie są ciekawe i na sprawę naszego tematu, bo na znaczenie i rolę poszczególnych komórek w organizmie bardzo jasne rzucają światło i inne jeszcze doświadczenia Nageotte'a, z których wynika mianowicie, że zróżniczkowanie komórek w dojrzałym organizmie nie jest tak ściśle i skryształizowane a nieodwołalne, jakby się to na podstawie dotychczasowych badań histologicznych zdawać mogło. Rezultatem badań Nageotte'a jest jak się zdaje przedewszystkiem to — mówi przyrodnik angielski E. W. MacBride — że komórki tkanki łącznej mają zdolność działania jako komórki kostne, chrząstkowe, fibroblasty, a nawet jako włókna mię-

śni gładkich, stosownie do warunków, w których się znalazły, że więc wedle słów Driescha, przyszłego losu komórki (to znaczy czem ona ma być w organizmie, jaką ma tam objąć rolę) nie wyznacza jej natura, lecz jej położenie — że „Ein jedes jedes kann“. — A więc i to zróżniczkowanie komórek, ich budowy i funkcji, jakie widzimy w wyższych organizmach tak daleko posunięte, nie jest jednak takim, by można każdą komórkę uważać jakby za oddzielną, samorządnie bytującą istotą żywą, lecz ta żywa plazma, która jej wciągu rozwoju organizmu w udziale przypadła, jest zawsze własnością całego organizmu i ciągle stoi pod jego rozkazami i na każde jego żądanie i zapotrzebowanie musi komórka nie tylko działać inaczej niż dotąd, ale nawet kształt i funkcje swoje zmieniać. Cała tedy koncepcja histologów „autonomistów“, oparta na badaniach przeważnie tkanek i komórek martwych, musi wobec badań prawdziwie biologicznych, na żywym materiale i na żywym organizmie wykonywanych, rozsypać się w gruzy.

Przypatrzymy się tedy paru takim doświadczeniom Naegotte'a, na których wywody powyższe się opierają. Doświadczenia te dotyczą tak zwanych przeszczepień, to znaczy przenoszeń części jednego organizmu do organizmu innego, obcego. O możliwości takich przeszczepień w świecie roślinnym wiedziano bardzo dawno, boć na tem opiera się cała sprawa tak zwanego szczepienia drzew owocowych. U wyższych organizmów zwierzęcych, a więc i ludzkich, przeszczepianiom stała na przeszkodzie sprawa gnicia, ropienia się ran; gdy więc tedy Lister i Pasteur a za nimi inni stwierdzili przyczynę ropienia i podali środki im zapobiegawcze, gdy wykazali, że ma się tu do czynienia wyłącznie z bakterjami, przeszczepiania w chirurgji stały się rzeczą dosyć zwykłą, niepodlegającą szczególnym trudnościom, a spierano się tylko i spierają się jeszcze co do dalszego losu przeszczepionej do nowego organizmu tkanki. Ustala się jednak zdanie, że właściwe przeszczepienie zachodzi tylko wtedy, gdy się przeszczepia jakąś część tego samego organizmu na inne jego miejsce, na przykład skóry z ręki na obnażoną ze skóry powierzchnię twarzy i że tylko w tych wypadkach tkanka przeszczepiona prawdziwie „przyjmuje się“, to znaczy, trwa i zrasta się organicznie z sąsiednimi tkankami. Gdy natomiast przeszczepimy

tkankę z obcego organizmu, to służy ona tylko czasowo na załatanie niejako rany, a potem przy gojeniu się tworzy się w jej miejsce tkanka własna organizmu, a przeszczepiona tkanka zostaje zaabsorbowana, pochłonięta przez swego gospodarza. Tak jedna jednak jak i druga teoria, a druga, nowsza, więcej jeszcze niż pierwsza, uwydatnia, jak widzimy, i popiera pogląd o jedności istotnej całego organizmu. Ale zarówno wyznawcy obu teorii, jak i wogóle wszyscy biologowie muszą stanąć zdumieni wobec przeszczepiań, jakich dokonuje Nageotte. Używa on bowiem do tych prac tkanki obcej, — ale nie żywej, lecz tak zwanej utrwalonej, to znaczy poprostu zabitej w alkoholu lub formalinie. I tak np. do ucha królika, tego zwierzątka, które wraz z psami szczurami, świniami morskimi, myszami i żabami tak wielkie — chociaż nie-dobrowolne męczeństwo ponosi w imię nowożytniej nauki, wszczepił Nageotte kawałek utrwalonego w formalinie ścięgna a więc substancje nie tylko obcą ale wogóle martwą. I cóż się dzieje, jak tkanki sąsiednie reagują na tak niemiłego intruza? Oto wysyłają poprostu do wnętrza obcej tej, martwej tkanki, komórki tak zwane fibroblasty, które wnet poprzez martwe wszczepione ścięgno prześlą nitki żywe, włókienka, a te połączywszy się się na końcach, przyczepią się do otaczającej martwe ścięgno żywej tkanki łącznej królika i tak po pewnym czasie wszczepiona martwa tkanka wchodzi niejako w skład żywego organizmu królika i trwa w nim jako częśćka pożyteczna.

Niczem to jednak wobec drugiej serii doświadczeń Nageotte'a. W podobny, jak powyższy, sposób wszczepia Nageotte podskórnice do ucha królika kawałek utrwalonej, a więc martwej tkanki, lecz tą razą jest nią nie ścięgno, a chrząstka. Wnet sąsiednie komórki ucha królika tworzą, jak wyżej, fibroblasty, które wyrostkami swymi wgrzebuja się we wszczepioną chrząstkę, wiercą w niej zawzięcie wgłębienia i następnie otaczają je tkanką — kostną. A wiedzieć należy, że w normalnym, zdrowym uchu królika kości żadnej niema zupełnie, niema więc i komórek kostnych, a mimo to tam koło wszczepionej martwej tkanki chrząstnej kość się wytwarza. Wytwór taki widocznie nie jest więc tam produktem samodzielnie bytujących komórek, kość normalnie wytwarzających, bo ta-

kich tam niema. Na fakt powyższy trzeba owszem patrzeć tak, że organizm, broniąc się przed obcym najeźdźcą, a nie mogąc wroga wydalić, unieszkodliwia go, otaczając twardą tkanką kostną, którą w imię dobra całego organizmu każe wytworzyć bytującym tam komórkom, chociaż ich normalne funkcje są zupełnie inne.

Lecz jeszcze jeden przykład z pośród prac Nageotte'a, wykazujących zmianę funkcji komórek dojrzałego już, zupełnie zróżniczkowanego organizmu. U psa żywego wycina Nageotte kawałek arterji i w miejsce usuniętego odcinka wstawia inny, pochodzący z arterji innego psa, lecz utrwalonej, to jest zabitej w alkoholu. Po pewnym czasie rana się goi, nowy przybysz otrzymuje zupełne prawo obywatelstwa i obejmuje nawet funkcje dawnej arterji, tylko mundur częściowo dostaje nowy: jest nim warstwa mięśni gładkich, które wnet powlekają powierzchnię wszczepionego trupa. Skądże one się tu wzięły, skoro mięśnie te usunięto wraz z wyciętym odcinkiem arterji, a innych niema w pobliżu? Histologiczne badania Nageotte'a wykazały, że są one wytworem komórek przyległej tkanki łącznej, które dla dobra całego organizmu zmienić musiały i kształt i funkcje.

Wytlómaczenie zjawisk takich, jak opisane powyżej przemiany kształtu i funkcji komórek już zupełnie zróżniczkowanych, w organizmie dorosłym, dla biologa monisty czyli materialisty nastroć musi trudności niemałe. Biolog i filozof przyrody dualista, chociaż ze stanowiska swej teorii przewidzieć zjawisk tych nie mógł, gdy jednak wobec nich się znalazł, gdy na nie w badaniach napotkał, nie potrzebuje celem ich wyjaśnienia uciekać się do tak zwanych hipotez ad hoc, ukutych tylko pod przymusem faktu. Wie on bowiem, że wszystko w organizmie dokonuje się i bytuje, o ile rzeczywiście w skład żywego organizmu wchodzi, pod wpływem jednej jedynej formy życiowej, wspólnej dla całego organizmu, która bezpośrednio kieruje wszystkimi funkcjami życiowymi tak całości organizmu, jak i jego części. Części te, choćby to były biologicznie oddzielne twory, jakimi są komórki, w organizmie nie są samodzielne i oddzielne; gdy więc zajdzie tego potrzeba, pod wpływem formy ulec mogą przekształce-

niu, odpowiedniemu do wymagań całości, do żądań wspólnej i jedynej formy życiowej organizmu.

I podkreślić tu trzeba jeden bardzo charakterystyczny szczegół, stanowiący zabawne dla nas, choć dla samego Nageotte'a tragiczne może stwierdzenie przysłowia, że człowiek strzela, a Pan Bóg kulę nosi. Nageotte książkę swoją wydał w tym celu, by udowodnić chemiczno-fizyczną wyłącznie teorię życia i wykazać, że nie istnieje żadna odmienna siła życiowa, a wszystkie sprawy i zjawiska życiowe są wynikiem działań chemicznych materji. Tymczasem, jak i Mac Bride mu to wykazuje, udowodnił właśnie zupełnie co innego, a z jego prac i doświadczeń wynika jasno, iż mamy w organizmach do czynienia ze zjawiskami, które ponad wszelką wątpliwość wykazują istnienie życia, jako czegoś zupełnie różnego od czystych sił fizyko-chemicznych. W pracach tedy Nageotte'a, tak pięknych i ścisłych, witalizm wbrew woli i zamiarom autora znalazł nowe potwierdzenie, a wraz z niem i pogląd filozoficzny o jedności bezwzględnej organizmu.

Mimo jednak całej doniosłości i niezwykłości wyników, prace te całkiem na drugi plan cofnąć się muszą wobec innych, od lat kilku dokonywanych z niezmiernym zapałem w licznych pracowniach naukowych, których znaczenie teoretyczne jest dla naszego tematu wprost decydujące, praktycznie już dzisiaj wywołuje wprost przewrót w niektórych gałęziach medycyny. Mamy tu na myśli sprawę tak dziś głośną i omawianą, sprawę tak zwanych hormonów.

(Dokończenie nastąpi).

Ks. FELIKS HORTYŃSKI.

Krzywdy Kościoła katolickiego ze strony rządu pruskiego w Wielkopolsce od czasu rozbiórów po r. 1848.

W chwili, gdy między Stolicą Apostolską a rządem polskim toczą się układy o konkordat, gdy chodzi o to, by rząd polski, stawszy się spadkobiercą zaborczych rządów, nie zechciał wzorem ciemiężców naszych kępować praw i wolności Kościoła; w chwili, gdy w interesie narodu polskiego jest, aby ten Kościół uzyskał w Polsce przynajmniej takie swobody i wolności, jakimi się cieszy we Włoszech, Belgji i Anglii, t. j. by uzyskał wolność wyborów biskupich; w chwili, gdy prosta sprawiedliwość domaga się, by rząd polski, odziedziczywszy po rządach pruskich i rosyjskich co najmniej 300.000 ha, skonfiskowanych przez zaborców dóbr kościelnych, przyszedł z materialną pomocą duchowieństwu katolickiemu, w dwóch trzecich najmarniej wyposażonemu, — warto przypomnieć dzisiejszemu społeczeństwu, w jaki sposób rządy pruskie od pierwszego rozbioru grabiły majątki kościelne i gwałciły prawa Kościoła w swoim zaborze. Klasycznym źródłem w tej mierze jest „Promemoriał w sprawie nadwężenia praw Kościoła katolickiego w W. Ks. Poznańskim“, przedłożony r. 1848 dnia 3 czerwca królowi Fryderykowi Wilhelmowi IV przez ówczesnego arcybiskupa ks. Przyłuskiego i kapituły metropolitalne w Gnieźnie i Poznaniu w osobach XX. dr. Grzeszkiewicza, Brodziszewskiego, dr. Zienkiewicza, Polcyna, Walkowskiego, ks. Gajerowicza,

dr. Regenbrechta, Kilińskiego, Jabczyńskiego, Brzezińskiego, dr. Gustawa Dąbrowskiego i Fraulta).

W odezwie do mieszkańców W. Ks. Poznańskiego, wydanej w Poczdamie na dniu 30 kwietnia r. 1848, rzeczony król Fryderyk Wilhelm IV oświadczył, że „zarządzona przez niego reorganizacja W. Ks. Poznańskiego tak wykładaną była, jakoby przez nią Kościół katolicki narażony był na niebezpieczeństwa“. Wykład taki, zdaniem króla, jeżeli nie złośliwy, jest w każdym razie mylny. „Co wam“, głosi orędzie królewskie, „od czasu, jak należycie do państwa pruskiego, król ojciec mój przyrzekł, iż Kościół katolicki nie-naruszonym pozostanie, to wam przeszło 30 lat niezłomnie dotrzymanem zostało (1). Religja wasza, Kościół wasz, jest mi świętym. Tak zostanie równie i nadal. Nikt wam nie przeszkodzi w waszej świętej wierze, a każdy zamach byłby surowo ukarany. Czy wasi urzędnicy Polacy czy Niemcy będą, zawsze oni działać muszą według ustaw krajowych, a zatem będą także szanować waszą religję, wasz Kościół. Na to daję wam powtórnie moje słowo królewskie“ 2). Tak głosił i obiecywał wolność Kościoła w państwie pruskiem król pruski w obliczu rewolucji marcowej. Być może, że dobroliwy a słaby Fryderyk Wilhelm IV był najlepszymi chęciami wobec Kościoła katolickiego ożywiony i podpisany pod „Promemorjałem“ kler katedralny nie wątpił o dobrej woli rzeczzonego króla względem Kościoła, lub udawał przynajmniej, że nie wątpi, niemniej przeto stwierdza, że „po-między tronem a katolikami zajmuje miejsce rzesza urzędników, którzy nie ochraniali dotąd praw Kościoła katolickiego, owszem tak w dawniejszym, jakoteż późniejszym czasie, licznych przeciw niemu krzywd się dopuścili, a nawet dla środków w tym celu użytych królewskie zatwierdzenie wyjednać umieli i nie zawsze można było takowe krzywdy od Kościoła katolickiego odwrócić lub usunięcie ich wyjednać“ 3).

1) Zbiór najważniejszych dokumentów, dotyczących W. Ks. Poznańskiego i narodowości polskiej, przez Józefa Nowackiego, nakładem wydawcy. Wolsztyn 1849, str. 29—73.

2) Tamże str. 26/27.

3) L. c. str. 28.

Krzywdy poruszone w memorjale rzeczonym odnoszą się 1-o do utraty dóbr doczesnych, 2-o do pogwałcenia czyisto religijnych spraw katolików, a mianowicie do ograniczenia zasadniczych praw Episkopatu pod względem zarządu kościelnego i jurysdykcji duchownej, 3-o do samowolnego znoszenia drogich ludowi a pożytecznych korporacji kościelnych, do obracania ich majątku na obce cele, 4-o do zarządzeń jednostronnych, katolicyzmowi nieprzyjaznych, zwłaszcza przy urządzaniu i administracji szkół z dotkliwem upośledzeniem i zaniedbaniem religijnych i narodowych potrzeb polskiej ludności. Memorjał arcybiskupa Przyłuskiego z r. 1848 dziś w chwili regulowania stosunku państwa do Kościoła staje się w wysokim stopniu aktualnym i dlatego podać go w najważniejszych przynajmniej punktach do publicznej wiadomości i gwałty pruskie, na Kościele katolickim dokonane, innemi źródłami uzupełnić i wyjaśnić, dignum atque iustum est.

1) Zabór dóbr kościelnych¹⁾.

W ziemiach, zabranych przez rząd pruski przy pierwszym i drugim rozbiórze Polski r. 1772 i 1793, Kościół katolicki posiadał obszerne prawa konstytucyjne. Nietylko przeważna część mieszkańców wyznawała religję katolicką, lecz też Kościół katolicki był w kraju Kościołem panującym. Biskupi katoliccy wykonywali nadzór nad zakładami kościelnymi, jakoteż jurysdykcję we wszelkich sprawach duchownych zupełnie niezawisłe od władz rządowych i li tylko wedle ustaw kanonicznych. Wielka liczba klasztorów wszystkich zakonów służyła spokojnym, nabożnym osobom obojga płci za miejsce schronienia, gdzie w oddaleniu od burz światowych częścią w ćwiczeniach pobożnych żyły, częścią starały się o dobro dusz, lub w tem duchowieństwo parafjalne wyręczały, gdzie zarazem mnogie ubóstwo i żebractwo z bliska i z daleka pożywienie i inne znajdowało wsparcie.

Nietylko zaś stolice biskupie, lecz nawet kapituły i klasztory, z wyjątkiem klasztorów kwestujących, wszystkie wła-

¹⁾ L. c. str. 29—31.

ściwemi dobrami i dochodami uposażone były. Wyposażenie to otrzymały rzeczony instytutce już to w darowiznie od dobroczyńców, już to uskarbiły sobie przez własną oszczędność, posiadały je więc pod najprawniejszemi tytuły i zarządzały niem stosownie do swych ustaw swobodnie i niezależnie.

Na mocy układów, zawartych mianowicie w Warszawie pod dniem 18 września 1773 art. VIII ¹⁾ i w Grodnie pod dniem 25 września 1793 art. V ²⁾, zabezpieczony był katolikom zabranych części co do ich religji status quo w ten sposób, że im to ich religji wolne wyznanie i używanie karności kościelnej, niemniej jak ich wszystkie kościoły i ich dobra, które w chwili przejścia pod panowanie pruskie posiadali, naruszonymi nie zostaną. Oprócz tego zaś przyrzeczono jeszcze w patencie zaborczym z d. 28 stycznia 1793 r. ³⁾ mieszkańcom prowincji jak najuroczyściej „pozostawienie tu-tejszych stanów i wszystkich mieszkańców przy posiadłościach i prawach tak co do rzeczy duchownych, jakoteż świeckich“. Szczególniej zaś obiecano katolikom rzymskim

¹⁾ Artykuł VIII traktatu, zawartego między królem pruskim a Rzpltą Polską, opiewa: Rzymsko-katolicy mają w odstąpionych tym traktatem prowincjach, jakoteż królestwie pruskiem i powiatach lauenburskim, bytowskim i drahimskim zachować wszystkie swe posiadłości tak w sprawach cywilnych jak i wiary swój stan quo ante zatrzymać, ze wszystkimi kościołami i dobrami duchownemi, jakie posiadali we wrześniu 1772, kiedy się dostali pod panowanie pruskie. — Mimo tych traktatowych zobowiązań Fryderyk II już 6/10 1771 przed rozbiorem zapowiedział w liście do kameralnego prezydenta Prus Domhardta konfiskatę dóbr kościelnych, tudzież w rozkazach gabinetowych z 20/2 1772 i 2/3 1772. „Dobra kościelne każe natychmiast wziąć w zarząd, a obecnych ich posiadaczy pieniędźmi opłacać, aby się do spraw świeckich wcale nie mieszało“. *Materialien zur Geschichte polnischer Landestheile unter preussischer Verwaltung. Nach authentischen Quellen und Darstellungen preussischer Beamten und deutscher Geschichtsforscher I Heft Aeltere Zeit bis zum Frieden v. Tilsit. 1807. Leipzig 1861, str. 24, 27 i 28.*

²⁾ Les Catholiques Romains jouirons dans les provinces, cédées par le présent Traité, de tous leurs droits et propriétés... ils conserveront le même libre exercice de culte et de discipline dans l'état actuel avec toutes les églises et tout les biens ecclesiastiques, dont ils étaient en possession ci devant. L. c. str. 74/75.

³⁾ Patent okupacyjny wymieniony datowany jest w Berlinie dnia 25 marca 1793. L. c. str. 71—73.

wolne wyznawanie ich religji, jej obronę i wykonywanie, wogóle taki zarząd całym krajem, iżby rozsądna i dobrze myśląca część mieszkańców szczęśliwą i zadowoloną się czując, nie miała przyczyny żałowania zmiany rządu krajowego.

Atoli wbrew temu zapewnieniu wyszła dnia 28 lipca 1796 w Berlinie deklaracja, która wskutek przytoczonego powodu, że duchowni dla zatrudnienia pasterstwem dusz ani usposobienia do korzystnej uprawy gospodarstw wiejskich na wielki rozmiar nie posiadają, orzekła zajęcie dóbr kościelnych na rzecz skarbu państwa. Duchowieństwu zaś wyznaczono tylko tę część czystego dochodu, któraby pozostała po odtrąceniu kosztów administracyjnych (10%), kontrybucji (50%) i innych ciężarów publicznych i komunalnych (10%). Zatem więc dla duchownych posiadaczy pozostawiono tylko 30% dochodu, jako stałej, z kas krajowych pobieranej należitości ¹⁾. W rzeczywistości jednak i 30% nie skroiło się dotychczasowym właścicielom dóbr duchownych, ponieważ ocenienie i wykaz przychodu przez urzędników fiskalnych samowładnie i na korzyść fiskusa tak nisko były podane, iż np. z klucza wielichowskiego, składającego się z miasta i folwarku Wielichowo, łącznie ze wsią Gradowicami, Dębskiem, Lubnicą, Trzcinicą i folwarkiem Mokrzec, kompetencję na 195 tal. 8 fen. obliczono i przeznaczono, pomimo że kapituła poznańska (do jej bowiem funduszów zakrystyjnych te dobra należały) przedłożeniem rejestrów gospodarczych udowodniła, iż posiadłość ta gruntowa po odtrąceniu 50%, tudzież wszystkich innych rozchodów i ciężarów, zawsze jeszcze 1884 talary czystego dochodu przynosiła; wszelkie przecież ówczesne reklamacje do byłej kamery, a nawet do południowo-pruskiego departamentu finansowego pozostały bezskuteczne ²⁾.

W rozdrapaniu polskich dóbr kościelnych i królewskich odegrał główną rolę Triebenfeld, jeden z największych szubrawców, wyzyskiwaczy i dorobkiewiczów pruskich na zie-

¹⁾ Deklaration wegen Einziehung und künftiger Verwaltung der geistlichen Güter etc. in Südpreussen. Häberlin Staatsarchiv. Bd II, str. 273. L. c. str. 83—87.

²⁾ Promemorjał, l. c. str. 30 31.

miach polskich¹⁾), przy współudziale głównym ministra i namiestnika Śląska oraz Prus południowych, Hoyma. Tenże dzięki wpływom u dworu zajmował już od r. 1779 prawie niezawisłe stanowisko na Śląsku i wywołał swemi osobistemi rządami przeciwko sobie wielkie oburzenie wśród mieszkańców na Śląsku. Ażeby to oburzenie zwrócić w innym kierunku i zdobyć sobie silne podpory przy tronie w otoczeniu słabego, a rozpustnego Fryderyka Wilhelma II, wymógł na królu przy pomocy wpływowego ulubieńca królewskiego Bischofswerdera pozwolenie do rozdawania części byłych dóbr koronnych i duchownych na rzecz mężów zasłużonych, oczywiście Niemców, celem zgermanizowania ziem polskich²⁾). Hoym otrzymał w tym celu także zarząd nad Południowemi Prusami, t. j. zaborem, dokonany przy drugim rozbiórce Polski. Rozdawanie ogromnej masy dóbr kościelnych, starościńskich i skonfiskowanych polskim patriotom, jak np. Wybickiemu³⁾), dóbr w południowych Prusach, należy do największych oszustw i łajdactw w administracji pruskiej. Hoym bowiem rozdawał te dobra przeważnie ludziom bez zasługi, bez żadnej wartości moralnej, rozdawał je faworytom dworskim i własnym. Oszustwo polegało na tem, że królowi przedstawiano wartość tych dóbr cztery lub sześć razy niższą od rzeczywistej. Między r. 1795 a 98 rozdawano w ten sposób w poznańskim obwodzie kameralnym 22 dobra, w kaliskim 19 dóbr, w warszawskim 11 dóbr itd., razem między 49 donatarjuszy około 241 dóbr o fikcyjnej wartości $3\frac{1}{2}$ miliona talarów, rzeczywistej zaś wartości co najmniej 20 milionów talarów. W samym tylko obwodzie kaliskim rozdane dobra wynosiły więcej niż trzecią część wszystkich kościelnych i królewskich dóbr i przynosiły ra-

¹⁾ Dr. K. Szkaradek-Krotoski. Pruski kulturträger z końca XVIII w. Poznań 1907.

²⁾ Reskrypt Hoyma z 19/12 1796, by dóbr rozdawanych nie sprzedano tubylcom polskim, powtórzony r. 1800 z 24/2 przez ministra Vossa, Goldbecka i Alvenslebena. Materialien l. c. str. 172/3.

³⁾ Skonfiskował autorowi „Jeszcze Polska nie zginęła” rząd pruski między innemi Górę, Górkę, Tworzykowo, Szymanowo w powiecie śremskim. Materialien zur G. etc. str. 156.

zem rocznego dochodu 271.000 talarów¹⁾. Fryderyk Wilhelm II w ostatnich latach życia chorował na puchlinę, był zupełnie zniedołężniały. Zabawiała go tancerka Schultzky. Hoyma zawezwano do wydania opinii, wśród jakich warunków można duchowne i starościńskie dobra skonfiskować. Napozór opierał się przebiegły dworak wszelkimi siłami konfiskacie; zwracał uwagę, że król sam przy okupacji zagwarantował dotychczasowym posiadicielom ich prawa, podnosił, że ponieważ na dobra duchowne wyznaczono 50 % kontrybucji, a na starościńskie jeszcze więcej, że zatem konfiskata państwu niewiele korzyści przyniesie; przytaczał powody, że wiele pieniędzy trzeba wydać na nabożeństwa, na fundacje dobroczynne i na utrzymanie duchowieństwa, że budynki i inwentarze znajdują się w tych dobrach w złym stanie, że lepiej będzie dla króla, jeżeli powoli będzie się podnosiło podatki. Dalej zwracał Hoym uwagę na przykre wrażenie, jakie wyrzucić musi na polski naród odbieranie dóbr kościelnych Polakom. — Uwagi te atoli nie wywarły żadnego wrażenia; albowiem ulubieniec królewski Bischofswerder, a właściwie jego żona, chcieli się kościelnym łupem obłowić i dlatego zniewolili słabego Fryderyka Wilhelma II, ażeby złamał królewskie słowo wobec polskich poddanych²⁾.

Skoro tylko dobra kościelne skonfiskowano, natychmiast wezwał Bischofswerder wspomnianego wyżej Triebenfelda do Berlina. Tenże bowiem z powodu dokładnej znajomości stosunków polskich miał robić propozycje co do rozdać się mających dóbr. W gabinecie Bischofswerdera wygotowywano za każdym razem koncept dokumentu donacyjnego i przesyłano go Triebenfeldowi. Tenże wpisywał nazwę dóbr, jakie donatarzusz szczęśliwy miał otrzymać. Niedołężnemu królowi przedstawiano, że darowiznę stanowią bezwartościowe folwarki, a tenże Bogu dziękował, skoro tylko dokument podpisał. Zwykle król, oddany swym zabawom, wołał Bischofswerdera

¹⁾ Löwenberg. Das enthüllte Polen. Posen III Heft. Das schwarze Register, str. 20.

²⁾ Cölln. Vertraute Briefe über die inneren Verhältnisse am preussischen Hofe mit dem Tode Friedrichs II. Amsterdam und Cölln 1801, Th. I str. 77—83. Löwenberg. Das enthüllte Polen, l. c. str. 30/1.

i oświadczał mu: „Załatw pan tę sprawę, jak uważasz najlepiej!” Bischofswerder udawał, że się wymawia, ale to nic nie pomogło, a skoro wszystko było wyekspedjowane, podpisywał król, nie pytając nawet, o co chodzi. Często nawet w darowiznach drobniejszych rozkazy gabinetowe królewskie komponował kamerdyner Riexen, nominalny małżonek królewskiej metresy, późniejszej hr. Lichtenau. Zwykle wtajemniczona kamaryla dworska wszystko poprzednio listownie załatwiała, następnie wnosił podanie upatrzonej donatarzusz. Podanie przesyłano Hoymowi do zaopiniowania, poczem wydawano dokument donacyjny. W ten sposób darowizny otrzymali Bischofswerder, Hoym, major Blücher, książę Hohenlohe Ingelfingen, książę Ludwik Württembergski, jakiś hrabia duński Lüttichan, który służył jako pokrywka dla innych donatarzusz, o ile na jego nazwisko otrzymywali dobra, dalej tajny radca Goldbeck; syn ministra, markiz Lucchesini, były poseł pruski w Polsce, otrzymał dobra międzyrzeckie i babimojskie w nagrodę za doprowadzenie do skutku drugiego rozbioru Polski.

Marszałek nadworny hr. Keyserlingk otrzymał dobra klasztoru przemęckiego¹⁾ w powiecie wschowskim, prawdopodobnie za usługi ojca, starosty engelsburskiego, który w porozumieniu z Fryderykiem podburzał polskich wojewodów i starostów w Prusiech Królewskich do odmawiania hołdu królowi pruskiemu, celem uzyskania prawnej podstawy do konfiskowania im dóbr na rzecz króla pruskiego²⁾. Dobra Wojnowo, Chwalin, Stare i Nowe Kramsko otrzymał hr. Unrug, gorący stronnik pruski, o mało co za to nie powieszony w Warszawie r. 1794. Był to zarozumialec i plotkarz, a dobra otrzymał za to, aby trzymał język za zębami³⁾. Kapitan Stromberg otrzymał Kamsko i Konin, albowiem jego brat, landrat i komisarz w Dolsku, miał poślubić p. Schreiber, wyrażerowaną kochankę Hoyma. Dobra poklasztorne

¹⁾ Löwenberg. L. c. str. 45.

²⁾ Instrukcja Fryderyka II do generała porucznika von Lutterheima i prezydenta kamery v. Domhardta z 6.6 1772 przy okupacji Prus Królewskich. Materialien zur Gesch. I. c. str. 31-32.

³⁾ L. c. str. 154.

oberskie wartości przeszło 200.000 talarów w powiecie babińskim dostały się majorowi Hünnerbeinowi. Kochał się w pięknej Knobelsdorffównie, damie dworskiej księżniczki Luizy. Gdy ta bawiła wraz z królem u wód w Pyrmoncie i razu pewnego podczas śniadania króla u księżnej Knobelsdorffówna przechodziła przez pokój jadalny, zobaczył ją król i zawołał: „A, piękne dziewczę!” „Tak“, odparła księżna, „jest już narzeczona“. „A z kim?“ „Z majorem Hünnerbeinem, ale jest to związek prawdziwej miłości, albowiem oboje nic nie mają“. „Niech się żenią, dobra dostaną!“ — była odpowiedź króla. Natychmiast wysłano sztafetę do Hünnerbeina, by wniósł podanie do króla i w ten sposób otrzymał 10 wsi klasztornych ¹⁾ po Cystersach, przynoszących r. 1798 około 10.000 talarów rocznego dochodu. Sprytny Triebenfeld otrzymał w Kaliskiem Piotrowo, w Odalanowskiem Kościelną Wieś, Stwyrwe i Krzywosądowo, w Ostrzeszowskiem dobra Laski wartości 700.000 talarów. Znaczną część benedyktyńskich dóbr lubińskich, a mianowicie Lubień, Wymisław, Brzyń, Ossowo, Stężyce, Wielichowo, Żelazno w Kościańskim, tudzież Wrynec, Gniewowo, Mączyn i Świącichowę we Wschowskiem otrzymał tajny radca v. Beyer z Berlina. A dzięki względom pani radczyni Beyerowej otrzymał koniuszy królewski v. Krackwitz z lubińskich dóbr Kossowo i Siemowo wartości około 100.000 talarów. Dobra te sprzedał czempredziej Krackwitz landratowi kościańskiemu Andrzejowi Potworowskiemu, kalwinowi, za 60.000 talarów. Dobra klasztoru Cystersek w Owińskich, razem 13 wsi, otrzymał kupiec galanteryjny Treskow. Za jakie zasługi sprytny kupiec berliński otrzymał nie tylko dobra owińskie z olbrzymimi lasami, ale 9 wsi w Gostynińskim na Kujawach, o tem komentarze milczą; „z królewskiej jemu oddanej łaski i najłaskawszej życzliwości“ podaje dokument donacyjny, dostał syn bogatego gorzelnika berlińskiego dobra, oszacowane r. 1797 na 350.000 talarów, a nadto szlachectwo. Za darmo tego wszystkiego nie otrzymał Treskow; w każ-

¹⁾ Cölln. Vertraute Briefe über die inneren Verhältnisse am preussischen Hofe I str. 82.

dym razie stał się jednym z najzapobiegliwszych gospodarzy i germanizatorów w Wielkopolsce¹⁾).

W ten sposób rząd pruski zagarnął około 200.000 ha dóbr kościelnych i klasztornych w Wielkopolsce i na Pomorzu, nie mówiąc o tych częściach późniejszego Królestwa Polskiego, które dostały się w drugim i trzecim zaborze Prusom. Pruska potęga Hohenzollernów rosła stale i bogaciła się kosztem dóbr Kościoła katolickiego. Od Kłajpedy aż po Moguncję zdobyte przez nich ziemie, to w dwóch trzecich biskupie i zakonne terytorja. Król polski Zygmunt I przecież nauczył ich grabić ziemie zakonne w osobie przeniewierczego mistrza krzyżackiego Albrechta. Nie dziw, że kiedy Polskę rozebrali, zabrali się epigony Albrechta do grabieży gruntownej dóbr kościelnych w nagrodę za to, że antykościelny akt sekularyzacji Prus podpisali wszyscy niemal biskupi i dygnitarze kościelni w liczbie 17 prócz jednego arcybiskupa lwowskiego. Miał jednak głęboką rację nie tylko moralną, ale i polityczną ten arcybiskup lwowski, kiedy nie chciał uznać frymarki polityczno-kościelnej z r. 1525, „bo jakżeż dotrzyma ludziom ten wiary, kto ją Bogu złamał”? I czyż to nie nemezys dziejowa, że wszystkie niemal biskupstwa polskie wyzuli z dóbr kościelnych następcy Albrechta, zatrzymało je tylko arcybiskupstwo lwowskie wraz z biskupstwem podległym przemyskiem po dziś dzień?

2) Skrępowanie autonomji kościelnej.

Nie poprzestał rząd pruski na samem zajęciu dóbr kościelnych i zubożeniu przez to stolic biskupich wraz z kapitułami katedralnymi, kolegjatami i klasztorami i wprawieniu ich w zależność od władz rządowych — owszem i prawny stan Kościoła katolickiego, jego przywileje, samorząd i duchowna jurysdykcja, sprawy patronatu, dziesięcin, testamentów na rzecz Kościoła itd., wszystko to uległo daleko idącemu skrępowaniu ze strony rządu. Wszelkie interesy duchowieństwa, kościołów i szkół katolickich podlegały najdalej idącej kon-

¹⁾ Löwenberg. Op. cit. str. 52/53 i 70. Dr. K. Szkaradek-Krotoski. Pruski kulturträger z końca XVIII wieku, str. 21—27.

troli kamer, które przez swoich komisarzy obowiązane były kierować wyborami biskupów, prałatów i przełożonych zakonnych. Ksiądz katolicki złożyć musiał przy obejmowaniu urzędu przysięgę wiernopoddania, obowiązany był wykonywać instrukcje kamer w sprawach żałoby krajowej i modłów dziękczynnych za króla, przedstawiać rachunki z administrowanych przez siebie dóbr duchownych itp. W sprawach świeckich tak cywilnych, jak kryminalnych podlegało duchowieństwo jurysdykcji regencji, przed którą pozywane być mogło przez instygatora publicznego (fiskusa) i za wykroczenia przeciw rządowi. Konstytucja z 25 sierpnia 1796 r. oznaczyła zakres kompetencji sądów duchownych, którym podlegały jedynie sprawy natury czysto kościelnej, z wyłączeniem nawet prawa patronatu, dziesięcin i t. p. Sprawy małżeńskiej separacji i rozwodu w takim tylko wypadku należały do jurysdykcji duchownej, jeżeli małżonkowie byli katolikami; gdy jedna strona wyznawała protestantyzm, wyrokowały w tego rodzaju materjach — regencje.

Najszkodliwszym jednak dla karności kościelnej był, zdaniem arcybiskupa Przyłuskiego ¹⁾, przepis § 5-go z konstytucji z d. 25 sierpnia 1796 r., ograniczający kompetencję sądów duchownych w karaniu za wykroczenia przeciw karności kościelnej do skazywania winnych na pokutę, rekolacje i grzywnę do 20 talarów i 4-tygodniowe więzienie. Za cięższe przestępstwa wyznaczona była suspensa lub złożenie na zawsze z urzędu, t. zw. demerytura. Jednakże procedura prawa kanonicznego praktykowana była tylko w sprawach małżeńskich i w procesach o ciężkie wykroczenia kościelne duchownych. W innych obowiązywało postępowanie sądów zwyczajnych. Z przyczyny małej wśród kleru znajomości procedury pruskiej musiał każdy sąd duchowny utrzymywać świeckiego, w prawie biegłego justycjarjusza dla prowadzenia instrukcji ²⁾.

W posiadaniu korporacji duchownych pozostały jeszcze stanowiące główny ich fundusz kapitały, wypożyczane osobom prywatnym na 3½%, t. j. wedle stopy, oznaczonej przez

¹⁾ Promemoriał. L. c. str. 34.

²⁾ W. Smoleński. Rządy pruskie na ziemiach polskich, str. 21/22.

konstytucję r. 1775. Rozporządzeniem z 18 stycznia 1796 dla Prus południowych, a z 31 stycznia 1800 r. dla nowowschodnich, stopę ową zmieniono: dozwolono brać procent wyższy, jeżeli nie stawała na przeszkodzie umowa z czasów dawniejszych, lub nie wzbraniały tego warunki fundacji.

Oprócz procentu od kapitałów, pobierało duchowieństwo dziesięcinę, byleby nie w formie zakazanego przez „Landrecht” wyrobku. Pozwalał też rząd plebanom na cztery roczne ofiary: Wielkanocną, na Zielone Świątki, Boże Narodzenie i w dzień poświęcenia kościoła.

Nie najmniejszą część dochodów duchowieństwa stanowiły „iura stolae”, t. j. opłaty od ślubów, chrztów, pogrzebów i t. p. posług kościelnych. Kładła przecież tamę dowolności pobierania tych opłat ordynacja rządowa z d. 13 czerwca 1801 r., dość pedantycznie określająca honorarja proboszczów. Ordynacja rzeczona podzieliła ludność wedle pochodzenia i stanu majątkowego na grupy:

I. Szlachta posiadająca: 1) od 10.000 talarów majątku, 2) od 2000—10.000 t., 3) do 2000 t.

II. Mieszczenie: 1) dygnitarze, artyści, kupcy znaczniejsi, fabrykanci i rentjerzy, 2) rzemieślnicy, oberżyści, drobni kupcy i oficjaliści, nie mający pensji nad 50 talarów, 3) kramarze, czeladź kupiecka i służba.

III. Wieśniacy: 1) dzierżawcy folwarków, pisarze prowentowi, ekonomowie, sołtysi, młynarze i t. p., 2) kmiecie siedzący na włókach, 3) zagrodnicy, 4) komornicy i czeladź folwarczna.

Od ślubu np. szlachta nr 1 obowiązana była płacić proboszczowi 30 zł., szl. nr 2 — 12 zł., nr 3 — 3 zł.; mieszcza-
nin nr 1 — 4 zł. 24 gr., nr 2 — 3 zł. 6 gr., nr 3 — 2 zł.;
wieśniak nr 1 — 4 zł., nr 2 — 2 zł. 12 gr., nr 3 — 1 zł. 6 gr.,
nr 4 — 18 gr.

Za pogrzeb płaciła szlachta 60, 36, 24 zł.; mieszczenie 10, 6, 4 zł.; wieśniacy 4 zł. 24 gr., 1 zł. 24 gr., 1 zł. 18 gr.

Ordynacja ofaksowała mowy pogrzebowe, msze śpiewane i ciche, wigilje, podzwonne i światło; oznaczyła opłatę za kopje aktów, kopanie grobów, posługę kościelnych i t. p. Przekraczający takse pobraną — nadwyżkę zwracali, a cztery razy tyle składali za karę do funduszu kościelnego kamery.

Dla kontroli obowiązani byli księża kwitować interesantów z pobranych opłat na piśmie¹⁾).

Taksy józefińskie zatem i w zaborze pruskim znalazły zastosowanie — tylko nie w takich rozmiarach i nie tak długo, jak w Galicji, obowiązywały, gdzie je przypominał w „Przyjacielu ludu” przeciwko duchowieństwu jeszcze w XX stuleciu wódz ludowców Stapiński.

3) Bulla „De salute animarum” a rząd pruski.

Stosunki kościelne katolików w państwie pruskim regulowała rzeczona bulla. Rozkazem gabinetowym z dnia 23 sierpnia r. 1821 ogłoszono ją jako obowiązujący statut dla katolickiego Kościoła i państwa, oraz polecono wykonanie jej postanowień odnośnym czynnikom kościelnym czy świeckim. Między innymi określiła dokładnie rzeczona bulla wyposażenie stolicy arcybiskupiej oraz kapituł gnieźnieńskiej i poznańskiej. Atoli „jakkolwiek wyznaczone w tej bulli daniny rządu w stosunku do wartości zabranych na skarb państwa znacznych dóbr dawniej biskupich i kapitułnych ma' o znaczącemi być się okazują”, zdaniem promemorjału z roku 1848²⁾), „to jednak władze rządowe największe czynią trudności przy uiszczaniu się nawet z tychże danin i zobowiązań, albowiem nie tylko aż do r. 1834 sporządzanie etatów zwlekały, ale nadto wbrew postanowieniom tejże bulli przekazały na dotację już i tak dochody, obciążone fundacjami na inne cele, przez co mianowicie kapitułę poznańską w obszerny bardzo proces wpłatały. Niektóre zawarowania wspomnianej bulli nawet po dziś dzień, a zatem po upływie 27 lat, jeszcze wcale dopełnione nie są, mianowicie zaś:

a) Nie wyposażono dotąd w sposób, w jaki bulla ta przepisuje, wikarjatów przy katedrze poznańskiej, a wszelkie w tej mierze czynione wnioski pozostały bezskuteczne.

b) Nie zabezpieczono dotąd wedle zobowiązań bulli sum dotacyjnych bądź przez zahipotekowanie ich, bądź też przez przekazanie dla ich pewności dóbr ziemskich, tak że

¹⁾ Wł. Smoleński. Rządy pruskie etc. str. 23—26.

²⁾ L. c. str. 35.

od upodobania tylko władz zależy przez zakaz do kasy głównej regencyjnej wypłatę należności do dotacji tej lada moment wstrzymać.

I taką to samowolność rzeczywiście kilkakrotnie spełniono, jak np. w nowszych czasach przez niespodziane zatrzymanie pensji z wakującej posady proboszcza kapituły poznańskiej, o czym kapitułę ani zawiadomiono, ani jej powodów do czynu tego nie udzielono, jakkolwiek przeznaczenie pensji z wakujących kanonikatów jasnie i niedwuznacznie oznaczonem jest szczególnym statutem, przez egzekutora bulli „De salute animarum” wydanym, a przez wyraźne zatwierdzenie rządu uprawomocnionym, chociaż kapituła najmniejszego nawet pozornego powodu do takiego gwałtu nie dała. Wszelkie do władz administracyjnych w tej mierze zanoszone reklamacje były bezskuteczne, postępowanie zaś, wytoczone w drodze prawnej, doznało zwłoki przez spór, o niewłaściwość sądu podniesiony. A tak zatrzymawszy przez dwa blisko lata kapitułę najniesprawiedliwiej część jej dochodów, dopiero teraz oświadczyła władza po oddaleniu jej ze wszczętym o niewłaściwość sądu sporem, gotowość swoją do wypłaty zatrzymanej należności i żądała umorzenia dalszego postępowania prawnego, będącego jednym z rzędu najswawolniej wywołanych procesów, jakie tylko władze rządowe, będąc wolne od opłaty kosztów sądowych, przedsiębrać mogą“.

c) „Koszta utrzymywania budowli kościołów katedralnych w Gnieźnie i Poznaniu podejmowali zawsze na mocy statutów biskupi i kapituły w czasie, gdy byli w posiadaniu dóbr swoich ziemskich i o ile fundusze właściwe, na budowlę wyznaczone, na to nie wystarczały. Obowiązek też ten wypełniali biskupi i kapituły w ciągu wielu wieków bez przykładania się do tego diecezjan, chociaż przy rozmaitych spustoszeniach, których gmachy te szczególnie przez pożary doznawały, często bardzo ciężkie ofiary na odbudowanie ich przynosić musieli. Po zabraniu dóbr duchownych przeszedł niewątpliwie subsidjarny ten obowiązek biskupów i kapituł na rząd w skutku bulli „De salute animarum“, wedle której kompetencje (pensje) biskupów i kapituł od wszelkich ciężarów wolne być mają; przeszedł ten obowiązek na rząd,

jako na obecnego tychże dóbr użytkownika. Rząd jednak wyłamał się z obowiązku tego, nakładając na cel ten m.c. rozkazu gabinetowego z dnia 24 marca 1825 na katolików obu archidiecezji opłatę po 1 $\frac{1}{2}$ srebrnika od każdego chrztu, ślubu i pogrzebu pod tytułem podatku katedralnego, którego pobór polecono duchowieństwu katolickiemu. Tak więc oprócz podatków, które zarówno z innymi poddanymi płacą, składać jeszcze muszą katolicy W. Ks. Poznańskiego daniny na utrzymanie bogato uposażonych przez ojców ich kościołów katedralnych, katolickiemu zaś duchowieństwu narzucano powszechnie znienawidzony obowiązek poborców, a to dlatego, że się fiskusowi spodobało dobra duchowne zabrać, a wszystkie do nich przywiązane ciężary ile możliwości od siebie uchylić¹⁾.

Wobec tego niema chyba niesprawiedliwszego podatku nad ów katedralny, wniosek jednak o zniesienie go i o przejęcie na skarb krajowy potrzebnych dopłat, chociaż sam w sobie usprawiedliwiony, żadnego dotąd nie uzyskał uwzględnienia²⁾.

¹⁾ Podatek „Cathedraticum“ płać katolicy po dziś dzień, a mianowicie od 1 stycznia 1923 r. po 100 M. od chrztów, ślubów i od każdego pogrzebu.

²⁾ L. c., str. 35—37.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Dr. K. KROTOSKI.

Pochodzenie trzech formuł poetyckich.

(Drobiazgi humanistyczne).



1. MIERZ SIŁĘ NA ZAMIARY...

Mickiewiczowa „Pieśń Filaretów” (Hej, użyjmy żywota!), śpiewana w Wilnie już w końcu stycznia 1821¹⁾, powstała w drugim roku nauczycielstwa poety w Kownie, w czasie bliskim powstania „Ody do młodości”. Po studenckiem, burzowskiem wezwaniu do używania życia przy kielichu, zwraca się poeta do przedstawicieli poszczególnych nauk, najpierw do filologów klasycznych, by bawili się jak Grecy, a jak Rzymianie bili; następnie do prawników, by dziś mieli w pogotowiu prawicę, a jutro prawa; potem do studujących wymowę, by pomnieli, że „wymowa wznieść nie zdoła — dziś na wolności szczyt”; gdzie woła przyjaźń i miłość, tam trzeba — milczeć (tam bracia cyt, tam cyt). To wezwanie do milczenia w sprawach, dyktowanych przyjaźnią i miłością, ma pewien posmak — konspiracyjny. Jakby dla zatarcia wrażenia, wywołanego wymienieniem celu dążeń filareckich, szczytu wolności, poeta nie wypowiada się wprost, że „gdzie przyjaźń, miłość woła”, tam „trzeba prawicy” (jak w str. 5), ale zaczawszy konstrukcję: „tam bracia...” urywa ją gwałtem, wzywającem do — tajemnicy. I jakby zupełnie nie był tykał spraw najpoważniejszych, przemawia do chemików, by zamiast kwasieć metal i czas, popijali kwas Bacha z metalowego pucharu i wyciągali pierwiastek — słodczy z lubych ust...

¹⁾ Kor. Fil. III 130.

Zamiast apostrofy do fizyków czy astronomów, znajdujemy opowiadanie o Archimedesie, który, wynalazłszy prawa dźwigni, miał żądać dla niej punktu oparcia poza ziemią, by wyważyć ziemię z jej nieruchomości we wszechświecie¹⁾. Mickiewicz ze słowa Archimedes: „Daj mi, gdziebym stanął...”, wyprowadza humorystyczny wniosek: „Archimed był ubogi — nie miał gdzie oprzeć stóp”. Że jednak dobrze wiedział, o co mu szło, wynika z następnego wiersza: „Dziś, gdy chce ruszać światy...”. A więc i Archimedes potrzebował oparcia, by ruszyć światy, jak to w *Odzie* za jego przykładem czyni młodzież, wołając: „Dalej, bryło, z posad świata! — Nowemi cię pchniemy tory”. O znakomitym fizyku, mechaniku i matematyku starożytnym mówi Mickiewicz tak, jakby on był wyłącznie oddawał się — astronomji: „Mierzący świata drogi, — gwiazdy i niebios strop”. Mamy wprowadzić wiadomości, że Archimedes zajmował się i problemami astronomicznymi, ale ta strona jego zajęć nie była tak charakterystyczna, by ją można było wysuwać na pierwszy plan. Skądże więc u Mickiewicza ta astronomja Archimedes? Prawdopodobnie z pomieszania go ze sławnym (z 1 połowy IV w. przed Chr.) matematykiem i mechanikiem, Archytasem z Tarentu, o którym czytał był u Horacego (*Carm.* I 28):

Te maris et terrae numeroque carentis harenae
 mensorem cohibent, Archyta,
 pulveris exigui prope latum parva Matinum
 munera, nec quidquam tibi prodest
 aërias temptasse domos animoque rotundum
 percurrisse polum morituro...

Archytas, co wymierzył morze, ziemię, piasek; co wznosił się do powietrznych siedzib gwiazd i myślą przebiegł okragłe niebo, teraz leży jako nagi trup na wybrzeżu morskiem i prosi o garstkę piasku... Ta asocjacja sprawiła, że i Mickiewiczów Archimedes, co mierzył drogi świata, gwiazdy

¹⁾ *Dós moi pou sto kai kino ten gen*, według Pappusa VIII 1060 Huetsch lub *Pa bo kai kino tan gan* według Simplic. Comm. in Aristot. Phys. poster. IV 11 Diels. Warjant u Plutarcha, Marcellus r. 14: „Mówił, że gdyby miał drugą ziemię, toby na nią przeszedł i tę poruszył”; u Tretresa, *Chiliades* II 130: „Daj mi punkt, gdziebym mógł stanąć, a przyrzędem mym (dźwignią) poruszę całą ziemię”.

i niebo, nie miał za życia gdzie oprzeć stóp. Starożytnemu Archimedesowi odpowiada nowożytny Newton. Gdyby ten dziś chciał „ruszać światy“, niech policzy swych towarzyszków i niech na nich poprzestanie. Widocznie, nie idzie tu o ruszenie świata materialnego, ale o „świat ducha“ z Ody, o świat, który młodość miała począć na swoim łonie, a przyjaźń utwierdzić. Dla uwydatnienia tej myśli, poeta przeciwstawia temu światu „martwe bryły“, do których traktowania potrzeba cyrkla, wagi i miary, i dodaje, że tam, „gdzie się serca palą“, gdzie, jak w O d z i e, „miłość ogniem zionie“, cyrklem jest duch uniesień, a skalą, miarą — dobro powszechne. W O d z i e brzmią te same hasła: „W szczęściu wszystkiego są wszystkich cele“ i „rozumni szaleł“. Paradoxs Ody: „jednością liczni“ wyrażony jest tu: „Jedność większa od dwóch“. Kto wie, czy do takiego sformułowania nie przyczyniło się zdanie Hezjoda (Roboty i Dnie, 40): „Głupcy, nie wiedzą, o ile połowa większa jest od całości“ (*pléon hémisy pantós*). Hezjod zwraca się z tem zdaniem do niesprawiedliwych sędziów, którzy ze spadku po ojcu przyznali biednemu poecie mniejszą część, większą oddając bratu Persesowi. Ten przez swoje lenistwo i nie dbałość mniej miał ze swej większej części dochodu niż pracowity i pilny Hezjod.

Ze wzmianką o przyrządach geometrycznych, przydatnych tylko do martwych brył, łączy poeta wezwanie, w którym szczytuje cała „Pieśń Filaretów“:

Mierz siłę na zamiary,
nie zamiar według sił!

Łatwiej je zrozumieć, niż logicznie zanalizować. „Mickiewicz zgóry przesądza tu wymówkę słabszych lub leniwych — pisze prof. Kallenbach ¹⁾ — którzy tak często umieją się usunąć od obowiązku społecznego, wygodnym frazesem: To nad moje siły! Do takich to wołał i woła poeta: „Mierz siłę na zamiary!“, postaw sobie w życiu cel wzniosły i dąż do niego wytrwale, wołając: *Excelsior!* Wydobądź z wnętrza duszy swej wszystkie możliwe siły, nie poprzestawaj na małym zamiarze, który wymierzysz sobie skąpo, jak ci to wspólne

¹⁾ A. Mickiewicz t. I wyd. 2 (Poznań 1921) str. 174.

naturze ludzkiej lenistwo podszepta...“ To wymowne objaśnienie dotyczy raczej drugiego wiersza: „nie zamiar według sił“, t. j. nie mierz zamiaru według sił, nie obieraj go według domniemanej miary swych sił. Ale co znaczy logicznie: „mierz siłę na zamiary?“ W wierszu filomackim: „Już się z pogodnych niebios...“ wołał poeta: „Niech każdy, jak ów Greczyn, głosi dzielność swoją: — Mocniejszy jestem, cięższą podajcie mi zbroję!“ Ów Greczyn, to może ten młody Spartanin, który żalił się przed matką, że ma mały miecz i któremu ona odpowiedziała: Dodaj — kroku!¹⁾. W każdym razie zamiarem jego było nosić jak najcięższą zbroję i jej ciężar, któremu jeszcze podoła, miał być miarą, miernikiem jego sił. Mierzyć siłę na zamiary, nie mamy więc mierzyć swe siły wobec stojącego przed nami zamiaru, bo takie mierzenie równałoby się rozważaniu, czy podołamy, lecz brać się do najtrudniejszych zamiarów, a ich wykonanie będzie najlepszą miarą naszych sił.

Tę samą radę dawał młodzieży rzymskiej Seneka (Natur. quaest. III praef.), stwierdzając, że wielkość przedsięwzięcia dodaje odwagi do podjęcia go: *crescit animus, quoties coepti magnitudinem attendit*, a to samo głosił i Tacyt (Dial. de or. 37): Z wielkością zadań rośnie siła ducha, *crescit enim cum amplitudine rerum vis ingenii*. Zdanie to podobało się bardzo Schillerowi, który tak je sparafrazował w Prologu do „Obozu Wallensteina“ (paźdz. 1798):

Im engen Kreis verengert sich der Sinn,
es wächst der Mensch mit seinen grössern Zwecken.

Ale już przedtem obszerniej wypowiedział tę myśl przez usta Spiegelberga (Zbójcy I 2): „(Opowiedziałem ci to), żebyś wiedział, jak siły rosną w potrzebie; jak człowiek nie łamie sobie głowy nad tem, co czynić, gdy ostateczność napiera. Odwaga rośnie z niebezpieczeństwem, siła podnosi się uciskiem...“

A jeśli zamiar przerasta siły? Wtedy na pocieszenie zostaje zdanie Propercjusza (III 1, 5): *in magnis et voluisse sat est*²⁾. Z Warrona cytuje je Gellius (Noctes Atticae I 18):

¹⁾ Plutarch Lacenarum incert. apophthegmata 17.

²⁾ Por. Tib. IV 1, 7: *est nobis voluisse satis*. Ovid. Ex Ponto III 4, 79: *ut desint vires, tamen est laudanda voluntas*.

Convenit, ubi quis maiora viribus conatus, tametsi rei susceptae magnitudini non facit satis, tamen hoc ipso nomine laudem promeretur, quod rem pulcherrimam tentaverit. Podobnie usprawiedliwiał się Apulejusz (Florid. 4), że będzie mówił *maiore voluntate quam facultate* i dodawał: *Eoque propensius fortasse laudandus est, quod omnibus bonis in rebus, conatus in laude, effectus in casu est...* Ten tok myśli nie obcy był i Mickiewiczowi, który w wierszu filomackim (Już się z pogodnych niebios) wyraźnie mówi: „Wszyscy chciejmy dokonać, dokona kto może, — bo się nierówną miarą dzieli łaski Boże“. A kto nie dokona? O tym czytamy w O dzie: „I ten szczęśliwy, kto padł wśród zawodu, — jeżeli poległem ciałem — da innym szczebel do sławy grodu...”

W pozytywnem przykazaniu, by obierać wielkie cele, których sam widok budzi nieznane nam dotąd siły, drzeмиące w nas, zgadza się więc Mickiewicz i z Schillerem, jako najlepszym wyobrazicielem niemieckiego *Sturm u. Drang* i z pewnymi autorami rzymskimi z epoki cesarstwa. Jeżeli zaś przykazanie pozytywne uzupełnił negatywnem, to uczynił to może w chęci polemiki z autorem, który kazał zamiar mierzyć i wybierać według sił. Horacy (*Ars* 38 i n.), mówiąc o wyborze tematu literackiego, tak radzi:

*Sumite materiam vestris, qui scribitis, aequam
Viribus, et versate diu, quid ferre recusent,
Quid valeant umeri...*

Mamy tu obraz, wzięty z życia tragarzy, którzy mając jakiś ciężar wziąć na barki, najpierw go długo obracają rękami na wszystkie strony, by się przekonać, czy mu podobają: tak samo literatom radzi Horacy obierać przedmiot odpowiedni do sił i długo rozważać, co ich barki uniosą, a czemu nie podobają. Do siebie samego zastosował Horacy tę zasadę, wymawiając się (*Epist.* II 1, 258) od opiewania Augusta tem, że ani majestat cesarza nie zgadza się z małą piosenką, ani wstyd nie pozwala poecie kusić się o rzecz, której siły nie chcą unieść.

Mickiewicz i sam czytał *Ars poetica* Horacego i słuchał jej objaśnienia na lekcjach Grodka. Pewne wspomnienie z tych lekcyj przechowało się w liście Pietraszkiewicza

do Mickiewicza ¹⁾. Zapytuje on przyjaciela: „Czy ballady *ex promptu* strzela? Czy wesół po desce nuci: Te bałwanki etc.? czy na Grodka, aby nie drzymał, przestraja Horacego?” Jak dwa pierwsze pytania, tak i trzecie odnosi się do przeszłości i znaczy: czy na Grodka (t. j. na wykładzie Grodka), aby nie drzymać, parodjuje Horacego? Ta parodja widocznie bardzo podobała się kolegom, skoro Pietraszkiewicz ją przytacza. Prof. J. Czubek ²⁾ znalazł w papierach Zana ćwiartkę papieru z ową parodją pióra Mickiewicza i Zana i drugą z ilustracją do początkowych słów listu Horacego. Pod ilustracją podpisał Mickiewicz: „desinat in piscem — cała rzecz kończy się na pi-scis czyli rybie”. Parodja Mickiewiczzy ma tytuł: „Littera ad Tomaszum de arte wigodika” i zaczyna się:

Gdyby ci wymalował bazgracz niećwiczony
ładną dziewczkę, w kozackie strojną pantalony...
widząc taką potworę, któż z was nie zagwizda...

Odpowiedź Zana nawiązuje do *Ars* 9 i n.: *pictoribus atque poetis — quidlibet audendi semper fuit aequa potestas — scimus, et hanc veniam petimusque damusque vicissim, sed non ut placidis coeant inimitia, non ut etc...* Te wiersze Zan parodjuje, gdy pisze:

Bazgraczom wszystko wolno, my na to przystajem,
o tę wolność prosimy i damy nawzajem i t. d.

„Reszty niema, czas zatarł (pisze Pietraszkiewicz do Mickiewicza), sądz, w co się te humory obróciły”. Ale czas zatarł tylko studenckie, burszowskie parodje Horacego; nie zatarł w umyśle Mickiewicza pamięci o radzie Wenuzyjczyka, by mierzyć zamiary według sił. To też gdy z końcem r. 1820 pisał „Pieśń Filaretów”, mądrą maksymę Horacego zastąpił „szalonym” hasłem filareckim: „Mierz siłę na zamiary, nie zamiar według sił”. Polemizując zaś z Horacym, polemizował zarazem z Seneką, który podobnie radził (*de tranq. an.* 6, 4): *Aestimanda sunt deinde ipsa, quae aggredimur, et vires nostrae cum rebus, quas temptaturi sumus, comparandae. Debet enim semper plus esse virium in actore, quam in onere:*

¹⁾ Kor. Filom. III 303, ok. 20 maja 1821.

²⁾ Tamże V str. 403 n.

Należy potem ocenić sam zamiar i siły nasze z tem, co zamierzamy porównać... Podobnych rad udzielał Epiktet (III 15, 19): „Przypatrz się najpierw człowiecze, co to za rzecz, a potem zbadaj własną naturę, co zdołasz. Jeśliś zapaśnik, patrz na swe barki, uda, biodra...” Przeciwno tak poważnym głosom ludzi rozsądnych podniósł swój młodzieńczy protest ten, który potem w Pielgrzymie ogłosił artykuł „O ludziach rozsądnych i ludziach szalonych”.

2. MY RZĄDZIM ŚWIATEM...

Przysłowiowo dziś używane zdanie: „My rządzą światem, a nami kobiety”, pochodzi, jak wiadomo, z samego końca czwartej pieśni *Myszeidy* I. Krasickiego. Pieśń ta pełna jest wątków klasycznych. I tak początkowy (strofa 1 i 2) obraz złotego wieku, w którym *Astrea* mieszkała na ziemi, panowała cnota, nie było chciwości, bo „to, które wszystkich trosków nam dodało, — złoto w wnętrznościach ziemi spoczywało”, nie znano zbytków, zbrodni, sądów, lichwy, złych synów... namalowany jest barwami *Owidjusa* (*Met.* I i nst.) i *Tibulla* (I 10, 7 i n.; I 3, 35 nn.). Jędza, unosząca się nad polem bitwy (str. 4) pochodzi z *Eneidy* VII 324 nn.; żale za *Filusem* i jego pogrzeb wzorowane są na *Owidjuszowej* elegji na śmierć papużki (*Amor* II 6), a motyw wszczęcia wojny z powodu zabicia ulubionego zwierzęcia księżniczki wspólny jest z *Eneidy* ks. VII. Wreszcie charakterystyka mściwej księżniczki, a z nią razem całej płci niewieściej, która „z pozoru choć zdaje się płocha, — przecież kiedy jej cokolwiek zawadza, — tak nienawidzi zbytecznie, jak kocha, — nie zna co miara, we wszystkim przesadza, — staje się zdračna, okrutna lub podła, — byle, co zechce, do skutku przywiodła”, opiera się na *Wergiljuszowej* *Amacie* (*Aen.* ks. VII) i *Dydonie* (*Aen.* ks. IV). W tak klasycznym otoczeniu nie zdziwi nas i klasyczne pochodzenie ostatniego wiersza tej księgi.

Myśl w nim wyrażona powraca dwa razy u *Plutarcha*, mianowicie w *Żywocie Temistoklesa* (r. 18) i w *Żywocie Katona Starszego* (r. 8). Przytaczamy oba miejsca w przekładzie samego Krasickiego: (*Temistokles*) o swoim synu

powiadał, iż był najznakomitszym ze wszystkich Greków, i tak tego dowodził: „Ateny rozkazują Grekom, ja Atenom, moja żona mnie, a on mojej żonie“. — (Katonowi) trafiło się razu jednego, iż mówiąc o rozciągającej się na cały świat potędze rzymskiej, tak rzecz zakończył: „Z tem wszystkiem lubo my rządzymy ludźmi, nami rządzą niewiasty“. Tu Krasicki od siebie dodał: „Naśladował w tem wyraźnie Temistoklesa, który powiadał i t. d. j. w. Z tego widać, że go ta sentencja u Plutarcha uderzyła, a choć Żywoty streszczał (bo to nie jest przekład) znacznie później niż pisał Myszeidę, to czytywał je oczywiście od młodości. Wszak w XVIII w. nie było człowieka z jakim takim wykształceniem, któryby się nie rozczytywał w Plutarchu. Forma dwuwiersza Myszeidy: „Mimo tak wielkie płci naszej zalety — my rządźmy światem, a nami kobiety“ dowodzi, że źródłem jego jest apoftegma Katona Starszego.

3. ECHO MÓWI: NIEMA!

Zwycięski Wacław, przybywszy z placu boju do mieszkania Marji, zastaje ją niby śpiącą. Całując jej usta mówi (w. 1283).

„O! moja droga Marjo! ty zimna i niema —
A dla nas jest już szczęście“ — echo mówi: niema.
„Marjo! kochana Marjo! w boju mnie widzieli;
Ojciec mnie z tobą spoi“ — echo mówi: dzieli...

Ostatni wydawca i komentator (w Bibl. Narod. I nr. 46) zanotował przy w. 1284: „Pomysł zapożyczony z Narzeczonej z Abydos (III 27): „Harh, to the hurried question of Despair: Where is my Child? and Echo answers — Where?“ Byronowe Echo jest jeszcze osobą, ową Nimfą, nieszczęśliwie zakochaną w Narcyzie, o której opowiada Owidjusz (Met. III 379 i n.):

Forte puer comitum seductus ab agmine fido
dixerat: *Ecquis adest?* et: *Adest!* responserat Echo.
Hic stupat, utque aciem partes dimittit in omnes,
voce: *Veni!* magna clamat; vocat illa vocantem.
Respicit, et rursus nullo veniente: *Quid, inquit,*
me fugis? et totidem, quod dixit, verba recepit.
Perstat, et alternae deceptus imagine vocis:

Huc coëamus! ait; nullique libentius unquam
 responsura sono: *Coëamus!* rettulit Echo...
 Ante, ait, emoriar, quam sit tibi copia nostri!
 rettulit illa nihil, nisi: *Sit tibi copia nostri!*

Gdy zważymy, że Wacław, jak Narcyz *adest!* mówi, że jest już szczęście, i jak Narcyz *coëamus!* zapewnia, że ojciec go z Marją — spo i, możemy przypuszczać, że przecież popularne opowiadanie Owidjusza raczej niż dwuwiersz Byrona nasunął Malczewskiemu iğraskowy pomysł z echem.

Takich ech klasycznych jest w Marji więcej. Wystarczy przypomnieć opis bitwy z Tatarami (1019—1026), by uznać jego techniczną zależność choćby od takiego opisu z Iliady Dmochowskiego (IV 423 i n.).

A skoro się na Marsa polu wojska mida,
 wnet się z puklerzem puklerz, dzida miesza z dzida,
 siła walczy na siłę, tarcza trze się z tarczą,
 zgiełk się szerzy, pociski na powietrzu walczą,
 krzyczą zwycięzcy, smutnie wyją zwyciężeni,
 ziemia płynie od krwawych rozmiękła strumieni...

To lub podobne miejsce Iliady Dmochowskiego pobrzmiewało i w uszach Mickiewicza, gdy pisał (Dziady IV 845 nn.):

Wnet zwoływam współuczniów, szykuję pod lasem:
 Tu krwawe z chmur pohańskich świecą się księżyce,
 Tam Niemców potrwożonych następują rotę;
 Każę wodze ukrócić, w toku złożyć groty,
 Wpadam, a za mną szabel polskich błyskawice!
 Przerzadzają się chmury, wrzask o gwiazdy bije,
 Gradem lecą turbany i obcięte szyje;
 Janczarów zgraja pierzchła, lub do piasku wbita,
 Zrąbaną z koni jazdę rozniosły kopyta...

Marja, pragnąc rozweselić ojca, przypomina mu, jak to jako mała dziewczynka, umiała go zabawić. Wspomnienia te budzą w niej wspomnienie bajeczek, których jej nauczono w dzieciństwie. Do jednej robi Marja taką alluzję: „I gdzież to żywy, czysty strumyczek upłynął? — Mruczał na swą nikczemność, a w jeziorze zgiął”. Krasicki ma trzy bajki o strumyku. W jednej (II 6) „strumyk blisko płynący zazdrościł i mruczał”, gdy w fontannach ogromnie huczał impet wody; ale gdy rury pękły, fontanny ustały, a strumyk płynął dalej; w drugiej (III 13): „potok szybko bieżący po pięknej dolinie, — wymawiał wielkiej rzece, że pomału płynie. —

Rzekła rzeka: nim zejda porankowe zorza, — ty prędko, ja pomału wpadniemy do morza“; w trzeciej (Nowe Bajki I 7) wezbrany potok zalewa i użyznia pola, a gdy opadł, mru-
czał i wyrzucał roli niewdzięczność... Marja nie pamiętała
więc dobrze żadnej z tych trzech bajek, ale z pierwszej za-
trzymała mruczenie na nikczemność strumyka (wobec fon-
tan), z drugiej zginiecie w morzu, czy w jeziorze... puenty
jej nowa bajka żadnej nie posiada. Dla ajnologów wdzię-
cznym przedmiotem poszukiwań będzie źródło drugiej bajki
o kanarku, co chciał w ogniu piórka złocić i nie powrócił...
Możnaby się domyślać jakiegoś podania ajtiologicznego, we-
dług którego złota barwa kanarka pochodzi od ognia...
Ale kto zna taką bajkę czy baśń?

TADEUSZ SINKO.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Michel d'Herbigny S. J.: *L' Anglicanisme et l' Orthodoxie gréco-slave*. Paris, Bloud et Gay, str. 158.

Kto ciekaw poznać zabiegi anglikanizmu o połączenie się z wschodem prawosławiem, niech czyta książkę ks. d'Herbigny. Autor, od niedawna postawiony na czele papieskiego Instytutu Wschodniego w Rzymie, zarówno pilny obserwator, jak dobry teolog, od szeregu lat interesuje się zarówno prawosławiem, jak i anglikanizmem, t. j. temi odłamami chrześcijaństwa, wśród których zauważyć się dają jakieś pragnienia do przywrócenia jedności kościelnej, a przynajmniej jakaś nostalgia za jednością utraconą. Anglikanizmowi zwłaszcza już dawno sprzykrzyła jego splendid isolation w świecie chrześcijańskim i dlatego począwszy od „ruchu oksfordzkiego“, coraz bardziej zabiega o stworzenie jakiejś „katolickości“, któraby zastąpić mogła katolicyzm rzymski, nie chcący uznać ani święceń anglikańskich, ani stanąć do unji według rozumienia tak zwanej *Branch Theory*. Zwraca się przeto tem usilniej do Wschodu, w czem pomaga mu dzielnie polityka angielska, w miarę rozszerzania się swoich wpływów.

Historję tych właśnie zabiegów kreśli nam O. d'Herbigny, poczynając głównie od prywatnych starań W. Palmera, a kończąc aż na licznych objawach praktycznej interkomunji między hierarchją anglikańską a prawosławną w ostatnich powojennych latach. Książka, dająca miarę ewolucji, jaka zaszła w pojęciach anglikanizmu, jeszcze bardziej pouczającą jest, gdy kreśli linję tejże ewolucji we wschodniej schizmie. Przecież od nieuwzględniania anglikanów wogóle za chrześcijan przez patriarchat carogrodzki za czasów Palmera, który nadarmo pukał do wrót cerkwi, aż do obecnego patriarchy Meletiosa Metaxakisa, który już otwarcie uznaje nie tylko chrzest ale i ważność święceń w anglikanizmie i odprawia z „biskupami“ urzędowego angielskiego kościoła wspólne publiczne nabożeństwa. — prawosławie przeszło olbrzymi szmat drogi. Prostu sproletaryzowało się. Dlatego perspektywa unji Wschodu z Rzymem raczej się oddala, niż przybliża. Autor wszakże, który prawdziwie goręje pragnieniem, „aby wszyscy byli jedno“, optymista z natury i umiejący domyślać się prostych zamiarów Bożych nawet na najkrętszych ścieżkach działań ludzkich, nadzieję ma zdaje się wbrew wszelkiej nadziei. Ufa, że w gruncie rzeczy i te próby unji między rozkładającym się prawosławiem a nie mniej anarchicznym w swej nauce i liturgji anglikanizmem przygotowują zdala umysły i serca

do unji z prawdziwym Kościołem Chrystusowym. Zwłaszcza słusznie pociesza go działalność anglikańskiej Catholic League, która naśladownictwo rzymskiego katolicyzmu doprowadza aż do przyjęcia kultu Serca Jezusowego i brania sobie za patronów św. Karola Boromeusza i św. Małgorzaty Alacoque.

Interesujące są niezmiernie te rozdziały książki O. d'Herbigny, które dotyczą prądów religijnych we współczesnej Jugosławii, gdzie kiełkują pomysły unionistyczne, wychodzące z wręcz przeciwnych źródeł: z panslawizmu rosyjsko-schizmatycznego i z szerokiej myśli Kriżanicza i Strossmayera.

Książka nie jest bez usterek. Z terenu tylko, jaki mi jest dobrze znany, zauważyłem kilka niedokładności. Tak np. z niedawno zabitego w Warszawie metropolity prawosławnego uczynił autor dwie osoby, sądząc że kim innym jest biskup warszawski Jerzy, a kim innym kandydat na metropolitę Jaroszewski. Znany Antonjusz miał być najpierw arcybiskupem w Charkowie, a potem na Wołyniu, gdy w rzeczywistości było przeciwnie. I parę jeszcze innych drobnych niedokładności. Może znający stosunki innych terenów znaleźliby też inne usterki. Wobec wszakże tej masy materiału faktycznego, jaki został przytoczony przez autora, usterki te giną i bynajmniej wartości książki nie umalają. Jeszcze raz: kto chce poznać współczesne prądy w prawosławiu i anglikanizmie, niech czyta książkę O. d'Herbigny'ego.

Ks. J. Urban.

A. Palmieri: *La missione politica e religiosa della Polonia*. Firenze, Libreria editrice fiorentina, 1922, p. 42.

Wskazana w tytule księgarnia florencka — libreria editrice fiorentina, wydaje od pewnego czasu broszury pod tytułem ogólnym: *Quaderni dell' ora*. Tematów do tego cyklu szuka przeważnie w stosunkach współczesnych Wschodu, a głównym, jak dotąd dostawcą broszur okazuje się znany dobrze przed 12 laty w Polsce ks. Aurelio Palmieri.

Piąta z szeregu broszura poświęcona została „politycznemu i religijnemu powołaniu Polski“. Tegoż samego tematu dotknął Palmieri w 1908 w swojej książce: *La Chiesa russa*, ale jakże odmiennie niż dzisiaj! Wówczas, zastanawiając się nad przyszłością katolicyzmu w Rosji, odmawiał ks. Palmieri Polakom wszelkiej zdolności do misyjnej pracy wśród Rosjan, co wywołało w prasie naszej żywe, czasem zbyt gwałtowne odpowiedzi; dzisiaj wykazuje, że do podjęcia tej pracy nadają się najlepiej Polacy, może nawet tylko oni, wyłącznie, — a pisze to w czasach kiedy u nas pewien odłam prasy odżegnywa się od wszelkiej myśli o misyjnym powołaniu naszym w Rosji!

Świeża broszura A. Palmieriego, krótka co do rozmiarów, ale bogata treścią, jest owocem głębszego przemyślenia problemu, do czego autorowi pomogły niewątpliwie historyczne wypadki, jakich stał się widownią Wschód Europy. Broszura obfituje w dane z historii naszych zasług wobec chrześcijaństwa na Wschodzie, w cytaty z najpiękniejszych utworów naszych wielkich poetów; zdradza wielkie oczyszczenie, co jest stałym przymio-

tem tego zjadacza książek, jakim jest Palmieri. W ojczyźnie autora praca ta oddaje usługę Polsce katolickiej, co należy tu podnieść z uznaniem i wdzięcznością.

Ks. J. Urban.

Szymon Askenazy: *Napoleon a Polska*. Warszawa - Kraków 1918—1919, Polskie Towarzystwo Wydawnicze. Tom I. Upadek Polski a Francja str. 10+327. Tom II. Bonaparte a Legjony str. 345. Tom III. Bonaparte a Legjony str. 445.

Pierwsze dziesięciolecie porozbiorowego bytu Polski na tle współczesnej ery rewolucyjno - napoleońskiej — oto przedmiot ostatniego dzieła prof. Askenazego. Przedmiot nieprześcigniony doniosłością, niezwykle przytem wdzięczny, zarazem jednak wyjątkowe nastroczający trudności, tak w odniesieniu do spraw powszechnodziejowych jak do polskich. Do wielkiej epoki konania i tworzenia się światów w odmętach rewolucji i gromach wojen napoleońskich słusznie zastosował niegdyś autor słowa starego dziejopisarza Longobardów, że „tragika prędzej niż historyka wymagają te czasy”. Podobnie ówczesne dzieje polskie, z mrocznej otchłani rozbiorów kroczące szlakiem legjonowym ku jutrzni odrodzenia. W parze z tem idą trudności natury badawczo - erudycyjnej, wynikające w stosunku do rzeczy europejskich z nieprzejrzanego bogactwa wydawnictw źródłowych i literatury, do polskich z widocznych na tem polu niedoborów, których nie zdołały wyrównać niedawno podjęte badania Smoleńskiego, Kraushara, Tokarza, Skałkowskiego, Handelsmana, Kukiela i innych. Nakoniec w obliczu zagadnień zawsze żywotnych a rozbrzmiewających jeszcze echem namiętnych sporów w których ścierały się najpierwsze pióra historjografów europejskich, niełatwo wznieść się do wyżyn wszechdziejowego poglądu, z zawarowaniem jednak odrębności narodowego punktu widzenia.

„Napoleon a Polska” stanowi w literaturze naszej niejako pendant do dwóch wielkich dzieł obcych: „Historji epoki rewolucyjnej” Sybla i „Europy a Rewolucji francuskiej” Sorela. Od pierwszego różni się brakiem tendencyj aktualno - politycznych, od drugiego — oparciem zrębu badań na nieznanym materiale archiwalnym. Cechę wspólną stanowi ujęcie dziejów narodowych w najściślejszym zespoleniu z całością przełomu europejskiego. Żadna może z dotychczasowych prac polskich nie ogarnia tak rozległych widnokręgów. Różsnuty szeroko pierwiastek powszechnodziejowy odgrywa rolę nie tła lub obramowania lecz integralnej, niekiedy równorzędnej części składowej. Dzięki temu osiągnięto wybitne korzyści. Kompozycja obrazu zyskuje na wszechstronności, pełni i urozmaiceniu. Zestawienie na jednej płaszczyźnie rzeczy polskich i obcych pozwala autorowi snuć ciekawe i pouczające analogie i paralele (np. stosunki włoskie a polskie za pojawieniem się Bonapartego). Ujawnienie wszystkich czynników i ukrytych sprężyn polityki europejskiej, zwłaszcza zaś francuskiej, umożliwia dopiero należyte wyjaśnienie zależnej od całokształtu wydarzeń i stosunków ewolucji sprawy polskiej (np. stanowisko Francji wobec drugiego i trzeciego rozbioru Polski, oddziaływanie zatargów między Dyrektoryjatem a Bonapartem na powstanie Legjonów).

O stronie naukowej na tak szeroką miarę zakrojonego przedsięwzięcia wyraża najpoważniejszy u nas po Askenazym znawca epoki napoleońskiej sąd nader pochlebny¹⁾.

Rozpatrując treść dzieła, na pierwszy plan wysunąć należy dwa arcydoniosłe, niezmiernie skomplikowane a po raz pierwszy na tem miejscu należycie rozświetlone problemy: stosunek Francji do Polski w dobie Rewolucji i Napoleona oraz dzieje Legionów. Około tych wytycznych uszeregował autor spłót zagadnień, z których każde wypełniłoby odrębne studjum. Wycieniował drobniuszko zmienne koleje sprawy polskiej na tle współczesnej polityki europejskiej, zgłębił związane z nią tajniki dworów i gabinetów, przedstawił wyczerpująco stosunki na emigracji, naszkicował położenie kraju pod trzema zaborami, uwzględnił nurtujące życie polskie kierunki, zabiegi i przedsięwzięcia, od insurekcyjnych do ugodowych (najszczerzółwszy dotąd opis „planu puławskiego” Czartoryskiego) rzucił mnóstwo bogatych w materiał biograficzny sylwetek — niektóre, jak Sułkowskiego i Dąbrowskiego wyrastają do rozmiarów odrębnych monografij — słowem dał nierównie więcej, aniżeli zapowiedział w tytule, bo zobrazowanie całokształtu zagadnień, wypełniających pierwsze dziesięciolecie dziejów porozbiorowych.

Kreśląc przed laty charakterystykę Sybła²⁾, napiętnował prof. Askenazy dosadnie nadużywanie prawdy naukowej dla celów nie mających z nauką nic wspólnego, zarazem jednak wypowiedział się przeciw zasadzie bezwzględnej przedmiotowości, zalecaniej przez Rankego. Stanowisku temu pozostał wiernym i na kartach „Napoleona i Polski”. Nie szczędzi wypadkom i ludziom zabarwienia osobistego, godząc niejednokrotnie potępieniem (polityka francuska wobec Polski) czy ironją (Jakobini polscy): naogół jednak celuje ogromnem zrównoważeniem i dojrzałością sądu. Klasycznym jej wyrazem pozostaną surowe a równocześnie pełne wyrozumiałości karty poświęcone waśniom emigracyjnym, przepiękna charakterystyka Kościuszki, zajmująca jedynie słuszne i zgodne z prawdą naukową stanowisko zarówno wobec wylewów lirycznych Konecznego jak trafnej lecz nazbyt jednostronnej krytyki Skałkowskiego, ocena roli i znaczenia Legionów, o których jeszcze niedawno tej miary uczony i obywatel jak Tadeusz Korzon wysoce krzywdzące a krótkowzroczne ferował wyroki³⁾. W jednej tylko kwestji dał się prof. Askenazy unieść poza szranki zakreślone nieuprzedzonym okiem badacza, zato w kwestji zasadniczej, uwidocznionej w tytule: „Napoleon a Polska”. Zaznacza w przedmowie, że zadaniem dzieła ma być „sprawdzenie przez trzeźwy rachunek” opartej na przesłankach uczuciowych legendy napoleońskiej. Autor nie ogarnął wprawdzie całości tematu, sięgając po r. 1806, jednakowoż sposób wypowiedzania się, jakoteż zapastrywania rozsiane po pracach dawniejszych (Przyczyny wyprawy na Moskwę, Ks. Józef Poniatowski, O sprawie polskiej w r. 1812) pozwalają na sformułowanie

¹⁾ Skałkowski w Kwartalniku historycznym (1919) XXXIII, 109. Pewne zastrzeżenia w ocenie tomu III tamże (1922) XXXVI, 200.

²⁾ Wczasy historyczne (1904) II, 504.

³⁾ Kościuszko wyd. II, str. 524.

syntezy. Wypowiada ją zresztą sam autor w wspaniałych słowach: „Te mianowicie racji stanu polskiej a europejskiej zgodność przyrodzona... on najpierwszy, jedyny cudzoziemiec żywiołowie ciosy doświadczalnie światu na oczy wystawił. Ukorzył butnych tej zasady, tej prawdy przeczyteli. Podniósł zdeptanych jej wyznawców. Wszedł zdobywca do Berlina, Wiednia, Moskwy. Oddał wyzutym dziedzicom Poznań, Warszawę, Kraków, Wilno. Przywrócił rząd i broń polską. Przedarł akty podziałowe, przerwał przedawnienie: odrobił rzecz napozór przepadłą i okazał, że ona jest do odrobienia“. Nie poprzestając jednakowoż na stwierdzeniu tych wyższych ponad wolę osobistą Napoleona wyników jego przeznaczeń dziejowych w odniesieniu do Polski, prof. Askenazy stara się udowodnić, że w trakcie swej działalności okazywał on wobec nas nierównie więcej uczciwości i zrozumienia potrzeb narodowych, aniżeli wszyscy jego poprzednicy.

Ryzykowne swe twierdzenie uprawdopodobnia autor zapomocą całego arsenału środków, jako silnie przejawionych kontrastów, intensywnego podkreślania pewnych momentów, zręcznego prześlizgiwania się po innych, w ogólności tonu i doboru wyrażeń. W najczarniejszych barwach odtwarza niesumienną, ciasną, egoistyczną politykę Francji monarchicznej i rewolucyjnej, by na tem tle tem jaśniej odcinała się postać Pierwszego Konsula i Cesarza. Przyznaje, że i tam znachodziły się „zgrzyty“ i „cienie“, jednakowoż pierwsze odgrywają rolę dysonansów podnoszących ogólną harmonję, drugie zaś nikną w świetlanej aureoli otaczającej skroń zwycięzcy z pod Austerlitz. Niepodobna nie powtórzyć ze Skałkowskim zarzutu stosowania „dwóch miar“. Rozsiane gdzieś zarzuty przeciw Bonapartemu przesuwają się dyskretnie i niepostrzeżenie, natomiast analogiczne procedury jego poprzedników napiętnowane są z całym aplombem i siłą oburzenia. Naodwrot drobne oznaki życzliwości nabierają w ustach Pierwszego Konsula osobliwej wagi, lubo gdzieindziej zostałyby potraktowane jako najzwyczajniejszy manewr taktyczny. Słusznie podniesiono, że Napoleon nie będąc wszechwładnym panem sytuacji, niejednokrotnie zmuszony był chwytać się środków dyktowanych koniecznością chwili: czy jednakowoż nie zasługują na tą samą wyrozumiałość mężowie Komitetu Ocalenia Publicznego, rozpaczliwym wysiłkiem ratujący Francję przed zalewem wojsk skoalidowanej Europy? Tu jednakowoż miast rozgrzeszenia spotkał ich zarzód „nagiego cynizmu“. Gdzieś usiłowania apologetyczne zawodzą. Przy całym kunszcie argumentacji nie udaje się prof. Askenazemu oczyścić Bonapartego z winy rozmyślnego rzucenia na stracenie dwóch półbrygad legjonowych zesłanych na San Domingo. Nadaremnie przytacza autor względ rzekomo łagodzący, iż razem z legjonistami zamyślał Pierwszy Konsul wysłać kilkanaście tysięcy Francuzów „wybieranych w równym stosunku z przeszło pięciuset bataljonów całej prawie armji francuskiej“: wiadomo skądinąd, że „wybrańcami“ tymi byli ludzie o przekonaniach republikańskich, zatem w oczach przyszłego Cesarza skazani na stracenie¹⁾. Reasumując powyższe wywody, wypadnie

¹⁾ Aulard: Histoire politique de la Revolution française. (1901) str. 763.

rzec, że nie o krytyczne sprawdzenie legendy napoleońskiej chodziło autorowi, lecz o wyniesienie jej na niedosiężne dla wszelakich pocisków wyżyny. I pod tym względem wymagać będzie epokowe dzieło prof. Askenazego rewizji, wolnej od sentymentalnych a tak dosadnie przez ks. Kallinkę schłostanych „żałów Polaków na Zachód“, zarazem jednak nie przyćmionej kultem napoleonizmu. Zanim orzeknie się stanowczą wyższość moralną Napoleona nad jego poprzednikami, należy oddać głos znakomitemu dziejopisowi francuskiemu, również napoleoniście, przed którym i nasz autor w zasłużonym hołdzie ugiął czoło. „Dla pozyskania Polaków — pisze Albert Sorel odnośnie do sytuacji z r. 1806—1807 — wystarczyło Napoleonowi pozwolić się im oddać ich złudzeniom, ich entuzjazmowi... Jak dla poprzedzających go rządów w r. 1795, 1798, Polska pozostawała dlań dopełnieniem w rachunkach: osądzi on ją dostatecznie wynagrodzoną jednym frazesem w jakimś manifestie... Sprzymierzeniec wojenny lub zakład pokojowy, naród do oswobodzenia lub rozszarpania, stosownie do okoliczności będzie on ją traktował tak jak Rada wykonawcza, Komitet Ocalenia publicznego i Dyrektorjat traktowali ziemie niemieckie i włoskie: spekuluje nią jak to Delacroix uczynił z Wenecją“¹⁾. Nie poto szedł Napoleon w r. 1806 nad Wisłę, by zanieść Polakom „wyzwolenieczy twór Księstwa Warszawskiego“, lecz by kolejno wydawać Polskę na łup Prusom i Rosji. Nie był wolny od „bezecnego, prowokatorskiego fałszu dyrektorjalnego“ pobudzając Polaków w r. 1807 do szaleńczej insurekcji na Wołyniu. Zarówno w dobie „pierwszej wojny polskiej“, jak zwłaszcza w r. 1812 niejednokrotnie mijał się z owym „instynktem wielkiego człowieka, gardzącego małemi, nikczemnemi a bezcelowemi sposoby. „W jakim duchu pojmował on swe „europejskie posłannictwo“, dowodzą słowa, przed jawnym wypowiedzeniem których wzdrygnęli się nawet twórcy osławionej konwencji petersburskiej 1797 r. „Nie tylko nie chcę dopuścić do odrodzenia się tak dalekiej od mych myśli idei zmartwychwstania Polski — zwierzał się w r. 1809 rzekomy twórca Ks. Warszawskiego — lecz skłonny jestem zgodzić się z cesarzem Aleksandrem na wszystko, co mogłoby zatrzeć to wspomnienie w sercach jej dawnych mieszkańców. Zgadzam się, by słowo Polska i Polacy zniknęło nie tylko z wszelkich transakcyj politycznych ale nawet z historii“²⁾. Najtrafniej pono będzie odwołać się do wynurzeń samego Napoleona. „J'ai toujours regardé Pologne comme un moyen, mais pas comme une affaire principale“³⁾. Wyznanie to mogliby z czystym sumieniem podpisać wszyscy mężowie stanu z czasów Monarchji, Rewolucji i Dyrektorjatu.

Pozostaje zająć się stroną formalną książki: tu jednak miast uwag krytycznych mimo woli cisną się słowa entuzjazmu. Słusznie powiedziano, że „artystyczna wartość dzieła wprost rzuca się w oczy“, a niektóre jego karty „tchną prawdziwą poezją“⁴⁾. Znana z uprzednich dzieł świetność pióra autora „Dwóch stuleci“ występuje tu w najpełniejszym blasku.

¹⁾ L'Europe et la Revolution française. VI éd. (1904) VII, 111.

²⁾ Bourgeois: Manuel historique de politique étrangère. (1905). t. II. str. 433.

³⁾ Smolka: Polityka Lubeckiego (1907) II. 7.

⁴⁾ Skałkowski w Kwart. hist. XXXIII, 128, XXXVI, 203.

Kompozycja przy całym bogactwie treści nie przeładowana, zwarta, utrzymana w linjach prawdziwie monumentalnych. Na każdej karcie uderza subtelna wnikliwość w analizowaniu zawilej gry dyplomatycznej, zdolność doszukiwania się przyczynowych związków w najodleglejszych nieraz faktach, trafność ujęcia w każdym zjawisku najistotniejszej jego strony, w ogólności dar traktowania materiału w sposób par excellence genetyczny i syntetyzujący. Każda z wprowadzonych postaci, niejednokrotnie w paru zaledwie scharakteryzowana rysach, bije pełnią życia i niezatarte wrażeń się w pamięć. Na osobne studjum zasługuje styl, wytworny, błyskotliwy, nawskroś indywidualny i niesłychanie zróżnicowany w tysiącu odcieni, stosownie do treści. Naogół utrzymany w tonie świetnej narracji, chwilami przechodzi w rozlewność epicką, to znów w napięcie dramatyczne gdziekolwiek przepojony jest najszczerzym liryzmem, gdziekolwiek uderza w tony tragizmu. Artyzm przechodzi wręcz w wirtuozostwo. Przez cały pierwszy tom czujemy obecność Bonapartego, jednakowoż autor unika skrzętnie tego nazwiska, by wymienić je na ostatniej dopiero stronie (podobnie jak Żeromski w „Popiołach“ i „Sułkowskim“¹⁾). Pierwszą kampanję włoską stylizuje na widowisko dramatyczne w czterech aktach. Poszczególne momenty, jak opis powstania pieśni Legionów lub wjazd Suworowa do Medjolanu, pozostaną świadectwem twórczości do głębi opanowanej, zarazem unoszącej się na skrzydłach natchnienia. Dzieło prof. Askenazego posiada jeden jeszcze przymiot, nadający mu w oczach polskiego czytelnika osobliwy urok: jest nim powściągliwe w zewnętrznym wyrazie, gardzące tanim efektem i uciekaniem się do oklepanych cytatów poetyckich, a jednak wyzierające z każdego wiersza głębokie umiłowanie będących przedmiotem opowiadania bohaterskich a zarazem męczyńskich kart dziejów narodu.

Dr. Józef Feldman.

Dr. Aleksander Czołowski: *Marynarka w Polsce*. Szkic historyczny. Lwów 1922, wydaw. Zakładu Ossolińskich z 23 rycinami i 3 mapami.

Znawca źródeł archiwalnych, zachęcony pracami prof. Szelągowskiego, dra Kleczewskiego, postanowił w monografii o marynarce polskiej uzupełnić to, co o niej wiemy z dawniejszych prac Gołębiowskiego lub Bartoszewicza. Zaczyna autor od dobrowolnego poddania się Gdańska Polsce, osłanianego powagą Rzeczy, bronionego jej siłą, który ze swego wyjątkowego położenia tak korzystać umiał, że skupiwszy w ręku swem cały handel polski, stał się ogniskiem wszechświatowego handlu, posiadając w XVI w. sto pięćdziesiąt własnych okrętów i monopolem swym skupiając cały obrót pieniężny Polski. Kiedy w tym czasie Zygmunt August rzucił podwaliny polskiej polityki morskiej, spotkał się z protestem i oporem możnych współzawodników. Gdy zażądał od Gdańska wstrzymania wywozu zboża do Inflant, rada miejska uczyniła przedstawienie przeciwko nakazowi. Po zajęciu Inflant widział król ciężką nad Polską zawiśłą burzę i że bez floty nie przetrnie dowozu do zdobytej przez Moskwę Narwi (1558). Ku temu celowi użył systemu kaperskiego (Sierpinka Gdańszcza-

nina) ale Gdańszczanie wymawiają się od świadczeń kaperskich i wobec wojny bałtyckiej zachowują się biernie. Neutralność Gdańska nie przyniosła mu spodziewanych korzyści, spowodowała pewien zastój w handlu, poszkodowania przez kaprów, wreszcie zatarg z niemi. Zażegnał król wojnę przez Gdańsk przygotowaną, i przez komisję, na czele której stał Stanisław Karnkowski, wówczas biskup Kujaw. Ale uchwały komisji nie weszły w życie i chwila przełomowa oddająca Rzptej nie tamowany dostęp do morza minęła nie wyzyskana. Przeniesienie kaprów do Pucka spowodowało upadek obrony morskiej.

Przed śmiercią poddaje Zygmunt August narodowi wielką myśl utworzenia własnej floty. Zrobił początek własnym kosztem, zbudował galjon, duży żaglowiec dwumasztowy pojemności 400 ton. Wraz z upadkiem kaperstwa przepadł i ten pierwszy okręt polski, niewiadomo nawet, jaki go spotkał los. Piękny rozdział o bezskutecznych usiłowaniach Batorego co do skruszenia buntu gdańskiego, zakończony pokojem 12. XII. 1578 ocenia autor jako stanowcze zwycięstwo Gdańska, Rzpta bowiem czyniła swą politykę morską zależną od dobrej woli i chęci miasta, które własne interesa mając na oku, nie mogło być jej życzliwe. Wyprawy Zygmunta III do Szwecji zakończone wydaniem floty szwedzkiej Karolowi Sudermańskiemu, zaprzepaściło unję ze Szwecją i potęgę Zygmunta na morzu. Jedno co z wypraw tych zyskała Polska, to praktyczne pouczenie o ważności floty tak dla obrony jak i dla handlu i komunikacji narodu. Ujemny skutek polityki dynastycznej Wazów odzyskania Szwecji z Polski, która i swych własnych brzegów bez floty bronić nie mogła, było zajęcie Estonji i Inflant przez Karola Sudermańskiego. Mimo to, mimo że król po dwakroć zobowiązał się budować flotę, a i część szwedzkiej dać Polsce, mimo zwycięstwa Chodkiewicza, zdobytymi okrętami pod Salis, o flocie nie myślano. Dopiero po zdobyciu Rygi przez Gustawa Adolfa i zajęciu Mitawy, Zygmunt nakazuje Szkotowi Jakóbowi Murrey budowę floty w Pucku. Gdy Gustaw zdobył całe Prusy, Gdańsk stanowił przeszkodę do dalszego pochodu na Polskę, flota zaś polska pozbawiała Szwedów wielu artykułów i potrzeb wojennych dostarczanych im z Meklenburga i Pomorza. Zajęty przez Szwedów Puck, kapitułuje 1627 r. Konięcpolskiemu, który pod Amerstynem rozbił idące na odsiecz pułki szwedzkie, podczas gdy flota polska odniosła w maju zwycięstwo pod Oliwą i uwolniła Gdańsk od blokady. Łatwowierny król wysłał flotę do Wismaru, dla połączenia się z cesarską flotą, w chwili gdy plany Habsburgów co do wspólnej akcji przeciwko Szwecji się rozwiały. Załogi niepłatone rozbiegły się, a przy zdobyciu Wismaru przez Szwedów, dostały się im i okręty polskie.

Plany morskie Władysława IV, począwszy od budowy niezależnego od Gdańska portu z budową Władysławowa i Kazimierzowa, dwóch fortów dla obrony portu naprzeciw Pucka, nabycia okrętów, utworzenia admiralicji, oglądanie warowni nowo zbudowanych przez króla, okrętów na kotwicach dwunastu, tajemne życzenia wojny i zawarcie rozejmu ze Szwedami na 26 lat 1635 r. wreszcie niemożność utrzymania floty, lecz w końcu odrzucenie przez sejm Konstytucji zaprowadzającej cła morskie, a uchwalenie jedynie obmyślenia środków do zaprowadzenia cel, co zadało cios

marzeniom króla Władysława, wreszcie rozdział o zaniku polityki morskiej — oto bogata treść, wiele nowych rezultatów przynoszącej pracy o marynarce naszej. Wszędy podkreśla autor, że Gdańsk i to skutecznie paraliżował najżywotniejsze zamiary królów — niech przeto błędy i braki ubiegłych wieków będą przestrogą i wskazówką czego unikać, do czego dążyć i jak postępować należy — gdyż kończy: przyszłość najżywotniejszych interesów Polski zależy od morza.

A. Prochaska.

Stanisław Rachwał: Mieczysław Darowski, Czyny i słowa. Lwów 1923. Składnica pomocy naukowej.

Poczytną i pożyteczną mamy przed sobą publikację. Jest to monograficzny szkic o dzielnym a szlachetnym obywatelu naszego lwiego grodu. Prezes i członek honorowy Gwiazdy, znanego stowarzyszenia rękodzielników lwowskich, weteran z r. 1831, który trzech synów w bój wysłał w 1863 r. człowiek, na którego wspomnienie lwowianin dumnym być może! Jak go określił przed laty Płatón Kostecki, był Darowski pionierem pracy nie tylko narodowej ale i społecznej, z rodu rycerskiego szlachetny, a sam rycerz w najszlachetniejszym słowa znaczeniu. Autor posiłkuje się pamiętnikiem, listami weterana, w których bezpośredność uczuć, jak w opisie bitwy pod Wawrem uderza. „Nie wiem co pisałem — czytamy w liście — bo hałas ciągle komendy, trąbki, ukazy, śmiechy tak atakują umysł, że ledwie myśli zebrać mogę. Spieszyć się muszę, bo na patrol jechać trzeba“. Taksamo przeżyciem bezpośrednim uderza opis bitwy pod Ostrołęką. W r. 1846 przeczuwa nasz szerzyciel zasad demokratycznych, ojciec włościan, że pod namową rządu obróci się lud przeciwko dworom. We Lwowie mieszkając, zwraca uwagę na młodzież rzemieślniczą, zaniedbaną i gromadzi ją u siebie.

W r. 1848 po rezygnacji Aleksandra Fredry, był dowódcą trzeciej kompanii gwardji narodowej. Opisuje nabożeństwo żałobne za poległych Wiedeńczyków w marcu t. r., że gdy żołnierze wiedeńskiego pułku, Deutschmeisterzy, wychodzili z kościoła, przyjęto ich okrzykiem: „Niech żyją Niemcy, niech żyją Wiedeńczycy“, na co wojskowi odpowiedzieli „Niech żyją Polacy“ i kończy, że kto dożył chwili zbratania się ludów, ten nie powie, że nie żył bez chwili uroku na świecie. Następnie opowiada autor o działaniu w Radzie narodowej, o poznaniu ze Słowackim, o bombardowaniu Lwowa i więzieniu, o jego działalności jako radcy Lwowa od 1861—1871 r. o wysyłce synów do powstania, o humanitarności, o popieraniu finansów m. Lwowa, wreszcie o działalności jako pierwszego prezesa „Gwiazdy“.

Z zaginionych dziś pamiętników Darowskiego podaje nam p. R. życiorys Tarnawy Maliszewskiego, bohatera z pod Wawru, Igań, Ostrołęki, który osiadłszy na wsi w Skwarzawach, uważał się za oficera polskiego na urlopie, a któremu ani zawody ani klęski narodowej sprawy nie zdołały wydrzeć wiary w przyszłość ojczyzny, który błogosławił synów, gdy z wątlami siłami rzucili się w bój ze srogim nieprzyjacielem w 1863 r. Urywek ten każe nam żałować utraty całego pamiętnika, tak powabnie opisana jest w nim wiecznie młoda wiara rycerza husarskiej jazdy.

Wydanie piękne, zaopatrzone w portret Darowskiego. Rzecz oparta na archiwalnych źródłach, przeplatana wycinkami z listów, poematami Lenartowicza, Ujejskiego, przyjaciół Darowskiego, urywkami pamiętnika zaginionego, słowem lektura przyjemna i pożyteczna, dająca wierny obraz tego, o którym Lenartowicz mówił że:

Ze szlachtą był konfederatem,
Z nieszlachtą i bratem i kumem.
W świętej zgodzie z uczonym kapłanem,
Z rzemieślnikiem kowalem i tkaczem,
Z hułanami w szeregu hułanem,
Z oraczami na niwie oraczem.

Żałować należy straty pamiętnika M. D. Z tego co nam podaje p. R. w starannej swej monografii, można się domysleć, ile pereł tam się ukrywało, ile bezpośrednich wrażeń, przeżyć było tam umieszczonych. Mamy tu korespondencję, także Ujejskiego, Lenartowicza słowem książkę poczytną i pożyteczną.

A. Prochaska.

Poezje.

Antoni Słonimski: *Godzina poezji*.

Kazimierz Wierzyński: *Wielka niedźwiedzica*.

Juljan Tuwim: *Poezji tom IV*. wyd. Ignis 1923.

Eugenjusz Małaczewski: *Pod lazurową strzechą*. Biblioteka Polska 1923.

Nowe tomiki poezji przynoszą mało nowych tonów. U Słonimskiego, Tuwima, Wierzyńskiego, ten sam urbanizm i geografia, cytowanie odległych lądów i mieszaniny cywilizacyjno-międzynarodowej, które poznałszy dawniej.

Miasto staje przed nimi, generator rewolucji, w formach potwornych i groźnych; ewokują oni burzę, wyobrażają sobie przyszłe starcie szalonych mas („Miasto“ Wierzyńskiego, „Wieża Babel“ Słonimskiego, „Walka“ Tuwima). Ich wiersze — to gwałtowna gestykulacja ludzi protestujących i zbuntowanych, Świat obecny jest królestwem Antychtysta. Słonimski opisuje, jak ludzkość buduje po wojnie wieżę Babel. Wśród niesłychanego zamętu i pomieszania języków wznosi się nowa Babel. Ale budowa się rozpada. Wspólne dzieło ludzkości nie udaje się. Słonimski wieści epokę „samotnych ludzi“, a zarazem gromi lud, by pamiętał, że „ginie, kto dotknie się nieba“.

Symbol wieży Babel uczy ludzkość, że grzechem jest chęć osiągnięcia nieba, czyli zbadania prawdy bożej środkami materialnymi, czyśto ludzkimi. Natomiast praca nad osiągnięciem nieba drogą rozwoju wewnętrznego, wykonania prawa bożego i tęsknoty za zbawieniem jest miłą Przedwiecznemu, jest drogą nakreśloną przez Niego ludzkości. Dochodzi się do Boga metodami ducha, nie zaś metodami eksperymentu naukowego.

W „Sądzie Ostatecznym“, Słonimski przeciwstawia w dniu końca

świata Bogu — upadłych aniołów, którzy podług pojęć Luciferystów, mają w sobie twórcze, żywe słowo i obalą Jeryho Boga.

Buntownicze, bolesne, niewolnicze sny, kładące się na dusze, jak okowy... Słonimskiemu brak harmonji, najwyższej ciszy. Rozterkotane występne miasto huczy w nim wszystkimi rynsztokami. Napróżno pisze:

Jak ptak, otwartem gardłem pożadam błękitu!

Pożądania bez realizacji są niczem.

Powojenną nutą dekonników brzmią szyderstwa z militaryzmu u Tuwima i Słonimskiego. Stopniowe schrześcijanienie świata, przeniknięcie idei Chrystusa we wszystkie fibry życia spowoduje zapewne zanik wojen w przyszłości. Sędziami staną się furtjanowie królestwa bożego, nie zaś gwałtownicy trzymający miecz. Ale w chwili gdy niepodległość narodu jest zagrożona, nie czas na propagandę pacyfistyczną. Wojsko jest naszą chlubą, naszym ukochaniem, pewnością naszego bytu. I teraz takie wiersze, jak „Do generałów“ Tuwima i „Audjencie“ Słonimskiego rażą i razić będą społeczeństwo polskie.

Tuwim, tak miłujący życie ziemskie, że prosi Boga o pozostawienie go w niem, jak na drugi rok w klasie, odczuwa ziemię rozplodowo, biologicznie i straszliwie brutalnie. W „Słopiwniach“ i in. wierszach wpada w dadaizm. Zagranicą ani Kurt Schwitters, ani Tristan Tzara w swych usiłowaniach stworzenia poezji dźwiękowo-emocjonalnej, pozanaczeniowej nie odnieśli sukcesu. Więc i u nas nie warto poważnie brać tego dziwactwa. Słowo w istocie swej jest tworem społecznym — gdyby dadaści przez dłuższy czas wypowiadali swe emocje indywidualnie, ad hoc przez siebie stworzonymi dźwiękami, utarłoby się zapewne, że pewne dźwięki odpowiadają pewnym emocjom (inaczej każdy wiersz dadaistyczny budziłby inne uczucie w każdym człowieku), i powstałaby nowa mowa poetyczna, albo poezja przestałaby istnieć dla społeczeństwa — a czy istotnie śpiewak samotny może się ostać — wątpić należy. Prócz tego, formę danej sztuki powinny określać właściwości tworzywa. Właściwością słowa jest tkwiące w niem znaczenie — pojęcie, obraz, wzruszenie, właściwie spłot tych wszystkich elementów, gdyż słowo, jako wytwór bardzo długiej ewolucji w społeczeństwach cywilizowanych tkwi licznymi korzeniami w ziemi, jak drzewo mangrom zahacza w górze konarami o inne drzewa. Każde słowo budzi tysiąc skojarzeń. Nie może być zatem elementem czysto emocjonalnym, jak nuta muzyczna. Nad eksperymentami dadaistycznymi można przejść zatem do porządku dziennego.

Miasto również położyło swe piętno na twórczości Kazimierza Wierzyńskiego, ale niema w niej karkołomnych, jaskrawych, zgrzytliwych fajerwerków słownych, Jakiś umiar, jakaś leśna i polna tęsknota poza potępiającymi i niepotrzebnie tak nieosłoniętymi obrazami miasta... I tęsknota nieskończoności, i łagodna, jasna zieleń wiosny... Wiersz Wierzyńskiego nawet ma w sobie więcej muzyki od rozmyślnie szarpiącej i dysonansowej rytmiki jego kolegów. Chce on się zmienić:

W jeden słup promienisty, w posąg zachwycenia
Przed nieobjętym, świętym dniem nieskończoności!

Poza Lechoniem drugim poetą, nawiązującym już nie tylko formą, ale duchem do wieszczów naszych, jest niedawno zmarły Eugenjusz Małaczewski. Lechoń przeciwstawiał się poezji romantyzmu, tylko strofa jego nasiąknęła Słowackim. Małaczewski wziął w siebie ducha Norwida i Krasieńskiego, a forma jego własna, z łaski Bożej, urodzona lekko i samorzutnie, jak uśmiech anioła, albo kwiat pod stopą Chrystusa. Poezja to ofiarnika i syna Ojczyzny. Za dużo w niej pierwiastku refleksyjnego (Motyle — nawet z mottem Norwida). Ale Małaczewski był tak młody, że przechodził dopiero lata nauki, a mistrz Norwid tak właśnie pisał i „Motyle” wyszły z Norwida, wiele zaś miejsc, zwłaszcza zaś cały wiersz „Poetom zmarłychwstałej Polski” nasiąkły w zupełności wielką, chrześcijańską poezją Krasieńskiego. Nawet wyrażenia niektóre są na wzór jego ukształtowane: przekobiecisz, wypolni się, oniebi.

Zdumiewa szeroka skala tego młodocianego, tak przedwcześnie zgasłego talentu. W „Koniu na wzgórzu” uderza nas humor i lekkość optymistyczna Sienkiewicza z nowel, w poezjach jego wieje najwyżynniejszy duch romantyzmu.

I obok tego głębokiego uduchowienia — rzecz dziwna — spotykamy tęskno prawdziwie rycerskie, odczucie bohaterstwa bitwy, uniesienie sławy — amarantową tradycję polskiego żołnierza, najpierwszego w Europie. W „Świegocie kul” pisze Małaczewski:

Prócz tchórza, co się ślania,
schylany przez gwiazd nasz
są, którzy ku nam niosą,
nie bojąc się spotkania,
drapieżną, wichro-włosą
zaciętą gniewem twarz.
Ci okiem oddał mierzą,
niezgięci idą wprost — —

Nic w tem dziwnego. Prawdziwa odwaga to jest poczucie niezniszczalności osobistej, świadoma lub nieświadoma wiara w nieśmiertelność. Inny rodzaj odwagi jest smętnym i bezpłodnym dla świata nihilizmem.

Poezja jest kamieniem probierczym ducha narodowego. Obok modynych błyskotek futuryzmu, obok małych przekrzywian skamandrytów widzimy świeże paki, pełne rzeźwej rosy, z których wyjdzie duchowe odrodzenie narodu.

Hanna Zahorska.

Sprawozdanie z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Mord moskiewski a obowiązek cywilizowanego świata.

Wyrok bolszewickiego trybunału, skazujący na śmierć arcybiskupa Cieplaka i prałata Budkiewicza ¹⁾, a trzynastu innych kapłanów na długoletnie więzienie, — protesty całego cywilizowanego świata, — złagodzenie wyroku na arcybiskupa, a zatwierdzenie na skazanego kapłana, — powszechna nadzieja, że jednak ten mord dokonany nie zostanie, — brak przez dwa dni jakichkolwiek bądź wiadomości z Moskwy wskutek przerwania, jak widać umyślnego, wszelkiej komunikacji, — hiobowa wieść o rozstrzelaniu ks. Budkiewicza w Wielką Sobotę, — impertynenckie noty rządu sowieckiego do Polski i Anglii, odrzucające wszelką interwencję co do losu skazanych, — oto fakta, które następowały po sobie w przeciągu jednego tygodnia z błyskawiczną szybkością, nie pozwalając zorjentować się dostatecznie, o co właściwie chodzi bolszewickim zbirom w tej całej komedji procesu przeciw duchowieństwu katolickiemu. Po straceniu ks. Budkiewicza i ogłoszeniu nót bolszewickich można już ujrzyć dostatecznie oblicze bolszewickiego rządu i w całości odsłonić jego zamiary.

W pierwszej chwili po aresztowaniu kapłanów petersburskich, owszem po osądzeniu ich w Moskwie mogło się zdawać, że krwawym sędziom chodzi przede wszystkim o przygotowanie pewnej grupy Polaków, których możnaby wymienić na zasądzonych świeżo w Polsce komunistów, jak Cichowskiego, Toeplitza i ich towarzyszków. Tak przede wszystkim niespodziewany krok moskiewskiego rządu zrozumiano w Polsce, gdzie się też rozległy głosy, aby energicznie protestować przeciw haniebnemu wyrokowi, odrzu-

¹⁾ Tak się pisze nazwisko rozstrzelanego kapłana, nie zaś Butkiewicz, jak piszą prawie wszystkie nasze dzienniki.

cając wszakże samą myśl, by wyrok ten miał być podstawą do szantażu i politycznego targu o wymianę ludzi uczciwych i zasłużonych na zasądzonych zbrodniarzy. Dalszy przebieg wypadków, jakkolwiek nie obalił i tego przypuszczenia, że jest to ze strony sowietów zwykły haniebnny szantaż, odsłonił wszakże dalsze i — zdaje nam się — ostateczne zamysły bolszewickiego teroru, których nie zdołała z początku zrozumieć opinia cywilizowanego świata. Jeżeli skazani na więzienie arcybiskup i kapłani, przeznaczeni są — według cynicznego wyrażenia bolszewickiego stróża sprawiedliwości Krylenki — jako jedyny towar do możliwej wymiany z Polską, to rozstrzelanie prałata Budkiewicza przeciw bynajmniej do tego celu nie prowadziło ani nie pomagało. Musiało więc tu chodzić sowietom o co innego i sądzimy, że chodziło im o to, aby krwawym czynem sterylizować do reszty pozostałe jeszcze w Rosji duchowieństwo katolickie, jak skazaniem przed rokiem kilku biskupów prawosławnych i niższych duchownych sterylizowano i rozbiło cerkiew prawosławną.

Wyrok moskiewski i egzekucję jego na ks. Budkiewiczu zrozumieć można jedynie, gdy się na nie patrzy w świetle stosunku żydowsko-rosyjskiego komunizmu do religii wogóle, a chrześcijaństwa w szczególności. Bolszewicy rosyjscy przejęli się do głębi powiedzeniem Marxa, że „religia jest trucizną ludu“. Kiedy inne odłamy socjalizmu daleko lżej zwalczając religię, pocieszają się perspektywą, że ze zmianą ustroju społecznego przeobrazą się gruntownie także religia do tego stopnia, iż ludzkość przynajmniej przestanie się liczyć z Bogiem jako swoim prawodawcą i sędzią, — to rosyjsko-żydowscy twórcy nowego porządku świata, jedni w duchu swej doktrynerskiej prostolinijności, a drudzy z od wieków zakorzenionej nienawiści do chrystjanizmu postanowili nie czekać naturalnego skonu wiary w Boga i zabrali się energicznie do wyrwania jej z korzeniem z duszy narodu. Wypowiadając walkę na śmierć religii i Bogu, pragnęli wszakże najpierw uspić czujność urzędowych stróżów wiary, i stąd pierwsze ich występy przeciwko religii maskują się obłudnie hasłem „oddzielenia Kościoła od państwa“, hasłem, które po rządach carskiego absolutyzmu z wielu stron zostało życzliwie przywitane. Niebawem jednak postawiono następne śmielsze kroki. Wszyscy je mamy w pamięci: zakaz nauczania religii dzieci zrazu w szkole, potem w kościele, wreszcie w lokalach prywatnych, — uniemożliwienie duchowieństwu jakiegokolwiek obrony wiary przez zawieszenie wszelkiej prasy oprócz komunistycznej, — poniżenie kleru w oczach ludu przez zaprzągnięcie go do robót publicznych z jednocześnie pozabawieniem go nawet tej szczypty praw obywatelskich, jaką posiadają jeszcze inne klasy bolszewickiego

społeczeństwa i tej porcji chleba, jaką otrzymywali zbrodniarze i próżniacy, — zabór całego mienia kościelnego, rzekomo dla ratowania głodnych, w rzeczy samej na dalszą propagandę komunizmu zagranicą, — usiłowanie obłożenia świątyni wysokim czynszem dzierżawnym, — profanowanie świątyni przez wywożenie z nich relikwii i wysypywanie z puszek największej chrześcijańskiej świętości, Eucharystji, — wreszcie urządzenie błazeńskich pochodów z świętymi emblematami, palenie ich publiczne i wyzywanie Boga, aby dowiódł swojej obecności jakimś cudem, jeśli rzeczywiście istnieje. Wszystko to czyniono zapamiętale na rozkaz najwyższych władz sowieckich, które jednocześnie zapewniały na wszystkich konferencjach politycznych w świecie, że wolności sumień tak rozległej, jak w Rosji, żaden kraj nie posiada.

Temi wszystkimi bezecnymi czynami zdołano rzeczywiście sterylizować cerkiew prawosławną, a jednocześnie otaczając opieką rządową wszelkie rewolucyjne wystąpienia niższego kleru przeciw hierarchji wyższej, rozbito cerkiew na poszczególne gminy, zanarchizowano ją, i zyskano w niej, owej jak ją nazwali „żywej cerkwi“, narzędzie do szybkiej dechrystjanizacji rosyjskiego narodu. Sądzi bolszewicy kulturtregerzy, że zdołają uczynić to samo również z katolickim Kościołem i dlatego właściwie od początku nie uznawali w nim jednolitej organizacji, usiłując kapłanów uczynić powolnymi sobie narzędziami z pominięciem biskupów. Jeżeli dzisiaj czytamy w motywach wyroku moskiewskiego, że księża petersburscy z arcybiskupem na czele utworzyli związek w celu uprawiania opozycji ustawom bolszewickim, to trzeba wiedzieć, że nie inny związek wykryto, tylko ten, który z woli Chrystusa należy do istoty Kościoła katolickiego. Obecnie skazaniem jedyne go w Rosji bolszewickiej biskupa pozbawiają katolicyzm władzy centralnej, zapewne w nadziei, że po takim uderzeniu pasterza owce się rozproszą.

Z całego tego zestawienia aktów polityki bolszewickiej względem Kościoła katolickiego łatwo już wywnioskować, że chodzi tu o zupełne starcie z oblicza sowieckiej republiki wszelkiego śladu prawdziwego katolicyzmu. Jest to usiłowanie, podejmowane już tyle razy w historii, poczynając od Nerona i Dioklecjana, idąc poprzez tyrana Elżbiety angielskiej i Cromwella, a kończąc na Konwencie i Dyktatoracie wielkiej rewolucji francuskiej. Cel, do którego dążą rządcy moskiewscy, zapewne nie będzie osiągnięty przez nich w całej pełni; wszakże obawiać się należy, że prześladowanie Kościoła przez nich wzniecone nagromadzi wiele ruin. Dostyc uprzytomnić sobie, że skazanie wszystkich księży petersburskich na długoletnie więzienie pozbawia wszelkiej opieki duchownej całe sto tysięcy katolickiego ludu; dodajmy

do tego, że kresy wschodnie po tamtej stronie kordonu bolszewickiego ogołoczone z kapłanów, którzy przed nawałą bolszewicką życie unosili, że wyrok moskiewski nie jest pierwszym tego rodzaju, bo już przedtem na Ukrainie i Półdolu uwięziono wielu polskich księży, a nawet czterech z nich na śmierć skazano (wyrok został złagodzony na więzienie), że wreszcie inni pozostający jeszcze na wolności kapłani katoliccy, rozrzućeni w pojedynkę po obszarach nieprzejrzanych Rosji, mogą oczekiwać tegoż samego losu, co ich współbracia petersburscy, — zważywszy to wszystko, trzeba przyjąć do przekonania, że Kościół katolicki przechodzi w Rosji męczeństwo, ponad które sroższego wymyśleć już nie można.

Jakie wobec tego prześladowania religijnego stanowisko ma zająć świat cywilizowany, a w szczególności Polska?

Oburzenie, jakie wywołał wyrok moskiewski, jest zjawiskiem w całej tej tragedji jedynie pocieszającym. Cały świat napiętnował już ohydę bolszewickich czynów, jak na to zasługują. Wszystkich odcieni prasa z wyjątkiem komunistycznej, trybuny parlamentarne od Warszawy aż do Rio de Janeiro potępiły wyrok rewolucyjnego trybunału, jako ordynarne morderstwo i profanację samego pojęcia „wymiaru sprawiedliwości“. Akcja w celu powstrzymania wykonania wyroku przybrała takie rozmiary, jakich trudno było się spodziewać po skłóconym wewnątrz i w religijnej obojętności grzęznącym świecie. Obok Głowy katolickiego Kościoła — co się samo przez się rozumie, — obok katolickiego episkopatu wszystkich krajów, energiczną akcją wszczął protestancki prymas Anglii; jednocześnie z petycją jakiejś Ligi katolickich kobiet hiszpańskich śle do Moskwy żądanie wstrzymania wykonania wyroku przedstawiciel francuskiego radykalizmu Herriot; słysząc o protestach nawet jakichś rabinów żydowskich, a w londyńskiej Izbie gmin od członka socjalistycznej Labour party wychodzi wniosek wzięcia w charakterze zakładnika komunistycznego posła. Ten objaw solidarności przedstawicieli różnych wyznań, narodów i grup społecznych i politycznych w napiętnowaniu moskiewskiego barbarzyństwa, — chociaż bezskuteczny, — jest wszakże pocieszającym faktem, stwierdzającym, że pomimo głębokich różnic, jakie rozdierają ludzkość, czuje się ona całością, związaną węzłami ogólnoludzkiej etyki i że z tej wspólnoty wyłącza się samochcąc komunizm międzynarodowy.

Czy stwierdzenie tej przeciwstawności bolszewizmu reszcie cywilizowanego świata zreflektuje jego dyktatorów i natchnie do zmiany dotychczasowych metod rządzenia? Zdaje nam się, że trzeba pod tym względem pozostać zupełnym sceptykiem. Już ze sposobu, w jaki prowadzili z Europą pertra-

ktacje wysłańcy bolszewickiego rządu, poczynawszy od misji Krasina w Londynie, a skończywszy na konferencjach w Genui i Haadze, powinni byli zrozumieć wszyscy, że świat ma tu do czynienia z bezgranicznym cynizmem rabusiów i zbrodniarzy, którzy bez żadnej restytucji i najmniejszej skruchy, bez jakiegokolwiek zobowiązania się na przyszłość domagają się uznania ich za porządnych ludzi, — ma się tu do czynienia z bezczelnością moralnego opryszka, co domaga się gwałtownie prawa gościnności w domu sąsiada, by wnieść doń całą swą deprawację, a u siebie natrzasa się cynicznie z łatwowierności dających mu gościnę. Świat kulturalny już dawno winien był przeniknąć duszę moskiewskich czcicieli Iskarioty i zaprzestać łudzić się, że branie pod pachę jakiegoś Roscnfelda - Kamieniewa lub fetowanie urzędowe Czierina (nawet w warszawskim „Bristolu“!) dokona jakiejś metamorfozy w ich moralnej istocie. Świat cywilizowany za długo łudził się co do tego, i stąd jedyny dobry skutek ostatnich not bolszewickich do Polski i Anglii, to to że ostatecznie pomagają światu do pozbycia się tego złudzenia. Jeżeli dyplomacja europejska i amerykańska połknie jeszcze i tę pigułkę, to zaiste trzeba będzie powiedzieć, że całkowicie zasługuje na ten moralny policzek. Jedyną odpowiedzią świata cywilizowanego winno być zerwanie z Rosją bolszewicką wszelkich choćby tylko półurzędowych stosunków, zupełna izolacja tego kraju, który znosi u siebie panowanie zwyczajnych kryminalistów i morderców. Zaniechanie takiego kroku przekreśliłoby ową piękną solidarność, jaka w pierwszej chwili po wyroku moskiewskim objawiła się w cywilizowanym świecie.

A Polska? Jej położenie wobec Rosji jest szczególnie trudne. Głos krwi i ludzkości względem zasądzonych kapłanów nakazywałby nie zaniechać żadnego środka, aby tych, którzy jeszcze przy życiu pozostali, wyrwać z bolszewickich kazamatów, choćby nawet za cenę odstąpienia zasądzonych u nas emisariuszów bolszewizmu. Z drugiej strony, czy dalsze kroki w celu uwolnienia skazanych nie rozzuchwalałby bardziej moskiewskich opryszków? I gdzie przewidzieć koniec szantażu? Czy po pierwszej partii wymienionych skazańców nie zaopatrzą się bolszewicy w partję nową naszych kapłanów, lub wogóle Polaków i czy wymiana nie dopomoże ateuszom do zupełnego zniszczenia Kościoła katolickiego? Wybrnięcie z tych trudności będzie wymagało dużo zarówno taktu jak i energii ze strony polskiego rządu, żeby i ofiarom barbarzyństwa moskiewskiego przyjść z pomocą i nie uronić godności polskiego narodu i Rzeczypospolitej.

Przez wyrok moskiewski Polska jest w szczególny sposób sprowokowana. Nie tylko w tem znaczeniu, że większość

skazanych stanowią Polacy, ale i w wyraźnej intencji bolszewickiego rządu. W motywach, jakie przytoczył W C I K, odrzucając złagodzenie wyroku dla prałata Budkiewicza, jako najcięższe jego przewinienie podano stosunki z obcym państwem, wrogiem komunistycznej republice. Stosunki te wyrzuciły się w poświęceniu przez ks. Budkiewicza jakiegoś lokalu jeszcze za czasów Regencji warszawskiej i w jakiejś propozycji, jakoby czynionej rządowi polskiemu, udzielenia pożyczki pieniężnej na spłacenie długu ciężącego na kościele św. Katarzyny w Petersburgu. Jeżeli takie czyny poczytano za jednoznaczne ze zdradą stanu, i to tak wielką, że nie zasługuje na żadną amnestję nawet po czterech latach, jakie upłynęły od czasu inkryminowanych czynów, — to widać moskiewskim zbirom chodzi bardzo o sprowokowanie Polski. Zadanie więc naszego rządu jest podwójnie delikatne. Wszakże dwie rzeczy narzucają się z zupełną jasnością: najpierw, że mając do czynienia z tego rodzaju cynikami, jakimi są obecni władcy na Kremlu, nie można ich traktować „al pari”, lecz nawet prowadząc jakieś rokowania, należy nie ukrywać przed nimi pogardy, która się im słusznie należy; powtóre, należy wyciągnąć konsekwencje co do stosunku naszego do wszelkich propagatorów bolszewickiej ideologii u nas. Jeżeli w sowieckiej republice, która przecież chełpiła się, że sprowadza na świat epokę wszelkiej wolności, możliwą jest kara śmierci za takie czyny, jakie zarzucono ks. Budkiewiczowi, to jakże łagodnym się musi wydać wymiar sprawiedliwości, jaki stosuje „burżuazyjna” Rzeczpospolita polska względem tych emisariuszów Moskwy, co w istocie dążą do przewrotu politycznego w Polsce! Nie chodzi nam tu o akt ślepej zemsty, — uczucie to musi być dalekiem od chrześcijańskiego społeczeństwa, jakim jest polskie; chodzi nam tu o samą obronę przed tą deprawacją sumień i zwyrodnieniem instynktów ludzkich, jakie propaguje wszędzie po świecie bolszewizm. Broniąc społeczeństwa naszego przed tą zakałą, musimy użyć wszystkich środków, by propaganda bolszewizmu, choćby się maskowała łagodniejszą formą, nie miała u nas miejsca. Niestety, podczas gdy w bolszewickiej Rosji nie wolno wydrukować dwóch wierszy krytyki komunistycznego ustroju albo obrony chrześcijaństwa, to w naszej tolerancyjnej „burżuazyjnej” Polsce panoszą się zuchwale wszelkie wywrotowe ideologie, występują do walki z religią rozmaite „Wolne Myśli”, „Kultury robotnicze” i tym podobne piśmidła, które niedwuznacznie zapowiadają, co u nas czekałoby religję chrześcijańską i opartą na niej kulturę, gdyby bolszewizm przyszedł do głosu. Ta niezrozumiała tolerancja wobec posiewu ateizmu, którego nieodrodnem dzieckiem jest bolszewizm polityczny i społeczny,

po ostatniej lekcji, udzielonej nam przez Moskwę, powinna się skończyć.

W związku z moskiewską tragedją jeszcze jedna luźna uwaga. Pewna część prasy polskiej i to niestety z prawicy ośmieliła się napaść na Ojca Św., jakoby ten nie uczynił wszystkiego, aby uratować życie ks. Budkiewiczowi! Zapytujemy tych panów: jakie posiadał Watykan środki skuteczniejsze nad te, jakich użyto ze strony kilku protestujących rządów? Czy „Gazeta Warszawska” np. wierzy szczerze, że wysłanie do Moskwy osobnego kurjera z Watykanu (kiedyby on dojechał?) zapobiegłoby katastrofie? Czy prasa ta sądzi, że np. groźba cofnięcia ze strony Papieża pomocy głodnym nastraszyłaby sytych żydów w Kremlu? Czy im tak chodzi bardzo o ratowanie ludności rosyjskiej od głodowej śmierci, im, którzy kilka milionów tej ludności stracili wyrokami swej „czerezwyczajki”? Co Papież mógł wskórać u tych, którzy jednocześnie ze skazaniem arcybiskupa katolickiego odgrają się w prasie urzędowej, że wytoczą zaochny proces Papieżowi? Stawiamy te pytania i wdzięczni bylibyśmy, gdyby na nie zechciał ktoś z niezadowolonych z Papieża odpowiedzieć; inaczej, będziemy zmuszeni upatrywać w oskarżaniu Papieża chęć osłabienia przywiązania narodu polskiego do Głowy Kościoła.

Ks. J. URBAN.

Pokłosie z wystaw krak. Towarzystwa Sztuk pięknych.

Decentralizacja życia intelektualnego w Polsce przyczynia się w znacznej mierze do tego, że nie rozwija się ono wedle jednego schematu, ale nabiera cech różnorodnych, swoistych ośrodkom, w których się skupia. W Krakowie, Warszawie, Lwowie, Poznaniu, Wilnie urabiają się już — właściwe każdemu z tych centrów — typy uczonych i literatów, dzienników i teatrów, muzyków i t. d. Artyści plastycy nie stanowią tu także wyjątku, tem więcej, ponieważ w każdym z miast wymienionych malarstwo, rzeźba, architektura rozwija się — a często wegetuje — w zgoła odmiennych warunkach. Kraków mocą tradycji oraz dzięki temu, że od lat kilkudziesięciu posiadał Szkołę sztuk pięknych, znajduje się w położeniu wyjątkowym. W jego to murach zrodziło się malarstwo polskie, mające skryształizować się w takich typach, jak Grottger i Matejko, oraz w długim szeregu innych artystów, którzy w grodzie podwawelskim albo się uczyli, albo pogłębiali posiadaną już wiedzę artystyczną.

I z biegiem czasu tak się sprawy ułożyły, że Kraków w zakresie sztuk plastycznych przoduje, bez kwestji, innym miastom polskim. Na jego bowiem wystawach obficie obsyłanych, czyto w Towarzystwie Sztuk pięknych (przy pl. Szczepańskim), czyto w Związku artystów (przy pl. Św. Ducha),

można najlepiej czynić obserwacje nad stanem naszego malarstwa i rzeźby, nad prądami, jakie w nich danej chwili nurtują, oraz — co jest najciekawszem, — śledzić ewolucję nowych, młodych talentów, szukających dla siebie sankcji ze strony ogółu, który w Krakowie odznacza się zamiłowaniem do sztuki. Niemalą rolę odgrywa tu także otoczenie. Które bowiem z miast w Polsce może spółzawodniczyć na punkcie artystycznych walorów, mieszczących się w jego zabytkach i muzeach? Koniec końców, wystawy krakowskie, które w dodatku są wystawami nieustającymi, przedstawiają zawsze duży interes dla miłośników sztuki rodzimej, bo każdej chwili dają wierne jej odbicie, gromadząc dzieła artystów zarówno o wyrobionej marce, jak i tych, co dopiero sięgają po laury.

To też sądzę, że jest wskazaniem dać rzut oka na kilka tegorocznych wystaw w Krakowskim Towarzystwie Sztuk pięknych. Będzie on po części przyczynkiem do historii naszej sztuki społecznej, a zarazem pozwoli osobom, co nie miały sposobności zwiedzenia tych wystaw, na wyrobienie sobie sądu o twórczości całego zastępu artystów, z której powinniśmy być naprawdę dumni.

* * *

W wystawach Towarzystwa Szt. Piękn., zmienianych co miesiąc, wzięło udział przez trzy pierwsze miesiące roku bieżącego bez mała 60 malarzy *). Rzecz jasna, że omówienie wszystkich prac wystawionych zajęłoby zbyt wiele miejsca i minęłoby się z celem tego „pokłosia”. Zamierzam w niem dać: charakterystykę twórczości artystów najwybitniejszych a nie katalogowe wyliczenie prac wystawionych. Z tego wynika, że będzie chodziło mi o podkreślenie uderzających momentów rozwoju tej twórczości u tych malarzy, co przekroczywszy dawniej granicę, dzielącą ucznia od samodzielnego artysty, teraz znaleźli się na drodze, prowadzącej ku szczytom artyzmu.

Jeden z malarzy w tem położeniu — to Turek, którego twórczość nie zapowiadała w początkach tego rozkwitu, w jaki szybko wkraczać zaczyna.

Już na kilka lat przed wojną światową — tak głęboko wryła się ona w naszą pamięć, że mimowoli posługujemy się nią, jako datą — był Turek artystą z ukończonemi studjami, uprawiającym nie bez powodzenia malarstwo architektoniczne, ale przeważnie dla celów historii sztuki. Mnóstwo akwarel i rysunków (często lekko kolorowanych), w których odtworzył piękno budowlanych zabytków Krakowa, nosiło jednak na sobie cechę raczej dokumentów historycznych, niż studiów malarskich w tym rodzaju, jaki uprawiał swego czasu Gryglewski, a później Tondos. Były to rzeczy sumiennie traktowane, ale pozbawione tego polotu i niekiedy w wykonaniu, które sprawiają, że rysunek, lub malowidło architektoniczne, zrzucając z siebie piętno techniczne, przechodzi w dziedzinę rzeczywistego artyzmu.

Także krajobrazy malował Turek na początku swej kariery arty-

*) Udział rzeźbiarzy w tych wystawach był wyjątkowo niski i dlatego pomijam ich w niniejszem sprawozdaniu.

stycznej. Ale i one początkowo nie zapowiadały, że autor ich zajdzie daleko poza normę dobrej przeciętności.

Dopiero sześć, czy siedm lat temu poczęły się pojawiać na wystawie Tow. Szt. piękn. i Związku artystów jego krajobrazy malowane akwarelą, które zwróciły na siebie uwagę. A towarzyszyły im widoki architektoniczne, wykonane w zupełnie innej, niż dotąd, a bardzo wdzięcznej manierze.

Niejednokrotnie poruszałem w swoich sprawozdaniach, drukowanych i gdzieindziej i na tem miejscu, zupełnie błędne pojęcie ogółu o krajobrazie, uchodzącym, w jego mniemaniu, za bardzo łatwą gałąź malarstwa. Tymczasem, namalowanie dobrego krajobrazu jest sprawą bodaj czy nie trudniejszą, niż wykonanie takiegoż obrazu rodzajowego. Krajobraz wprawdzie trudniej da się skontrolować w szczegółach, aniżeli obraz z postaciami ludzkimi, albo zwierzętami, ale wymaga od malarza dużo talentu i wprawy, by nie raził powszednością, by nie był prostą, bezmyślną kopją natury. W dobrym krajobrazie wkłada malarz dużo swej indywidualności w sposób patrzenia na naturę i w umiejętność wynajdywania punktów, z których na nią patrzy w każdym ze swych pejzażów, chwytając wybrany motyw, jako całość w sobie zamkniętą. Turek doszedł już w swoich krajobrazach do tego, że widzi się w nich powyższe dwa kardynalne warunki krajobrazu, mającego pretensję być skończonem dziełem sztuki, a nie przygodną notatką, mniej więcej zgrabnie rzuconą na papier, czy na płótno.

Zajmującym było obserwowanie w ciągu lat wspomnianych, jak jego, talent rozwijał się, męźniał i stawał coraz bogatszym w to, co rozstrzyga o dobroci pejzażu, a mianowicie: w powietrze, barwę, słońce i doskonałe zaaranżowanie całości.

Ostatnia jego tegoroczna wystawa zbiorowa — to egzamin zdany *summa cum laude* na doktorat artystyczny, po którym katedra profesorska w jednej z naszych Akademii sztuk pięknych powinna być dlań nagrodą. Że byłby doskonałym nauczycielem, można wnioskować po jego karierze artystycznej. Stwierdzonym bowiem jest faktem, że tylko ci artyści umieją przygotowywać innych artystów, którzy sami z pewnym wysiłkiem woli posiedli jeden za drugim wyższe stopnie doskonałości w swym zawodzie i którzy dla zdobycia wszystkich arkanów sztuki malarskiej spotrzebowali — obok wrodzonego talentu — znaczną sumę pracy w żmudnych nieraz studjach.

Dzieła Turka, jakie zgromadził na wspomnianej wyżej wystawie, dały poznać stadjum, w jakim znajduje się jego twórczość, promieniująca w trzech kierunkach, t. j.: w malowaniu krajobrazów, widoków architektonicznych i kwiatów. We wszystkich tych kierunkach wystawił rzeczy kapitalne, malowane farbami wodnemi, które uważa — wbrew powszechnie przyjętemu zapatrywaniu — za lepszy środek wyrażania się, niż farby olejne.

Wspomnę tylko najcharakterystyczniejsze dzieła w każdym z tych kierunków. A więc — odnośnie do krajobrazów — „Aleję lipową“, dającą ogromną głębię, „Opary“ ze wspaniałe oddaną mglistą atmosferą i bajecznie kolorowy „Krajobraz jesienny“; odnośnie do widoków architekto-

nicznych — „Wnętrze kościoła Marjackiego” — wierne cudo perspektywy a doskonałe pod względem charakterystyki masowej barwnego fłumu, wypełniającego świątynię; odnośnie do kwiatów — „Róże na tle kilimu”, godne stanąć obok kwiatów Wyczółkowskiego, tego mistrza nad mistrze w tej gałęzi malarstwa.

I jeszcze jedną uwagę nasuwa kilkanaście większych i mniejszych krajobrazów z tej wystawy, a mianowicie, że Turek jest nie z równym malarzem nieba, którego piękno oddaje z tą samą prawdą i wdziękiem gdy jest pogodne, albo przysłonięte obłokami, lub też grożące burzą.

Krótko mówiąc, Turek wystąpił tak wspaniale na swej ostatniej wystawie, że obecnie ma się prawo wiele, nawet bardzo wiele odeń wymagać.

Na XVI. wystawie krakowskiej „Sztuki”, jaka odbyła się w marcu b. r., dwóch malarzy zdobyło *ex aequo* niepośledni sukces, a są nim: Jarocki i Weiss.

Jarocki dotąd wystawiał w Krakowie niezbyt często. Każdy jednak jego występ u nas przynosił ze sobą rzeczy poważne i artystyczne, mające na sobie piętno naprawdę wielkiej sztuki, a nie „sztuczki”, obliczonej na schlebianie chwilowej modzie zwyrodniałego smaku estetycznego. Tak było i tym razem.

Artysta dojrzały, tej miary co Jarocki, zazwyczaj umie urządzać dzieł swoich zbiorowy pokaz, dając nań tylko te, które jego zasłużoną sławę podnieść mogą, względnie przedstawić w należytem świetle, a nie wypełnia go szkicami, notatkami i t. p., jakie tylko w pracowni, a nie na zbiorowej wystawie są na miejscu. Toteż udział Jarockiego w XVI. wystawie „Sztuki”, mogący być uważanym za jego wystawę zbiorową, wypadł, pod każdym względem, znakomicie.

Jeszcze do nie tak dawna dawały się zauważyć w twórczości artysty pewne wahania, spowodowane może uleganiem modnym prądom, względnie szukaniem, za przykładem innych, czegoś, co miało popchnąć malarstwo na nowe tory kosztem wyparcia się dotychczasowych zasadniczych podstaw malarstwa. Dzięki Bogu odchylenia te od zdrowego sensu artystycznego minęły u Jarockiego, nie pozostawiając po sobie ujemnych następstw, tak, że widzimy w nim znów doskonałego malarza, który, nie będąc wcale zwolennikiem form przebrzmiałych, nie jest jednak jednym z hałaśliwych „reformatorów”, pragnących za każdą cenę narzucić ogółowi swe bezładne, nieszczerze a pretensjonalne poglądy na sztukę.

Jest przy tem wszystkim Jarocki malarzem, posiadającym odwagę przekonań. I tak, choć od lat jakichś bez mała trzydziestu w malarstwie naszym zarzucono, jakby na komendę, malowanie obrazów rodzajowych, względnie postanowiono unikać malowania postaci ludzkiej (z wyjątkiem portretów), Jarocki nie obawia się wprowadzać do swych obrazów ludzi, tworzących wyborny zespół razem z odpowiednio dobranym pejzażem.

W tym rodzaju oglądaliśmy na XVI. wystawie „Sztuki” cztery pierwszorzędnej wartości płótna ze scenami z życia naszych „wilków morskich”, których pysznie pochwytnane typy na tle wód Bałtyku, stanowiły atrakcję tej wystawy. Dużych zaś rozmiarów płótno, z postaciami naturalnej prawie

wielkości, p. t. „Na Matkę B. Gromniczną“ stanowiło dowód, że wielostronny talent Jarockiego odtwarza z tąsamą łatwością piękno górskiego, ubielonego śniegiem krajobrazu, co i fascynujący urok morza. Zdobycie kawałeczka własnego wybrzeża morskiego dało dość silny impuls naszym malarzom w kierunku malowania widoków morskich. Ale malowanie tych widoków łatwą rzeczą nie jest. I dlatego dotąd, obok Jaxy Małachowskiego, niewielu liczymy dobrych naprawdę marynistów. Jednym z nich jest niezawodnie Jarocki, którego n. p. „Wzburzone morze“, albo „Szary Bałtyk“ (z tej samej wystawy) nie pozostawiają nic do życzenia.

W technice jest Jarocki zawsze oryginalnym. Czasami zdradza się, jako *pointillista*, ale częściej posługuje się swoistą fakturą, której cechami charakterystycznymi są: dobry, choć może zamało subtelny rysunek i silny koloryt, skłaniający się niekiedy do przejawskrawionych, zbyt kontrastowych efektów. Z tem wszystkiem, — nawet z pewnemi usterkami — Jarocki, to talent silny i szczerzy a temsamem sympatyczny, bo tam, gdzie artysta wkłada w swe dzieła szczer ość, musi ona znaleźć oddźwięk w duszy widzów.

Porównyując to, co ostatnim razem dał Weiss na widok publiczny, z tem, co mniej więcej rok temu wystawił, nie można oprzeć się przyjemnemu zdumieniu, wywołanemu przez widoczne a imponujące udoskonalenie się jego sposobu malowania. Aczkolwiek z racji swej kilkunastoletniej kariery artystycznej, a także ze względu na stanowisko profesora Akademii krakowskiej, miał już od szeregu lat wyrobioną markę, to jednak krytyka nie zawsze bywała z jego produkcją malarską w zgodzie, a raczej pozostawała z nią bardzo często w niezgodzie. Prace jego dawniejsze wyróżniały się brakiem wszelkiego wykwintu, były jakieś takie pospolite, że, choć wykonane poprawnie, odpychały poprostu od siebie. Widz nie miał im nic formalnie do zarzucenia, ale mimo tego nie zatrzymywał się przy nich dłużej, bo jego odczucie estetyczne nie mogło się z nimi pogodzić ze względu na rubaszny częstokroć rysunek, na surowy koloryt i przeważnie nie tyle prostą, ile nieinteresującą kompozycję — o ile ta wogóle w grę wchodziła. Krajobrazy zaś Weissa, aczkolwiek kolorystycznie poprawne, nie odznaczały się szczęśliwem zaaranżowaniem.

Ostatni atoli pokaz prac artysty na tylokrotnie wspomnianej wystawie „Sztuki“, przedstawił jego twórczość w zupełnie innem świetle. Miało się zeń takie wrażenie, jak żeby Weiss, wzięwszy się sam na egzamin, stwierdził swe strony ujemne w malowaniu i postanowił ich unikać. Udało mu się to w zupełności. I rysunek nabrał finezji, a całość, czy to krajobrazów, czy studjów — wdzięku.

Weiss malował dużo portretów. Wątpię atoli, czy wiele dawniejszych jego podobizn może się zrównać z „Portretem adwokata“, jaki ostatnio wystawił. Ten portret jest rzeczywiście „majstersztykiem“ w swoim rodzaju w odnośnie do pochwycenia typu rasowego portretowanej osobistości i skomponowania portretu w ten sposób, że nawet nie patrząc na podpis, widzimy na pierwszy rzut oka, iż mamy przed sobą osobistość, której zadaniem nie jest zdejmowanie opaski z oczu Temidy. Akt zaś kobiecy p. t. „Helena“ na punkcie kolorytu mógłby się mierzyć z dziełami najlepszych

malarzy ciała ludzkiego. Jego zimne, srebrnawe tony, w przejściach od światła do cieni, a głębokie i gorące w cieniach, oddane są po mistrzowsku na tym akcie, który chociaż nie bez błędu narysowany (głowa za mała), czynił wrażenie czegoś wcale poprawnego rysunkowo w porównaniu n. p. z tegoż artysty „Aktem“, mającym niezasłużony zaszczyt znajdować się w Muzeum Narodowym.

Fenomenalne postępy dają się także stwierdzić na krajobrazach Weissa. Zaznaczam jednak, że wyrażenie „postęp“ nie jest w zupełności właściwym, i że użyłem go jedynie z braku innego właściwszego. O „postępach“ bowiem mówić można tylko u początkującego adepta sztuki, a nie u profesora. A zatem należy u Weissa stwierdzić nowy, bardzo dodatkowy etap w rozwoju jego twórczości, o czym świadczył taki wspaniały „Dunajec w Szaflarach“ oraz nieustępujące mu „Łało“ i „Kalwarja“.

Czy i jak daleko rozciągnie się ten ostatni etap rozwoju twórczości Weissa — pokaże najbliższa jego prac wystawa.

Mehoffer i Axentowicz nie wystąpili na wystawie „Sztuki“ tym razem, jak byli mogli i powinni, gdyż są to dwa filary tego zrzeszenia artystycznego, a nawet należą do jego założycieli, skutkiem czego mają wobec niego większe zobowiązania, niż inni artyści. Axentowicza spory obraz olejny p. t. „Jordan“ z dobrze namalowanym, zimnym krajobrazem, wziętym z Karpat wschodnich, byłby interesującym, gdyby nie to, że ten sam temat w bardzo podobny sposób, artysta już parę razy dawniej zużytkował. Kilka zaś głów kobiecych, pastelą wykonanych, nie przyniosło nic nowego. Nawet lepsze od nich widywaliśmy na dawniejszych wystawach Axentowicza. Z pomiędzy zaś rzeczy olejnych Mehoffera wyróżniał się „Portret męski“ i rysunek głowy dziewczęcia (oznaczony rzymską I). O tem, jaką jest w rzeczywistości twórczość tego artysty, ostatni pokaz jego prac nie dawał najmniejszego pojęcia.

W sposób dla siebie nader korzystny przypomniał się publiczności krakowskiej, stosunkowo niezbyt często wystawiający w Krakowie Kamocki. Mianowicie między innymi krajobrazami wystawił „Kościół w Libuszy“ (dwa warjanty) i „Kładkę“ — rzeczy doskonałe, znaczące nowy etap w ewolucji jego talentu. Dawniejsze obrazy Kamockiego cierpiały na dziwnej surowiznie barw, kładzionych koło siebie w ten sposób, że nie łączyły się w całość harmonijną, lecz wyrwały jedna przed drugą. W krajobrazach, obecnie wystawionych, widać — przeciwnie — ogólny ton, dobrze pochwycony, skutkiem odpowiedniego skoordynowania kolorów, a w niektórych z nich świetnie wywołane efekty słoneczne, jakich dawniej nie spotykaliśmy u niego.

Zbiorowa wystawa Żelechowskiego spotkała się z bardzo ciepłym przyjęciem u miłośników rodzimego malarstwa, albowiem prace, które w jej skład weszły, wykonane są w tradycjach krakowskiej Szkoły Szt. pięk. z czasów, gdy nią kierował Matejko. Nie stworzył on wprawdzie swojej „matejkowskiej“ szkoły, ale za to umiał wpoić we wszystkich uczniów, pod nim odbywających studia, zamiłowanie do rysunku, do opierania się na pilnej obserwacji natury i posługiwania w kompozycji prostotą i szczerością, które i jego wielkich dzieł są ozdobą. W tym duchu

tworzy też Żelechowski, jeden z tego coraz szczuplejszego grona malarzy, co miała szczęście stykać się bezpośrednio z tym potentatem sztuki. Obrazy Żelechowskiego zajęły całą „świetlicę” w gmachu Tow. Szt. pięk., a były między nimi portrety, obrazki rodzajowe i studia pejzażowe. Portrety wyróżniają się godną zaznaczenia finezją wykonania, jak n. p. „Portret żony artysty” albo „Portret damy”, namalowany „stylowo”. Obrazki rodzajowe mają, stosownie do swej treści, albo dużo pogodnego humoru („Gęsiarka”, „Dziewczynka karmiąca gęsi”), lub też poetyckiego nastroju („Błędne ogniki”), albo wreszcie przejmującej grozy („Wśród burzy”, „Burza”). Kilka zaś mniejszych studjów pejzażowych odznaczało się bardzo soczystym kolorytem, trzymanym w granicach prawdy artystycznej, zasadzającej się na tem, że malarzom wolno, odtwarzając naturę, pominąć pewne w niej szczegóły, a natomiast silniej zaakcentować inne, jeżeli mu to jest potrzebnem do osiągnięcia zamierzonego efektu. Tu właśnie leży różnica między sztuką a fotografią, niewolniczo kopującą naturę.

Z pomiędzy młodszych malarzy, jacy obeszali wystawy w Towarzystwie Szt. pięk., urządzone w ciągu pierwszych trzech miesięcy bieżącego roku, wielu zasługuje na to, aby ich nazwiska zatrzymać w pamięci, wybijają się bowiem niezawodnie na plan pierwszy po jakimś czasie pracy nad sobą.

Do nich, między innymi, należą: **P i e n i ą z e k**, bardzo zdolny akwafortcista, któremu brakuje tylko wprawy, bo widocznem jest po jego planszach, że zasady akwaforty, tego najszlachetniejszego sposobu tworzenia trwałych rysunków, zna na wylot. **J a n o s z a n k a**, malarka obdarzona niesłychanie bujną wyobraźnią, która jest wynalazczynią własnego sposobu malowania na szkłe, pozwalającego wywoływać nieznane dotąd, a niezmiernie ciekawe i oryginalne efekty malarskie i **G e p e r t** — materiał na tęgiego malarza koni i różnego od innych pejzażystę.

Ze względu na ścisłość sprawozdawczą nie mogę pominąć, że pośród eksponatów futurystycznego warszawskiego „Rytmu”, który zawitał w lutym do sal Tow. Szt. pięk., znalazło się sporo rzeczy, niewiele albo nic nie mających wspólnego z futuryzmem, a mogących być ozdobą każdej „normalnej” wystawy, jak n. p. bardzo efektowne kolorystycznie płótna **P r u s z k o w s k i e g o**, lub rysunki sangwiną **K a m i ń s k i e g o**.

* * *

Z powyższego treściwego zestawienia wynika, że pierwsze miesiące 1923 roku dobrze zapisały się w dziejach krakowskiego Towarzystwa Sztuk pięknych, którego ruchliwy zarząd umiał zgromadzić w tym czasie dzieł wartościowych liczbę niemałą. A także widać z tego zestawienia, iż artyści krakowscy, nie zważając na strasznie trudne warunki, w jakich żyjemy, nie ustają w pogoni za ideałem.

Józef Trepka.

Szkoły ruskie w Małopolsce Wschodniej.

Akcja radykalnych nacjonalistów ruskich, prowadzona na szeroką skalę w kraju i zagranicą, nie pominęła niczego, by kierujące mocarstwa usposobić wrogo względem Polski. W ciągu ostatnich miesięcy ataki ich skierowały się gwałtownie przeciw polskim władzom szkolnym, oskarżając je o krzywdzenie narodu ruskiego. Obok innych zarzutów miał „cały świat cywilizowany” dowiedzieć się, że od 1919—1920 r. 682 szkół powszechnych ruskich zostało zamienionych na polskie, jak tego dowodzi porównanie statystycznego sprawozdania austriackiego z r. 1911/12, z polskiem, zamieszczonem w *Miesięczniku Statystycznym Rzeczypospolitej Polskiej* z r. 1922 zes. 7. „Płomiennymi głoskami” nienawiści usiłowały też pewne organy prasy ruskiej wpaść w serca Ukraińców ową cyfrę 682, a hańba miała okryć w oczach Zachodu kraj, który dopuścił się takiej „zbrodni przeciw cywilizacji”.

Oczywiście władze polskie nie mogły milczeć i Kuratorjum lwowskie wygotowało obszerny memoriał w języku francuskim, poparty obfitym materiałem statystycznym, który wykazuje jasno fałszywość postawionych zarzutów¹⁾.

Skądże bowiem zrodziła się legenda o owych 682 szkołach?

Oto w miejscowościach z ludnością polsko-ruską, zbyt małych jednak, by w nich zakładać dwie szkoły powszechne, wprowadzono system klas dodatkowych, t. j. paralelek, które udzielają nauki wszystkich przedmiotów w języku drugiej narodowości; tak n. p. w województwie stanisławowskim znajduje się 105 takich klas dla Rusinów przy szkołach polskich, a 295 klas polskich przy szkołach ruskich. I oto radykalni Rusini całą rubrykę 417 takich szkół „polsko-ruskich”, zawierających osobne klasy zupełnie polskie i osobne zupełnie ruskie, nazwali poprostu polskimi szkołami utrakwistycznymi, odjęli je od dawnej liczby szkół ruskich w r. 1911/12 — i naturalnie ilość tychże musiała zmaleć już o 417. Nadto przeczyli oni uwagę *Miesięcznika Stat.*, że cyfry w nim podane nie obejmują 627 szkół, które nie nadesłały sprawozdań — a pomiędzy którymi była znaczna większość szkół ruskich. Deficyt 682 szkół tłumaczy się wtedy bez trudności!

Czy przeoczenie to było mimowolne, trudno powiedzieć wobec innych dowodów, które rzucają smutne światło na rzetelność i prawdziwość wspomnianych organów ruskich. I tak samo twierdzenie o utrakwistycznych szkołach w Małopolsce Wschodniej mija się z prawdą, ponieważ w tamtejszych szkołach powszechnych utrakwizm²⁾ nie istnieje wcale; uczy się tylko kilka godzin tygodniowo języka polskiego w zakładach ruskich, a ruskiego w polskich, co jest koniecznością w kraju o ludności miesza-

¹⁾ Stanislas Sobiński, curateur de l' Académie de Léopol: *L' enseignement public en Petit Pologne Orientale au point de vue national*. Léopol, février 1923. Str. 44 i 16 table.

²⁾ Utrakwizm oznacza system, przy którym pewne przedmioty wykłada się w jednym, a pozostałe w drugim języku. System ten stosowanym jest tu ze względów praktycznych tylko w seminarjach nauczycielskich.

nej. W innym miejscu dla lepszego podkreślenia „wandalizmu“ polskiego, zamiast 1.052 szkół polskich i 934 ruskich, zamieszczonych w sprawozdaniu urzędowym z r. 1911/12, informator ukraiński podał 652 szkół polskich a 1.007 ruskich. W r. 1922 było w trzech województwach Małopolski Wschodniej 3.129 nauczycieli ruskich; dziennikarz ukraiński zmniejszył liczbę o 1.000. Zamiast 4.087 klas ruskich, istniejących obecnie, podano tylko 2.645. Zupełnie mylnie przedstawiono również ilość dzieci ruskich, pozbawionych swej szkoły i zmuszonych uczęszczać do szkół polskich i t. d.

Metoda taka nie zasługiwała oczywiście na rzeczowe zbijanie. Jediną odpowiedzią mogło być podanie faktycznego stanu rzeczy i tę drogę obrało też kuratorium lwowskie.

W sprawie rzekomej polonizacji szkół stwierdza ono, że na całym terytorjum województw: lwowskiego, stanisławowskiego i tarnopolskiego zmieniono od listopada 1918 r. tylko w 15 szkołach powszechnych język wykładowy na polski i to na wyraźne życzenie gmin.

Powtóre, liczba szkół powszechnych ruskich w okręgu szkolnym lwowskim (obejmującym wspomniane trzy województwa), wynosiła w styczniu 1922 r. 2.426, t. j. o sześć więcej niż w r. 1911/12 i to pomimo zniszczenia tylu lat wojny światowej, a następnie drugiej z bolszewikami i Ukraińcami. Owszem szkół tych (dziś jest ich więcej) byłoby znacznie więcej, gdyby nie apatyczność Rusinów, którzy nie interesują się swem szkolnictwem i kiedy Rząd polski chce im otworzyć nową szkołę, nie chcą nieraz dać budynku dla niej, lub pomieszczenia dla nauczyciela; zdarzało się przecież, że urządzoną już w wynajętym domu szkołę wyrzucano z niego, a rodzice woleli płacić karę, niż posyłać dziecko na naukę.

Jeżeli więc szkoły polskie rosną w liczbę, nie odbywa się to na rachunek ruskich, ale jedynie dzięki wyższemu poziomowi kulturalnemu ludności polskiej. Owszem polscy właściciele wielkiej własności ziemskiej ufundowali tam sporo szkół i „olbrzymi majątek narodowy polski jest umieszczony w budynkach i całym ich urządzeniu, nie tylko szkół polskich, ale także ruskich“. Obecnie pracuje się właśnie nad zestawieniem tych cyfr.

Pobłażliwe stanowisko władz polskich wystąpiło w całej pełni w stosunku do nauczycieli ruskich, których niemała część odegrała smutną rolę podczas inwazji bolszewickiej i ukraińskiej. Zaraz po nastaniu pokoju Rząd polski stworzył osobne „Biuro rehabilitacyjne“ i z niewielu wyjątkami przyjął prawie wszystkich powracających do służby; pomiędzy 31 wypadkami, które miała rozpatrzyć Komisja międzyministerjalna, znajdowały się oskarżenia o kradzieże i zabójstwa. Nadto państwo polskie wypłaca dziś pensje nie tylko wdowom i sierotom po tych nauczycielach, którzy nigdy nie byli jego urzędnikami, ale nawet rodzinom tych, którzy polegli walcząc przeciw Polsce!

Nie upadek, ale znaczne polepszenie sytuacji Rusinów pod rządem polskim wykazuje statystyka seminarjów nauczycielskich. Podczas gdy w dawnej monarchji austr.-węg. nie było ani jednego seminarjum czysto ruskiego, tylko same utrakwistyczne, dziś istnieje parę seminarjów państwowych ruskich (we Lwowie męskie i żeńskie, w Przemyśle żeńskie)

i sześć prywatnych z prawem publiczności. Jedne i drugie znajdują się pod zarządem inspektora Rusina i cieszą się zupełną swobodą pod względem narodowościowym.

Co się tyczy szkół średnich, liczba ich za rządów polskich pozostała ta sama, co za czasów Austrii, ale wzrosła liczba klas, profesorów, a przede wszystkim uczniów. Kiedy w r. 1914. było 104 klas, 192 profesorów i 3.560 uczniów, to w czerwcu 1922 r. było 126 klas, 221 profesorów i 4.536 uczniów ruskich. Zarówno państwowe jak prywatne gimnazja ruskie stoją pod zarządem inspektorów Rusinów, co daje im pełną swobodę pielęgnowania ducha narodowego. Liczba szkół tych w porównaniu do polskich jest wprawdzie szczupła, lecz wystarcza zupełnie dla potrzeb ludności ruskiej, co przyznali sami Rusini i Ukraińska Rada Narodowa.

Szkoły handlowe i zawodowe są, oprócz jednej prywatnej, polskie, ponieważ Rusini okazywali dotychczas za mało zainteresowania się niemi; przyjmuje się ich zresztą wszędzie bez trudności, podobnie jak do szkół wyższych.

Dla zobrazowania całego stanu szkolnictwa polskiego i ruskiego w Małopolsce Wschodniej podajemy poniżej statystykę, zestawiającą najważniejsze dane z kilkunastu tablic statystycznych, zamieszczonych w memorjale Kuratorjum lwowskiego.

		Szkoly powsz stan 1. I. 1922 r.		Gimnazja stan 1. VI. 1922 r.		Sem. naucz. stan 1. I. 1923 r.	
		publiczne	prywat.	publ.	pryw.	publ.	pryw.
ilość szkół	język wykł. polski	2.247	35			10	19
	" " ruski	2.426	11			2	6
	" " inny	16	73			8	
	ogółem	4.689	119	56	53	20	25
ilość uczniów i uczennic	polskich	289.177	4.480	19.772	8.120	5.859	
	ruskich	353.972	3.123	4.445	1.661	1.868	
	innych narodowości	71.144	7.488		537		
	ogółem	714.293	15.091	24.217	10.318	4.384	3.343
ilość nauczycieli	Polaków	8.523	180	1.038*	834	248	
	Rusinów	3.129	106	221*	163	82	
	innych narodowości	293	151		67	1	
	ogółem	11.945	437	1.259	1.066	331	

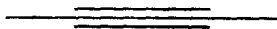
Oprócz powyższych danych wymienia sprawozdanie 4 szkoły średnie handlowe (uczniów: 817 Polaków, 64 Rusinów), 3 szkoły średnie

*) Cyfry te podają ilość uczących w gimnazjach polskich i ruskich, co niekoniecznie świadczy o ich narodowości.

techniczne (819 Polaków, 103 Rusinów) i 12 niższych szkół rzemieślniczych (728 Polaków, 209 Rusinów).

Tak przedstawia się aktualny stan we Wschodniej Małopolsce. Nie Rusini — zaznacza niejednokrotnie autor memorjału — ale ludność polska jest raczej pokrzywdzona na polu szkolnictwa, a to dzięki rządowi austriackiemu, który systematycznie protegował Rusinów na szkodę Polaków. Jeżeli mimo to Polacy są górami pod względem seminarjów nauczycielskich, szkół średnich, handlowych i zawodowych, przypisać to należy jedynie większemu ich zainteresowaniu i ofiarności na te cele. Dla Rusinów otwiera się zatem wdzięczne pole do zgodnej współpracy nad podniesieniem poziomu swych rodaków — społeczeństwo polskie pomoże im w tem chętnie.

St. P.



REDAKTOR I WYDAWCA: *KS. JAN URBAN T. J.*

Druk ukończono 10 kwietnia 1923 r.

Francja nad kolebką dziecka.

„Francjo, czy ty chcesz zginąć?” — wołali niedawno biskupi francuscy do swego narodu, a głos ich rozbrzmiewał wielokrotnem echem po wszystkich zakątkach kraju, żywym słowem i na łamach pism.

Lecz dlaczego? Czy znowu grozi jakie niebezpieczeństwo?

Dziś, po tak świetnem zwycięstwie, kiedy kolosalne pomniki ciosowe zwiastują zdaleka każdemu, że Francja zwyciężyła, dziś, gdy polityczne jej stanowisko zdaje się wzrastać coraz bardziej — co ma znaczyć to grobowe pytanie? W czym jego przyczyna?

W czym? — Oto Francja wygrała światową wojnę, odzyskała Alzację i Lotaryngję, a tymczasem razem z niemi ma dziś mniej ludności, niż w roku 1913 i zanik ten posuwa się szybko naprzód.

Półtora miliona synów złożyła na ołtarzu ojczyzny, nie mało straciła w r. 1918 z powodu epidemji hiszpanki, ale zato dwie odzyskane prowincje przyniosły jej 1,709.749 nowych obywateli. Niestety, gdy przystąpiono do spisu ludności d. 6 marca 1921 r., pokazało się, że ogólna jej liczba wynosi 39,402.739, podczas gdy w r. 1913, bez Alzacji i Lotaryngji, Francja liczyła 41,476.272 mieszkańców.

Gdyby ten spadek można przypisać tylko przejściowej katastrofie — byłoby jeszcze dobrze. Choroba ostra trwa zwykle krótko i powrót do zdrowia może być szybki.

Lecz nie. Francja zapadła już dawno poważnie, słabość jej stała się przewlekłą, a ostatnie lata wskazują tylko, że

wyczerpany organizm coraz mniej staje się odpornym i kryzys nadchodzi.

Już przed wojną zapowiadano Francji rychły zgon. Jeżeli linja rozrodczości spadać będzie tak, jak do tej chwili — pisał w r. 1913 profesor w Collège de France, Paul Leroy-Beaulieu — to naród francuski „zostanie skazany na prawie zupełny i bardzo szybki zanik, co najwyżej w czterech albo pięciu generacjach; w r. 2112 we Francji nie byłoby już niemal żadnego Francuza czystej krwi“.

Spadek naturalnego przyrostu ludnościowego we Francji nie jest bynajmniej zjawiskiem ostatnich lat; przygotowywał się długo i różne przyczyny składały się na niego ¹⁾.

Budząca się od r. 1760 epoka wielkiego przemysłu w bogatej w surowce Anglii spowodowała olbrzymie zapotrzebowanie sił roboczych. Nie tylko kobiety, ale dzieci od lat siedmiu i sześciu znajdowały już zajęcie, zarobek ich niedługo przewyższał koszt utrzymania, im więcej więc osób było w domu, tem bardziej rosły dochody, a z nimi dobrobyt. Okoliczność ta zachęcała więc do wczesnego zawierania małżeństw i wydatnego pomnażania członków rodziny, tak że ludność Anglii wzrosła w przeciągu XIX w. prawie czterokrotnie. Również w państwie niemieckim liczba mieszkańców wzmożła się w tym okresie przeszło dwukrotnie, pomimo dość licznej emigracji; w r. 1816 było ich 24,831.396, a w 1900 r. 56.367.178 ²⁾.

Inaczej we Francji. Wypadki polityczne, długoletnie zawieruchy wojenne, a w czasie pokoju brak większych zapasów węgla, nie sprzyjały przez dłuższy czas rozwojowi wielkiego przemysłu; ludzi nie było potrzeba wielu, więc też nie śpieszyli się z przychodzeniem na świat. Ludność kraju rosła, ale powoli, z 27,400.000 w r. 1801 doszła tylko do 38,961.945 w r. 1901; owszem, w drugiej połowie wieku znaj-

¹⁾ Obok innej literatury i czasopism, uwzględniamy tu głównie dwie zasadnicze prace w kwestji ruchu ludnościowego we Francji: Paul Leroy-Beaulieu: „La Question de la population“, Paris 1913 i Paul Bureau: „L'indiscipline des moeurs“, Paris 1921.

²⁾ Statistisches Jahrbuch für das Deutsche Reich.

duje się już kilka pozycji, w których liczba zgonów przerosła liczbę urodzeń.

Stan ten nie był oczywiście wynikiem samych czynników ekonomicznych.

W r. 1798 ukazało się „Essay on the principle of population” i nabrało wkrótce ogromnego rozgłosu. Perspektywa szybkiego przeludnienia ziemi z powodu wzrastania ludności w proporcji geometrycznej, podczas gdy środki żywności rosną w proporcji arytmetycznej, wywołała silne wrażenie w Anglii i znalazła oddźwięk także w innych krajach. Francja ze swym żółtym przyrostem nie potrzebowała wprawdzie lękać się tego widma i tak też sądziła większość Francuzów, znaleźli się jednakże tacy, którzy sądzili, że i dotychczasowy jej stan zaludnienia jest za wysoki i należałoby go koniecznie zmniejszyć. Tak sądził ideolog socjalizmu Karol Fourier († 1837), który zresztą nie we wszystkich punktach zgadzał się z Malthusem, a koło r. 1876 inny fanatyczny zwolennik tejże doktryny, Józef Garrier, pisał: „Niema najmniejszej potrzeby, żeby Francuzi wzrastali dalej w liczbę... Wszelkie zachęcanie do tego jest niedorzecznem, niebezpiecznem, nieludzkim i przeciwnem interesom społeczeństwa, a zwłaszcza sfer uboższych”. Niektórzy proponowali zredukowanie liczby mieszkańców Francji do sześciu milionów.

Lecz Tomasz Robert Malthus, głosząc teorię, mającą zresztą część tylko prawdy, był poprawnym we wskazówkach co do jej przeprowadzenia; zachęcał do ograniczania liczby urodzeń, ale wykluczył użycie środków niemoralnych¹⁾. Było to jednak zbyt wielkiem wymaganiem dla niektórych ze współczesnych, a powstały niedługo potem, w połowie XIX w., w Anglii neomaltuzjanizm usunął stopniowo wszelkie zastrzeżenia. Swobodny ten system, otwierający szeroko drogę korupcji obyczajów i używania środków zapobiegawczych, stał się pod koniec wieku przedmiotem rozległej propagandy, stojącej na usługach popędu i napełniającej kieszenie wszelkiej kategorii przedsiębiorców, pseudouczonej i literatów.

Oficjalna ta zachęta nie była jednak zbyt potrzebną

¹⁾ Por. „Przegląd Powsz.” czerwiec 1922, str. 423 nast.

dla Francji, która praktyki takie znała dobrze przedtem. Przynajmniej od końca XVI w. były one stosowane przez arystokrację i burżuazję, a mniej więcej od r. 1830 przedostały się do warstw robotniczych i wiejskich, które z upadkiem ducha religijnego łatwo się niemi przejęły i stosują je do dziś dnia. Postępy czasu i techniki wydoskonaliły metody, a silna propaganda, za pośrednictwem lig, czasopism i poufnych doradców, rozszerzyła zakres klientów i usunęła resztę wstydu, jakim dotychczas osłanianio te występk.

Szerzenie neomaltuzjanizmu odbywało się tem raźniej, że cieszył się on stale względami socjalistów i ich sympatyków, dzięki czemu mógł dotrzeć do najszerzych kół ludności. „Zawiązał się sojusz pomiędzy neomaltuzjanizmem, rewolucyjnym czy nierewolucyjnym, i wolną myślą” — powiada P. Bureau (str. 150), powstały osobne „Grupy robotnicze neomaltuzjańskie”, a nazwiska takie, jak znany pedagog niemoralności Paul Robin, inicjator prawa rozwodowego z r. 1884 Alfred Naquet, zajadły agitator neomaltuzjanizmu Sébastien Faure, gorąca adwokatka „prawa kobiet” do spędzania płodu Madeleine Pelletier, związały się z tą akcją, skoncentrowaną dla całego świata w „Bureau international néo-malthusien”, założonem w r. 1910 w Hadze.

Na wyniki nie trzeba też było długo czekać. Ogromna literatura specjalna, handel na wielką skalę środkami antykoncepcyjnymi i liczne „biura porady” były dowodem, że klienteli nie brakowało. Gdzie zaś pierwsze zabiegi przypadkiem zawiodły, tam uciekano się do innych, a liczne akuszerki i różni niesumienni lekarze służyli chętnie swą pomocą; naturalnie operacje te odbywały się w ukryciu, stąd niepodobna podać ścisłej statystyki; wystarczy jednak zaznaczyć, że według dra Lacassagne z Lionu, liczba przerwania ciąży wynosiła już przed wojną rocznie około pół miliona, a kongres „Francuskiego towarzystwa położniczego” w r. 1909 orzekł, że po wielkich miastach trzecia część dzieci poczętych ginie przez te zbrodnicze praktyki.

Kilkaset tysięcy dzieci, zgłodzonych przeciętnie matkobójczą ręką i setki tysięcy innych, którym nie pozwolono nawet się począć — oto smutny bilans Francji w czasie pokojowym. Na tem tle zrozumiemy też, w jakim kierunku

zwrócić się musiał jej ruch ludnościowy na polu urodzeń. Zamieszczona poniżej tablica, w której na podstawie urzędowych danych ¹⁾ zestawimy ich cyfry, dla lepszej ilustracji obok równoczesnych danych z niektórymi innymi krajami, pozwoli nam wyrobić sobie pojęcie o tym pochodzie. Na 100 mieszkańców przypadało urodzeń:

w latach	Francja	Belgia	Niemcy	Włochy
1806—10	3·17			
1821—5	3·15			
1831—5	2·96	3·30		
1841—5	2·81	3·29	3·67	
1861—5	2·67	3·18	3·68	
1866—70	2·59	3·22	3·75	3·71
1876—80	2·53	3·20	3·92	3·70
1891—5	2·24	2·91	3·63	3·59
1901	2·20	2·94	3·57	3·40
1905	2·06	2·62	3·30	3·27
1910	1·96	2·38	2·98	3·33
1911	1·87	2·29	2·86	

Szybko odbywał się więc proces obniżania liczby urodzeń we Francji, tak że z końcem pierwszego dziesięciolecia XX w. przybrał obrót katastrofalny: taki przybytek nie zdoła nawet wyrównać strat, poniesionych z powodu zgonów, ograniczonych już do minimum, a tem bardziej jeśli uwzględnimy, ilu ludzi żyje we Francji w stanie bezzennym.

W ciągu 20 lat, od r. 1881 do 1901, liczba urodzeń spadła też blisko o 79 tysięcy, a w następnych 12 latach, od r. 1901 do 1913, już prawie o 113 tysięcy, pomimo że ogólna liczba ludności rosła ciągle. Stąd kiedy w r. 1806 ogólna ilość urodzeń żywych wynosiła we Francji 916 tysięcy, to w r. 1912 opadła do 750 tysięcy, czyli o 18%, chociaż w tymże czasie liczba ludności powiększyła się o 36%. Przed zgubą

¹⁾ Annuaire Statistique, 32 vol., str. 168*.

ratowała Francję, obok niezbyt licznej migracji, przede wszystkim malejąca liczba zgonów, które z 781 tysięcy w r. 1806 spadły do 693 tysięcy w r. 1912.

Francja przeprowadziła więc swoje...

Zapomniała wszakże o jednym — że metoda taka stanie się dla niej zabójczą, jeżeli nie będzie stosowana wszędzie, a przynajmniej u najbliższych sąsiadów.

Tymczasem ci trzymali się innej, a skutki tego były łatwe do przewidzenia. W r. 1820 Francja przewyższała liczebnie obu swych wielkich sąsiadów ze wschodu i zachodu; liczyła wtedy 30'25 milionów ludności, podczas gdy państwo niemieckie miało 26'29, a W. Brytania 21 (w r. 1821) milionów. Tymczasem do r. 1911 ilość mieszkańców Anglii wzrosła do 45 milionów, czyli o 114%; Niemcy w r. 1913 doprowadzili do 66'97 milionów, a zatem wzrosły o 155% — Francja zaś z pierwszej stała się ostatnią, w r. 1913 miała tylko 41'47 milionów, czyli 37% przyrostu ludnościowego.

Taki stan rzeczy musiał się na niej zemścić. Łatwo jest bowiem powiedzieć, że jeśli się te same bogactwa rozdzieli pomiędzy mniejszą ilość ludzi, wtedy każdy z nich będzie miał więcej — ale trzeba przedtem zabezpieczyć sobie posiadanie owych skarbów, zapewnić dostateczną liczbę rąk do ich zdobycia, ochronić przed konkurencją obcych; inaczej można narazić cały swój przemysł i handel, które siłą rzeczy poczną przechodzić w ręce mocniejszego.

Francja nie pomyślała o tem i odpokutowała za to.

Przedstawwszy olbrzymi wzrost przemysłu a z nim bogactwa i dobrobytu niemieckiego, przechodzi następnie P. Bureau do Francji i cyframi wykazuje, jak miasto zysków i oszczędności, jakie spodziewała się osiągnąć przez zmniejszenie ilości dzieci, naraziła się tylko na „niepowetowane straty“ (str. 212—222). Niema rąk do wyzyskania ziemi i skarbów w niej ukrytych, brak inicjatywy w handlu i przemyśle ze strony młodego pokolenia, skrzywionego błędnem wychowaniem, dochody maleją a długi rosną. Neomaltuzjańscy politycy-ekonomiści obiecywali nam — pisze P. Bureau (str. 224) — „że dzięki 6 miljardom, które zaoszczędzimy rocznie na pozbyciu się miliona dzieci, wzniesiemy się do szczytu

bogactwa, a tymczasem zubożeliśmy w oplakania godny sposób"; wśród innych państw Francja znalazła się pod względem finansowym dopiero na czwartym miejscu, daleko poza Niemcami.

Niemniej ujemnie odbić się musiał stan ludnościowy Francji na arenie politycznej. W ogólnej liczbie ludności razem wziętych wielkich mocarstw europejskich, Anglii, Rosji, Niemiec, Austrii, Włoch i Francji, na tę ostatnią przypadało w r. 1700 około 38%, w 1789 r. 25%, w 1815 r. 20%, w 1882 r. 13%, w 1912 r. już tylko 10% ludzi. Francja stawała się zatem coraz mniej groźnym wrogiem, coraz słabszą sojuszniczką i miał głęboką słuszość Leroy-Beaulieu, kiedy pisał, że „ten stosunkowy i stopniowy ubytek może mieć poważne następstwa dla całości naszych interesów narodowych na lądzie i na morzu“ (str. 58).

Do tych zaś interesów można dodać jeden jeszcze punkt, tak drogi dla Francuzów: ich dominujące dawniej stanowisko na polu kulturalnem wśród narodów cywilizowanych. I ono zostało zagrożone z chwilą, z którą zubożała w ludzi Francja nie była już w stanie wysyłać w szeroki świat swych emigrantów, którzyby roznosili jej sławę, nawiązywali stosunki, jednali zwolenników. Kiedy bowiem sama Anglja wysłała w 1908 r. 177 tysięcy emigrantów, Włochy 246 tysięcy, Hiszpanja 156 tysięcy, Austria 108 tysięcy, to Francja dała ich zaledwie trzy tysiące. Nic dziwnego, że wpływ jej musiał maleć, podczas gdy przedstawiciele tamtych krajów wnosili wszędzie swój język, zwyczaje i nawiązywali stosunki handlowe.

Co gorsze, nie tylko nie zdołała Francja znaleźć synów, którzyby sławę jej roznosili po ziemi, ale wskutek ogromnej zniżki urodzeń znalazła się w niebezpieczeństwie najazdu na własnem terytorjum. Nie mając rąk do pracy, musiała je sprowadzać z zagranicy, a w ślad za proszonymi gośćmi przybywali i nieproszeni, których musiano przyjąć, by nie narażać stosunków sąsiedzkich.

Niektórych Francuzów cieszył wprawdzie ten napływ obcych; obiecywali sobie zaasymilować ich szybko i wypełnić nimi własne luki. Niestety, sprawa okazała się trudniejszą, niż się zdawało. Przybysze nie chcieli się rozdrabniać,

osiedlali się grupami, które utrzymywały swój język i tradycje i okazały się odpornymi na „l'heureuse plasticité de la nation française”. Miasto przybranych współbraci zastali Francuzi w swym kraju liczne kolonie Niemców, Włochów i Hiszpanów, rosące stale w liczbę. W r. 1851 liczba „étrangers” wynosiła 379.289, w 1911 r. już 1,132.696, w 1921 r. 1,417.357. Ściśle mówiąc, byłoby ich więcej, gdyby nie specjalne prawo naturalizacji z d. 26 czerwca 1889 r., którego zadaniem jest „francisation” obcych na podstawie ich urodzenia się na ziemi francuskiej, o którym jednak sam Leroy-Beaulieu wyraża się, że „jest to dobre prawo, ale nie może być zupełnie skuteczne” (str. 370).

Perspektywa stania się „konglomeratem narodów” i widmo wynarodowienia w razie dalszych postępów migracji, nieuniknionej wobec spadku urodzeń w kraju, stanęły też od lat przed oczyma Francuzów.

W takim stanie zaskoczyła Francję wojna światowa.

Do klęsk uprzednich, poniesionych w czasie pokoju, przybyły nowe: półtora miliona poległych, wielka liczba inwalidów i te wszystkie przykre następstwa, jakie towarzyszą podobnym burzom dziejowym.

Zdawało się, że ciężkie te przejścia wstrząsną wreszcie zbawiennie Francją, że nastąpi chwila otrzeźwienia. Tak było przecież po r. 1871; liczba ślubów i urodzeń podniosła się się wtedy znacznie, jakby chciano czempredziej powetować straty i zabiżnić rany, zadane ojczyźnie.

Lecz wtedy Francja była jeszcze moralnie zdrowsza, a przytem przegrała... dziś wyszła zwycięsko, a dusza jej zbyt już zgangrenowana.

Już przed wojną skarżył się Leroy-Beaulieu, że niższa liczba urodzeń, grożąca niedaleką katastrofą, nie budziła wśród społeczeństwa należnego wrażenia, że na widok tych bolesnych cyfr „opinia publiczna zdaje się odczuwać pewne lekkie zaniepokojenie, dzienniki poświęcają im kilka artykułów — lecz to wszystko mija wnet i jeżeli nie zaraz na jutro, to w każdym razie po kilku dniach zapomina się już o tych smutnych sprawozdaniach, opinia publiczna i władze państwowe okazują jednakową obojętność” w tej spr-

wie (str. 340). Już wtedy skarżył się na „paljatywy“, któremi osłaniano ponurą rzeczywistość, na owe „dytyramby, jakie wypełniają zwyczajnie głośnie urzędowe odezwy, przemowy przy rozdawaniu nagród i sprawozdania prasowe, wynoszące energję narodu i budzenie się ducha narodowego“ (str. 360). Odurzone tem społeczeństwo spało, a robak podgryzał je tymczasem coraz głębiej.

Po wojnie ostatniej sytuacja zmieniła się pod tym względem na lepsze. Olbrzymie straty w ludziach i bezpośrednie sąsiedztwo wroga, pałającego żądzą odwetu, zmusiły rząd i społeczeństwo do stanowczego zajęcia się problemem ludnościowym. Szereg organizacji, istniejących już przedtem, lub powołanych teraz do życia, rozpoczął żywą akcję, a instytucja dorocznych „Kongresów narodowych w sprawie urodzeń“ to jeden więcej etap zbiorowego wysiłku społeczeństwa francuskiego w tej ważnej sprawie; pierwszy taki kongres odbył się w r. 1919 w Nancy, czwarty we wrześniu ubiegłego roku w Tours. Bez względu na różnicę stronnictwa i wyznania radzono nad dobrem ojczyzny, projektów posypało się sporo, nie były one zresztą nowe; wszak kwestją wyludnienia zajmowano się gorąco już od kilkunastu lat i sporą bibliotekę możnaby dziś złożyć z prac w tym kierunku.

Z pośród wymienianych środków zaradczych wspomnijmy te, które zdobyły najszerze uznanie.

Pierwszy z nich to reforma obecnego prawa spadkowego, które zbyt ogranicza swobodę rodziców w rozporządzaniu majątkiem i zdaniem ogółu rzeczywiście nie sprzyja licznym rodzinom. „Vote familial“, na mocy którego ojciec licznej rodziny powinien posiadać prawo do więcej głosów przy wyborach, to drugi dziś silnie wysuwany punkt; „nie jest bowiem słuszne — pisze P. Bureau (str. 253) — aby celibatarjusz, albo ojciec jednego tylko dziecka, cieszył się takim samem prawem głosowania, jak obywatel, który przez większą liczbę dzieci zadzierzgnął tak ścisły węzeł pomiędzy losem swej rodziny a losem ojczyzny“. Wreszcie skrócenie czasu służby wojskowej dla członków licznych rodzin, ojców i synów, uchodzi za środek szczególnie ważny; byłaby to wprawdzie, przyznają projektodawcy, ofiara wielka, lecz ra-

czej należy osłabić armję, niż zmniejszyć ludność Francji; owszem, P. Bureau domaga się tego w imię sprawiedliwości, ponieważ „słuszność wymaga, aby rodzina, która wychowała pięciu synów, nie była zmuszona do 15-tu lat służby woj-skowej, a rodzina, mająca jednego syna, służyła tylko trzy lata“ (str. 256).

To są trzy zasadnicze środki, które dotyczyłyby ogółu społeczeństwa. Pozostałe mają znaczenie dla pewnych tylko warstw, zwłaszcza robotniczych i wiejskich.

Proponowano więc udzielanie im pomocy pieniężnej w formie: premij, poczynając od trzeciego dziecka, ubezpieczeń i pensyj dodatkowych. Kwestja t. zw. „salaire familiale“, na mocy której pracodawca miałby płaćć więcej ojcu licznej rodziny, niż kawalerowi lub robotnikowi, mającemu tylko jedno albo dwoje dzieci, jakkolwiek gorąco popierana przez jednych, ma jednak przeciwników; przeciw niej oświadczył się już dawniej ze stanowiska ekonomji Leroy-Beaulieu, który radzi zatrzymać płace równe, a fundusze do pensyj dodatkowych zaczerpnąć z instytucyj państwowych, samorządowych i prywatnych. Budowa tanich mieszkań, które za niewielką opłatą wynajmowanoby tylko rodzinom licznym i które odpowiadałyby wszelkim wymogom higieny, to dalsza piękna, choć nie łatwa do zrealizowania myśl; tam, gdzie ona nie dałaby się przeprowadzić, proponowano znaczniejsze obniżenie, a przy większej liczbie dzieci nawet zupełne zwolnienie od podatku mieszkaniowego i niektórych innych podatków bezpośrednich. Inni wysuwają, obok reformy szkolnictwa i zmiany prawodawstwa pracy, także propozycje różnych przywilejów dla licznych rodzin, jak zarezerwowania dla ich dzieci wszystkich stypendjów szkolnych, oraz obsadzania stanowisk państwowych w przeważnej części tylko członkami takich rodzin.

Niestety, stare grzechy mszczą się na Francji. Nie tylko nie zrealizowano dotychczas projektów, wymagających większych ofiar pieniężnych, co zresztą jest częściowo zrozumiałe przy dzisiejszym stanie finansów kraju, ale w zapale obrad pomijano zbyt często najgłębsze przyczyny niedomagań i dlatego nie zastosowano właściwych środków zaradczych. Zapomniano, że nie prawo spadkowe, jak twierdzi szkoła Le

Play, było główną przyczyną spadku urodzeń, bo spadek gwałtowny rozpoczął się dopiero od r. 1890, podczas gdy prawo obowiązywało od początku XIX w.; nie spowodowała go również służba wojskowa ani podatki, jak to wykazuje porównanie ze stanem w innych krajach. Zapomniano, że kwestja pożycia małżeńskiego i dzieci, to przedewszystkiem kwestja moralna, a ekonomiczna dopiero w drugim rzędzie.

Przeglądając zestawienia statystyczne urodzeń w poszczególnych departamentach francuskich, wybrał Leroy-Beaulieu te z pośród nich, które wykazywały stosunkowo największą płodność i zapytał, co jest wspólną ich cechą, której możnaby przypisać dodatni ów stan. I znalazł jedno tylko: że „są to departamenty, w których ogół ludności pozostał w wielkiej części wierny swym wierzeniom religijnym“ (str. 395). A kiedy z kolei uczynił przegląd drugiej kategorii, departamentów odznaczających się największą nieplodnością, doszedł do wniosku, że źródłem jej jest „pewien rodzaj neopoganizmu“, który objawia się w zarzuceniu wszelkiego wyższego ideału, niskim egoizmie, szukaniu tylko używania i osłabieniu poczucia obowiązku.

I dlatego kiedy przystąpił do rozbierania wymienionych powyżej środków zaradczych, pochwalił i polecił wszystkie, ale podkreślił stanowczo, że mają one tylko znaczenie drugorzędne, jako „rodzaj publicznej reklamy na rzecz licznej rodziny“ i jako objaw troskliwości rządu o tę sprawę, ale nie jako lekarstwo właściwe — to musi być natury moralnej, jeżeli ma usunąć źródło choroby.

Na pierwszym miejscu należy więc, zdaniem jego, przywrócić dawne znaczenie religji i wzmocnić je, a nie prowadzić hańbę przynoszącej walki z nią w życiu publicznem i w szkole, jak to czynił dotychczas rząd francuski.

Powtóre, trzeba rozpocząć bezwzględna walkę przeciw niemoralności publicznej w literaturze i sztuce, oraz karać surowo wszelką propagandę neomaltuzjańską.

Tak pisał uczony francuski przed wojną. A kiedy wojna światowa minęła, to samo, tylko silniej jeszcze, powtórzył drugi paryski profesor nauk społecznych, P. Bureau. A miał

o czym pisać i miał się na czym oprzeć; przeszedł okres burzy i patrzył na zniszczenie po niej pozostałe.

Wojna nigdy nie sprzyja życiu moralnemu. Przytępienie uczuć ludzkich, towarzyszące jej okropnościom, odbija się zwykle ujemnie na wszystkich szlachetniejszych stronach natury człowieka. Niezdolny do szukania wyższych, godnych siebie rozrywek, a potrzebujący ich koniecznie, schodzi łatwo do nizin, w których triumfuje tylko instynkt. Toteż nierząd, w najszerszem tego słowa znaczeniu, rozpanoszył się jeszcze silniej niż dotychczas tak wśród wojsk francuskich, jak w głębi kraju.

Lecz dajmy temu pokój. To była faza smutna, ale przejściowa — obecnie zaś chodzi nam głównie o to, co działo się we Francji po zawarciu pokoju. Czy zwycięska wprawdzie, ale do głębi przejęta widokiem swych strat, ocknęła się i porzuciła dotychczasowe drogi?

Trudno w krótkim artykule skreślić te fazy, jakie stopniowo przechodziły poszczególne grupy społeczeństwa francuskiego w ciągu tych kilku lat. Krótko i wężlowato zaznaczmy tylko — że stan ogólny pogorszył się znacznie.

Żądza użycia i usuwanie się od wszelkich ciężarów, zwłaszcza ojcowskich i macierzyńskich, wzrosły do niebywałych rozmiarów. Stąd malejąca liczba małżeństw i dzieci, a zato tem silniej kwitnąca „wolna“ miłość. Prostytucja szerzy się w najlepsze i korzysta skwapliwie z każdej sposobności, by wcisnąć się do instytucyj, założonych w zupełnie odmiennym celu; tak zdołała np. wciągnąć w swą służbę piękną organizację „Matek chrzestnych“ dla żołnierzy, stworzoną podczas wojny i pod jej firmą przemyciała własne ogłoszenia, zarówno sprzedających jak klientów; w jednym tylko numerze „Vie Parisienne“, z początku 1917 r., naliczono 199 takich anonsów. Wprawdzie dekret z r. 1916 nie pozwalał na zamieszczanie ogłoszeń bez pozwolenia komisarza policji i liczne towarzystwa walki z niemoralnością chciały skorzystać z tego środka, lecz władze publiczne odmawiały stale wszelkiej interwencji i zło uchodziło bezkarnie.

„Biura“ i ateliers pomnożyły się znacznie, nikt im nie przeszkadzał, ani władze ani społeczeństwo, powtarzano so-

bie, że instytucje takie są konieczne „dla bezpieczeństwa uczciwych kobiet na ulicy”. Ile kobiet — między niemi osoby z wysokiego świata arystokracji finansowej i rodowej — oddaje się temu rzemiosłu, nikt dziś nie zliczy; jeżeli kilka lat przed wojną liczbę zawodowych prostytutek we Francji oceniano na pół miliona, to można w przybliżeniu wyrobić sobie pojęcie o stanie obecnym. Handel żywym towarem odbywa się tem energiczniej, że jest to przedsiębiorstwo niesłychanie rentowne i cieszące się raczej poparciem ze strony zwierzchności, niż utrudnieniem. Podczas wojny władze wojskowe żądały zwykle same założenia nowych lub rozszerzenia istniejących już domów publicznych i otaczały je specjalną opieką, a jeżeli przypadkiem uczciwy komendant rozkazał je zamknąć, wnet wyższe władze uchylały ten zakaz.

Atmosfera taka działa zawsze zarazliwie, a podsycana teatrem, kinem, rozdmuchiwana przez obfitą, jawną i tajną literaturę pornograficzną, oraz przez propagandę „wolnej miłości”, prowadzoną od lat przez szereg znanych pisarzy z Paul i Victor Margueritte na czele, musiała się odbić najfatalniej na całym życiu rodzinnem. Toteż rozwody wzrosły silnie w liczbę, a dzieci — te gdzieindziej tak kochane i upragnione dzieci — stały się bardziej niż dotąd przedmiotem lęku, ciężarem, przed którym wielu zabezpiecza się starannie, a jeżeli nieszczęśliwy wypadek sprawi, że ochrona zawiodła, pozbywa się go czempredziej drogą lekarską.

Neomaltuzjanizm wzmógł się też obecnie niezwykle, a na usługach jego stoją legjony publicystów, lekarzy, aptekarzy, akuszerok, kupców i przemysłowców. Najwstrętniejszą zaś przytem jest olbrzymia reklama, która polecając środki antykoncepcyjne, nie waha się odwoływać do ochrony piękna i szczęścia zarówno osób używających je, jak i dzieci, które dzięki nim przyjdą na świat; piękno ze zgnilizną moralną, dobro ze zbrodnią znajdują się w ten sposób obok siebie w jakimś dziwnym, nieludzkim zespoleciu, harmonizującym chyba tylko z temi istotami bez serca, które tak lekkomyślnie szafują własną godnością i życiem cudzem.

Bo rzeczywiście uczucia wyższe, nie mówiąc już o chrześcijańskich, zatraciły się już dawno wśród znacznej części

społeczeństwa francuskiego. Dowodem tego jest fakt, że praktyki neomaltuzjańskie uprawiane są we wszystkich warstwach, nawet katolickich; ludzie skądinąd najlepsi, wzorowi w pożyciu codziennym, na tym punkcie są niepoprawni, robią niemal cnotę z występku. Opinia zaś publiczna tak została spaczona, że mieni się „naiwnymi” tych, którzy chcą żyć czysto przed ślubem, a po jego zawarciu trzymać się drogi właściwej; wyśmiewa się rodziców, mających więcej dzieci, wyraża się pogardliwie o takich „mrowiskach”, widzi w tem coś „indécent”. Od czasu wojny sytuacja polepszyła się nieco, ale tylko wśród części społeczeństwa, i to katolickiego.

Liczba przerywań ciąży wzrosła po wojnie znacznie, zarówno u kobiet wolnych jak mężatek. O zakazach prawnych zapomniano już dawno, dziś rzecz ta uchodzi bezkarnie, stała się czemś pospolitą, owszem modną. Charakterystycznym jest, co w tym względzie pisze P. Bureau (str. 28): przerwanie ciąży zarządza się dziś „bądź to ponieważ przerwywa okazała się nieskuteczną, bądź że kochający się zaniedbali pewnych środków ostrożności przy jej użyciu, bądź też dla jakiegokolwiek innej przyczyny, a przedewszystkiem poprostu dlatego, że w ostatnim dwudziestolecu idea przerywania ciąży zaaklimatyzowała się do tego stopnia w umysłach, że już nie budzi nawet odrazy”. Jeżeli zaś kto upomni się, czemu prawo nie każe winnych, drudzy patrzą na niego jak na „oryginała, który spadł z innego świata”.

Nic dziwnego, że przy takim poglądzie na życie człowieka i jego wartość, przy takim poniewieraniu własnego dziecka, musiało serce ludzkie zdziżyć, a wrodzone uczucia rodzicielskie stępieć mocno lub nawet zagać. Jedno albo najwyżej dwoje dzieci dopuszcza się do istnienia — wielu nawet tego nie chce, a jeżeli przypadkiem muszą je przyjąć, biednemu dziecku wypadnie nieraz ciężko odpokutować za to zuchwalstwo, że odważyło się zjawić wbrew woli rodziców. Ci, którzy nas reprezentują słowem i piórem — pisze P. Bureau (str. 83) — „wynoszą uprzedzającą miłość, jaką otaczamy dziecko... podczas gdy w rzeczywistości my męczymy i zadajemy tysiączne cierpienia na ciele i na duszy setkom tysięcy dzieci... Od czasu do czasu

dzienniki donoszą o męczarniach dzieci, które własni rodzice dręczą, katują lub czynią kalekami... Jest to znamiennej cechą naszych czasów, że zostaliśmy zmuszeni do wydania ustawy w celu zapobieżenia złemu obchodzeniu się rodziców ze swymi dziećmi, oraz w celu ochrony dzieci moralnie zaniedbanych lub, co gorsze, zepsutych przez własnych rodziców". Zdarza się nawet, że ta niechęć do dziecka przechodzi w nienawiść, posuwającą się do zabójstwa i „faktycznie wypadki dzieciobójstwa stały się za dni naszych daleko częstsze, niżbyśmy mogli sądzić na podstawie statystyk kryminalnych“.

Do takiego zwyrodnienia doszło dziś wielu we Francji. Pokazało się, powiada P. Bureau, że „owo uczucie nieskończonej tkliwości dla swych dzieci“ da się jednak wyrwać z serca matki i ojca, że bezgraniczny egoizm, owoc przerafinowanej pogańskiej kultury, potrafi wziąć górę nad wszystkim, co wielkie i święte.

Lecz jakkolwiek bolesnym jest ten widok, Francja zbiera przecież tylko żniwo własnego posiewu. Rozpętano walkę z Kościołem, wypędzono zakony, usunięto naukę religii ze szkoły, wprowadzono na jej miejsce naukę moralności „świeckiej“, a tem samem przysposobiono odpowiedni grunt pod te doktryny, które uznając całą rację życia ludzkiego tylko na ziemi, starają się wykorzystać i uprzyjemnić je po swojemu, nie oglądając się na żadne prawa wyższe. Pokazało się jednak, że te prawa wyższe istnieją i że bezkarnie ich naruszać nie wolno.

Zawinili tu częściowo wszyscy. Społeczeństwo, że nie reagowało zawczasu i stanowczo przeciw złemu, lecz owszem w znacznej mierze popierało je. Zawinił rząd, który zamiast czuwać nad dobrem ludności, popierał raczej akcję wroga, stawał w obronie neomaltuzjanizmu, nie przestrzegał praw wydanych, patrzył przez palce na wykroczenia i zbrodnie, popełniane na dzieciach. Co prawda, powiedzmy na usprawiedliwienie, rządowi temu nie trzeba się bardzo dziwić; wszak składa się on z ludzi takich — jakich mu społeczeństwo dało. A ponieważ, jak wiadomo z zeznań samych Francuzów, liczni najwyżsi mężowie stanu, oraz przedstawiciele władzy po miastach i miasteczkach nie dają bynajmniej do-

brego przykładu, ani jako mężowie, ani jako ojcowie, nie można się dziwić, iż mają na tyle „uczciwości“, że nie żądają od drugich tego, czego sami nie robią.

I dlatego nic nie pomogą, lub przynajmniej bardzo mało, wszelkie środki zewnętrzne: represje na celibatarjuszów, podatki, ustawy karne, bo na to wszystko znajdzie się rada, jak się znalazła dotychczas. I daremne będą wszelkie premje, ubezpieczenia i pensje, bo kto nie zechce mieć dzieci, ten bez premij będzie stał lepiej finansowo. „Mojem zdaniem — pisze P. Bureau (str. 263) — trzeba przystąpić do tego problemu z dalszego punktu widzenia i uchwycić go o wiele wyżej; rozwiązanie jego możliwe jest tylko przez zastosowanie nowego systemu wychowania młodzieży i dorosłych, a cała ta reforma, prawodawcza czy ekonomiczna okaże się daremną, jeżeli nie będzie jej towarzyszyła głęboka reforma obyczajów i poziomu moralnego“.

Póki to nie nastąpi, gospodarka ludnościowa Francji pójdzie dalej dotychczasowym torem. A jak wygląda bilans ostatnich jej lat?

W roku	było urodzeń		zgonów
	ogółem	na 1.000 mieszk.	ogółem
1920	834.411	21·3	674.621
1921	813.396	20·7	696.373
1922, I pół- rocze	396.726	—	387.681

A zatem w porównaniu do r. 1920 ogólna liczba urodzeń (żywych) obniżyła się w 1921 r. o 20.015, nadwyżka zaś urodzeń nad liczbą zgonów, która w r. 1920 wynosiła 159.790 ¹⁾, spadła w 1921 r. do 117.023 ²⁾.

W pierwszym półroczu 1922 r. liczba ogólna urodzeń (żywych) wynosiła 396.726, to jest o 24.454 mniej, niż w pierwszym półroczu r. 1921-go; nadwyżka zaś urodzeń nad cyfrą

¹⁾ W tym samym roku Niemcy miały 623·367 nadwyżki urodzeń.

²⁾ W tem 16.884 z nowo odzyskanych departamentów, Alzacji i Lotaryngji, podczas gdy we wszystkich 87 departamentach dawnej Francji nadwyżka urodzeń nad liczbą zgonów wyniosła w 1920 r. tylko 109.139.

zgonów, która w tymże okresie r. 1921-go wyniosła 72.851, spadła w pierwszym półroczu 1922-go roku do 9.045.

„Do wynikach roku 1920 i 1921 — pisano też niedługo potem — można się było spodziewać, że nastąpi poprawa w kwestji narodeń we Francji. Lecz cyfry 1922 roku, o ile drugie półrocze nie przyniesie znacznie lepszych rezultatów, niweczą te nadzieje. W liczbie 9.045 nadwyżki urodzeń w ciągu sześciu miesięcy, 6.179 zawdzięczamy trzem nowym departamentom (Alzacji i Lotaryngji). W pozostałych 87-iu nadwyżka wynosiła tylko 2.866. Na ogólną zaś liczbę 90-iu departamentów francuskich w 51 z nich było więcej zgonów niż urodzeń“.

Wobec tego zrozumiała się staję owa ponura refleksja w *Libre Parole* z d. 3 marca b. r.: „Nikt nie może zaprzeczyć, że niebezpieczeństwo jest groźne, nie tylko dla pomyślności ale dla samego istnienia Francji: po 20-tu latach zdołamy naprzeciw siedmiu lub ośmiu młodych żołnierzy niemieckich postawić ledwie jednego z naszej strony; coraz trudniej będzie nam uprawiać własną ziemię i coraz mniej będziemy rozporządzali dostateczną liczbą rąk roboczych dla naszego przemysłu; zostaniemy powoli przez infiltrację czy też przez inwazję, skolonizowani przez obcych, wywłaszczeni równocześnie z naszych bogactw materialnych i pozbawieni naszego sposobu myślenia, naszych uczuć. To jest nieuniknione i spotka nas z nieubłaganą koniecznością, jeżeli nie zdołamy zareagować“.

„Być albo nie być“ — stanęło więc przed Francją.

Wiele się dziś mówi i pisze o odrodzeniu Francji, zwłaszcza na polu religijnem ¹⁾ — tak to prawda, ale to dopiero początki i minjatura.

Francja może się dziś poszczycić ludźmi, której mogliśmy jej pozazdrościć, a organizacje jej katolickiej młodzieży, akademików, lekarzy, inteligencji, mogą nam służyć za wzór. Ale to, co najważniejsze, szerokie sfery społeczeństwa leżą tam jeszcze pod względem duchowym odłogiem. Katolicy francuscy piszą wiele o swych związkach, manife-

¹⁾ Por. „Przegląd Powsz.“, grudzień 1920, str. 353 i styczeń 1921, str. 33.
Prz. Powsz. t. 158.

stacjach religijnych, wynikach pracy społecznej, ponieważ lepiej od nas rozumieją znaczenie reklamy i ponieważ im to imponuje jako zjawisko nowe, niezwykle na tle ogólnego pogaństwa w kraju. Ale gdyby zobaczyli nasze świątynie przepełnione, tłumny udział w procesjach, liczbę osób uczęszczających do sakramentów św., zdumieliby się i poznali dopiero, że to, co mają, jest niczem niemal.

Miejmy nadzieję, że z czasem wysiłki ich przyniosą pożądaną owoc i „Matka Świętych” Francja znowu zabłyśnie dawną chwałą. — Ale to są horoskopy dalekie, a narazie śmierć zagląda jej w oczy.

Nie chcemy za nic jej zguby, życzymy jej z całego serca, by powstała jak najprędzej; wszak to nasz sprzymierzeniec, tylu węzłami spojony z duszą i historią naszą. Nie odkrywaliśmy też bolesnych jej ran, gdyby sami Francuzi więcej jeszcze o nich nie pisali — i gdyby nie dyktowała nam tego troska o własną ojczyznę.

Bo to, co podkopało ducha, a z nim życie narodu francuskiego, to i u nas istnieje w niemałej mierze i szerzy się ciągle. Mimo drożyzny produkuje się w niebywałych rozmiarach literaturę pornograficzną, a społeczeństwo milczy, władze nie przeszkadzają, owszem autorów spotykają odznaczenia. Praktyki neomaltuzjańskie dawno są znane wśród naszych sfer inteligentnych, a tak mało brakuje, by dostały się niedługo do warstw robotniczych, a potem włościańskich; wszak „*Kultura robotnicza*” p. J. Hempla pisała niedawno (24. II. b. r., str. 210) w rubryce „Odpowiedzi redakcji”: „Godzimy się zupełnie z Wami, że nadmierne rozmnażanie się wcale nie jest korzystne dla proletariatu; burżuazja jednak otoczyła tę sprawę licznymi przesadami i nawet zakazami prawnymi — mówić o niej otwarcie nie wolno; burżuazja chce, aby robotnicy mieli dużo dzieci, bo wtedy ręce będą tańsze i będzie dużo żołnierzy”. Różne przedmioty techniki zapobiegawczej nie tylko wystawia się po sklepach, ale reklamuje po dziennikach, a nie słyszeliśmy o żadnych protestach. Wreszcie walki religijnej w ścisłym znaczeniu nie mamy wprawdzie, żyjemy przecież w kraju katolickim, ale przygotowania do niej czynione są z wielu stron, a pisma socjalistyczne i wolnomyślnie pracują nieustannie nad tem,

by przez zrównanie religji katolickiej z innemi wierzeniami i zabobonami wydrzeć wiarę z serc ludu pracującego.

Lecz Francja uczy: łatwiej zapobiec złemu w początkach, niż ratować, gdy już jest za późno.

A nadto pamiętajmy, że jeżeli Francja zdoła wyjść szczęśliwie z obecnych opresyj, to uratuje ją jedno tylko — powrót do moralności i zarzuconych ideałów chrześcijańskich.

Czyż więc warto od nich się oddalać nato — by złamani i ze wstydem wracać do nich po klęsce?

KS. STANISŁAW PODOLEŃSKI.

Głos kultury polskiej.

(Do Rządu i Sejmu).

Cały świat istotnej inteligencji polskiej od paru już lat przeczuwa grozę upadku etyki i moralności swego społeczeństwa. Upadek ten należałoby uważać jako następstwo powolnego zaniku dawnej naszej kultury duchowej. Jest to rzecz pierwszorzędного znaczenia w życiu narodu, i tak olbrzymiej wagi, że ludzie przyzwyczajeni do głębszego rozważania spraw narodowych, a zawsze przejęci prawdziwą troską o ich przyszłość, są poprostu przerażeni tem, co się u nas na polu kultury duchowej dzieje. Dziwią się też nie mało, ale zbyt często, że w naszej prasie niewiele jest dzienników, a w nich nader rzadkie głosy, któreby podobnie jak niedawny artykuł p. Kazimierza Stołyhwo w „Rzeczypospolitej“ o stratach funduszków warszawskiego „Towarzystwa naukowego“, oraz odcinek w N-rze 99 „Gazety Warszawskiej“ p. t. „Uczeni i literaci“ zdolne były obudzić sumienie narodu.

Jeszcze przed rokiem możnaby sobie ten stan tłumaczyć położeniem w Sejmie i Rządzie. Do nich bowiem należą sprawy społeczne i narodowe, — ale na puszczy szkoda wszelkich głosów... bo wedle słów Mickiewicza „Nieszczęsny, kto dla ludzi głos i język trzodzi“.

Nie miałoby więc żadnego sensu i celu odzywanie się do społeczeństwa, którego sprawy gospodarcze i finansowe znajdują się w rękach tak fatalnych, że od czterech lat nie zdołały one zbudować nic trwałego na miejscu zburzonego systemu gospodarczego i skarbowego. Społeczeństwo straciło bowiem zaufanie do lewicowych budowniczych, którzy zniszczyli fundamenty życia gospodarczego w kapitałach

i majątkach prywatnych. Może dopiero czwarta generacja zapomni o ich robocie. Zatem aż po stu latach będą się tworzyć kapitały i fundacje majątkowe na cele kulturalne, — o ile zbudowany na wiekowym doświadczeniu dawny system gospodarstwa społecznego odżyje.

Wszak rodzice dzieciom, a te znów wnukom i prawnukom ciągle będą powtarzać żale o stratach, jakich doznali przodkowie przez zagrabienie ich majątków i kapitałów, nabytych drogą pracy i cnoty indywidualnej oszczędności. Historia ostatnich lat przewrotowych dłużej jeszcze będzie opowiadała, w jaki sposób jednym zamachem w jednym roku tysiąc dziewięćset dwudziestym przez niefortunne, dorywcze, źle obmyślane ustawy agrarne i ochrony lokatorów, szczególnie zaś przez ustawy o papierowej walucie markowej oraz przez rozmyślny brak ustaw podatkowych zniknęły fundacje pobożne, oświatowe, naukowe, stypendjalne i filantropijne w Polsce, jak przepadł cały dorobek kilku wieków począwszy od ks. Piotra Skargi „Banku Pobożnego“.

Towarzystwa naukowe z Akademią Umiejętności w Krakowie na czele, setki szkolnej młodzieży, kształcącej się kosztem stypendjów z t. zw. fundacji wiekuistych, straciły przez rewolucyjny środek nowej waluty papierowej fundusze do kulturalnej pracy. Ci zaś, co przez te straty zdobyli zyski i majątki w ziemi lub zakładach przemysłowych i fabrycznych, zostali zwolnieni od ponoszenia podatków i od płacenia długów i procentów, jakie dawniej z tych majątków wpływały do Skarbu Państwa i do instytucji kredytowych.

Kapitały owych publicznych fundacji, tak samo jak kapitały prywatne w listach zastawnych i papierach wartościowych, opiewały na złotą walutę rublową, koronową, czy też markową i były ubezpieczone na majątkach ziemskich i miejskich. A że relacja min. Grabskiego z roku 1920 pozwoliła je spłacać papierowymi bezwartościowymi markami, więc znikają te kapitały w społeczeństwie, opanowanym bezmyślnymi bankami, kierowanymi przez niesumiennych spekulantów. I tego u nas nikt nie spostrzega, o tem nikt słuchać nie chce, — bo panuje puszcza w mózgach i sercach ludzi, pragnących tylko zdobyć majątki wolne od dawnych długów, oczyszczone z wszelkich ciężarów i świadczeń na

rzecz posiadaczy rzetelnie nabytych listów zastawnych i papierów wartościowych.

Któż więc dziś uwierzy, że bony złotowe, pożyczka złota, lub świeżo projektowane złotowe listy zastawne nie ulegną takiemu samemu losowi, jaki spotkał listy zastawne opiewające na złotą walutę rublową i koronową, które znajdują się jeszcze w posiadaniu tych obywateli, co ich głód ostateczny dotąd nie zmusił do wymiany wedle relacji min. Grabskiego? Wszelkie więc projekty Ministra Skarbu o pożyczkach złotych i złotych listach zastawnych nie przyniosą Państwu żadnego pożytku. Na nic się zda polowanie banków i sfer finansowych na dalszą naiwność ludzi, których nawet pożyczką „Odrodzenia“ do reszty okłamano. — Aby przywrócić zaufanie, trzeba dziesiątki i setki lat uczciwie w sprawie publicznej pracować, a więc zapewnić zwrot zagrabionych kapitałów przez zabiegi około wskrzeszenia zdeptanej cnoty oszczędności i przez zbieranie zysków kasowych w szeregu następnych pokoleń. To przecie nie jest trudnem, jeśli się naprawdę wierzy w trwałość budowy nowej Polski.

W roku 1922 pojawiła się na półkach księgarni Gebethnera i Wolffa broszura p. t. „Pogrom dawnych rent i kapitałów“. W naszej puszczy głosy jej znikły, choć ona porusza sumienie członków Sejmu i Rządu i wskazuje wiele prostych dróg powrotu z wojennego bezprawia ku starym fundamentom gospodarstwa finansowego.

Z wywodów tej broszury wynika jasno, że drobne oszczędności milionów ludzi są — jak to u Francuzów widzimy — najpewniejszym podkładem waluty państwowej. Aby te oszczędności pozyskać, trzeba naprzód wskrzesić zdeptane zaufanie do kas oszczędności t. j. przywrócić dawnym wkładkom oszczędnościowym prawną wartość. Rozliczne kasy oszczędności i kasy Reiffeisena w Małopolsce i w Poznańskim były zbiornikami owoców skrzętnej i zapobiegliwej pracy milionów pszczoł roboczych, ciągle wypełniających owe ule miodne. Te kasy podtrzymywały Towarzystwa kredytowe ziemskie i banki, zakupując emitowane przez nie listy zastawne za nadmiar gotówki. Zostały jednak zupełnie zniszczone w imię walki z kapitalizmem, która wbrew zamie-

rzeniom walczących wzbogaciła nie państwo, lecz tylko posiadaczy ziemi i zakładów przemysłowych i fabrycznych, a zubożyła miliony ludzi, Skarb Państwa i fundacje publiczne.

Z owej broszury nie trudno wyrozumieć, że wzbogaceni posiadacze powinni być pociągnięci do zapłaty dawnych długów wedle ich istotnej wartości, oznaczonej w złotej walucie koronowej, rublowej i markowej, że Rząd czem rychlej powinien wystąpić przeciw dalszej dewastacji dawnych kapitałów i zabronić uwolnienia majątków obciążonych dawnymi hipotekami, jeśli one zostają spłacone obecną bezwartościową walutą markową. Dalsze straty, wyrządzone posiadaczom dawnych książeczek kas oszczędności i listów zastawnych powstrzymać należy, jeżeli się pragnie wzbudzić w społeczeństwie indywidualny zmysł oszczędzania w kapitałach. Instytucje kredytowe, banki i kasy oszczędności niechaj się nie obawiają bankructwa i ruiny przez przywrócenie istotnej wartości dawnym wkładkom i listom zastawnym, gdyż podobnie jak wojenne ustawy moratoryjne, — mogą nowe ustawy zabezpieczyć je przed masowymi wypłatami kapitałów, które powinny być rozłożone drogą losowań listów zastawnych w miarę uzbieranych zapasów gotówki na dziesiątki lat, aby ze zysków pracy następnych pokoleń zostały wyrównane szkody, wywołane sytuacją wojenną. Wszak obecnie różne akcyjne banki i towarzystwa wypłacają po 50% zysków od akcji i przez to śrubują ciągle drożyznę. A Rząd przeciw tej lichwie nie walczy, a nawet nie chce widzieć, że tylko przez zlikwidowanie obecnego spekulacyjnego systemu przemysłu bankowego i przez powrót do dawnego systemu kredytowego za pośrednictwem uczciwych kas oszczędności może przyjść do uzdrowienia spraw finansowych Państwa. Ale przedtem trzeba wskrzesić zaufanie do tych kas przez przywrócenie dawnym lokatom, w złotej walucie skutecznym, istotnej wartości.

Tą tylko drogą odzyskają fundacje publiczne, naukowe, i stypendjalne swoje kapitały i podstawy do życia, a zarazem obudzi się w społeczeństwie zdeptana ofiarność do tworzenia nowych fundacji i środków dla kultury polskiej, której tak straszny pogrom teraz zagraża.

FRANCISZEK SYPOWSKI.

Krzywdy Kościoła katolickiego ze strony rządu pruskiego w Wielkopolsce od czasu rozbiorów po r. 1848.

(Ciąg dalszy).

4) Grabież dóbr proboszczowskich.

„W przedmiocie zajęcia na mocy król. deklaracji z 28 lipca 1796 r. dóbr duchownych na rzecz skarbu państwa stanowi wyraźnie rozkaz gabinetowy z 23 maja r. 1796, że pojedyncze dobra probostw i kościołów, które służą tylko do utrzymania plebanów lub do pokrycia potrzebnych wydatków kościelnych, od zajęcia tego wyłączone być mają. Władze, trudniące się tem zajęciem, w gorliwości swojej o interes fiskalny, nie zważały jednak ani na rozkaz ten gabinetowy, ani na traktaty, które zastrzegają Kościołowi spokojne posiadanie dóbr tych, ale owszem zabrały na rzecz fiskusa kościołowi bukowskiemu folwark Pawłówko z młynem, kościołowi dusznickiemu folwark Lubieniec, kościołowi kostrzyńskiemu folwark Libartów, kościołowi międzyrzeckiemu i wielu innym jeszcze kościołom i probostwom w archidiecezji gnieźnieńskiej znaczne posiadłości gruntowe, z których im tak szczupłą kompetencję naznaczyły, że mało co więcej nad 2 srebrniki (20 fenygów) z jednego morgu gruntu otrzymują.

Wszelkie zaś w tej mierze poczynione reklamacje, poparte niewątpliwemi, na dokumentach opartemi wykazami, jako dobra te częścią na wyposażenie plebanów lub ich po-

mocników przeznaczone, są darowizną prywatnych fundatorów i że wyznaczona za to przez rząd kompetencja nie znajduje się w żadnym stosunku z czystym i rzeczywistym z nich dochodem, całkiem zostały nieuwzględnione. Fiskus zatrzymał raz zabrane dobra pomimo udowodnionego mu nieprawego ich posiadania, a wnioski o wydanie napowrót tychże dóbr, a przynajmniej o ustanowienie kompetencji, odpowiadającej prawdziwemu z nich dochodowi, we wszystkich instancjach odrzucono¹⁾.

5) Znoszenie klasztorów i szafowanie ich majątków na cele protestanckie.

„Klasztory nie miały już wprowadzić nic powabnego dla fiskusa po zabraniu poprzednim ich dóbr ziemskich, jednakże sam był stał się rządowi wstrętnym, a tak zaraz po reokupacji w r. 1815 dążono zwolna ku ich zniesieniu. W tym celu wyszedł zakaz przyjmowania nowicjuszków do istniejących jeszcze zakonów, a gdy przez to warunek życia tychże instytutów, które nowymi siłami już się dalej pokrzepiać nie mogły, zniweczony został, znoszono jeden po drugim w miarę, jak się zmniejszała liczba braci zakonnych.

Nie zważano przy tem postępowaniu jednak ani na postanowienie traktatów z lat 1773 i 1793, według których katolikom zaręczono zostało pozostawienie wszystkich ich kościołów i dóbr kościelnych, ani też na przepisy prawa kanonicznego, według którego majątek zniesionych korporacji duchownych do Kościoła wracać się powinien, albo na inne odpowiadające cele kościelne rozporządzeniem zwierzchności duchownej być przeznaczony, ale owszem uważała władza krajowa majątki te jako do wyłącznego rozporządzenia swego należące i szafowała niemi zawsze według swego tylko upodobania. Dochody zniesionych klasztorów, obciążone obligacjami mszalnemi, obracano zwykle tam, gdzie z ubytku klasztoru dotkliwy brak pomocy w służbie kościelnej wynikał, na wyposażenie pomocnika przy kościele parafjalnym. Wszakże małem to tylko było wynagrodzeniem za

¹⁾ L. c., str. 37/38.

liczne usługi samych zakonów, u których katolicy miejscowi i z okolicy skorą pomoc in cura animarum w konfesjonale i przy odbywaniu chwały Bożej znajdowali, ubodzy zaś i biedni zawsze i w każdej ich dotykającej doli pożywienie i wsparcie znajdowali.

Wolny zaś i ograniczeniu nie uległy majątek poklasztorny użyła władza krajowa na cele szkolne, wszakże nie wyłącznie tylko, jakby się słusznie i sprawiedliwie należało było, na rzecz szkół katolickich, lecz po największej części na rzecz szkół protestanckich. Tak z majątku zniesionych klasztorów księży Karmelitów w Bydgoszczy i Markowicach, jakoteż klasztoru księży Cystersów w Koronowie otrzymało znaczne zasilenia gimnazjum w Bydgoszczy, złożone z samych niemal protestanckich nauczycieli. Tamtejsze protestanckie seminarjum nauczycielskie umieszczono w zabudowaniach klasztoru bernardyńskiego, tudzież szkołę protestancką w Koronowie. Majątek kościoła Krzyżaków św. Jana w Gnieźnie przekazany został w dwóch trzecich częściach tamecznej szkole katolickiej, w jednej trzeciej części szkole protestanckiej. W Inowrocławiu zaś, o ile wiadomo, w majątku byłego tamtejszego klasztoru franciszkańskiego szkoły katolicka i protestancka równy biorą udział i t. d.

Za długo było czekać władzy administracyjnej na wygaśnienie klasztorów przez zgon zakonników: wniesiono zatem r. 1832 o natychmiastowe uchylenie wszystkich istniejących jeszcze w Księstwie klasztorów, a komisja bezpośrednia, z samych protestantów złożona, skreśliła osobny plan podziału majątku, z tej supresji do rozporządzenia przypaść mającego, który też w miesiącu marcu 1833 królewskie zatwierdzenie uzyskał. Wedle tego planu majątek wszystkich klasztorów, które w przeciągu trzech lat zniesione być miały, pozostający po wyposażeniu beneficjów, na które pasterstwo dusz, przez klasztory dotąd sprawowane, przechodziło, przeznaczony został w ogólności na polepszenie kościołów i szkół W. Ks. Poznańskiego, atoli znowu bynajmniej nie samych katolickich, jakby słusznie i sprawiedliwie należało było, lecz także i protestanckich. Mianowicie wyznaczono z tak nazwanego sekularyzacyjnego funduszu dla gimnazjum ewangelickiego nowo erygowanego w Poznaniu rocznego do-

chodu (renty) 3500 tal., tudzież na stypendja dla młodzieńców niemieckiego pochodzenia z prowincji poznańskiej, t. j. zazwyczaj z ewangelików, umiejących po polsku i pragnących się sposobić na gimnazjach i wszechnicach do stanu nauczycielskiego i urzędów krajowych w W. Ks. Poznańskiem, 2000 tal. rocznie. Nadto najczęściej w miejscach, w których zniesione zostały klasztory, uwzględniono protestanckie szkoły, częścią mieszcząc je w gmachach poklasztornych, częścią wydzielając im zaopatrzenie z ogrodów klasztornych. — Nakoniec wyznaczono nawet z tego sekularyzacyjnego funduszu rocznego dodatku 6000 tal. na podsycenie funduszu budowlanego w patronacie rządowym, zatem jedynie na korzyść fiskusa. Z patronackiego funduszu budowlanego bowiem, jak wiadomo, kosztą budowy tych kościołów i szkół pokryte bywają, do których fiskus w własności swej, jako patron, prawnie jest zobowiązany. Kosztą te więc fiskus, równie jak każdy inny patron, li z własnych funduszy czynić powinien. A kiedy tak podobało się rozrządzać katolickimi funduszami na obce zupełnie cele, wiele bardzo i naglących potrzeb szkół katolickich, jak się to niżej pokaże, ani zaspokojone, ani uwzględnione nie zostały¹⁾.

6) Pogwałcenie interesów katolickich w Gołańczy.

„W mieście Gołańczy istniał klasztor bernardyński, założony w r. 1701 przez ówczesnego właściciela miasta. — Oprócz kościoła klasztornego był wprawdzie w Gołańczy jeszcze osobny kościół katolicki parafjalny. Gdy jednak parafia tamtejsza jest dość znaczna i kościół parafjalny ku tej potrzebie nie wystarczał, przeto w dniach niedzielnych i świątecznych zazwyczaj oba kościoły wiernymi bywały napelnione. Kiedy więc r. 1832 klasztor wygaś, przeniósł pleban katolicki stosownie do życzenia parafjan swoich nabożeństwo parafjalne do kościoła klasztornego, ile że kościół parafjalny, drewniany tylko, już był nadrujnowany, kościół zaś klasztorny murowany, w którym zresztą parafjanie szczegól-

¹⁾ L. c., str. 33—41.

niejsze mieli zamiłowanie i w tej dobrej zostawali wierze, że ta świątynia z dawien dawna służbie Bożej wyznania katolickiego poświęcona, której oni i praojcowie ich bez przerwy używali, do której reparaacji w najnowszych jeszcze czasach po uszkodzeniu jej przez pożar r. 1813 znaczne konwentowi w składkach i służbowościach nieśli wsparcie, bezprzecznie, jako kościół parafjalny, pozostawioną im zostanie. Stało się atoli inaczej; pod dniem 27 maja 1829 wyszedł rozkaz gabinetowy, wedle którego kościół ten nowo zakładanej gminie ewangelickiej w Gołańczy przekazany został z rozkazem ukonstytuowania osobnego ewangelickiego kaznodziei, umieszczenia go w budynku klasztornym i z nadzieją uposażenia go z funduszy rządowych; gdy tymczasem katolików z ich potrzebami, mianowicie pod względem naprawy kościoła parafjalnego i pomieszkania dla plebana, jeżeliby ostatni w gmachu klasztornym obok pomieszkania dla ustanowić się mającego ewangelickiego kaznodziei pomieszczenia nie znalazł, jedynie do istniejących postanowień prawa odesłano. Napróżno ofiarowali parafjanie katolicy gminie protestanckiej, nowo ukonstytuowanej i z niewielu rodzin złożonej, stary kościół parafjalny. Zamiana ta nie przysłała do skutku, a gdy następnie gmina protestancka o przekazanie sobie kościoła klasztornego nalegała, przeniesienie zaś służby Bożej katolickiej do kościoła parafjalnego nie mogło nastąpić z powodu, iż ten już tymczasem mocno był podupadł i dopiero znaczną reparaacją podźwigniony być musiał, zaprowadzone zostało symultanne nabożeństwo w kościele klasztornym, przy którego pierwszem odbywaniu na dniu 15 września 1833 przyszło do owego opłakanego rozruchu, który tyle rodzin katolickich nieszczęśliwymi uczynił. Nawet i kapłan katolicki Michalski, który przy owej sposobności wszelkimi siłami starał się uspokoić wzburzone umysły, nie tylko pociągnięty został do śledztwa, lecz też 2 lata w więzieniu był trzymany, na końcu atoli w głównej treści za niewinnego uznany został. — Protestanckiego zaś kaznodzieję, który niestosownem się wzięciem oburzenie katolików szczególnie wywołał, z powodu, że z zapaloną fajką w ustach wobec katolików, na nabożeństwo zgromadzonych, na cmentarz kościołowi przyległy wstąpił, do żadnej za to nie pociągniono

odpowiedzialności. A kiedy później katolików najostrzejszemi zagnano środkami do odbudowania starego kościoła parafialnego na koszt ich własny i następnie do opuszczenia klasztoru, kościół klasztorny, kosztem rządu wyreperowany, przeszedł odtąd na wyłączną własność gminy protestanckiej. Same tylko budynki i ogrody klasztorne podzielono między gminy obydwóch wyznań na cele duchowne i szkolne; że takie rozporządzenia względem zakładów katolickich religijne uczucia nie tylko katolików w Gołańczy, ale i w całej prowincji głęboko obraziły i wszelką wiarę w równość praw z protestantami odjąć musiały, nad tem nie potrzebujemy się rozwodzić“.

7) Upośledzanie katolików przy budowie kościołów ¹⁾.

„Podczas gdy w ten sposób kościoły i szkoły protestanckie z poznoszonych zakładów katolickich wielokrotnie odnosiły korzyści i prócz tego z kas rządowych corocznie znaczne na wystawienie i wyposażenie kościołów wyznania protestanckiego pobierały sumy, musieli katolicy tutejszego Księstwa kościoły swe i budynki plebańskie, które w czasach dawniejszych zaburzeń wojennych wogóle bardzo były podupadły, wielkim kosztem z własnych zasobów odbudowywać. Aż do r. 1840 bodaj się jeden wydarzył wypadek, w którymby gmina katolicka, choćby też zebranie takowych składek było dla niej uciążliwszem i siły jej do ostatka wycieńczało, podarunek z kas rządowych była otrzymała. Nawet część należną, którą fiskus tam, gdzie był patronem, na budowę tego rodzaju miał płacić, powszechnie z największą tylko trudnością uzyskać było można. A przecież katolicy ponoszą ciężary rządowe równie, jak i protestanci, mają zatem, jeżeli zasada równości ma być rzeczywistością, te same prawa do wsparć z kas rządowych. To jednak przyznać należy z wdzięcznością, że J. Król. Mość, obecnie panujący (Fryderyk Wilhelm IV) już nieraz i katolickim gminom po

¹⁾ L. c., str. 41—44.

udowodnionej niemożności znaczne darowizny na tego rodzaju budynki łaskawie przeznaczyć raczył¹⁾).

8) Forytowanie protestantów w dziedzinie szkolnictwa średniego.

„Z kar pieniężnych, złożonych przez mieszkańców W. Ks. Poznańskiego, którzy w r. 1831 mieli udział w powstaniu Królestwa Polskiego, utworzono osobny fundusz i przeznaczono ze strony rządu na rzecz szkół. Ato! zdaje się, iż pod szkołami temi znowu rząd tylko protestanckie rozumiał: przynajmniej pieniądze te niemal wyłącznie na rzecz samych protestanckich zakładów, mianowicie protestanckiego gimnazjum w Poznaniu, szkoły realnej w Międzyrzeczu, obsadzonej li tylko protestanckimi nauczycielami i t. d., przekazano. Szkoły katolickie najmniej pono z tego źródła otrzymały, pomimo że już sama słusność szczególniejszego onych uwzględnienia wymagała z przyczyny, iż kary te pieniężne złożonemi były po większej części przez katolików. Lecz i sprawiedliwość przemawiała za tem, zważywszy, jak stosunkowo mało posiadają katolicy szkół w porównaniu z protestantami szczególnie w obwodzie rejencyjnym bydgoskim i jak jest rzeczą konieczną znieść ten stosunek niesłuszny i katolików przekonać, że jako obywatele państwa równe mają prawa z innymi, że ich rząd jako takich uważa i jako z takimi sobie postępuje.

Z wyższych katolickich zakładów naukowych istniało przy nowym rozbiórze r. 1815 w prowincji: gimnazjum poznańskie, bydgoskie i rydzyskie, progimnazja w Pakości i Wschowie wraz ze szkołą choralną w Trzemesznie. Wszystkie te zakłady były fundacjami katolickimi i z wyjątkiem kilku protestanckich członków, do niektórych z tych zakładów za czasów pierwszego zaboru pruskiego przyjętych, a następnie od rządu Ks. Warszawskiego nie wyrugowanych, częścią całkiem w liczbie przewyższającej katolickimi nauczycielami poobsadzone. Przez poprzednie długoletnie wojny zakłady te wprawdzie mniej lub więcej ucierpiały, ale znaczne

¹⁾ L. c., str. 44.

t. zw. prowincjonalne fundusze szkolne, z majątku zniesionego zakonu Jezuitów pochodzące, zostały prawie całkiem nietknięte i wystarczały na dostateczne utrzymanie wszystkich tych szkół i na tak odpowiednią potrzebom czasowym reorganizację, iżby młodzieży katolickiej, bez nieuchronnej obawy nadwężenia jej religii i języka, zaspokajająca do wyższego wykształcenia się sposobność mogła być podana. Nie tak się przecież stało. Regencji z jej protestanckimi radcami konsystorskimi i szkolnymi podobało się te zakłady częściowo znieść, częściowo je wprowadzić pozostawić, ale też zarazem z największym nadwężeniem praw katolików reorganizować. I tak progimnazjum w Pakości pod pozorem, jakoby potrzebom czasowym nie odpowiadało, zupełnie zniesiono bez pomyślenia o tem, aby w miejsce niego inne, a lepsze założyć. Tej samej kolei uległo gimnazjum rydzynskie, które z protestancką szkołą w Lesznie pod tym warunkiem złączone zostało, że przy zakładzie leszczyńskim, odtąd „gimnazjum“ nazwanym, miejsce rektora i czterech pierwszych nauczycieli tylko protestantami obsadzone być winny i że się duchowieństwu protestanckiemu zostawi dotychczasowy wpływ na odpowiednie miejsca nauczycielskie, tak że katolicy prawami, pozostawionemi im jeszcze przy wspomnianym zakładzie, za stratę swego dotychczasowego osobnego gimnazjum w Rydzynie prawie żadnego nie odebrali wynagrodzenia. A o ile w tym razie rząd jednemu wyższemu protestanckiemu zakładowi, który w prowincji został, nieetykalne jego prawa starannie zabezpieczył, prawa zaś katolików, które w obecnym przypadku ofiarą osobnego gimnazjum były okupione, lekce sobie ważył, o tyle i inne katolickie zakłady tego rodzaju przy reorganizacji, jaką w nich przedsięwzięto, daremnie się spodziewać mogły równie starannego uwzględnienia praw wyznania swego i owszem traciły one wszelkie swe piętno katolickie. Progimnazjum we Wschowie, które przy reokupacji, wyjąwszy technicznego członka, samymi katolickimi nauczycielami było obsadzone, zamienione zostało w szkołę realną czyli powiatową, przy której jeden tylko jeszcze katolicki nauczyciel pozostaje. Nawet ustanowienie prorektora katolika, rozporządzone przed dwoma laty (1846) przez ministerstwo, przez co wyrządzona katolikom krzywda

jakośkolwiek byłaby zrównoważoną, dotąd przez regencję poznańską nie zostało uskutecznione.

Gimnazjum w Bydgoszczy zreorganizowano w ten sposób, iż zasiliwszy fundusze jego znacznymi dodatkami z majątku zniesionych klasztorów, obsadzono je z wolna samymi protestanckimi nauczycielami tak dalece, iż w liczbie 11 jego nauczycieli tylko jeszcze 2 katolików niższe zajmuje miejsca.

Nie lepiej powiodło się głównemu instytutowi naukowemu w Księstwie, jakim jest gimnazjum poznańskie (Marji Magdaleny), przy tejże reorganizacji. Nauczycieli katolickich, których ona zastała przy niem, pooddalano wtenczas nawet, gdy ich zdadność i wykształcenie naukowe przez publiczność uznane były, a w ich miejsce posprowadzano nauczycieli protestanckich ze wszystkich części Niemiec tak dalece, iż r. 1832 tylko kilku jeszcze niższych nauczycieli katolickich przy tym instytucie pozostało, a tak wówczas już katolicy W. Księstwa ani jednego wyższego instytutu naukowego nie posiadali, któryby katolickim nazwać było można¹⁾.

9) Szykanowanie katolickich gimnazjów w Poznaniu, Trzemesznie i Ostrowie.

„Gdy zaś skutkiem tych zarządzeń młodzież katolicka ze stanów miejskiego i wiejskiego z obawy przesiąknienia protestantyzmem do gimnazjum Marji Magdaleny prawie wcale nie uczęszczała i przez to dojmujący czuć się dawał niedostatek aspirantów do stanu duchownego, spowodowaną się ujrzała wprawdzie władza krajowa do pewnych sprostowań i ustanowienia znowu niektórych instytutów z katolickimi nauczycielami, lecz i to nie obeszło się bez niesłuszności i niesprawiedliwości. Urządzono mianowicie r. 1832 z dotychczasowego jednego gimnazjum w Poznaniu dwa gimnazja, jedno katolickie, drugie protestanckie, z przekazaniem każdemu z nich połowy funduszów, jakie ten dotychczasowy instytut posiadał, bez wszelkiego względu na to, że gimnazjum katolickie rzeczywiście większe miało potrzeby, aniżeli protestanckie; tudzież że gdy wymienione fundusze wszyst-

¹⁾ L. c., str. 44—47.

kie pochodziły z katolickich fundacyj, słusność i sprawiedliwość same wymagały, iżby przedewszystkiem potrzebom gimnazjum katolickiego dostatecznie z nich zaradzono. — Skutkiem zaś tego równego podziału funduszków było, że gimnazjum katolickie niejednakowo uposażono z gimnazjum protestanckiem, lecz daleko gorzej, albowiem gimnazjum protestanckie, licząc mało uczniów, nie potrzebowało tyle sił naukowych, gdy tymczasem katolickie gimnazjum było przepełnione i podzielenie klas jego na oddziały stało się koniecznem. Do tego atoli potrzeba było więcej nauczycieli i więcej funduszków; nieodbita potrzeba sprawiła, iż zwolna pomnożono liczbę nauczycieli, lecz przez wiele lat nie można było osiągnąć pomnożenia funduszków, skąd pochodziło, że nauczyciele przy gimnazjum protestanckiem, mając o połowę mniej uczniów, zatem o połowę mniej pracy i natężenia sił, przez lat wiele większe płace pobierali, aniżeli nauczyciele przy gimnazjum katolickiem, którzy tymczasem w ścisłem tego słowa znaczeniu niedostatek cierpieć musieli. Dopiero w ciągu roku bieżącego (1848) zostali pod tym względem z nauczycielami przy gimnazjum protestanckiem na równi postawieni.

Taż sama niedostateczność w przekazaniu funduszków przeszkadzała przez dłuższy czas działalności i rozwijaniu się katolickiego gimnazjum, jakie w Trzemesznie z funduszu sekularyzacyjnego wzniesione zostało, jakkolwiek w W. Ks. Poznańskiem na właściwych funduszach na dostatnie opatrzenie wyższych instytutów naukowych, ku potrzebie katolików służyć mających, bynajmniej nie schodzi, albowiem t. zw. prowincjonalny fundusz szkolny pochodzi ze samych katolickich fundacyj i nikt nie jest w stanie udowodnić, aby protestanci w czemkolwiek bądź do niego przyłożyć się mieli; że zaś fundusze sekularyzacyjne składają się ze samych dochodów po zniesionych klasztorach, tem mniej zaprzeczeniu ulegać może. Oprócz tego zaś ściągnął rząd z pojedynczych klasztorów przy ich supresji znaczne do swego rozporządzenia fundusze. Atoli zamiast użycia tych wszystkich funduszków, jak słusność i sprawiedliwość wymagały, li na potrzeby kościołów i szkół katolickich, obróciła władza krajowa znaczną część na instytucje, które w części lub całkiem

są protestanckie. Tym sposobem gimnazjum protestanckie w Poznaniu, symultalne gimnazjum w Bydgoszczy, jakoteż tamtejsze protestanckie seminarjum nauczycielskie z takich funduszków katolickich powstały. — Symultalne gimnazjum w Lesznie otrzymało tylko nieco nad sto talarów z kasy Jednoty, resztę opłaca prowincjonalny fundusz szkolny. Z tego samego funduszu pobiera szkoła powiatowa we Wschowie znaczny zasiłek i t. d. Stąd pochodzi, że pomimo tak dostatecznych funduszków, erygowanie potrzebnych wyższych instytutów naukowych dla katolików zawsze tyle trudności doznaje. Sądząc zaś wedle dotychczasowych doniesień, nie można się spodziewać należytego uwzględnienia i stosownego popierania rzeczy katolickich pod względem przytoczonym, jeżeli wszystkie tego rodzaju fundusze nie zostaną odosobnione, pod oddzielny zarząd oddane, ten zaś osobnej władzy, z katolików złożonej, powierzony nie będzie i tak co do kierowania nim i dozoru nad nim, jakoteż co do rozporządzania temi funduszami, na każdy przypadek wpływ należyty biskupowi diecezjalnemu przyznany nie będzie.

Lecz nie tu koniec krzywdzie, wyrządzonej katolikom pod względem wyższych instytutów naukowych. Zaledwie urządzono katolickie gimnazja w Poznaniu i Trzemesznie, do których przybyło później jeszcze trzecie w Ostrowie i tym sposobem życzeniom i potrzebom katolików jakośkolwiek zaradzono, gdy już znowu w roku zeszłym (1847) władza krajowa religijną cechę tych to instytutów w wątpliwość podała, rozporządzając, aby przy każdym gimnazjum katolickim pewna liczba ewangelickich, a przy każdym ewangelickim pewna liczba katolickich nauczycieli ustanowioną była.

Za powód do tego środka, wymierzonego przeciwko katolikom — albowiem po stronie protestanckiej dotyka on tylko gimnazjum w Poznaniu, na czem katolikom nic nie zawisło — przywiedziono, że dla udziału, jaki brała młodzież szkolna po niektórych gimnazjach Księstwa, a mianowicie z gimnazjum katolickiego poznańskiego w ruchach rewolucyjnych, przy obsadzaniu miejsc nauczycielskich szczególnie oglądać się należy na mężów, którzyby do naukowego wykształcenia łączyli rękojmię prawego sposobu myślenia. Pod tem wyrażeniem miało się zaś właściwie rozumieć, że

kolegium nauczycieli, złożone li z samych katolików, nie przedstawia dostatecznej rękojmi względem prawego sposobu myślenia i dlatego przez kilku nauczycieli protestanckich dozorowanem być musi. Przypuszczając bowiem, iż tu nauczycieli nie pod samym względem ich katolicyzmu, lecz też we własności ich jako Polaków uważać wypada, wtedy sprzeciwiałaby się przypuszczeniu takiemu ta okoliczność, iż żadnemu z nauczycieli katolickich nie mógł być dowiedziony udział lub pomoc w pomienionych ruchach, żaden w procesie o takowe uwikłany nie został. Prócz tego zaś miejsca nauczycieli przy wymienionych gimnazjach katolickich nie były bynajmniej wyłącznie Polakami obsadzone, lecz po części także niemieckimi katolikami, mianowicie ze Śląska, i ewentualnie więcej ich było można przybrać, gdyby środek przedsięwzięty nie był wymierzony przeciw temu instytutowi tak pod względem jego narodowości, jak wyznania razem. Stosownie do tego, już też przy gimnazjach w Poznaniu i Ostrowie ustanowiono protestanckich nauczycieli — wprowadzie tymczasowo po jednym przy każdym z nich — słyhać atoli, iż zamiarem jest władzy krajowej ustanowić przy każdym z trzech katolickich gimnazjów przynajmniej po dwóch nauczycieli protestanckich.

Prócz tego zdaje się, iż władza krajowa założyła sobie dążyć systematycznie do tego, iżby dotychczasowe gimnazjum katolickie w Poznaniu do upadku i rozwiązania doprowadzić. Przed dwoma laty (1846) zniesiono w niem wszelki rozkład klas na oddziały i przypuszczono tylko taką liczbę uczni, jaką pojedyncze klasy objąć mogły. Liczbę, przechodzącą tę miarę, odepchnięto bez wszelkiego względu na prośby i lży wielu tym niesłyszczanym środkiem dotkniętych i zupełnie bez swej winy w dalszem odbywaniu swych nauk przeszkodzonych uczniów. W roku bieżącym (1848), gdy kurs nauk w tymże instytucie z powodu wybuchłych niespokojności zamknięto już na dniu 21 marca, ogłoszono znowu termin rozpoczęcia drugiego półrocza na dzień 4 maja. Nagle atoli obwieszczeniem, datowanym na dniu 2 maja, a ogłoszonym na dniu 3 maja bez oznajmienia powodu i bez znanych jakichkolwiek do tego przyczyn, otwarcie pomienionego instytutu odroczone znowu na czas nieograniczony,

tak iż uczniowie, którzy po części z dalekich okolic już tu byli zdążyli, z niczem wracać musieli i nic więcej młodzieży szkolnej tego instytutu nie pozostaje, jak tylko próżnowaniu się oddać, lub też do gimnazjum protestanckiego poznańskiego wstąpić. W tem ostatniem bowiem rozpoczął się bez przeszkody z dniem 4 maja kurs naukowy. W ogólności instytut, ostatnio wspomniany, od początku swego istnienia jest przedmiotem szczególniejszej opieki władzy krajowej. W tym samym właśnie czasie, kiedy władza krajowa zniosła w gimnazjum katolickiem rozkład klas na oddziały, zaprowadziła go dla powiększającej się liczby uczni w gimnazjum protestanckiem, i w rzeczy samej doprowadzono już tak daleko, że instytut ten w porównaniu do pierwotnego swego powodzenia daleko liczniej jest uczęszczany przez uczni, a pomiędzy tymi w znacznej liczbie przez katolików. — Sądząc według wielu oznak, nie jest nawet niepodobną rzeczą do mniemania, że władza krajowa mogłaby się zgoda ujrzeć spowodowaną do wyrzeczenia bez ogródki, iż dotychczasowe gimnazjum katolickie w Poznaniu jest zbyt i jako takie zniesione być musi, katoliccy uczniowie zaś nauki swoje równie dobrze w gimnazjum protestanckiem odbywać mogą; w tym wypadku przypadłoby jej oczywiście znaczne fundusze katolickie do rozporządzenia. Czy jednak postępowanie takie zgadzałoby się ze sprawiedliwością, naturalnie inne jest pytanie.

Z tego jednak, co w tym względzie zaszło, dostatecznie się wykazuje, że władza krajowa w stosunku do instytutów katolickich i ich funduszy nie zawsze powoduje się zasadami słuszności, tak jak w ogólności z tego, co się wyżej przytoczyło, każdy przyjsć musi do przekonania, że władza krajowa mało pamięta na zapewnienie, uczynione katolikom w odezwie od tronu: „Wasza religja będzie utrzymana“. Postępowanie wobec zakładów katolickich bynajmniej nie stara się o utrzymanie i wzmocnienie katolickiego żywiołu w tych instytucjach, lecz raczej owszem, ile tylko może, pracuje nad jego podkopaniem i powolnem wyniszczeniem¹⁾.

¹⁾ L. c. str. 47—53.

10) Germanizowanie i protestantyzowanie szkół powszechnych.

„Interesa szkół elementarnych obrabiane bywały w pierwszych czasach po reokupacji z r. 1815 tylko przez protestanckich radców konsystorjalnych i szkolnych, którzy owładnieni żądzą germanizowania wszystkiego, wszędzie, gdzie tylko się dało i gdzie tylko choć najmniejsza część gminy z protestantów się składała, protestanckich nauczycieli ustanawiali lub ustanawiać usiłowali. Gdy jednak gminy katolickie do takich obcych sobie językiem i religią urzędników w ogólności żadnej ufności powziąć nie mogły, przeciwnie działania ich podejrzliwie przyjmowały, przeto katolickie interesa szkół elementarnych przez długi czas mało czyniły postępu. Później ustanowiono wprawdzie i katolickich radców szkolnych i przeznaczano na korzyść szkół katolickich godne dziękczynienia wsparcia z kas rządowych, gdy przecież katoliccy radcy szkolni zazwyczaj jedynymi byli katolikami w kolegiach regencyjnych, przeto dążność władzy krajowej ku zgermanizowaniu także, o ile możliwości, i szkół katolickich i obsadzaniu ich, gdzie się tylko uda, ewangelickimi nauczycielami, wogóle przemażała. Co więcej, zupełnie nawet polskie szkoły elementarne ku ich szkodzie nie zostały ochronione od tej germanizowania dążności. Albowiem wedle istniejących przepisów ma być wprawdzie w szkołach elementarnych, w których językiem macierzystym uczniów jest język polski, całkowita nauka w języku polskim udzielana, język zaś niemiecki tylko jako przedmiot naukowy traktowany, i skoro nauczyciel rzetelnie trzyma się tych przepisów, zdoła bez wytężenia pilnym uczniom wpoić potrzebne wiadomości elementarne, łącząc w nauce przyjemność i użyteczność. Lecz w tym razie zazwyczaj obawiać się musi nauczyciel, iż na ten sposób władzom nie dogodzi.

W czasie popisu przybywa komisarz okręgowy albo radca ziemiański (starosta), lub też odwiedza przy wydarzonej sposobności prezes albo członek rejencji szkołę. Ponieważ zaś urzędnicy ci zwyczajnie po polsku nie umieją, zniewolony jest nauczyciel po niemiecku egzaminować, aby postępy swoich uczniów udowodnić. Przez to zaś tylko zjednać

sobie może zadowolenie, gdy polskie dzieci potrafią przełożone im zadania nie tylko w czytaniu i w małych ustnych ćwiczeniach, ale i w wielu innych przedmiotach, mianowicie w rachunkach, w geografii, a nawet i w historii w niemieckim rozwiązać języku. Skąd się też to dzieje, że nauczyciele takich szkół polskich, aby sobie tylko pochwały lub też wsparcie zjednać, siebie i dzieci wpajaniem niemieckich zdań dręczą, przez co aliiści zaniedbują nauki równie skutecznej, jak pożytecznej, zapomocą właściwego im ojczystego języka. Przez to nic więcej nie osiągają, jak tylko dzieciom i rodzicom czynią uczęszczanie do szkoły wstrętnem, naukę zaś taką zupełnie bezskuteczną, albowiem nie potrzeba na to dowodu, że dzieci tym sposobem narzuconych sobie pamięciowych zdań, jak się nauczyły, tak i je zapominają.

Ale szkodliwiej daleko jeszcze objawiają się dążności niemczenia w ciągłych usiłowaniach urządzania szkół wspólnych ewangelicko-katolickich i umieszczania przy nich, o ile się tylko da, nauczycieli ewangelików. Takie szkoły dla dzieci obojga wyznań zaprowadzono zwykle w miejscach o przeważającej polskiej ludności, gdzie ewangelicy nie byli w stanie swojej szkoły utrzymać i gdzie dopiero przez połączenie ich do katolików i utworzenie wspólnego towarzystwa szkolnego osiągnąć potrafili możliwość ustanowienia oddzielnego nauczyciela ewangelika, jak np. w Buku, Ostruszewie, w Zbąszyniu. Wypadek zaś przeciwny, t. j. aby szkoła ewangelicka na korzyść katolików na taką wspólną szkołę zamienioną być miała, zapewne się nigdzie nie pojawił. Katolicy owszem w miejscach, gdzie nie mieli sił dostatecznych do utrzymania własnej szkoły, musieli się wcielić do szkoły ewangelickiej bez ustanowienia na korzyść ich osobnego nauczyciela katolika, jak to np. miało miejsce w Obrzycku w powiecie szamotulskim.

Równa stronność pokazuje się przy urządzaniu wyższych szkół miejskich. W Międzyrzeczu urządzono zapomocą znacznej dopłaty z funduszków kar¹⁾ szkołę realną, przy której samych tylko nauczycieli ewangelików ustanowiono. Podniesiona w nowszych czasach do szkoły realnej

¹⁾ Za udział w powstaniu r. 1831.

wyższa szkoła miejska w Krotoszynie wyposażona została po większej części funduszami miejskimi, ale pomimo, że ludność krotoszyńską stanowi w połowie ludność katolicka, pomimo że szkołę tę pomieszczono w dawniejszym klasztorze potrynitarskim, jednak na 7 nauczycieli ewangelickich znajduje się tamże tylko jeden katolik.

Z pomiędzy szkół przygotowawczych, t. zw. rektorskich, które w ostatnich czasach w miastach siedziby sądów urządzono na koszt kas rządowych i gdzie młodzież męska aż do kwarty ¹⁾ gimnazjalnej ma być przysposabianą, są tylko, o ile wiadomo, trzy szkoły, t. j. we Wrześni, w Kościanie i w Wągrówcu katolickimi, wszystkie zaś inne są protestanckimi rektorami obsadzone, tam nawet, gdzie, jak np. w miastach Środzie, Grodzisku, Rogoźnie, Kempnie i w najbliższej okolicy ludność w przeważającej liczbie wiarę katolicką wyznaje. Mianowicie zaś w Środzie, mieście prawie wyłącznie katolickiem, miał tameczny rektor ewangelik sam wnieść o zniesienie szkoły dlatego, że do niej zbyt mała liczba dzieci uczęszcza; a pomimo że ewangelików tam bardzo mało się znajduje, a katolicy z powodu nieufności religijnej do tej szkoły swych dzieci nie posyłają, rząd przenieść na sobie nie może, aby tam rektora katolika ustanowił.

Wszystko to dostatecznie dowodzi, że w rzeczach szkolnych władzy krajowej sprawiedliwy zarzut uczyniony być może, iż zamiast postępować sobie z katolikami rzetelnie i bezstronnie, zamiast ułatwiać kształcenie im na podstawie ich narodowej i religijnej, zamiast czynić im takowe przystępem, we wszystkich urządzeniach szkolnych prawie zawsze postępowała tylko w swych jednostronnych dążnościach germanizacji. Ale dążności te wywołały w katolikach Polakach niewypowiedzianą nieufność do wszystkich tych środków władzy krajowej, ponieważ przyjąć musieli, że ona nietylko zgermanizować, ale i sprotestantyzować polsko-katolicką ludność zamierza. Tym tedy sposobem znienawidzili sobie polscy katolicy wielką część szkół tych, które przez to stały się dla nich nieprzystępnymi, a gdy się od instytu-

¹⁾ Trzeciej klasy gimnazjalnej.

tów, do których żadnego nie mieli zaufania, ile możliwości usuwali, poszło za tem, że w ogólności pomimo wszelkich urządzeń szkolnych, przez władzę krajową uczynionych, stan wykształcenia ludności polsko-katolickiej, poczynawszy od re-okupacji tutejszego Księstwa przez rząd pruski, prawie żadnych postępów nie zrobił“.

11) Pozbawienie arcybiskupa władzy nad alumnatami.

„Przy gimnazjach katolickich w Trzemesznie i w Poznaniu urządzono w nowszych czasach z funduszków sekularyzacyjnych alumnaty z pewną liczbą miejsc bezpłatnych dla uczniów, którzy się pragną poświęcać stanowi duchownemu, w czym z wdzięcznością należy uznać zastąpienie onej pomocy, jaką młodzież odbierała dawniej w czasach, gdy podobne gimnazja zostawały pod zarządem zakonów klasztornych, ile że wówczas, jak wiadomo, instytutu te nie tylko naukę bezpłatnie, ale nawet i biednym uczniom żywność i wszelkie wsparcie udzielały. Według celu i przeznaczenia tychże alumnatów zdaje się wszakże być żądanie ze wszech miar usprawiedliwionem, aby zwierzchnicy onych, a zatem regens i subregens każdego alumnatu, jeżeli przez arcybiskupa mianowani być nie mają, tedy przynajmniej przez władzę krajową tylko za poprzedniem przyzwoleniem arcybiskupa ustanawiani byli, jakoteż, aby statuta tych instytutów arcybiskupowi do rozpoznania i przyjęcia przedłożone były. Z tem wszystkiem władza krajowa ani na pierwsze, ani na drugie pozwolić nie chce. Uważa owszem alumnaty te tylko za czysto rządowe instytutu, a podając za powód, że ze skarbu państwa wyposażone zostały, zatrzymuje sobie wyłączny dozór nad niemi, równie jak i cały ich zarząd. — Przypuściwszy nawet, że powód ten jest ugruntowany, tedy jednak wymagałaby zawsze sprawiedliwość i słuszość przyznać należyty wpływ biskupowi diecezji na instytutu, których celem jest przysposabianie młodzieży do stanu katolicko-duchownego, gdy takowe przysposabianie, jeżeli ma mieć wartość i pożytek, zawsze tylko w myśli i duchu Kościoła katolickiego dziać się powinno, a pod tym względem biskup

diecezjalny, nie zaś władza świecka właściwą i odpowiedzialną jest władzą dozorczą. Tenże przeto na takie instytucja przygotowawczego kształcenia na każdy przypadek tyle wpływu mieć powinien, iżby z jednej strony do ich kierowania tylko takich mężów powoływano, do których on ma zaufanie, iż w myśli i w duchu Kościoła katolickiego działać będą i z drugiej strony zaś, iżby także porządek domowy i przepisujące go statuty z temi zasadami były w zgodności.

Ale przyczyna, przez rejencję podana co do wyposażenia, nie jest nawet prawdziwą. Władza krajowa bynajmniej alumnatów tych na własny koszt nie założyła, bo ich dotacja nastąpiła z funduszków sekularyzacyjnych, których dochody, jako było wyżej wywiedzione, pochodzą z majątku zniesionych klasztorów. Władza, co zakłady te Kościoła katolickiego zniosła samowolnie, nie ma więc istotnie wiele prawa do tego, iżby bez przyzwolenia zwierzchności duchownej, w tym razie arcybiskupa, mogła rozrządzać na własną rękę zasobami tych funduszków duchownych, a tem mniej jest upoważniona do tego, żeby pod wymienionym pozorem odmawiała arcybiskupowi wszelkiego nawet wpływu na zakłady, które z tego funduszu utworzone zostały, zwłaszcza że w obecnym razie wpływ ten zaiste skromności granic nie przechodzi¹⁾.

¹⁾ L. c., str. 57—59.

(Dokończenie nastąpi).

DR. K. KROTOSKI.

Filozoficzna jedność organizmu wobec najnowszych badań biologicznych.

(Ciąg dalszy).

W zjawiskach życiowych organizmu ludzkiego niezmier-
nie ważną odgrywają rolę tak zwane gruczoły. Badanie ich
działania stanowi jedno z najtrudniejszych, ale i najdonio-
ślejszych zadań fizjologii, a od jego zupełnego, wyczerpują-
cego rozwiązania, nauka, jak się zdaje, jeszcze bardzo jest
daleko. Pod nazwą gruczołów rozumie się przestrzenie puste,
złączone w pewien wspólny system, wysłane komórkami
gruczołowymi, które są odmianą komórek nabłonkowych ¹⁾.
Funkcja tych komórek zasadza się na tem, że pobierając
z krwi pewne substancje, przerabiają je one na bardzo nieraz
skomplikowane związki, które następnie wydzielają z komórki
i wlewają je do przewodów gruczołowych, przez które wy-
dostają się następnie poza gruczoł. I jeżeli tak powstałe pro-
dukty gruczołowe służą organizmowi do pewnych jakichś
celów, jak na przykład ślina, żółć, sok żołądkowy, sok trzust-
kowy, nazywamy je wydzielinami, jeżeli natomiast są dla
organizmu szkodliwe i jako takie czemp prędzej muszą być zeń
usunięte, naszą nazwę wydalin (np. mocz, pot). Do gruczo-
łów najważniejszych w organizmie ludzkim należą ślinianki
w jamie ustnej, dalej gruczoły żołądkowe, trzustka, nerki,
gruczoły rozrodcze, a największym gruczołem w organizmie
naszym jest wątroba. Ślinianki produkują ślinę, w której
znajduje się Ptyalina, mająca moc i zadanie zamieniania
skrobi na cukier rozpuszczalny, który następnie ulega wchło-
nieniu przez organizm. Komórki gruczołowe żołądka, któ-

¹⁾ Szymonowicz: Lehrbuch der Histologie, Lipsk 1921, str. 49.

rych liczbę ocenia Landois ¹⁾ za Sappeyem na przeszło 5 milionów, są różnego rodzaju, to też i sok żołądkowy, który jest ich produktem, także z kilku składa się substancyj. W ocenie ilości tego soku, wytwarzanego przez gruczołowe komórki żołądka w ciągu doby, autorowie bardzo się różnią, waha się on jednak prawdopodobnie u człowieka zdrowego, dorosłego, około sześciu a nawet i więcej kilogramów. Ma on rozliczne zadania, przede wszystkim zaś pepsyna, która jest jego najważniejszym składnikiem, rozpuszcza białko, a inny składnik soku żołądkowego, kwas solny, powstrzymuje rozwój bakterji, np. kwasu mlecznego, które w żołądku się znajdują.

W związku z pepsyną, znajdującą się w żołądku, napotyka się na zagadkę niezmiernie ciekawą, która była przedmiotem bardzo wielu dociekań i doświadczalnych badań i o której napisano już wiele, dotychczas jednak nie zdołano jej wytłumaczyć teorjami wyłącznie fizykochemicznymi. Dla problemu, którym obecnie się zajmujemy, mianowicie roli i funkcji pojedynczych komórek w organizmie i ich stosunek do całości organizmu, jako jednostki żywej, ma ta zagadka jednak niemałe znaczenie, rzuca nań światło jednostronne co prawda, ale bardzo jaskrawe. Chodzi mianowicie o to: w soku żołądkowym znajduje się, jak widzieliśmy, pepsyna, związek chemiczny, trawiący energicznie białko, a więc tkankę mięsną. Pytanie tedy się narzuca, dlaczego i w jaki sposób się to dzieje, że ta pepsyna nie zaatakuje, nie trawi ścian samego żołądka, które przecież zbudowane są z tkanki mięsnej, a więc mającej w sobie białko? I rzeczywiście jest rzeczą pewną i dowiedzioną, że skoro tylko organizm zwierzęcia czy człowieka żyć przestanie, natychmiast sok żołądkowy, który w chwili śmierci jeszcze w żołądku się znajduje, zwraca się przeciw swemu wytwórcy i niszczy błonę śluzową ściany żołądka. To samo się dzieje nawet za życia osobnika, gdy ta błona śluzowa przez uszkodzenie czy to chorobliwe, na przykład przy wrzodach żołądka, czy też umyślne; jakie celem wyjaśnienia tej sprawy u zwierząt wywoływano, ulega miejscowej nekrozie, zamarcu; w miejscu nieżywym natychmiast następuje pod wpływem soku żołądkowego rozpuszcza-

¹⁾ Physiologie des Menschen, Berlin 1905, str. 223.

nie, trawienie ścian żołądka. Tę nienaruszalność błony żołądka w stanie żywym próbowano wyjaśnić przypuszczeniem, że chroni ją przed pepsyną śluz, który błonę powleka, lub znowu, że ta błona wydziela antypepsyny, paraliżujące działanie niszczące pepsyny. Wobec jednak licznych badań, w tym kierunku czynionych, nie mogła się ostać żadna z tych teorii, i trzeba przyznać słusność jedynie tym fizjologom, którzy wraz z Oppenheimerem ¹⁾ utrzymują, że ta immunizacja, odporność żywej błony śluzowej żołądka na działanie pepsyny, i wogóle soku żołądkowego, trawiącego z łatwością tkankę mięsną obcą, która dostanie się do żołądka, pochodzi wyłącznie ze swoistej „właściwości substancji żywej”, jest więc cechą żywego organizmu, jako całości. Gdy więc tylko życie ustanie, gdy organizm przestaje być czymś jednym, natychmiast staje się on zbiorem oddzielnych tkanek, komórek i te natychmiast podlegać zaczynają zwykłym prawom chemicznym, rozkładają się pod wpływem pepsyny.

Gdy pokarm wyjdzie z żołądka, dostaje się w jelicie pod działanie soku, wytworzonego przez najważniejszy może w procesie trawienia gruczoł, mianowicie tak zwaną trzustkę, której przewód wylewa się do dwunastnicy. Jeszcze w roku 1664 wprowadzał Regner de Graaf do wnętrza psa rurkę z pęcherzykiem, celem wydobycia czystego soku trzustkowego, później wielu fizjologów kusiło się o to, by przez przetokę, to znaczy otwór w ścianie brzusznej psa, otrzymać stały upływ na zewnątrz soku trzustkowego, jednak, jak twierdzi Lardas, dopiero Pawłowowi i Heidenhainowi naprawdę to się udało, później zaś Glaessner mógł obserwować wydzielanie soku trzustkowego u chorego człowieka, przyczem przekonał się, że na czczo wydzielał chory 14 do 18 cm. sześciennych soku na godzinę, zaś po spożyciu pokarmu ilość ta podnosiła się od 30 do 50 cm.³ na godzinę, zaś na dobę wydzielało się ogółem 700 do 900 cm³, a więc blisko liter. Zauważyć tu trzeba, że ta ilość soku waży około kilograma, gdy tymczasem cała trzustka, która ten sok produkuje, waży tylko, jak Kopsch podaje, 65 do 75 gramów. Mamy tu więc znowu fakt, który nam pokazuje, jak wyte-

¹⁾ Oppenheimer: Biochemie. Lipsk 1920, str. 395.

zająca, bezustanna praca odbywa się ustawicznie w organizmie człowieka każdego — nawet skądinąd najleniwszego — mimo jego woli i wiedzy. Gruczoł taki, jak trzustka, produkuje na dobę wydzieliny więcej, dziesięć razy więcej, niż wynosi jego waga! A wydzielina ta, tak zwany sok trzustkowy, jest dla sprawy tak ważnej dla organizmu, jaką jest sprawa odżywiania, wielkiego znaczenia, składa się on bowiem aż z czterech substancyj trawiących. I tak jest w niem najpierw ptyalina, taka sama, lecz silniejsza w działaniu, jaka znachodzi się w ślinie, to też trawi ona, to znaczy zamienia w dekstrynę, skrobię zarówno surową, jak i ugotowaną i właściwie na większą skalę odbywa się trawienie pokarmów, zawierających skrobię, a więc mącznych, kartofli, jarzyn itp., dopiero w jelicie, pod wpływem soku trzustkowego. Ilość bowiem tych pokarmów skrobiowych, która uległa strawieniu w jamie ustnej jest stosunkowo mała, zwłaszcza u ludzi, połykających szybko swe kąski. Dalej mamy w soku trzustkowym substancję zwaną trypsyną, trawiącą energicznie białko, to jest rozkładającą je na peptony, a nawet i na prostsze jeszcze związki; a więc ulegają tu strawieniu mleko, mięso, jaja itp. Po trzecie znachodzimy w soku trzustkowym substancje, które zmieszane z tłuszczem nie tylko zamieniają go na tak zwaną emulzję, to znaczy na niezmiernie drobne kuleczki, kropelki, zawieszone w tej substancji, przez co tłuszcz ulega potem łatwo rozszczepieniu, lecz jedna z nich, tak zwana lipaza, rozszczepia tłuszcze na glicerynę i kwas tłuszczowy, przyczem działanie lipaz wzmacnia się przez domieszkę żółci. Wreszcie Loek i Vernon twierdzą, że znajduje się w soku trzustkowym tak zwana rozpuszczka, która w sposób swoisty oddziaływa na sernik mleka. Wobec tak urozmaiconego składu soku trzustkowego nic dziwnego, że gdy przez zabieg operacyjny usunie się trzustkę z organizmu, następują poważne zaburzenia w trawieniu. Zwrócić tu należy jeszcze uwagę na to, że trzustka nie jest ciągle jednakowo czynną, mianowicie, gdy jelito jest puste, wydzielanie jest słabe, w miarę zaś napływania pokarmu do jelita, także i trzustka pracuje wydawniej. Mimo to, jak wykazały badania Popielskiego, Wertheimera i innych, wydzielanie nie odbywa się bezpośrednio pod wpływem drażnienia jelita wskutek istnie-

nia w niem pokarmu, lecz pod wpływem systemu nerwowego, przyczem według Popielskiego główną rolę odgrywają gangliony, grupy komórek nerwowych, znajdujące się w samej trzustce.

Ostatnią większą instalacją chemiczną, wchodzącą w skład tej niezmiernie skomplikowanej sprawy, którą nazywamy trawieniem, przedstawia żółć, która jest wydzieliną olbrzymiego, bo u dorosłego człowieka przeszło półtora kilograma ważącego gruczołu, zwanego wątrobą. Płyn ten, przezroczysty, o barwie zmiennej, od żółto-brunatnej aż do ciemnozielonej, sławny swym silnie gorzkim smakiem, którego wątroba produkuje dziennie około 700 cm. sześciennych, jest tak złożony i skomplikowany, że znaczenie jego dla trawienia do dziś jeszcze, jak twierdzi Oppenheimer, nie jest całkowicie zbadane. To jedno jest tylko pewnem zdaniem, tegoż autora, że główne zadanie żółci polega na trawieniu tłuszczów, przyczem sole kwasu żółciowego przyspieszają także działanie wspomnianych wyżej lipaz; to też dla trawienia tłuszczu żółć jest istotnie konieczną. Nadto ułatwia też żółć działanie trypsyny, a więc rozkład białka, a także oddziałuje podniecająco na ruch robaczkowy jelit. Prócz wymienionych tutaj gruczołów trawiących istnieją w organizmie liczne inne, jak na przykład nerka, wydzielająca mocz, gruczoły śluzowe, łzawo, łojowe i t. p.

Wydzieliny gruczołów działają przede wszystkim i bezpośrednio lokalnie, w miejscu, w którym się wylewają, działanie to skierowane jest jednak ku dobru całego organizmu i do potrzeb tego organizmu stosować się musi. I wedle poglądów panujących aż do czasów ostatnich, czynnikiem tym, dostrajającym czynności gruczołów do wymogów organizmu, jest wyłącznie system nerwowy, jak to zresztą wynika z wzmiankowanego już faktu, że na ilość i jakość wydzielin gruczołowych nie działa wyłącznie i wprost sam pokarm i pochodzące od niego podrażnienie miejscowe, lecz że ważną, a często najważniejszą rolę odgrywa tu system nerwowy. Ponieważ chodzi tutaj o cały organizm, więc bardzo ważną, jeżeli nie najważniejszą rolę musi mieć do spełnienia system nerwowy centralny, to znaczy rdzeń i mózg. Stosunek wzajemny tego systemu do bardzo nieraz odległych gruczo-

łów i ich pracy tłumaczono sobie mniej więcej w sposób następujący. Wszystkie komórki organizmu, a więc i komórki gruczołowe, produkujące wydzieliny, są opłątane przez najdrobniejsze włókienka nerwowe, wypustki komórek nerwowych, zgromadzonych w ganglionach, zwojach nerwowych, które stoją znowu zapomocą wypustek, dendrytów, w połączeniu z grupami komórek mózgowych. Gdy komórka gruczołowa znajduje się w stanie czynnym, to znaczy produkuje wydzieliny, wtedy w niej odbywa się tem samem żywsza przemiana materji, co znów powoduje różnicę koncentracji czyli zagęszczenia jonów, wznieca pewien stan elektryczny, komunikujący się natychmiast przez włókna nerwowe komórce centralnej nerwowej. Gdy ten stan elektryczny dojdzie tedy do owej centralnej komórki, wywołuje w niej znowu, podobnie jak prąd elektryczny w płynie złożonym, rozkład materji, która wznieca naodwrot nowy stan elektryczny, udzielający się przez włókna nerwowe komórkom całego organizmu i normujący ich działanie. Tak więc organizm byłby niejako ogromnie skomplikowaną siecią elektryczną, stojącą pod wpływem głównych centrali, położonych w mózgu i rdzeniu pacierzowym, jakoteż w ganglionach czuciowych, leżących wzdłuż tego rdzenia, a nadto mnóstwa stacyj pomniejszych, ganglionów umiejscowionych w organach i gruczołach, jak to widzieliśmy naprzykład u trzustki, rozmieszczonych po całym organizmie. Taki kunsztowny niezmiernie aparat elektrochemiczny, który nadto wedle mechanistów miał powstać przypadkiem, jako rezultat wypadkowy gry elektronów i atomów, — to właśnie człowiek, wraz ze wszystkimi jego czynnościami i przejawami zarówno materialnymi jak i duchowymi.

Do wytworzenia sobie takiego obrazu naiwno-uczonego posłużyły zresztą różne ciekawe fakta elektrofizjologiczne, odkryte w organizmie ludzkim, jak naprzykład ten, że każdą falę fizjologicznego podrażnienia nerwu poprzedza przemknięcie przez nerw stanu naelektryzowania ujemnego, albo ten fakt, że komórki i tkanki pod wieloma względami słusznie uważać można za ogniwa czy stosy elektryczne, w których każda przemiana materji, wiodąc za sobą koniecznie przemianę koncentracji znajdujących się w plazmie jonów, musi wywoływać prądy

i zmiany napięć elektrycznych biegunów ogniwa, czyli stałych części tkanki. Zapominano tylko, że te objawy i stany elektryczne są wynikiem, a nie przyczyną zjawisk życiowych, i to wynikiem drugorzędnym, bo za pierwszorzędny uważać trzeba właśnie przemiany materji, zmiany koncentracji, którą każdy zewnętrzny przejaw życiowy koniecznie za sobą pociąga. Powtórzył się tu błąd dawny, tylko w formie nowszej. Mianowicie materjaliści wieków ubiegłych, którzy nie wiedzieli nic o elektryczności, a dostrzegali i znali tylko zjawiska i przemiany mechaniczne, uważali organizm ludzki za bardzo sztuczną maszynę, złożoną z dźwigni i kółek. Mechanici nowsi nie umieli uczynić nic więcej, jak tylko to, że w ten mechaniczny model wprowadzili nadto zjawiska i urządzenia elektryczne — ale do wyjaśnienia i zgłębienia zjawisk życiowych, a tem bardziej psychicznych, oczywiście nic przez to się nie zbliżyli. Były one i pozostają nadal osłonięte tajemnicą, którą wszelkie badania i wysiłki nauki doświadczalnej tylko usubtelniają, ale bynajmniej nie tłumaczą i nie rozwiązują.

Tymczasem zadumanych nad swemi chemiczno-fizycznymi przyrządami fizjologów, pragnących niemi koniecznie uchwycić i zmierzyć życie, jak się mierzy ciepło, magnetyzm lub elektryczność, przywołał do rzeczywistości głos przyrody żywej, wychodzący z miejsc organizmu najbardziej może dotychczas zaniedbanych i prawie wzgardzonych, bo z tak zwanych gruczołów bezprzewodowych. Badania histologiczne organizmu napotkały już dawno na twory, budową swą przypominające gruczoły, złożone z komórek analogicznych do tych, jakie znajdujemy w prawdziwych gruczołach. Twory te jednak tem się odznaczają i zarazem różnią od prawdziwych gruczołów, że nie posiadają całkiem, albo też tylko zanikłe resztki przewodów, to znaczy rurek, któremi by się do organizmu wlewała ciecz w komórkach wytworzona. Że zaś anatomja porównawcza wykazywała istnienie takich samych tworów i to nie raz wybitniej rozrośniętych w prawdziwy gruczoł u niższych zwierząt, więc w braku innego tłumaczenia a przy odpowiedniej gorącej woli, wspartej wierzeniami dogmatycznymi materializmu, wyrażano niejednokrotnie zdania, że ma się tutaj do

czynienia prawdopodobnie tylko z tak zwanymi organami szczałkowemi, odziedziczonemi po „przodkach“, które teraz zbyte swej funkcji służą tylko jako pomnik i dowód naszego pochodzenia od zwierząt i też jako o takich szersza publiczność niejednokrotnie z ust przyrodników-apostołów o nich słyszała.

Tymczasem pewne fakty i zdarzenia zaczęły zwracać żywszą uwagę badaczy teoretyków i lekarzy na te gruczoły bezprzewodowe. Pokazało się mianowicie, że brak ich wrodzony w organizmie osobnika, lub usunięcie przez zabieg operacyjny, sprowadza dla organizmu skutki bardzo nie mile, nieraz nawet fatalne. Światło, jak zwykle, zaczęło z początku przenikać powoli, słabemi błyskami, w postaci pewnych odezwań się takich badaczy, jak Bertholda, który swemi pracami nad drugorzędnymi objawami płciowymi zwrócił uwagę powszechną, lub Klaudjusza Bernarda, wygłaszającego dziwne twierdzenie, że gruczoły ciała oprócz zwykłych soków, jakie do organizmu przez swe przewody wlewają, oddają nadto wprost do krwi pewne nieznane nam bliżej substancje, [nazwane przez tegoż badacza „sécrétion interne“, wydzieliny wewnętrzne, w przeciwstawieniu do „sécrétion externe“, wydzielin zewnętrznych, któremi są zwykłe soki produkowane przez gruczoł. Baczniejszą jeszcze uwagę świata uczonego i nieuczonego na całą sprawę w latach osmdziesiątych ubiegłego wieku zwrócił lekarz francuski Brown-Séquard, który wywołał zdumienie ogólne swem doniesieniem akademii francuskiej, że przez wstrzykiwanie sobie wyciągu męskich gruczołów rozrodczych sprawił zupełne odmłodnienie swego 72-letniego organizmu, które objawiło się przez przybytek siły mięśniowej, subiektywne uczucie wzmożonego zapału do pracy, spotęgowaną czynność żołądka i jelit.

Oczywiście wobec prac Brown-Séquarda zainteresowanie całą sprawą wzmożło się niezmiernie, tembardziej, że wnet dostrzeżono, iż ma się tu do czynienia z olbrzymią, teoretycznie i praktycznie niezmiernie doniosłą grupą zjawisk, których fakta odkryte przez Brown-Séquarda są tylko małą częścią. W oczach naszych i jakby nagle powstała cała nowa gałąź nauki biologicznej, ugrupowanej koło owych tak niepozornych gruczołów bezprzewodowych. Okazało się mianowicie, że gruczoły te nie tylko nie stanowią jakichś zbytecznych szczałków,

po przodkach kapryśnie przez przyrodę jako piętno zwierzęcego pochodzenia człowiekowi pozostawionych, lecz twory te, chociaż małe i pozbawione przewodów, wytwarzają jednak substancje dla organizmu niezmiernie ważne. Ponieważ zaś gruczoły te nie mają przewodów, któremiby wydzielać mogły swe wytwory, więc wlewają je wprost do krwi, z którą następnie rozchodzą się one po całym organizmie, a nie działają tylko w pewnych miejscach, jak produkty gruczołów przewodowych.

Zawrzały badania po pracowniach biologicznych i klinikach medycznych świata całego, a gdy nadto wystąpił profesor Steinach ze swemi zabiegami chirurgicznymi i pracami teoretycznymi nad tak zwanem odmłodzeniem organizmu, analogicznem do prac Browna-Séquarda, zaciekawienie ogarnęło cały świat inteligentny. Badacze naukowci wnet ustalili, że w organizmie naszym znajduje się dużo, nie wiemy nawet dokładnie ile, gruczołów, czy komórek gruczolowych, które produkta swe wlewają wprost do krwi, i dlatego wprowadzono dla nich nazwę osobną, mianowicie nazwano je gruczołami krwi, Blutdrüsen, a ową czy raczej owe tajemnicze substancje, których gruczoły krwi organizmowi dostarczają, nazwano za Baylisem i Starlingiem hormonami, od greckiego słowa hormao, znaczącego pobudzam, podniecam, jako że te substancje rzeczywiście działają pod wieloma względami podniecająco na pojedyncze części ciała ludzkiego, ich wzrost i funkcje. Później Schäfer zaproponował, by nazwać je substancjami autakoidalnemi, gdyż w nich różnić trzeba dwojakiego rodzaju związki, jedne, które działają podniecająco na organa, i dla tych zachował nazwę hormonów, jak im się to należy, a drugie, działające wręcz przeciwnie, paraliżująco, hamująco, nazwał chalonami. Tak zawiła terminologia jednak się nie przyjęła, a natomiast w kołach naukowych mówią dziś wzorem Klaudjusza Bernarda i za Abderhaldenem i Rouxem o inkretach, po polsku dosłownie wdzielinach, w przeciwstawieniu do ekskretów, wydzielin gruczołów opatrzonych przewodami ¹⁾.

Dzisiaj odróżniają powszechnie biologowie w organizmie dwie grupy gruczołów hormonalnych. Jedną stanowią te

¹⁾ Dr. Artur Weil: Die innere Sekretion. — Berlin 1922.

gruczoły, które nie posiadając przewodów, produkują wyłącznie substancje hormonowe, drugą natomiast grupę stanowią gruczoły dawniej już znane, przewodowe, które jednak, jak się obecnie przekonano, prócz zwykłych komórek gruczolowych, produkujących substancje trawiące lub morfologiczne twory, posiadają nadto komórki, o których znaczenie dotychczas się spierano, a które, jak się dziś okazało, wytwarzają hormony. Cechą charakterystyczną obu tych grup, zwanych przez niektórych, zwłaszcza angielskich autorów, organami endokrylnymi (endocrinal organs), jest, wedle określenia Swale Vincent'a ¹⁾, profesora fizjologii na uniwersytecie londyńskim, ta ich właściwość, że materiał, przez nie wydzielany odchodzi nie przez przewód, lecz za pośrednictwem żył, które organ opuszczają. Materiał ten, gdy dosięgnie ogólnego strumienia krwi, działa sposobem posłannika chemicznego, albo lekarstwa, wywierając skutki na rozmaite organa i tkanki ciała. Działaniu więc ich podlega cały organizm, jako taki, stąd organa endokrylnie stanowią nowy czynnik, dotychczas nieznany i nawet nie przeczuwany, mający za cel przestrzegać i powodować w tak niezmiernie skomplikowanym organizmie naszym tak zwany consensus partium, zgodę czyli raczej uzgodnienie wszystkich tkanek i organów w ekonomji życiowej organizmu. Czynnik ten jest, jak zobaczymy, niesłychanie doniosły i zupełnie równoległy pod tym względem systemowi nerwowemu, a według niektórych wyższy nawet i ważniejszy od niego.

Do pierwszej grupy gruczołów endokrylnych należą następujące gruczoły bezprzewodowe: gruczoł tarczowy (glandula thyreoidea), gruczoł przytarczowy, przysadka mózgowa (hypophysis), gruczoł szyszki (glandula pinealis albo epiphysis) i wreszcie według wielu autorów gruczoł (thymus). U normalnie rozwiniętego, dorosłego człowieka, są to wszystko twory stosunkowo drobne, lecz, jak zaraz zobaczymy, ich znaczenie w organizmie i ich na niego oddziaływanie niesłychanie jest doniosłe, właśnie z powodu tych substancyj, które one przez pośrednictwo krwi po organizmie całym roznoszą.

¹⁾ Swale Vincent: Ductless Glands, w 30-tym, najświeższym tomie The Encyclopaedia Britannica, London 1922, str. 861.

Budowa anatomiczna i histologiczna tych gruczołów jest prawie zupełnie dokładnie znana, lecz natomiast natura owych produkowanych przez te gruczoły substancyj, dotychczas głęboką osłonięta jest tajemnicą.

Ideałem badań nad wydzielinami, inkretami, byłoby izolowanie każdej z tych substancyj z osobna, tak, by je móc badać w stanie czystym, naturalnym i w ten sposób nie tylko poznać ich skład chemiczny i budowę, ale nadto umieć je syntetycznie, sztucznie, w pracowni wytwarzać. Tymczasem napewno udało się to uczynić dopiero z niektórymi z nich, jak na przykład z adrenaliną i z choliną z nadnercza i thyroxyną z gruczołu tarczowego, a o istnieniu innych wiemy tylko przez obserwacje ich działań. By z działań tych, z ich znaczenia dla fizjologii i psychologii zdać sobie należycie sprawę, streścimy przechodząc każdy gruczoł z osobna, wszystkie ważniejsze dane, jakie dotychczas wykryto odnośnie do budowy i działania każdego z powyższych gruczołów. Jednak zaraz na wstępie zauważyć trzeba, że niejednokrotnie działania gruczołów endokryalnych tak są skomplikowane i wielostronne, że nie dadzą się one całkowicie wyodrębnić i przypisać jednemu z nich wyłącznie i wspomnieć nieraz trzeba będzie po kilka razy o jednym i tym samym gruczole.

Od przodu szyji, poniżej grdyka leży gruczoł największy z powyższej grupy i najwybitniejszy, mianowicie gruczoł tarczowy. Jest on tworem parzystym, rozłożonym po obu stronach krtani, przyczem oba jego płaty, prawy i lewy łączy wąski pasek, zwany isthmus. Każdy z tych płatów jest u człowieka zdrowego około 5 do 8 cm. długi, 3 do 4 cm. szeroki, a około 2 cm. gruby, waga zaś całego gruczołu, to znaczy obu jego płatów, waha się pomiędzy 30 a 60 gramów. Jest to więc gruczoł niewielki, u kobiet i dzieci stosunkowo większy, niż u mężczyzn, i na zewnątrz z organizmie zdrowym nie dostrzegalny, który jednak, gdy się rozrośnie chorobliwie, staje się bardzo widoczny, tworząc tak zwaną strumą czyli wole. Ta właśnie choroba naprowadziła na bliższe zaznajomienie się z niezmiernie ważnym znaczeniem, jaki gruczoł ten mały ma dla całego organizmu. Jak stwierdził klinicznie Kocher jeszcze w r. 1882, a za nim mnóstwo innych, całkowite wycięcie gruczołu tarczowego

tak u ludzi, jak u zwierząt, spowodzić może w bardzo krótkim czasie ciężkie objawy chorobowe, drgawki, kurcze i wreszcie porażenie i śmierć. Szczególnie wrażliwymi na ten zabieg są zwierzęta mięsożerne, a u psów następuje po wycięciu gruczołu tego śmierć w bardzo krótkim czasie. Wrodzony lub sztucznie nabyty brak lub zanik gruczołu tarczycowego u dziecka spowodza niechybnie za sobą zahamowanie wzrostu, idjotyzm i zanik sił. Zjawisko to stwierdzono wielokrotnie u młodych psów, którym wycięto ten gruczoł, a Kassowitz¹⁾ podaje ściśle pod tym względem obserwacje, jakie czynił nad dzieckiem, które przyszło na świat bez gruczołu tarczycowego. Dziecko to po skończeniu drugiego roku życia miało 72 cm. długości, podczas gdy dzieci normalne mają w tym wieku średnio prawie 80 cm., w dwunastym roku miało 95 cm., podczas gdy wzrost normalny w tym wieku wynosi 136 cm., wreszcie w 20-tym roku życia było karłem, mającym tylko 116 cm. wysokości. Ponieważ, jak stwierdzono, brak tarczycowego gruczołu jest przyczyną znacznego utrudnienia asymilacji wapna, więc nic dziwnego, że pociąga on za sobą także bardzo słaby, nienormalny rozrost szkieletu i opóźnia zwapnienie niektórych chrząstek.

Brak tego gruczołu prowadzi do innych jeszcze zaburzeń funkcyjnych organizmu. I tak po zabiegach operacyjnych, w których usunięto gruczoł tarczycowy, dostrzegano wkrótce nadmierne tycie danego osobnika, które powstaje stąd, że brak gruczołu obniża w organizmie aż do połowy i więcej nawet zdolność utleniania. Pokarm więc zawierający tłuszcze i węglowodany zamiast zużywać się, jak u człowieka normalnego, zamieniać się w energję, osadza się jako materiał zapasowy w postaci glikogenu w wątrobie, a w postaci tłuszczów pod skórą. Że ta jest właśnie przyczyna w tym wypadku chorobliwego tyścia widać stąd, że gdy choremu podaje się preparaty otrzymane z gruczołu tarczycowego, odłuszczenie wkrótce znika.

Jeszcze jest jedna choroba bardzo przykra, pochodząca z braku gruczołu tarczycowego, mianowicie tak zwany myxödem, stan, w którym twarz chorego przybiera blade wygląd i nabrzmiewa znacznie, w sposób tem charakteryzujący

¹⁾ Weil. l. c. str. 71.

się, że pod naciskiem palców nabrzmiałość nie ustępuje, głos chorego nabiera brzmienia nosowego, umysł i cały organizm słabnie, i wreszcie nastąpić może śmierć wśród objawów ciężkiej anemji.

Powiększenie natomiast gruczołu wywołuje powstanie tak zwanej choroby Basedowa, która na zewnątrz objawia się biciem serca i wybitnym wysadzeniem gałek ocznych.

Ciekawe skutki sprowadza tak zwana hyperfunkcja, to znaczy nienormalnie wzmożona funkcja gruczołu tarczycowego. Według Falta i innych następuje wtedy szybki wzrost szkieletu, który u różnych osobników, dotkniętych tem zaburzeniem, rozmaicie się objawia. U jednych mianowicie cały szkielet rośnie proporcjonalnie, lecz niezwykle szybko i tacy dochodzą do wzrostu olbrzymiego, u innych rozrastają się szybciej niektóre tylko części szkieletu, jak odnóży, ramion, łopatek, tworząc zdeformowane kaleki i pokraki. Gdy celem doświadczeń obficie karmiono zwierzęta gruczołami tarczycowymi, wystąpiły na jaw te same zjawiska, nienormalny rozrost szkieletu. I gdyby nie to, że nie można przewidzieć, jaki kierunek ten rozrost przyjmie, czy obejmie całkowity szkielet proporcjonalnie, czy też wytworzy zdeformowanego kalekę, mielibyśmy tu środek do poprawienia wzrostu młodego pokolenia tak zwierząt, jak i ludzi.

Najwybitniejszy jednak może wpływ wywiera gruczoł tarczycowy na mózg i jego funkcje, co szczególnie obserwować można na tych osobnikach, które od dzieciństwa są obciążone nieprawidłowością tego gruczołu, objawiającą się przez tak zwane wole czyli strumę. Stwierdzono, że wole idzie zawsze prawie w parze z tak zwanym kretynizmem. I nic dziwnego, obie bowiem te choroby mają źródło w niedoskonałej organizacji gruczołu tarczycowego. Ziegler ¹⁾ twierdzi wprost, że „kretyni mają zawsze zwyrodniałe gruczoły tarczycowe i mianowicie albo w ten sposób, że są one powiększone (wole) i zmienione w swej budowie (kretynizm naśminny), albo tak, że są one niedorozwinięte, albo ich wcale niema”. Toteż zdaniem tego autora kretyni, czyli po polsku matolki, całym swoim wyglądem i właściwościami

¹⁾ Dr. E. Ziegler: Allgemeine Pathologie. Jena 1900, str. 89 i nast.

przypominają te osobniki, którym w dzieciństwie wycięto gruczoły tarczynkowe i przez to zahamowano ich rozwój. U typowego małego człowieka, prócz głowy, są małe, a natomiast miękkie części ciała względnie bujniej się rozwijają. Stąd właśnie pochodzi wzrost małego niski, często karłowaty, głowa duża, brzuch i szyja grube, nos szeroki i tępo zakończony, skóra pomarszczona, zwisająca i blada. Bardziej jeszcze cierpi u nich rozwój psychiczny, tak, że nawet zachodzi nieraz brak zdolności mowy i zrozumienia słów, a do jakiegokolwiek, choćby nieciężkiej i najprostszej pracy, są zdolne tylko osobniki lekko tą chorobą obciążone.

Jak wiadomo powszechnie, są okolice, zwłaszcza podgórskie, gdzie choroba struma w połączeniu z małością występuje nagminnie, a zdarza się nawet, że osoby z okolic niezakażonych pochodzące, przebywając dłuższy czas w miejscowościach nawiedzonych, ulegają strumie. I mimo niezmiernych wysiłków i niezliczonych badań, najznakomitsi autorowie oświadczają, że dotychczas sprawa nagminnego występowania wola i małości nie jest wyjaśnioną. Według Swale Vincenta przyczyną wola jest prawdopodobnie woda zakażona jakimiś drobnoustrojami, które, jak przypuszcza Ziegler, działają może hamująco na specyficzne funkcje tych gruczołów, a może przyczyna leży w braku odpowiedniej ilości jodu w pokarmie i wodzie tych okolic.

Zauważono bowiem rzecz znaną, że w Niemczech, w okolicach wolnych od strumy nagminnej, gruczoły tarczynkowe u ludzi są średnio biorąc znacznie mniejsze, bo ważą tylko 30 do 40 gramów, niż w tych okolicach, w których, jak np. w Szwajcarii i Niemczech południowych, ta choroba występuje często; lecz mimo mniejszej wagi bezwzględnej, gruczoły te u mieszkańców okolic niezakażonych tą chorobą zawierają jodu średnio 3,25 miligramów, podczas gdy u mieszkańców okolic obciążonych znachodzi się jodu w gruczołach tarczynkowych średnio tylko 2 mg. Wyrażają też autorowie przypuszczenie, że widocznie organizm nasz potrzebuje jodu i że odpowiednich dlań połączeń tego pierwiastka dostarczają właśnie gruczoły tarczynkowe. Inni znowu, jak Herzfeld i Klinger uważają jod w gruczołach tarczynkowych tylko za podniechę do wydziela-

nia inkretów, a nie za ich materiałów budulcowy. Faktem jest, że w tych gruczołach jodu jest stosunkowo wiele, u normalnego człowieka, dojść może do 6,5 mg., chociaż procentowo jego ilość zmienia się z wiekiem, sposobem żywienia się i nawet rasą (czem możeby można wyjaśnić niedającą się zaprzeczyć psychiczną wyższość ras niektórych).

Zwrócono też w tym kierunku usiłowania, by z gruczołów tarczycowych zwierzęcych wydzielić, to znaczy sposobem chemicznym uzyskać białkowe połączenia jodowe i następnie jako lekarstwo podawać ludziom posiadającym zmarniałe lub niedokształcone gruczoły tarczycowe. Pierwsze prace takie pochodzą od Baumanna, który uzyskał w ten sposób białkowe ciało, zawierające jod, tak zwaną thyreoglobulinę, z której następnie przez odwodnienie otrzymywał jodothyrynę, związek jodowy, mający już jodu 3 do 5 procent. Do lepszych jeszcze rezultatów dochodzi Kendall, który z wysuszonych i odtłuszczonych gruczołów tarczycowych wydobywa substancję zwaną thyroxin, w której jest jodu aż 60%. Że substancje takie oddziałują na organizm, wykazały prace Rogoffa i Mariego, którzy podając te preparaty kijankom żabim, przyspieszali znacznie w ten sposób rozwój larwowy tych zwierząt. Także i klinicznie przekonano się dowodnie, że thyroxina, podana chorym, na przykład na myxödem, te same wywiera korzystne skutki, co odżywianie gruczołami tarczycowymi lub wstrzykiwanie ich ekstraktów. Jak zaś decydujący wpływ wywierają wydzieliny gruczołów tarczycowych na cały bez wyjątku organizm, nie tylko na funkcje mózgowie, to jaskrawo widać z doświadczeń, jakie Lanz ¹⁾ czynił na kurach. Gdy mianowicie zwierzętom tym wyciął gruczoł tarczycowy, niosły one jaja znacznie mniejsze, niż uprzednio, gdy zaś począł je odżywiać następnie gruczołami tarczycowymi innych zwierząt, także i wielkość jaj się zwiększyła.

Z innych jeszcze, niezmiernie ciekawych objawów wpływu wydzielin gruczołów tarczycowych na organizm przytoczyć jeszcze należy działanie ich na skład krwi. Krew składa się, jak wiadomo, z cieczy zwanej plazmą krwi i z części morfologicznych, któremi są ciała czerwone, czyli krwinki, lub ere-

¹⁾ Ziegler l. c. str. 90.

trocyty i leukocyty, czyli ciała białe, prócz których wyróżniają się jeszcze trombocyty, twory o znaczeniu jeszcze niedostatecznie zbadanem. Wprawdzie tych elementów morfologicznych w krwi jest stosunkowo mniej, zajmują one tylko jedną trzecią część objętości krwi, dwie trzecie zaś przypada na plazmę, lecz ilość ich bezwzględna jest znaczna. W milimetrze sześciennym znajduje się bowiem ciałek czerwonych krwi u mężczyzny 5 milionów, u kobiety 4,5 mijona, a więc w całym organizmie mężczyzny okrągło 25 biljonów, liczba przed wojną przerażająca, dziś jednak mniej, skoro w organizmie państwa niemieckiego krąży podobno kilkaset tysięcy razy więcej marek, niż krwinek w organizmie człowieka. Białych ciałek jest natomiast znacznie mniej, bo 10.000 w milimetrze sześciennym.

Erytrocyty, krążki bezjądrowe, w środku nieco zakłębnięte, chociaż są tworam tak małymi, że gdybyśmy je ustawili w szereg, to 126 erytrocytów zmieściłoby się wzdłuż długości jednego milimetra, jednak w organizmie mają do spełnienia zadanie bezwzględnie konieczne, gdyż zapomocą swej hemoglobiny, której zawierają w sobie kilkadziesiąt procent, wiążą tlen w płucach i roznoszą go bezustannie po wszystkich, najdalszych zakątkach i zaułkach organizmu, do wszystkich tkanek i komórek, które potrzebują ciągle świeżych zapasów tlenu do spełnienia swych rozmaitych funkcji. Toteż od normalnej budowy i ilości krwinek zależy w wielkiej części normalne funkcjonowanie, czyli tak zwane zdrowie organizmu, a umniejszenie liczby tych ciałek, sprowadza ogólne osłabienie, chorobę znaną pod nazwą anemji, która w pewnych ostrzejszych wypadkach powoduje nawet ruinę całego organizmu i rychły koniec. Delikatne, elastyczne, a tak ciągle czynne, zarówno wewnętrznie przez ustawiczne przemiany chemiczne, jak i zewnętrznie, krążąc bez przerwy i szybko po całym organizmie, nie żyją krwinki długo. Zaledwie trzy do czterech tygodni minie od chwili, gdy wyjdą ze szpiku kości, zwłaszcza kości kędłuba i czaszki, w których się tworzą, do czasu, gdy znużone swe ciała oddadzą organizmowi do dalszego użytku w wątrobie, w której ulegają rozkładowi.

Wogóle ilość ciałek czerwonych we krwi łatwo podlega zmianom, czy to pod wpływem warunków zewne-

trzných, jak například ciśnienia powietrza atmosferycznego, czy też innych czynników wewnętrznych. Otóż jak wykazały liczne badania, do takich czynników należą właśnie wydzieliny, inkrety gruczołów tarczowych; pokazało się, że wycięcie tych gruczołów może wywołać gwałtowną anemię, przyczem ilość czerwonych ciałek może się zmniejszyć aż o jedną trzecią część, a więc u człowieka do jakich 3 milionów na milimetr sześcienny. Gdy zaś tak zoperowanym zwierzętom podawano wyciąg glicerynowy z gruczołów tarczowych cięt lub szkopów, wnet liczba ciałek czerwonych podwyższyła się o 15% i więcej. Analogiczne zjawiska dostrzec można także wtedy, gdy samorzutnie, pod wpływem choroby, nastąpi zmniejszenie czynności gruczołów tarczowych, jak například przy wspomnianym już wyżej obrzęku (myxödem). Także i na ilość i jakość białych ciałek krwi inkrety tarczowe wywierają wpływ wybitny, przyczem nie ulega zmianie całkowita ilość tych ciałek, lecz liczba jednych z nich opada, inne, tak zwane limfocyty, rozmnażają się natomiast nadmiernie, co znów powoduje zaburzenia w funkcjach systemu limfatycznego.

Zbierając to wszystko, cośmy powiedzieli o gruczołach tarczowych — gdy jeszcze raz rzucimy okiem na całość kształtu oddziaływań i wpływu wydzielin tych gruczołów na organizm, widzimy, że wpływ ten jest nie tylko bezpośredni i przemijający, jak například wpływ inkretów tarczowych na czynności tak doniosłe i pierwszorzędne, jakimi są czynności mózgu, przemiana materji, która się objawiła prze obrzęki i otluszczenia, ale że sięga on nieraz od początku życia osobnika na całą jego przyszłość. Zaburzeniom w działaniach i budowie tarczowych gruczołów przypisać trzeba w znacznej części a nieraz wyłącznie, niepo mierny, lub nieproporcjonalny, kaleczy wzrost, dalej matofkostwo nieuleczalne, niezdolność do pracy wydajnej. To są objawy krańcowe, wybitne, ile zaś jest objawów mniej silnie występujących, a jednak dla osobnika dotkliwych, decydujących, ile nieuchwytnych ucisków na psychiczne i fizjologiczne życie, tego narazie zupełnie i przeczuć nie można i nigdy z pewnością tej sprawy całkowicie nie da się wy czerpać, tem bardziej, że mamy tu do czynienia z substan-

cjami jakimiś, o których prawie nic nie wiemy, jak tylko to, że istnieją, że w skład niektórych przynajmniej wchodzi jod, że te substancje pochodzą od gruczołów tarczycowych, są ich produktami i że gdy organizmowi braknie tych substancyj, popada on w stan niezmiernie niebezpieczny, który jednak można w części przynajmniej i w wielu wypadkach usunąć przez podanie organizmowi, przez system pokarmowy, względnie przez zastrzyknięcie lub wszczepienie, bądź wprost gruczołów tarczycowych innych zwierząt, bądź preparatów, z tych gruczołów otrzymanych.

W gruczołach tarczycowych odkryła więc nauka najnowsza organ tak doniosły, że maleje i błędnie wobec niego znaczenie nawet owego systemu, który dotychczas uważano za najwyższy i kierowniczy wszystkich funkcji życiowych, to jest systemu nerwowego. Taki rezultat musi napęlić zdumieniem zarówno fizjologa i biologa, jak i filozofa, a zdumienie to tem bardziej spotęgować się musi, gdy uprzytomnimy sobie z jednej strony niezmiernie skomplikowaną i cały organizm przenikającą budowę systemu nerwowego, a z drugiej drobną rozmiarami, a w szczególności prostą strukturę gruczołów tarczycowych. Wszak najdokładniejsze badania mikroskopiczne nie zdołały tam dostrzec nic, jak tylko w tkankę łączną powrastane sznurki komórek, wśród których widzieć można pęcherzyki niezmiernie drobne, bo w przekroju co najwyżej jedną dziesiątą część milimetra mające, wysłane komórkami nabłonkowymi, a wypełnione koloidalną cieczą, która zawiera w sobie ową wydzielinę gruczołów tarczycowych, albo raczej jedną z wydzielin. Prócz tej bowiem koloidalnej cieczy rozróżnia Kraus w tych pęcherzykach drugi jeszcze inkret, powstający z ziarenek, widocznych już w komórkach wydzielniczych.

Budowa więc histologiczna typowo gruczołowa, prosta, uderza tylko jedna okoliczność, stojąca w związku z funkcją gruczołów tarczycowych. Mianowicie te gruczoły są niezmiernie bogato unaczynione, wchodzi w nie potężne arterje, które następnie rozdzielają się wewnątrz gruczołów w bardzo liczne sploty naczyń cienkich i włoskowatych, by znów wyjść z gruczołów jako żyły. Stąd gruczoły tarczycowe są tak niejako przekrwione, krwią przepojone w krew, że gdy przez 100 gra-

mów mięśnia, znajdującego się w spoczynku, przepływa na minutę 12 centymetrów sześciennych krwi, a przez taką samą ilość nerki 100 cm. sześciennych, to przez 100 gramów gruczołów tarczycowych aż 560 cm. sześć., tak, że przez ten tak stosunkowo niewielki organ przepływa na dobę cała krew organizmu 16 razy. Oczywiście dzieje się to celowo, gruczoły bowiem tarczycowe, jak widzieliśmy, nie posiadają przewodów, przez któreby ich wydzieliny, inkrety, wlewały się do organizmu, lecz oddają je wprost do krwi, która je po całym organizmie roznosi, odczuwając przedewszystkiem ich działanie na sobie, rozdziela je następnie poszczególnym organizmowi częściom.

Jaki stosunek wobec tego wszystkiego zachodzi między gruczołami tarczycowymi a systemem nerwowym i co jeszcze ważniejsze, między nimi a całym organizmem i jego formą życiową? Zanim na te pytania odpowiemy, musimy przypomnieć sobie, że prócz gruczołów tarczycowych istnieją w organizmie inne jeszcze gruczoły bezprzewodowe, których znaczenie dla życia, jak najnowsze badania pokazały, jest równie doniosłe a nieraz jak zobaczymy, jeszcze może donioślejsze. Musimy więc zbadać kolejno te gruczoły, ich pracę i jej skutki, a wtedy dopiero przystąpić będzie można do odpowiedzi na nasze główne pytanie, filozoficzno-psychologiczne.

(Dokończenie nastąpi).

KS. FELIKS HORTYŃSKI.

Ze współczesnych dziwactw religijnych.

Cały XIX wiek wysiłał się w tym kierunku, ażeby nie tylko pozbawić ludzkość wiary, ale aby dowieść, że jest ona zgoła ludzkości niepotrzebną. Rezultat tego wysiłku przeszedł zgoła wszelkie oczekiwania: zaranie XX wieku jest już fantastyczną galopadą wstecz od materialistycznych światopoglądów i pozytywizmu a rzuceniem się na oślep w objęcia nadprzyrodzoności... Zdaje się, że odkąd ludzkość istnieje, nigdy z taką łatwością i z takim brakiem wszelkiego krytycyzmu jak dzisiaj nie odnoszono się do wszystkiego, co bliżej lub dalej trąci nadprzyrodzonością, tajemniczością, cudownością. Nigdy tyle nie mówiono o duchach, o magji i czarownikach, o strachach, o larwach; nigdy w takich rozmiarach nie obcowano z cieniami zmarłych, nie starano się podnieść zasłony, rozdzielającej świat widomy od niewidomego; nigdy z taką łatwowiernością nie przyjmowano za prawdę niezbitą zupełnie niedowiedzionych twierdzeń; nigdy z mniejszym krytycyzmem skądinąd zrównoważeni nawet ludzie, nie dawali brać się pospolicie „na kawał” przez rozmaitych cudotwórców i głosicieli nowych prawd i wierzeń.

Taką charakterystykę współczesnych nastrojów religijnych daje p. Efpe w swej dobrze zarysowanej i logicznie zbudowanej pracy, pt.: *W wirze ezoteryzmu*¹⁾. W kołach wierzących, a uświadomionych katolików, wydać się ona może nieco przesadną. Dlaczego? Bo wiara katolicka, choć z natury swej sięga w sferę nadprzyrodzoności i do jej królestwa prowadzi swoich wyznawców, strzeże ich jednak od wszelkich bezdroży umysłowych, chroni ich od dziwactw

¹⁾ Szereg artykułów zamieszczanych w „Czasie”, poczynawszy od 7 lutego 1923.

fantazji, która i w tej najczcigodniejszej dla każdego dziedzinie, jaką jest religja, może płać bardzo psotliwe a szkodliwe figle. Wiara katolicka zachowuje zawsze boży umiar, jej cechą zasadniczą jest mimo nadprzyrodzoności i tajemniczości rozumność; jeść ona „obsequium rationabile“, służbą Boga rozumną, jak powiada Apostoł.

Inaczej jednak ma się rzecz w tych sferach, które zasadniczo, czy też w swej praktyce życiowej zeszyły z fundamentu wiary katolickiej. Ci ludzie formowali swoje poglądy na życie obecne i przyszłe na podstawach naturalizmu, pozytywizmu, czy racjonalizmu, a wszystkie te systemy wykluczają wiarę katolicką. Otóż u tych ludzi dzisiejszy zwrot ku religijności, ku zaświatom nosi zbyt często cechy chorobliwe; brak mu często już nie tylko krytycyzmu, ale zdrowego rozsądku. W tych sferach miejsce dawnej niewiary, którą się chlubiono jako znakiem postępu, obejmuje zdumiewająca łatwowierność, z jaką się przyjmuje fantastyczne twierdzenia podawane za zbawcze prawdy, za wszechlekarstwo na nędzę i pragnienia ludzkie.

Jako wyborna ilustracja takiej łatwowierności, jako przykład dziwacznych wierzeń, które obecnie we wspomnianych kołach grasują, może nam doskonale posłużyć francuski autor Sédra, jeden z mnóstwa tej kategorii pisarzy. Zachwycił się u nas jego książkami p. Józef Jankowski i tłumaczy je spiesznie jedna po drugiej. Dobił już liczby 10.

Sédra reklamuje się jako „głośnego mistyka francuskiego w duchu chrześcijańskim i ewangelicznym“. Według tejże reklamy „wszystkie dzieła Sédra przenika gorące bardzo umiłowanie Chrystusa, nawoływanie do miłosierdzia i uprawy zasad Ewangelji, wszystko przybrane w formę natchnioną, o częstych połotach poetyckich“¹⁾.

Weźmy jedną drugą z poważniejszych prac Sédra np.: „Wykłady Ewangelji“, „Siły mistyczne“; przypatrzmy się im nieco bliżej, by się przekonać, o ile Sédrowi przysługuje tytuł mistyka „w duchu chrześcijańskim i ewangelicznym“.

W liście do swego tłumacza z francuską grzecznością wypowiada naprzód komplementy pod adresem Polski: „Pol-

¹⁾ Kurjer Warszawski z 12 stycznia 1923.

ska jest ojczyzną wszelkiego rodzaju męstwa: męstwo woj-
skowe i męstwo cywilne, męstwo ciała i męstwo serca, mę-
stwo charakteru i męstwo umysłu... Europa cała zna wa-
szych wielkich wojowników; wszyscy myśliciele znają
waszych myślicieli i waszych poetów". Jak widzimy jest to
chwalba na potęgę, która mimowoli przypomina łaciński
aksjomat: „Qui nimis probat, nihil probat". Niejednego atoli
może życzliwie dla autora nastroić. Cel swoich „Wykładów
Ewangelji" tak Sédir określa: „Oto aby zbudzić tłum senny,
zadowolony z pastwisk ziemskich, ja laik, ośmieliłem się
mówić wręcz o Chrystusie; a iż przewodnicy niebiescy Pol-
ski i Francji, są dwoma aniołami bratnimi, zostałeś Pan na-
tchniony, drogi i wierny współpracowniku, do powtórzenia
swym rodakom tego, co ja mówię moim".

Pomijając nieco pompacyjny styl i odnoszenie prze-
kładu do specjalnego natchnienia od bratnich aniołów, wi-
dzimy że autor zakreślił dla swoich „Wykładów" cel bardzo
wzniosły. Pisać o Chrystusie, by podnieść zmaterializowany
tłum, zapałszy tylko w ziemię, rzecz to bardzo chwalebna
i aktualna. Sédir chwytą niemal za serce czytelnika, gdy
pisze dalej, z jaką pokorą zabrał się do pisania tego dzieła:
„Ja tedy uczeń, mówi o sobie, postrzegłem przy czytaniu
Ewangelji, przy mowach Mistrza te tylko przebłyski, jakie
byłem zdolny pojąć, te jakie On uważał za pożyteczne, bym
pojął. Będę zrozumiał? Mamli wierzyć... żem choćby Go
usłyszał poprawnie?" A pod koniec przedmowy kładzie
p. Sédir niemal zakonne: Wszystko na większą chwałę Boga,
w tych słowach: „Niechaj ci, którzy robią zaszczyt czytania
mnie, zachowają całe swe wzruszenie, cały swój zapał dla
Tego tylko, który jest Mistrzem ich duszy od narodzenia
i pozostanie ich przyjacielem aż do przyszłych wieczności".

Przystępuje się więc prawie z religijnym nastrojem do
czytania w nadziei, że się znajdzie w „Wykładach Ewange-
lji" Sédira, nowe błyski i światła, jakie każde niemal poko-
lenie ludzkie odkrywa w tej jedynej i wiecznie żywej księ-
dze. Kiedy się jednak brnie coraz dalej w dzieło, ze stro-
nicy na stronicę, z rozdziału w rozdział, coraz liczniejsze
powstają w duszy zastrzeżenia, że to, co autor podaje, nie
jest wykładem Ewangelji, a tem mniej wykładem „w duchu

chrześcijańskim". Wreszcie czytelnik znużony i zdumiony pyta, czy autor pisze serjo, czy też kpi z niego.

Czego się bowiem nie znajdzie w tych rzekomych „Wykładach Ewangelji”? Jest tam cała niemal dziwaczna metafizyka teozoficzna, jest i kabała i spirytyzm, są mądrości ezoteryczne i egzoteryczne, jest mitologja egipska, grecka, zwłaszcza hinduska, germańska i celtycka, jest alchemja, astrologja i wszelkiego rodzaju pseudomistycyzmy. I cała ta pstrokaczna błędów ludzkich zlewa się w biednej głowie autora w jakiś niemożliwy amalgamat. A co najgorsze i dla chrześcijanina wprost bolesne, to to, że Sédir wszystkie te zboczenia stawia na jednej linii z prawdą ewangeliczną, jakby z nią równouprawnione były. I to nazywa on „wykładem Ewangelji“, z której spore ustępy cytuje dosłownie na początku każdego rozdziału.

Mimo pozornej czci dla ksiąg ewangelicznych Sédir nie uważa ich za jedyne, które podają prawdziwą religję objawioną. „Nie chcę dawać do zrozumienia, pisze wyraźnie na str. 29, by inne tradycje Kingii, Wedy, Awesta, Koran były fałszywe. Wszystko ma swoją rację bytu“. A więc według Sédira i Ewangelja prawdziwa i mahometański Koran również prawdziwy. Ten „głośny mistyk w duchu chrześcijańskim“ posuwa się jeszcze dalej, nie przypisuje on księgom ewangelicznym nawet obiektywnej wartości historycznej; powiada, że ostatecznie „każdy ewangelista skreślił (w nich) tylko swój własny życiorys duchowy“ (str. 25).

A teraz przypatrzmy się *in concreto* niektórym „wykładom Ewangelji“ tego egzegety, który tak zachwycił p. Janowskiego. Oto co mówi np. o dziewictwie Matki Bożej:

„Matka Panna, pisze Sédir, jest zresztą tradycją powszechną. Bowiem niewiasty, które wydały na świat Krisznę, Gautamę i innych zbawców przedmesjanicznych, były snadnie wolne od wszelkiego zetknięcia człowieczego, ale ojcami ich dzieci byli bogowie, nie zaś Bóg; duchy nie zaś Duch“ (t. I. str. 109). Ileż tu bałamuctw! Matka Najśw. postawiona na równi z matkami legendarnego Kriszny, czy Buddy; jedyny jej przywilej boskiego poczęcia Syna Bożego bluźnierczo zestawiony z mitologją pogańską. Jota w jotę taką samą egzegezę uprawia bolszewickie pisemko: Kultura robo-

tnicza. W numerze z 24 marca 1923 w artykule: Zwiastowanie znajdujemy to samo zestawienie Matki Najśw. z pogańskimi boginiami, a ewangeliczne opowiadanie o zwiastowaniu potraktowano tu jako legendę mitologiczną. Ta jednak zachodzi różnica między Kulturą Robotniczą a Wykładami Ewangelji Sédira, że pierwsza wprost z otwartą przyłbicą zwalcza chrześcijaństwo i szerzy ateizm, a p. Sédir, zachowując pewne uszanowanie dla Ewangelji, dyskredytuje je pośrednio, równając je z wierzeniami pogańskimi. Obok Boga przyjmuje Sédir zupełnie serjo jakichś bogów, tak że nie wiadomo, czy jest monoteistą czy też politeistą.

Matce Bożej przypisuje Sédir reinkarnację (I, 104): „Oczywiście dusza Marji Panny żyła już na ziemi niezliczoną ilość razy; ostatnie jej istnienie było jakby koncentracją syntetyczną wszystkich jej prac uprzednich“. Posłuchajmy jeszcze, co Sédir mówi o stosunku Najśw. Panny do Ojca niebieskiego i Słowa przedwiecznego. Warto przeczytać z uwagą poniższy tekst, bo dobrze charakteryzuje gadulstwo autora, jego mętny sposób pisania i dziwaczne pomieszanie majaceń teozoficznych z chrześcijańskimi prawdami:

„Życie Absolutu, istoty, jakie go zaludniają, czynności, jakie on rozwija, zjawiska, jakie się tam roztaczają, wszystko to jest Słowem. Dziewica wieczysta jest jak atmosfera, powłoka, substancja sama tego królestwa; i na wysokości tam jeszcze, i w całej pełni, w całej doskonałości właściwej temu światu Obecności i Rzeczywistości, jest ona służebną Pana. On i Ona istnieją przed Stworzeniem; są oni, by śmieć tak rzec, współwieczni; życie ich, to uosabianie rozkazów Ojca, i tym sposobem rosną oni oboje. Słowo daje życie Mądrości i Mądrość karmi Słowo, rozwija się ustawicznie, nieskończenie, całkowicie. Wszelka dusza stworzona jest iskrą Słowa, odzianą w tchnienie Dziewicy niebieskiej. Oto dlaczego istoty wołają ku niebu“.

Ktoby chciał zrozumieć ten ustęp w sensie chrześcijańskim, darmoby się trudził, jest on dla wyznawcy Chrystusa bezsensowny, sprzeczny z całą nauką chrześcijańską. Cóż bowiem Najśw. Panna, ale ta którą ewangelja opisuje, ma wspólnego z jakąś „dziewicą wieczystą, która jest atmo-

sferą, powłoką, substancją samą królestwa Absolutu"; wiemy dobrze, że Marja jest dziewicą, ale miała początek, że jest stworzeniem, a więc czemś zupełnie różnym i odrębnym od Absolutu, a nie jego atmosferą, czy substancją samą; jest Marja stworzeniem, a więc wcale nie jest „współwieczna” ze Słowem; bzdurstwem wobec tego jest twierdzenie, jakoby każda dusza stworzona była „odziana w tchnienie Dziewicy niebieskiej”, bo miliony dusz Bóg stworzył, zanim istniała Najśw. Panna, a zatem nie mogła ich „przyodziewać w swoje tchnienie”. Błędne są również powiedzenia Sédira o Słowie przedwiecznem, jeśli to ma być druga osoba Trójcy Przenajśw., to Słowo, które św. Jan w swej Ewangelji opisuje.

Kto atoli zna system teozoficzny, niech sobie wstawi w miejsce Absolutu, Ojca, niepoznawalny Prabyt, w miejsce Słowa Ishwarę, zamiast Dziewicy Maję, zamiast Mądrości Brahme, a odrazu ten ustęp stanie mu się jasny w sensie teozoficznym. Bo Sédir bardzo często pod płaszczykiem Ewangelji przemycą niedorzeczności teozoficzne, a kto chce jego rzekome wykłady „ewangelji” zrozumieć, musi naprzód przestudjować podręcznik teozoficzny, wówczas będzie się mógł jako tako zorientować w tym bigosie najróżnorodniejszych koncepcyj, jakimi Sédir raczy swego czytelnika.

Zastanawia się egzegeta Sédir i nad tem pytaniem, dlaczego wcielenie Słowa nastąpiło w Galilei, dlaczego w Betleem z pomiędzy setki miast? Naprzód z racji Woli bożej niepoznawalnej, ale również i z racji naturalnych. Jakież to są te racje naturalne według Sédira. Oto te, że ziemia z pośród innych światów nakierowała się w przestrzeni w ten sposób, że jakoś prądów, przez które ma łączność ze słońcem, stała się w pewnej epoce zdolną do tych nawiedzin. Powtóre, świat niewidzialny umieszcza się zawsze w jakimś punkcie widzialnego. Otóż Galilea, Betleem były miejscami, dokąd w chwili Wcielenia docierała droga prosta od słońca do ziemi, wykreślona od jednego ośrodka dynamicznego do drugiego dwóch tych ciał (str. 116). A zatem według p. Sédira naturalną racją Wcielenia Syna Bożego na ziemi, a nie na Marsie jest pewne nastawienie się ziemi do słońca, jakoś prądów, które od niego odbiera i najkrótsza droga ze słońca do Betleem.

Naprzód pytanie, skąd p. Sédirowi te wszystkie bania-luki — bo jakże to inaczej nazwać — wiadome, a powtóre co za związek ma to nastawienie się ziemi, lub ta jakoś prądów słonecznych z Wcieleniem? Chyba że Sédir wyobraża sobie, iż Słowo Boże spłynęło po tym prądzie najkrótszą drogą do Betleemu! I to ma być wykład Ewangelji „w duchu chrześcijańskim!?”

Zresztą dla Sédira Wcielenie Syna Bożego nie jest faktem, który się raz w dziejach dokonał. „Od wieków Wcielenie zachodziło, ale urzeczywistniało się, urzeczywistnia i będzie się urzeczywistniać w niezliczonych okręgach doczesnych t. j. na wszystkich planetach widzialnych i niewidzialnych, tylko w różnych chwilach czasu. By się ten cud spełnił w organizmie stworzonym, w pewnym punkcie przestrzeni, trzeba by nastąpiło złączenie tego punktu ze sferą ośrodkową boską: jest to jedno ze znaczeń znaku krzyża. Trzeba, by życie tej planety, duch jej, osobowość jej w zapasach z jakąś niemożliwością, zwróciły się ku ośrodkowi świata, jako ku swemu zbawieniu” str. 194. Opierając się na teozoficznej hipotezie „szerzenia się ruchów Jedności”, oblicza Sédir, że przyszłe wcielenia dokonają się w 8000 lat na Merkury, a w r. 10000 na Saturnie i t. d.

Sédir zna trochę autorów katolickich, ale więcej jeszcze niewierzących. Trochę wierzy pierwszym, więcej jeszcze drugim. Ma się wrażenie, że wśród wiru rozmaitych zdań i opinij słabo się orjentuje. Stąd w jego „Wykładach Ewangelji” takie zdania: „Egzegeza poucza nas, że w Księgach St. Testamentu i w Księgach N. T. są sprzeczności, baśnie, błędy historyczne. — Wszyscy czytali oświadczenie rozgłośnie Ernesta Renana i księdza Loisy’ego”. Komentarz zbyteczny! — Albo jak pojmuje inspirację ksiąg świętych: „Jest w tekstach św. część udziału osobistego, apologetyka poucza słusznie, że Duch św. dyktował pisarzom, ale pisarze nie zawsze byli wierni”. Tymczasem według żadnej apologetyki katolickiej inspiracja nie polega na takim dyktandzie, a tem mniej na niewierności pisarza św. dla takiego dyktanda. — „Bossuet a z nim wszyscy teologowie, pisze Sédir na innem miejscu, mniemają, że każda Księga Święta jest... zachowana bez zmiany jednej litery przez potomność pobożną”

(I, 17). Przypisywać takie twierdzenie wszystkim teologom jest albo jaskrawą ignorancją, albo świadomem fałszowaniem rzeczy. — Co powiedzieć o tem twierdzeniu p. Sédira, że św. Grzegorz Nyseński i św. Augustyn był poprzednikiem dla Volney'a i Dupuis astralnej teorii w tłumaczeniu Ewangelji, co powiedzieć o p. Jankowskim, który naiwnie dodaje w przypisie, że był poprzednikiem i naszego A. Niemojewskiego? (str. 161). To, że jednak pewna uczciwość i w pisaniu obowiązuje.

Na zakończenie przytoczmy jeszcze gwoli rozweselenia parę oryginalnych „wykładów“ p. Sédira. O św. Janie Chrzcicielu pisze Ewangelja: „Wina i sycery pić nie będzie“. Co to znaczy? Człowiek o zdrowym rozsądku powie, iż św. Jan powstrzyma się od picia wina i sycery. Poszuka, co najwyżej objaśnienia co to był za napój ta sycera. Ale dla p. Sédira taki wykład byłby zbyt prosty, za mało teozoficzny, to też prawi nam: „Wino — to zabiegi psychiczne dawnych wtajemniczeń, esencje subtelne życia zodjakalnego“ (sic!). „Sycera — to wpływy mętne ducha tego świata, gwiazd, ciał niebieskich i żywiołów, jakich poszukują wszyscy ludzie“ (dosłownie, str. 76). — P. Sédir zna bardzo ciekawe szczegóły z „tradycyj katolickich“, o których sami katolicy nic nie wiedzą, Oto: „w marcu 25-go, głosi tradycja katolicka świat został stworzony, Abel został zabity, św. Michał zwyciężył Szatana, Adam został pochowany na Kalwarji, Melchizedek ofiarował chleb i wino, Abraham chciał poświęcić syna swego, Izaaka. 25-go marca odbyło się zwiastowanie i nastąpi koniec świata“ (str. 110). Cóż na to odrzec? Tylko to, że cała owa rzekomo katolicka tradycja o 25 marca jest najczystszej wody zmyśleniem, które ma swe źródło w kabalistycznych skłonnościach p. Sédira. I to, że jeśli Sédir świadomie takie niedorzeczności wpisuje na karb tradycyi katolickiej, to dopuszcza się bardzo pospolitej nieuczciwości, a jeśli to czyni w dobrej wierze, to zdradza niepospolitą ignorancję nauki katolickiej. — P. Sédir jest nie tylko człowiekiem, który wie rzeczy, o których nikt nic nie wie, ale jest przytem wielce nabożny: wymyślił nowy tytuł dla Najśw. Panny, na któryby z chrześcijan nikt nie wpadł, jest nim: „Królowa sił fluidycznych“; ma to być nowe wytló-

maczenie jej miana świętego: Gwiazdo Morza. — Że wół przy żłóbku przedstawia siły fizyczne, na taką koncepcję możnaby od biedy jeszcze wpaść, ale żeby z osła zrobić reprezentanta uczuć ludzkich, na to potrzeba okultystyczno-kabalistycznej mądrości p. Sédira.

Istnieje przykazanie, znane wszystkim chrześcijanom: „Nie będziesz brał Imienia Bożego nadaremno”, nakazuje ono cześć głęboką dla wszystkiego, co z Bogiem szczególnie związane. A więc i dla Ewangelji, która zawiera Objawienie Boże dane ludzkości. Trzebaby to przykazanie z całą surowością zastosować do Sédira i jego tłumacza: „Nie będziesz brał św. imienia Ewangelji, by nim osłaniać tę truciznę duchową, która od czasów Bławatskiej sączy się po Europie, a której imię właściwe „teozofja”. Teozofja a Ewangelja Chrystusa — to są rzeczy wręcz sobie przeciwne, jak ogień i woda, jak fałsz i prawda. Czy ją świadomie Sédir pod osłoną Ewangelji kolportuje, nie chcemy rozstrzygać; w każdym razie jego Wykłady, mimo zewnętrznych pozorów, są wykładami raczej wszystkiego innego, a nie Ewangelji Chrystusowej — nie przywiodą one „tłumu zadowolonego z pastwisk ziemskich” do Chrystusa, ale do zupełnego sceptycyzmu religijnego.

Inną pokażniejszą książką Sédira to „Siły mistyczne” — na kartach tej książki rozsiano, przyznać trzeba, trochę sprostżeń wcale niezłych, owszem trafnych, nieraz wnikliwych, jak idzie o głębsze życie ducha. Ale cóż, kiedy Sédir, reklamowany przez swego tłumacza jako „głośny mistyk chrześcijański”, przysypał te cenne ziarna znów takim stosem plewy teozoficznej, kabalistycznej, gnostycznej, fluidycznej i t. d., że słuszniej nazwie się jego dzieło książką o mistyfikacji niż o mityce.

Parę przykładów, jak nedorzeczości okultyzmu zaciążyły nad umysłowością Sédira i prowadzą go do ciągłego znieprawiania pojęć chrześcijańskich. Dlaczego św. Paweł mówi: Wiara pochodzi ze słuchu? Dlatego, odpowiada Sédir, że „istnieje w rzeczy samej stosunek tajemniczy między arkanami Nieba i fluidami słuchowymi, między zmysłem słuchowym i zmysłem bożym” (str. 12). Z tegooby wynikało, że św. Paweł przyjmował fluida słuchowe. — Sédir odrzuca

naukę Kościoła o dobrych i złych duchach, ale zato wraz z gnostykami przyjmuje niezliczone mnóstwo tworów pośrednich wszelkiego stopnia. Odrzuca właściwe piekło i niebo. „Co do rękła, żadna istota nie zostaje tam na zawsze; sam książę jego wróci kiedyś do upamiętania“ (str. 176). „Prawdę powiedziawszy nie masz istot ustalonych wieczyście w Ciemnościach, i jest bardzo niewiele, możnaby je policzyć, pozostających na zawsze w Świetle; my byliśmy aniołami, mamy z kolei stać się demonami, by później stać się na nowo aniołami czystszyimi i mocniejszymi“ (str. 14). A zatem wędrówka dusz. Sédir jest wprost śmieszny w upatrywaniu wszędzie i we wszystkim duchów. Każdemu z nas towarzyszy na tym bożym świecie cała plejada duchów. Słuchaczów swoich zapewnia, że każdy z nich przyszedł na salę „z całą kohortą duchów: duchów przodków waszych, potomków (!?), rodziców, duchów wspomagających, przeciwników, oświecicieli, zaszczipiających zepsucie“ (str. 14). Co więcej: każdy dom ma swego ducha, a nawet „każdy szczegół drzwi, okna, każdy sprzęt istnieje tylko przez działanie skupiające ducha“. „Drzewo leśne... jest ciałem pewnego geniusza, gdy topór je zwała, każdy kawałek, deska, każde polano staje się mieszkaniem geniusza innego rzędu; i cieśla i stolarz... wywołują nowego geniusza półleśnego i półludzkiego, który zamieszkiwać będzie to drzewo przekształcone na stół, krzesło lub szafę i pokieruje w pewnej mierze ich istnieniem“. Toteż dla Sédira wcale nie jest przesadną liczbą „trzydziestu trzech milionów bogów“ według brahmińskiej arytmetyki (str. 75). — Śmieszne to wszystko doprawdy, ale staje się wprost niesmaczne, kiedy Sédir na poparcie swoich baśni przyzywa teksty Pisma św. lub liturgji katolickiej, nadając im wprost karykaturalne znaczenie. Np. dlaczego według Sédira pożytecznie jest modlić się nad trumną? Bo jedno z ciał astralnych nieboszczyka, t. zw. modła wtórna, krąży dokoła trumny i poszukuje chciwie emanacyj fluidycznych kadzeń, pokropień, gestów kapłańskich i słów obrzędowych (str. 169). Dla wierzącego chrześcijanina jedną z rzeczy najbardziej przykrych i odrażających w książkach Sédira jest to ustawiczne mieszanie baśni teozoficznych z prawdą objawioną i kultem chrześcijańskim.

Dla duchów i genjuszów zamieszkujących również stare łachmany i rupiecie jest p. Sédir czule miłosierny, zaleca więc, by starych sprzętów nie niszczyć, nie palić, ale w specjalnych magazynach przechowywać, bo one wtenczas jeszcze świadczą przysługi swym panom, ale duchowe (!?) zamiast materialnych (str. 80). Rozbrajającą wprost w swej teozoficznej poczciwości jest następująca prośba p. Sédira: „Z miłosierdzia nie gaście dmuchnięciem lampy czy świecy; oszczędźcie śmierci nagłej istotkom wytwarzającym płomień... Z miłosierdzia, nie reparable do nieskończoności starej bielizny i starych ubrań, jeżeli możecie kupić nowe“... (str. 81). Doprawdy, co za kolosalną rupieciarnię mógłby p. Sédir (na spółkę ze swoim tłómaczem) założyć, gdyby z miłosierdzia dla tych genjuszów i duchów, które według nich mieszkają w starych stołkach, kanapach, stołach, fotografiach, zwłaszcza w starych ubraniach i bieliźnie... gdyby zechcieli to wszystko wymienić biedakom na rzeczy nowe! Spełniliby akt hinduskiego czy teozoficznego miłosierdzia, a sobie zapewniliby opiekę niezliczonych rzesz duchów i genjuszów.

Możnaby przykłady tych zboczeń umysłowych mnożyć i mnożyć, bo ich obficie dostarcza Sédir w swych „Siłach mistycznych“ i w innych pismach, ale i tego dość, by zobaczyć na jakie bezdroża schodzi rozum ludzki, jeśli w sprawach religij porzuci bezpieczne przewodnictwo Kościoła. Porzuca je pod pozorem nadmiaru tajemnic i chęci stworzenia czegoś doskonalszego, a wpada już nie w boże tajemnice, ale w dziwactwa umysłowe i w karykaturę moralności chrześcijańskiej. — Przedewszystkiem jednak zastrzec się trzeba jak najenergiczniej przed reklamowaniem p. Sédira, jako „głośnego mistyka w duchu chrześcijańskim i ewangelicznym“. Być może, że Sédir jest już głośnym; słowo mistyk ma tak obszerne znaczenie dodatnie i ujemne, że i na ten epitet można się zgodzić; ale pojęcia „chrześcijański, ewangeliczny“, zawierają dość skryształizowaną treść, a treść zbyt wielką i świętą na to, żeby pod jej płaszczykiem przemycać rojenia teozofji, okultyzmu, kabały, gnostycyzmu... i nieświadomych rzeczy uwodzić najczcigodniejszą dla nich nazwą.

J. ANDRASZ.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

August Cieszkowski: *Ojciec nasz* — wydanie nowe zupełne, z przedmową A. Żółtowskiego, t. 1 str. 9, XXXIX, 221; t. 2 str. 522; t. 3 str. 296. Fiszer i Majewski, Poznań 1922—1923.

Hoene-Wroński: *Prolegomena do Mesjanizmu*, t. 1, przełożył z franc. J. Jankowski. — *Prace Instytutu Mesjanicznego w Warszawie*. Książnica Polska T-wa Naucz. Szkół W. Lwów—Warszawa. 1922, str. 247.

Badania nad naszą polską myślą filozoficzną, która zaczęła się i, niestety jak dotąd, cała skończyła z okresem romantycznym, nie wyszły poza okres prób i przygotowań. Przedewszystkiem brak nam zupełnych wydań dzieł naszych myślicieli; niewielka ilość pozostałych egzemplarzy z dawnych wydań, dziesiątki dzieł zalegających w rękopisach, brak wydań bardzo utrudnia pracę; dlatego do syntezy jeszcze nam daleko. Z uznaniem przeto należy powitać wydanie obu wyżej wymienionych dzieł. Zwłaszcza pierwsze zupełne wydanie „*Ojciec nasz*” może stanowić punkt zwrotny w badaniach nad filozofją Cieszkowskiego.

Ale wydawcom i tłumaczowi nie tylko ściśle naukowy cel przyświecał. Że się odważyli na taki hazard, jakim jest wydanie tak pod względem treści i objętości poważnych dzieł, a więc nie mogących liczyć na popyt u nas, to oprócz, a może nawet przed celem ściśle naukowym przyświecał im inny: pragnienie propagandy bardzo dziś — zdaniem wydawców — aktualnych poglądów obu myślicieli. Wydawca „*Ojciec nasz*”, A. Żółtowski, w dłuższym wstępie sam przyznaje, że ten drugi cel miał na oku. „*Prolegomena*” zaś nie posiadają żadnego wstępu, ani uwag, czy objaśnień — co trzeba uznać za ujemną stronę wydania — ale samo nazwisko p. Jankowskiego, bardzo ruchliwego, apostoła teozofji i mesjanizmu, oraz napis: *prace „Instytutu Mesjanicznego”*, wymowniej mówią, niż długa przedmowa. I tutaj mielibyśmy pewne zastrzeżenia. Że niektóre poglądy Wrońskiego, a zwłaszcza Cieszkowskiego są naprawdę aktualne i wielkie, zgadzamy się, że „*Ojciec nasz*” było sięgnięciem intuicją potężnego umysłu w przyszłość, w dzisiejsze stosunki, na to także zgoda, ale czy systemy Wrońskiego i Cieszkowskiego, łącznie z ich koncepcjami religijnymi, mają się stać tem nowem objawieniem czy cudownem lekarstwem, któreby przekształciło całe współczesne życie — śmiemy powątpiewać. Wielki system Cieszkowskiego, w szczegółach może nawet genialny, w swych podstawach filozoficznych i religijnych jest fałszywy i dlatego nie można go

uznać za fundament odrodzenia dusz polskich i społeczeństwa polskiego. P. Żółtowski widzi to niebezpieczeństwo w innych kierunkach i prądach, nie dostrzega go, a przynajmniej nie chce tego przyznać, że niesie je także i „Ojcie nasz”. (t. 1 Przedmowa, str. 9). Krótka notatka sprawodawcza nie pozwala na wyczerpujące uzasadnienie naszych obaw, wystarczy jednak zwrócić uwagę na zabójczą wprost dla prawdziwego życia religijnego koncepcję Kościoła Ducha Św., wspartą na całkowitem zafarciu różnicy między tem co przyrodzone, a tem co nadprzyrodzone, a obawy nasze nie wydadzą się płonnymi. — Mówimy tu przedewszystkiem o Cieszkowskim, ponieważ nie wierzymy, aby dzieła Wrońskiego, mimo zapału i propagandy jego wielbicieli, mogły dziś wyrzec jakiś większy wpływ, a to poprostu dlatego, że są bardzo ciężkie, niezrozumiałe, przeładowane straszliwą, dla zwykłych, dzisiejszych głów niemożliwą do strawienia dialektyką. Chociażby jednak było inaczej, to w każdym razie poglądy obu myślicieli muszą pierwiej przejść przez ręce uczonych, zanim staną się własnością szerszych mas.

- Tyle o motywach wydania omawianych dzieł, teraz jeszcze kilka słów o samem wydaniu. — „Ojcie nasz” zostało rozłożone na 3 tomy. Pierwszy obejmuje oprócz Przedmowy wydawcy, traktat „O Drogach Ducha” i „Wstęp” zawierający ogólne uwagi o Modlitwie Pańskiej i historjograficzne poglądy Cieszkowskiego na dzieje ludzkie. Cały drugi tom zawiera „Wezwanie” (rozbiór słów: Ojcie nasz który jesteś w niebie) i „Pierwszą Prośbę”. Tom trzeci „Prośbę drugą” i te fragmenty i szkice, jakie pozostały o dalszych prośbach. Zewnętrzna strona wydania jest wcale uczciwa, poważna, odpowiada treści, którą zawiera. — Pod tym samym względem wydanie Wrońskiego w całej pełni zasługuje na ocenę: wytworne. Ale niestety tłumacz nie dotrzymał kroku wydawcom. Dotąd nie zdołaliśmy wydostać francuskiego oryginału, dlatego kwestję wierności tłumaczenia zostawiamy na później, aby o niej pomówić przy dalszych tomach „Prolegomenów”. Sam jednak przekład pod względem językowym i stylistycznym jest bardzo zły, powiedzielibyśmy wprost straszny. Tak po polsku pisać i tłumaczyć dziś stanowczo nie wolno. Styl p. Jankowskiego znamy już z innych jego prac; nie lepsze one od tłumaczenia „Prolegomenów”. Przedewszystkiem galicyzmy, a zwłaszcza ustawiczne posługiwanie się bez potrzeby i błędnie zaimkiem „ten” (ce). Jeden przykład: „Co do nas, jako autora i promotora wysokiej doktryny tej Mesjanizmu, nie mogliśmy, dla wytworzenia jej publicznego (sic), uczynić więcej nadto, co już uczyniliśmy i co czynimy jeszcze obecnie, tak iż gdyby znano wszystkie nasze wysiłki, zrozumianoby, że musimy obecnie z taką dozą rezygnacji, co i żalości patrzeć na ten czy inny los doktryny tej absolutnej, od dawna tak oczekiwanej, składając w ręce Stwórcy los ten niepewny...” (str. 32). Dalej niemożliwie długie, niedołążnie zbudowane okresy, które czytanie książki, już i tak nie łatwej do zrozumienia, zamieniają poprostu na mękę. I jeszcze niezliczone masy błędów stylowych i gramatycznych. Dla p. Jankowskiego teorie filozofów są „pojętne” (str. 3), tymczasem przecież dla naszych pojętnych umysłów są one możliwe do pojęcia. Pisma perjodyczne we Francji są literaturą, „której wyrazy pobierają zna-

czenie tylko ze słownika i otrzymują uszykowanie tylko z gramatyki" (str. 3). R. Leroux „tuszy tu prowadzić stary dziennik La Globe" (str. 4). Inny redaktor „obwieszcza celnie ogółowi, nie przerażając się otchłaniami wszystkich zaprzeczeń i wszystkich krańców zniszczenia, jakie się rozczyniają w komunizmie" (str. 4)... „To też, umieszczeni, jak jesteśmy w punkcie widzenia filozoficznego tak wzniesionego, gdzie wymagamy od filozofii warunków wyłącznie naukowych..." (str. 7). Oto kilka zaledwie przykładów wcale nie wyszukanych. A jest tak przez 247 stron książki. Dodajmy jeszcze liczne nowotwory i frazesy czy wyrażenia w rodzaju: dotyczące do treści, partolić wielkie rzemiosło, wycechowanie pism, duchobudowcy świata, rości odnowę w ten sposób prawdziwej filozofii francuskiej, książka Kanta sprawia Francuzom ból głowy na trzeciej stronie itd. itd. Pomijamy już przeciwną najprymitywniejszym zasadom gramatyki polskiej i duchowi języka metodę gromadzenia zdań podrzędnych przez powtarzanie kilkakrotnie łączników: że, który, jaki. („My Niemcy odpowiemy im, że sposób ten zapatrywania się na filozofję pochodzi stąd, że nie mają oni żadnego pojęcia o prawdziwej filozofii naukowej, z racji oczywistej, że nie masz zgoła żadnej filozofii we Francji, zwracając im uwagę, że to, co się tam wprowadziło pod mianem filozofii, nie jest niczem innem, jak zwykłą deklamacją" str. 5. Czy można zbudować zdanie bardziej niedołącznie i po sztubacku?), Pomijamy także całe mnóstwo przeróżnych niedoskonałości językowych, które nie są jeszcze może ciężkimi grzechami, ale zbyt wystarczająco dowodzą, że p. J. po polsku poprawnie pisać nie umie i dlatego prac swoich wydawać nie powinien. Przyznajemy, że tłumaczyć Wrońskiego, to rzecz nie łatwa, ale tem bardziej zdumiewającą jest odwaga p. J., który na takie dzieło się porwał.

St. Bednarski.

Dr Leopold Caro: Ku nowej Polsce. Lwów, nakł. „Księgarni Naukowej", 1923, Str. 152.

Autor, profesor politechniki lwowskiej, rozstrząsając najważniejsze zagadnienia z zakresu filozofji prawa, socjologii i ekonomji, stara się je tak ująć i wyjaśnić, by ich praktyczne rozwiązanie zbliżało nas ku „nowej Polsce". Ogólną zasadą jego, która przez wszystkie rozstrząsania się przewija, jest — unikanie skrajności. Idzie średnią drogą między absolutyzmem, a nieograniczoną wolnością, bolszewizmem a pojęciem własności jako czegoś absolutnego i nieograniczonego, etatyzmem a liberalizmem ekonomicznym i nieograniczonym wolnym handlem, nacjonalizmem krańcowym a niwelującym kosmopolityzmem i t. p. Jest to linja chrześcijańskich pojęć, która jednym wydaje się zacofaną, innym znowu zbyt radykalną, w istocie jest wytkniętą przez naturę człowieka i rzeczywistych jego przeznaczeń.

Prof. Caro możnaby nazwać moralistą w socjologii. Spostrzega on prawa rozwoju stosunków społecznych i gospodarczych, ale wie również w jak wielkiej mierze same te prawa uwarunkowane są moralną wartością ludzi; dlatego przesuwą punkt ciężkości z reform zewnętrznych

na reformę człowieka wewnętrznego, czem się wyraźnie odcina od ideologii zarówno liberalnej, jak i socjalistycznego materializmu.

Książkę przeczyta z pożytkiem każdy inteligentny obywatel Polski, przynosi ona bowiem dużo świeżych myśli, wypowiedzianych przytem w sposób zajmujący. Wielką przysługę może też oddać ona tym stowarzyszeniom i związkom katolickim, gdzie roztrząsane bywają zagadnienia współczesne, a gdzie się je roztrząsa po omacku bez dostatecznej znajomości katolickiej nauki i bez umiejętności zastosowania jej do publicznego życia..

Ks. J. Urban.

Aleksander Rogala-Lewicki: Jak dostarczyć Polsce kapitału? Lwów, nakł. „Księgarni nauczycielskiej” 1923, Str. 122.

Niewielka objętością, przejrzysta w układzie i wykładzie, barwna w języku, doniosła doniosłością omawianych zagadnień, książka ta zasługuje na szerokie rozpowszechnienie. Wojna spowodowała wszechświatową katastrofę gospodarczą. W jednych krajach, zgromadziwszy nadmiar złota, wzmożła jego potaniecie, a drożyznę wszystkiego innego, zatem zastój produkcji z powodu niemożliwości eksportu, w drugich — do tych Polska należy — ogołoconych ze złota, wywołała inflację papierowych pieniędzy, ustawiczny spadek waluty, brak kredytu, a więc znowu utrudnienie produkcji, a niemożliwość importu z krajów o walucie wysoko stojącej. Autor podkreśla, że Polska winna sama przezwyciężyć swe gospodarcze i finansowe trudności. Wyratuje się z topieli przez zdrową reformę walutową. Pieniądz polski winien być oparty, według autora, na hipotece majątku społecznego, który według jego obliczeń wynosi 150 biljonów franków złotych. Wystarczy obciążyć 5% tego majątku, by stworzyć aż zbyt wielki kapitał obrotowy dla całego naszego gospodarstwa.

Przekonywujące są te dowodzenia autora, w których wykazuje, że złoto nie jest miernikiem absolutnym innych wartości. Wogóle — możnaby dodać — takiego miernika niema, skoro wartość rzeczom nadaje nie tylko ich użyteczność lub konieczność dla życia ludzkiego, ale i takie czynniki zmienne, jak zwyczaj, moda i przesady ludzkie.

Książka A. Rogala-Lewickiego zwróci zapewne na siebie uwagę specjalistów; ogół inteligentnych czytelników znajdzie w niej jasne wprowadzenie w zawiłe problemy finansowe i gospodarcze i sprostowanie wielu mylnych, a szeroko rozpowszechnianych poglądów i twierdzeń.

Ks. J. Urban.

Ks. Władysław Chotkowski: Redukcje monasterów Bazylijskich w Galicji, Kraków 1922, osobna odbitka z wydawnictwa polskiej Akad. Umiejętn., wydziału hist.-filozof. Serja II, t. XXXVIII, N. 6. 8° str. 79.

Praca składa się z następujących rozdziałów: I Prowizoryczny stan Bazylianów w Galicji za czasów Marji Teresy od 3 — II. Położenie Bazylianów za czasów Marji Teresy, w krótkości, przedstawione bardzo udanie i czyta się to z przyjemnością i zainteresowaniem; zwraca jednak na siebie uwagę, że szanowny autor wymienia tam (p. 5) osobną diecezję

obrz. gr. bełzką, a przecież wiadomo, że takiej oddzielnej eparchji nie było, a istniała chełmsko-bełzka (jak przemyska z samborską i sanocką), o czem też i Pefesz wyraźnie powiada.

Rozdział II, 11-27, Opactwa Bazyłjanów w Uniowie i Żółkwi. Tu są wyczerpująco przedstawione dzieje zniesienia opactwa w Uniowie, a ostatecznie, pozostawienie w Żółkwi. Ciekawe fakty o kulcie dwóch schizmatycznych świętych — Jana Nowego i Partenjusza — u Unitów i mnóstwo nieznanych, niezmiernie interesujących szczegółów o gospodarce biurokratów austriackich z Józefem II na czele po pierwszym rozbiore Polski.

Rozdział III, 27-40. Redukcje czternastu monasterów od r. 1787—1789. Tu w ciągu dalszym zaznajamiamy się z działalnością „taxatorów”; tak np. w monasterze w Szczepłotach oszacowano konfesjonał 15 k., chrzcielnicę kamienną — tyleż, portret fundatora Rozwadowskiego 3 kr.; cerkiew monasterską u św. Spasa zamieniono na spichrz etc.; takie wypadki zdarzały się często. Komisja abolicyjna kielichy, naczynia służące do służby Bożej zabierała i wysyłała do spółki finansowej żydowskiej, Dobruckiej i syna, do Wiednia.

Rozdział IV, 40-51. Zabiegi protoihumena Starożyńskiego ratują 16 monasterów. Prowincjał bazyłjański energicznie i gorliwie wziął się do tej sprawy, poruszając rozmaite sprężyny, aby dojść do celu. Zaznaczał on w wyższych sferach w Wiedniu, że zakon Bazyłjanów jest pożyteczny nie tylko Cerkwi, ale i społeczeństwu przez to, że utrzymuje szkoły, że większa część zakonników jest biegła w języku niemieckim, reszta zaś chętnie się uczy po niemiecku, aby szerzyć oświatę; wreszcie pomogły mu okoliczności: w lutym 1790 umarł Józef II, a brat jego Leopold, objawszy rządę, położył hamulce do rydwanu niszczenia (jak się malowniczo Autor wyraża), który się toczył dotąd w szalonym pośpiechu. Gubernator Brigido ostygł zaraz w zapale niszczenia i znoszenia klasztorów i następnie otrzymał dekret polecający, żeby się nie spieszyć z niszczeniem. Nie wszyscy prowincjałowie odznacжали się taką gorliwością jak O. Starożyński w ratowaniu monasterów, jego następca O. Haldajewicz wręcz przeciwnie postępował, ale zawsze to, co uczynił O. Starożyński, jest bardzo ważną doniosłością w Dziejach Bazyłjanów w Galicji.

Rozdział V, 50-79. Pozostałe monastery Bazyłjanów. Ten ostatni rozdział najobszerniejszy, szczególnie obfituje w ciekawe, a pouczające fakty z dziejów tego zakonu. Naprzód tu mowa o tych klasztorach bazyłjańskich, które tylko czas krótki należały do Austrii, w Chełmie, Białej, Lublinie i Krakowie t.z. Żółbek (wyczerpujące wiadomości o ostatnim podane gdzieindziej: Prymasa Poniatowskiego spustoszenia kościelne w Krakowie); bardzo tu ważna uwaga autora przy tej sposobności, poparta faktami, że w dekretach z tych czasów wyraźny dowód, że ani władcy, ani prowincjał bazyłjański nie mieli cienia władzy nad monasterami, bo t. z. komisja zarządzająca rządu cywilnego, miała prawo wydawać im rozkazy, które wykonywać potrzeba było.

Potem autor powraca znowu do dziejów bazyłjańskich t. z. Galicji wschodniej. W r. 1800 było tam jeszcze monasterów 22, a mianowicie

w diecezji lwowskiej 14, zakonników 87, w przemyskiej 8 z 77 zakonnikami; pierwsze miały dochodów 13.474 fl., a drugie 14.231 fl.

Wszystkie te klasztory opisane tu dokładnie pod względem finansowym i gospodarskim, ale w te szczegóły nie będziemy wchodzić.

Autor potrąca dalej o długotrwałe walki Bazylianów ze swoim świeckim duchowieństwem, starając się obu partjom wymierzyć sprawiedliwość, zaznaczając ich dodatnie i ujemne strony.

Studjum to, oparte przeważnie na źródłach pierwszorzędnych, do niedawna mało komu dostępnych, z archiwów wiedeńskich — ministerjum spraw wewnętrznych, spraw zagranicznych, ministerjum wyznań i oświaty, tajne archiwum — jest bardzo ważnym i pouczającym przyczynkiem do dziejów monasterjologii u nas, a szczególnie do historii Bazylianów, którzy dotąd reprezentowani są w drukach naszych dość słabo i niedokładnie.

G. J.

Ludwik Madelin: *Francja Dyrektorjatu 1795—1799. Pięć odczytów wygłoszonych w Paryżu w r. 1922. Tłumaczone z oryg. franc. za zezwoleniem autora przez grono członków S. P. F. K. pod redakcją p. S. Miłuckiego, ze wstępem sekretarza general. p. T. Stryjeńskiego. — Nakładem Stowarzyszenia Przyjaciół Francji w Krakowie. 1923 str. VII, 134 i XIII.*

W większym może nawet stopniu niż filozofja, jest pocieszycielką historia. Nie tylko jako „magistra vitae“ poucza, ale i pokrzepia na duchu, otuchę wlewa w serca tych, którzy przerażeni współczesnemi stosunkami, staliby się na pewno wyznawcami skrajnego pesymizmu, gdyby ona im nie pokazała, że i to także już było, że tak musi być, jako skutek każdego wielkiego przesilenia dziejowego. Właśnie taką pociechę niesie książka p. Madelin, wybitnego francuskiego historyka, zawierająca 5 odczytów o Francji Dyrektorjatu, przełożona i wydana przez krakowskie koło Stowarz. Przyjaciół Francji. — Ale nie tylko tę jedną, że się tak wyrażę, praktyczną wartość ma omawiana książka. Sama w sobie jest dziełem wybitnego talentu, mistrzowskim obrazem Francji w przededniu przyjsia Pierwszego Konsula, a potem Cesarza. Przed nami staje w całej wspaniałości ale i grozie zmaganie się wielkiego narodu z samym sobą, i z wrogimi sąsiadami. „Nad brzegiem przepaści“ (tytuł 4 odczytu) stała wtedy Francja. P. Madelin maluje nam tę przepaść, ukazuje ówczesne społeczeństwo francuskie, jego stan moralny, dążności warstw i klas, położenie gospodarcze i polityczne, a przede wszystkim sylwetki ludzi. A wszystko jakże świetnie przedstawione! Obrazy, zdarzenia, ludzie przesuwają się przed naszymi oczyma i nie tylko nie nużą balastem naukowym, ale porywają naszą uwagę; pochłaniamy poprosu całą książkę; kartka po kartce, odczyt po odczycie... aż wreszcie stajemy przed tym, który wylania się z przepaści niedoli, jako wybawca narodu francuskiego.

By poznać całą wartość i wszystkie piękności książki p. Madelin, trzeba ją przeczytać. Dlatego krakowskiemu Stowarz. Przyjaciół Francji należą się naprawdę słowa gorącej podzięki za przyswojenie nam tej książki, zwłaszcza że tłumacze oryginału nie popsuli. — Tylko zewnętrzna

szata książki jest bardzo uboga, ale to także „*signum temporis*”; dziś, jak i za Dyrektorjatu (str. 31) pornografia i wszelka tandeta literacka znajduje mecenasów, czytelników, a prawdziwa wiedza i sztuka musi gło-
dem przymierać, milczeć, a jeśli mówi, to na lichym, gazetowym papierze, na arkuszach nieszeszytych, bo i na to sobie pozwolić nie można, kiedy sznurek tak drogi, a szycie także! W tem jednak jej chwała i wielkość, że milczeć nie chce, w tem nasza otucha, że przecież jeszcze mówi.

S. Bednarski.

L. A. Birkenmajer: *Niccolo Copernico e l'università di Padova*. Cracovia 1922.

Tenże: *Młodzieńcze lata Mikołaja Kopernika*. Warszawa 1923. Szkic. Odbitka z *Uranji* Nr. 34.

Tenże: *Geneza odkrycia heliocentrycznej budowy świata*. Odbitka z *rocznika astronomicznego obserwatorium krakowskiego na r. 1923*, tom II. Alessandro Birkenmajer: *Witelo e lo studio di Padova*.

Te cztery prace, choć niewielkie rozmiarami, mają tę ważną zaletę, iż wszystkie szczegóły w nich zawarte są nowe i dotąd mało znane, albo zupełnie nieznane. Pierwsza z nich najobszerniejsza była najwybitniejszą w zbiorze prac, które Krakowska Akademia Umiejętności ofiarowała Uniwersytetowi padewskiemu na jubileusz zeszłoroczny. Wartość jej na tem polega, iż oświeciła nam wpływ studjów padewskich na Kopernika. Dotąd wiedzieliśmy tylko tyle, że Kopernik był w Padwie. Oryginał bowiem dyplomu doktorskiego zachowany w Ferarze. Kanonicy warmińscy uznali, iż potrzeba, by któryś z nich skończył studja medyczne. Ponieważ Kopernik okazał do tego chęć, więc jego w tym celu do Padwy wysłano. Tutaj zetknął się Kopernik z uczonymi humanistami i wybitnymi przedstawicielami odrodzenia. Autor charakteryzuje ich bardzo dokładnie na podstawie dzieł i działalności i śledzi bacznie ich wpływ na Kopernika. Otóż tam odzywa się u Kopernika skłonność do studjów astronomicznych, podniecana stosunkiem do wybitnych przedstawicieli ówczesnych tej nauki. Dowiadujemy się, że najbardziej na niego wpłynęli uczeni tej miary co Łukasz Gaurico. Z pomocą tych humanistów potrafił Kopernik zbadać wszystko, co klasyczni autorowie pisali o astronomji i o ile nasuwała im się myśl, iż system geocentryczny nie jest prawdziwym. Są to bardzo zajmujące i pouczające fakta, które żywe światło rzucają na dążność umysłową i prace twórcy nowego systemu.

Drugie i trzecie ze wspomnianych opracowań, niewielkie rozmiarami, ale nader cenne, ze względu na cały szereg nowych szczegółów, które są rezultatami długich nieraz poszukiwań, a rozświetlają różne chwile z życia Kopernika, łącząc w jedną całość ów łańcuch genetycznego rozwoju jego myśli i badań.

Ostatnia z wymienionych prac również dużo nowych szczegółów nam przynosi. Odnoszą się one do pobytu i studjów Witelona Ślązaka w Padwie w drugiej połowie XIII w. Jestto badanie nadzwyczaj szczegółowe i sumienne, odnoszące się do czasów walk cesarza Fryderyka II ze Stolicą świętą i rozświeca nam ową epokę w życiu Witelona, przedstawiając jego studja i doświadczenia fizyczne.

Ks. M. Skibniewski.

Der Junge Fährmann, ein Buch für werdende Männer, herausg. von Dr. Gustav Keckeis. Herder, Freiburg i. Br., 1922; str. 412.

Jest to jedna więcej próba wchodzących dziś coraz bardziej w użycie książek, które w ponętnej szacie i zapomocą przykładów podają to samo, co w formie poważnej i naukowej mogłoby podobać się ludziom starszym, ale nie pociągnęło wcale młodego, goniącego za sensacją, przyzwyczajonego do szukania jej w sportach i kinach. Cel książki jest jasny, tłumaczy go dostatecznie uwaga, dołączona do tytułu: „ein Buch für werdende Männer“. Chce ona wyzyskać siły, drzemiące w młodzieńcu, wskazać mu cele piękne i wyższe, zachęcić do czynu, obudzić zaufanie w własną moc, uczynić mężczyzną na pełnem tego słowa znaczeniu.

Ciekawe jest przeprowadzenie tego planu. Z pośród 33 ustępów, składających się na całość książki, jedne zajmują się własnym krajem, drugie opisują podróże w dalekie strony, pozostałe poruszają różne tematy z dziedziny niektórych gałęzi wiedzy teoretycznej i stosowanej, higieny, moralności itd. — wszystkiemu zaś przyświeca myśl wychowania przyszłych obywateli. Opisy bohaterskich czynów mają rozbudzić męstwo i ducha inicjatywy, zwłaszcza w obecnych czasach powojennych, inne szczepić mają zalety serca, pragnienie wiedzy, podziw dla nowożytniej techniki i chęć wykorzystania jej dla potrzeb osobistych i społecznych. Pytaniem: „Czem chcecie zostać?“ i odpowiedzią: „Prawdziwymi ludźmi“, kończy się całość.

Książka nie jest dziełem jednego autora, prawie każdy ustęp napisany jest przez kogo innego; przyczynia się to niezmiernie do jej urozmaicenia, podobnie jak i liczne ilustracje (3 kolorowe i 4 czarne tablice, obok 90 in. ilustracyj w tekście), wykonane przez kilku fachowców. To też zdaje się, że wobec doboru treści i interesującego sposobu przedstawienia spełni się nadzieja wydawcy i dzieło jego nie tylko chętnie będzie czytane przez młodych, ale znajdzie się również w rękach starszych.

St. Podoleński.

Prócz tego nadesłano do Redakcji:

- X. H. Haduch T. J.: Ustawa o spoczynku niedzielnym a Żydzii. Poznań 1923, Nakł. Księg. Społecznej, 8^o str. 26.
- St. Sobiński: L'enseignement public en Petite Pologne orientale au point de vue national. Léopol 1923, 12^o str. 44, tablic statystycznych 17.
- Ks. J. Kruszyński: Rola światowa żydowstwa. Księgarnia Powszechna we Włocławku 1923, 12^o str. 228.
- H. Romanowski: Stara a nowa metafizyka. Warszawa 1923, 8^o str. 48.
- M. Janet Erskine Stuart: Towarzystwo Najśw. Serca Jezusowego (Sacré Coeur). Przekład z angielskiego. Warszawa 1922, 12^o str. 125.

- F. Klimke S. I.: Versuch einer Klassifikation der Weltanschauungen. Roma, Universita Gregoriana, 8^o str. 9.
- F. Klimke S. I.: Quae sit natura et indoles philosophiae, recentis. 8^o str. 25.
- F. Klimke S. I.: Im Banne des Atheismus. Ein kritischer Gang durch die Werkstätte des Umgläubens. Sonderabdruck aus den „Stimmen der Zeit“ Februar 1923.
- X. Mat. Jeż.: Bogu Ufajonemu, pienia eucharystyczne. Kraków 1923, 12^o str. 162.
- X. M. Jeż.: W religji katolickiej prawda i siła, zarys dziejów prawdziwej religji, Kraków 1923, 12^o str. 62.
- Union internationale des Ligues catholiques féminines, 5 conseil international tenu à Rome le 18—23 mai 1922. Cracovie 1923, 8^o str. 184.
- M. d'Herbigny S. I.: L'unité dans le Christ. Pontif. Instituto Orientale. Roma 1923, 8^o str. 32.
- O. Dr. G. Kostelnik: Pojawy duchów u Brodach. Protokoły komisji. Lwów 1923, 8^o str. 67.

Nakładem „Biblioteki Religijnej“ Lwów 1923:

- X. L. Brancherau: Rozmyślenia dla kapłanów i kleryków, przełożył X. St. Szurek. Część I.: Prawdy podstawowe. 12^o str. 322.
- X. Dr. K. Wais: Dziwy hipnotyzmu, wyd. 2. przerobione. 8^o str. 348.
- Ozeasz. Wstęp, nowy przekład, komentarz opracował ks. Wilh. Michalski C. M. 8^o str. 142.
- X. Dr. Józ. Umiński: Niebezpieczeństwo tatarskie w połowie XIII. w. i papież Innocenty IV. 8^o str. 152.

Z Inst. wydawniczego „Biblioteki Polskiej“,
Warszawa 1923.

- Wacław Sieroszewski: Pisma, t. VII.: Nowele, t. VIII.: Na kresach lasów, powieść. 8^o str. 376 i 336.
- Chateaubriand: O Bonapartem i o Burbonach, przełożył i wstępem opatrzył Boy. 12^o str. 82.

Wielkiej Biblioteki:

- Nr. 1. Zygmunt Krasiński: Irydjon. 12^o str. 188.
- Nr. 12. W. Shakespeare: Król Lir, tragedia w 5. aktach, spolszczył Jan Kasprzowicz. 12^o str. 144.
- Nr. 17. Ad. Mickiewicz: Pan Tadeusz. 12^o str. 338.
- Nr. 18. Cypr. K. Norwid: Promethidion, rzecz w 2. aktach z epilogiem. 12^o str. 47.
- Nr. 28. Aleks. Fredro: Śluby panięskie czyli magnetyzm serca. 12^o str. 105.
- Nr. 33. Ad. Asnyk: Album pieśni. 12^o str. 54.

Z Księgarni św. Wojciecha w Poznaniu 1923:

- X. Dr. Al. Pechnik: *Kazania i nauki*, wyd. 3., rozszerzone. 8° str. 543.
 Zygm. Wasilewski: *Seweryn Goszczyński, szkice literackie*. 8° str. 279.
 F. Hoesick: *Tafry i Zakopane, przeszłość i teraźniejszość, cz. II*. 12° str. 271.
 Sewer: *Pierwszy utwór — Na pobojuwisku — Lusja Burlak*.
 M. Gawalewicz: *Sprawa honorowa — Jööl*.
 Ks. Nikod. Cieszyński: *Roczniki katolickie, r. 1922*. 12° str. 444.
 Mac. Wierzbński: *Idea niemiecka a Polacy*. 12° str. 149.
 M. Marja Loyola: *Tajemnica szczęścia. Przygotowanie do I-szej Komunii św., tłum. H. Morstinowa, z 11. ilustracjami*. 12° str. 450.
 Bol. Koreywo: *Bard Polski. Album poetów polskich*. Wyd. 2., 12° str. 642.
 M. Monlaur: *Promień, powieść z czasów Chrystusa*. Wyd. 2. z ilustracjami T. Wolniewicza. 16° str. 138.
 Stef. M. — Posadzowa: *Pierwsze śpiewki dla małych dzieci*. 12° str. 52.

Z Krakowskiej Spółki Wydawniczej:

- Anonim t. zw. Gall: *Kronika Polska* przełożył i opracował Dr. Rom. Grodecki. 12° str. 176.
 Tad. Sinko: *Echa klasyczne w literaturze polskiej, dwa-następie studjów i szkiców*. 8° str. 216.
 Tad. Sinko: *Żywy spadek po Grecji i Rzymie*. 8° str. 48.
 Kaz. Morawski: *Walka o język polski w czasach Odrodzenia*. 8° str. 54.

Z Książnicy Polskiej T-wa Naucz. Szkół Wyższych, Warszawa 1923.

- Platon: *Protagoras*, przełożył, objaśnił, ilustracjami opatrzył Wł. Witwicki. 8° str. 148.
 Bohd. Wydźga: *Mickiewiczowskie 44*. 8° str. 98.
 Dr. med. St. Kopczyński: *Szkice higieniczno-wychowawcze z dziedziny higieny domowej i szkolnej, t. II*. 8° str. 168.
 Lucjan Zarzecki: *Nauczanie matematyki początkowej. Cz. I. Liczba całkowita*. 8° str. 205.
 St. Szober: *Gramatyka języka polskiego, wyd. 2., zesz. 1*. 8° str. 96.
 Jan Danysz: *Geneza energii psychicznej, zarys filozofii biologicznej z przedmową Jul. Payota i W. M. Kozłowskiego*. 8° str. 253.
 — *Przyroda i technika*. Luty 1923.
 — *Ustawa o państwowej służbie cywilnej nauczycieli szkół średnich — projekt*. 16° str. 26.
 — *Tabela ścienna miar i wag*.
 — *Nowa granica polski na Wileńszczyźnie, mapa*.

Sprawozdanie z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Dalsze paroksyzmy ateuszowskiej wścieklizny u bolszewików. — Faszyzm włoski wobec katolicyzmu i partji ludowej.

Nienawiść komunistycznych ateuszów moskiewskich do religji posiada wszystkie cechy potęgującej się wciąż wścieklizny. Zdaje się jakby rozlewana obficie krew chrześcijańskich wyznawców drażniła ich nozdrza i pobudzała do szukania coraz nowych ofiar dla ich sadystycznej perwersji. Opinia wzburzonego całego kulturalnego świata nie tylko żadnego wpływu nie ma na tych niepoczytalnych obłąkańców, ale zdaje się wywierać skutek przeciwny: zaostrzając pragnienie krwi, sprawia im jeszcze tę przyjemność prymitywnego cynizmu, jaki tak dofkliwie wyraża się w znanem rosyjskiem „naplewać”. Po bestjałskiem zamordowaniu katolickiego kapłana w podziemiach więziennych przystępuje zbrodnicza banda do „sądzenia” nowych ofiar. Listę tych ofiar ułożono już dawno, tylko znęcanie się nad nimi rozłożono na raty, by przedwcześnie ich nie zabrakło.

Przychodzi kolej na najwyższego dostojnika cerkwi prawosławnej, patriarchę Tichona, którego już przed rokiem usunięto od rządów i osadzono w izolowanym klasztorze. Jest to człowiek jeden ze stosunkowo niewielu w dawnej cerkwi urzędowej, który miał odwagę głośno wypowiedzieć co sądzi o samozwańczych wyswobodzicielach Rosji, za jakich podawali się menterzy komunizmu. Wyniesiony na tron patriarchszy przy akompaniamencie armat bolszewickich, bombardujących mury Kremla, więc zawdzięczający poniekąd im swój wybór, — bo wogóle wskrzeszenie patriarchatu możliwem się stało dzięki wzrastającemu postępowi rewolucji, — Tichon jednak od początku nie łudził się, by rewolucja komunistyczna pozostawiła religję w spokoju, lojalnie stosując w praktyce hasło: „religja jest rzeczą prywatną”. Już pierwszy dekret o rozdziale cerkwi od państwa, obdzierający cer-

kiew ze wszelkiego mienia, a jednocześnie odmawiający jej praw choćby stowarzyszenia prywatnego, jasno zapowiadał, że w komunistycznej ideologii niema miejsca dla religii, jako organizacji, że zatem cerkiew, w której hierarchiczna zasada przynajmniej częściowo się przechowywała, musi ulec prześladowaniu. Dlatego niebawem ogłosił orędzie, protestujące przeciw rzeszonemu dekretowi i rzucające ekskomunikę na zdeklarowanych już wrogów Kościoła. Powaga i popularność patriarchy była jeszcze tak wielką, a komunizm jeszcze tak niepewny własnego jutra, że długo nie ośmielił się targnąć na najwyższego dostojnika cerkwi, choć broczył się we krwi przeszło dwudziestu innych władcyków prawosławnych i dwóch tysięcy niższych duchownych. Trzeba było dopiero rozgromu wszystkich antybolszewickich armij, trzeba było dopuszczenia urzędowych agentów bolszewizmu na różne dyplomatyczne konferencje światowe, by rozzuchwalić do reszty uzurpatorów i ośmielić ich do wyciągnięcia wszystkich konsekwencyj z założeń wojującego ateizmu.

Do usunięcia patriarchy dostarczył pretekstu protest jego przeciw ograbianiu świątyń z przedmiotów kultu, — dziś oprócz tego „kontrrewolucyjnego“ przestępstwa przypomina mu się i inne, jeszcze większe, bo ekskomunikę rzuconą na rządy bolszewickie, bo błogosławieństwo przesłane hetmanowi Skoropadskiemu, bo jakieś stosunki, bliżej nieokreślone, z dyplomacją zagraniczną. On, który, choć wychowany w atmosferze caratu, do tego stopnia umiał rozróżnić sprawę Kościoła i religii od spraw politycznych, że zaprotestował również przeciwko uchwałom emigracyjnego soboru w Karłowcach, wiążącego losy prawosławia z losami dynastji Romanowów, — będzie mógł mieć to świadectwo dobrego sumienia, że nic nie uczynił w swem negatywnem do bolszewizmu stanowisku, do czego by nie był obowiązany z tytułu swego biskupiego urzędu. To przyznać mu jesteśmy obowiązani, my katolicy, chociaż stał on na czele cerkwi, z Kościołem rzymskim będącej w schizmie i antagonizmie. Stanowisko patriarchy Tichona było obroną wspólnej nam i prawosławiu zasady wolności Kościoła wobec zamachów bezbożnej rewolucji. Za tę obronę stanąć ma niebawem patriarcha Tichon przed sądem, a wiemy co znaczy „sąd“ bolszewicki! Wyrok już naprzód głoszą wszystkie pisma komunistyczne, a nigdzie niema takiej, jak w bolszewickiej Rosji, zgodności między publicystyką, kierownictwem politycznem i organami „sprawiedliwości“. Takie bowiem zacofane zabytki, jak niezależność sądownictwa lub wolność opinii publicznej, istniejące jeszcze w burżuazyjnych krajach, nie są już znane w kraju, uszczęśliwionym komedją „dyktatury proletariatu“.

Do odegrania parodji sądu gotuje się odpowiednio scenerja, obliczona na większy efekt. A więc patriarchę Tichona ma naprzód osądzić i degradować sobór biskupów tak zwanej „żywej cerkwi“, w rzeczywistości wstrętnego narzędzia w rękach rewolucyjnego rządu. Pozwany może być dumny, że nie w nim już uosabia się tradycyjna służalczość cerkwi wobec władzy politycznej, ale w jego sędziach, którzy rzekomo wprowadzić mieli cerkiew na zupełnie nowe tory... Inscenizując ten wstrętny sąd rewolucjonistów w ornatkach nad wczorajszym ich zwierzchnikiem, i gotując się do nowego krwi przelewu, opętańcy z Kremla zgóry chcą się zabezpieczyć przed wszelką ingerencją z zewnątrz na korzyść patriarchy: zapowiadają, że wszelki protest ze strony czynników zagranicznych będzie poczytany za okoliczność obciążającą oskarżonego. I być może, że po doświadczeniu niedawnym żadnych już protestów Europa podnosić nie będzie w poczuciu zupełnej ich bezcelowości. Co pomoże bowiem protest przeciwko wściekłemu zwierzęciu? Zamiast bezcelowego oburzania się, lepiej będzie, uczciwszy ofiarę spełnionego obowiązku, wyciągnąć praktyczne konsekwencje i zmobilizować świat chrześcijański do nałożenia kagańca rozjuszanej bezbożności.

Oprócz patriarchy Tichona przed sąd pozwano trzystaście katolickich zakonnic z Petersburga. Siostry te, ukryte pod świecką szatą, przetrwały dziesiątki lat carskiego reżymu, poświęcając się wychowaniu najbiedniejszej dziatwy katolickiej w swoich przytułkach i pracowniach. Spodziewały się, że rewolucja pozwoli im pełnić jawnie swoje powołanie. Zawiodły się: „znacjonalizowano“ ich mienie, prowadzonym przez nie zakładom narzucono komunistycznych wychowawców i wychowawczynie, je same pozostawiono do czasu, może po to, by je uchwycić na „zbrodni“ uczenia dzieci pacierza gdzieś w kącie poza plecami bolszewickiej dyrektorki zakładu. Właśnie przychwycone znajdują się już w więzieniu i niebawem mają odpowiadać za taką zbrodnię przed trybunałem „najbardziej tolerancyjnej“ pod słońcem republiki. Urzędowo winą ich podobno nazywa się „nadużyciem mienia narodowego (t. j. im samym skradzionego) do celów szczyptenia religijnego przesądu w umysłach młodzieży“. Wyroku nie przewidujemy; błagamy Boga o rychłe wymierzenie innej sprawiedliwości!

Objawy ateistycznej wściekłości u bolszewików przechodzą w paroksyzm najwyższy, kiedy chodzi o cyniczne nągrywanie się z papieża, jako głowy Kościoła katolickiego. Nic to nie znaczy, że już od roku stale żywi on 120 tysięcy głodnego rosyjskiego ludu, że okrył dziesiątki tysięcy obdartego tłumu, że świat cały zmobilizował do ratowania gi-

nącego narodu! Może nawet to powiększa złość ateistycznych panów tego ujarzmionego kraju, bo chrześcijańskie miłosierdzie to wszak najwymowniejszy dowód, że religia jest czemś innym, niż „truczną ludu“, jak głoszą bolszewickie na rogach ulic napisy. Wszak ileż to zachodu kosztowało dyplomację watykańską, by uzyskać od komunistycznego rządu pozwolenie na wjazd do Rosji tych kilkunastu kapłanów ratowniczej misji papieskiej, których jedynym celem jest nieść ratunek ginącym z głodu, powstrzymując się od jakiegokolwiek wyznaniowej propagandy! Tej absolutnej bezinteresowności miłości chrześcijańskiej, której nie zmroziła nawet zbrodnia, dokonana na katolickim kapłanie, nie potrafi pojąć, a cóż dopiero ocenić! ateistyczny furor bolszewicki. Ci, co zdolni byli okłamywać papieża, że ks. Budkiewiczowi nie grozi niebezpieczeństwo śmierci... na kilka godzin przed wykonaniem wyroku, — posuwają swój cynizm i natrząsanie się z najwyższej moralnej powagi świata dalej. Dowiadujemy się, że zabroniono kategorycznie wjazdu do Rosji jakichkolwiek misjonarzy katolickich (innych „misjonarzy“ tam nie było, oprócz misjonarzy miłosierdzia)¹⁾. Sowiety chcą zapewne przez to powiedzieć, że na miejsce uwiezionych kapłanów nie dopuszczają innych. Mało tego: prasa bolszewicka woła o „sąd nad papieżem“, jako winnym kontrrewolucyjnego usposobienia duchowieństwa katolickiego w Rosji. A wiemy, że co prasa bolszewicka podsuwa, to na serjo projektowanem jest w politycznych sferach rządzącej bandy. Bo dla czegożby nie zabawić się w sąd nad papieżem, skoro się sądzi wszystkich, skoro się nawet po szkołach urządza z dziećmi ćwiczenia „sądu nad Bogiem“?

Zatem papież, według prasy komunistycznej, winien być oskarżony o to, że zachęcił kler katolicki do sprzeciwu zarządzeniom władzy o „wyjęciu“ ze świątyń kosztowności i naczyń liturgicznych. Faktem jest, że papież proponował rządowi sowieckiemu odkupienie tych przedmiotów za jakąbądź cenę, której to propozycji ateistyczni prześladowcy wiary nie wzięli nawet pod rozwagę. Za te „przestępstwa“ papież ma być skazany zaocznie w oczekiwaniu na tę chwilę, kiedy zwycięski komunizm będzie mógł go ująć i wyrok wykonać...

Wobec takich paroksyzmów furji i obłąkania czyż stać będzie bezradny świat cywilizowany? Jeżeli nie jest narazie zdolny pójść za głosem kard. Merciera i podjąć wyprawę krzyżową przeciwko samemu rozsadnikowi cynizmu i zbrodni, czyż nie powinien przynajmniej stłumić zarodki tej wściekłości w innych jej ogniskach? Faktem jest, że komuniści

¹⁾ Wiadomości o odebraniu na granicy papierów powracającemu z Rosji członkowi misji ratowniczej papieskiej zaprzeczono ze strony Rzymu.

całego świata solidaryzują się ze zbrodniami swoich mistrzów moskiewskich. Czyż u nas w Polsce nie wyraził swojej dla nich aprobaty nawet jeden z posłów sejmowych? Czy nie jest wymowniejsze od wszelkiej głośnej pochwały głucho milczenie organów polskiego bolszewizmu, takiej np. „Kultury robotniczej“, wtedy, kiedy przeciwko ostatnim gwałtom moskiewskim protestowała prasa wszystkich kierunków i odcieni? Czyż więc wobec tego ma nasz rząd i sejm ograniczyć się do bezpłodnych *pourparlers* z Oboleńskim lub Czerwczinem, kiedy może skuteczniej pomówić z Hemplem i Łuckiewiczem? Walka z wściekłą komunistycznym ateizmem chyba nie jest mniej pilną, niż walka z jakąś inną epidemią, np. cholery lub plamistego tyfusu. Tem bardziej, że tu już nie o zdrowie fizyczne ciał, ale chodzi o zdrowie duchowe całych narodów, chodzi o moralną wartość ludzkości, o przyszłość chrześcijańskiej kultury.

Organizacja faszystów włoskich miała na swoim sumieniu niejednen grzech względem Kościoła i jego przedstawicieli. Walcząc z rewolucyjną lewicą, nie zawsze umiała odróżnić od niej te objawy życia społecznego, które stojąc na gruncie chrześcijańskim, posuwały się, jej zdaniem, za daleko w tendencjach reformistycznych. Dlatego nieraz i do przedstawicieli włoskiej partii ludowej — *il partito popolare* — stosowała metody walki, wypróbowane na komunistach i socjalistach. Owszem, tu i ówdzie dopuszczono się rażących gwałtów na sługach Kościoła, tu i ówdzie zakłócono nawet porządek nabożeństw kościelnych, bo rycerze „czarnej koszuli“, zwłaszcza gorętsi, za wroga brali każdego, kto całkowicie nie szedł pod ich komendę.

Atoli w chwili ujęcia władzy w królestwie, faszyzm, a właściwie główny jego wódz, zrozumiał, że dzieła odrodzenia narodu i wzmocnienia państwowości nie dokona się bez oparcia go o duchowe podstawy religii i moralności. Benito Mussolini, niegdyś krańcowy socjalista i ateusz, wyzywający na wiecach Pana Boga na pojedynek, teraz organizując faszyzm, wprowadził imię Boga, jako najwyższej Istoty, której faszyzm ma służyć. W art. drugim regulaminu milicji faszystowskiej czytamy, że „pozostaje ona w służbie Boga i włoskiej ojczyzny“, temuż Bogu, ojczyźnie i pamięci poległych na wojnie rycerz faszyzmu składa przysięgę. Stosunek przychylny do religii i Kościoła uwydatnił się nie dwuznacznie od początku w działalności faszystowskiego rządu. Dość wspomnieć o mszy św., zarządzanej przez Mussoliniego, przy której asystował król włoski i cały rząd w komplecie. Niebawem faszyzm dał dowody większego jeszcze zbliżenia się do Kościoła. W szkołach rządowych i zakładach dobro-

czynnych przywrócono krzyże, usunięte stamtąd przez dawne liberalne rządy; względem masonerii, tej wylęgarni wszelkich antyreligijnych pomysłów i antypapieskich demonstracji, Mussolini zajął wyraźnie negatywne stanowisko. Uczynił to może nie tyle z religijnych pobudek, ile z powodu nieprzychylnego stanowiska łóż wobec jego zamiarów reformistycznych; bądź co bądź rozkazując faszystom, należącym jednocześnie do wolnomularstwa, wybrać między jednym a drugim, okazał, że nie myśli cierpieć wpływów masonerii na swoją politykę; takie zaś usunięcie w cieniu tych, co jeszcze wczoraj byli niemal głównymi kierownikami polityki Włoch, oczywiście może wyjść tylko na dobro religii i Kościoła. Powierzenie szkół kolonjalnych zgromadzeniom zakonnym również było ze strony nowego rządu dowodem zaufania dla wychowawczej wartości Kościoła. W dziedzinie stosunków między Kwirynałem a Watykanem faszyzm dotąd radykalnie nic nie zmienił. Papież, jak poprzednio, tak i teraz, oświadcza, że położenie jego nie daje dostatecznych rękojmi wolności Stolicy Apostolskiej. Lecz i tu przygotowują się jakieś kroki, które z czasem mogą doprowadzić do wzajemnego porozumienia. Złożenie wizyty kardynałowi i wikariuszowi miasta przez nowego syndyka Rzymu i rewizyta kardynała, to chyba zbyt drobne fakty, aby z nich wolno było wysnuwać dalekie wnioski, nie są one jednak bez znaczenia, zwłaszcza jeśli się wspomni, że był czas, kiedy z powodu podobnej wizyty syndyk Rzymu Torlonia był zmuszony przez rząd królewski do ustąpienia z urzędu.

Zaiste Kościół katolicki ma dużo powodów do okazywania sympatii rządowi Mussoliniego. Mylnym byłby jednak wniosek, że musi się całkowicie z jego polityką solidaryzować. Bądź co bądź faszyzm nie jest całym narodem włoskim, tylko jednym, acz bardzo silnym jego stronnictwem; ideologja, a zwłaszcza metody postępowania faszystów również nie zawsze są takie, żeby można im było udzielić bez zastrzeżeń kościelnej aprobaty. Czyż można np. bez zastrzeżeń pochwalić art. 7 wzmiankowanego wyżej regulaminu, w którym czytamy, że „żołnierz faszystowski ma swoją własną etykę“, że „etyka ogólna, dotycząca rodziny, polityki, stosunków społecznych, jest dlań bez wartości“, albo art. 10, w którym proklamowano *in crudo* zasadę Starego Testamentu: „oko za oko, ząb za ząb“?

Znamiennem jest także stanowisko włoskiej partji ludowej wobec faszyzmu. Wprawdzie popolari, podobnie jak inne stronnictwa, pogodzili się z faktem dokonanego przewrotu w państwie, wprawdzie i Mussolini ze swej strony okazał w chwili zwycięstwa dużo umiarkowania, powołując do swego gabinetu przedstawicieli stronnictw innych, w tej

liczbie dwóch z partito popolare, atoli nadzieje na zlanie się tego stronnictwa z faszyzmem zawiodły. Ludowcy, pod duchowem kierownictwem księdza Sturzo, woleli pozostać sobą i nie wiązać się całkowicie z polityką wodza faszyzmu. Ostatnie tygodnie zwłaszcza były świadkami znacznego oddalenia się ludowców od faszyzmu. Na czwartym kongresie partyjnym w Turynie, odbytym w połowie kwietnia, zaznaczono urzędowo, że stronnictwo ludowe wyraża zupełną zgodę na politykę kościelną Mussoliniego, podnosząc z uznaniem, że do swojego programu przyjął niejedno z pragnień katolickiego obozu; dodano jednak zastrzeżenie, że stronnictwo, stojąc na stanowisku etyki chrześcijańskiej, którą pragnie widzieć urzeczywistnioną we wszystkich dziedzinach życia politycznego i społecznego, nie może aprobować niektórych punktów ideologii faszystowskiej, jak np. pojęcia egoizmu narodowego. Stronnictwo ludowe bowiem uznaje jedność ludzkości i solidarność ekonomiczną narodów europejskich, zapoznawane w ideologii faszyzmu. Nie solidaryzuje się również z projektem faszystowskim zmiany systemu wyborczego na niekorzyść zasady proporcjonalności, co dałoby decydującą przewagę stronnictwu faszystów z pokrzywdzeniem stronnictw innych. Dlatego ks. Sturzo członkom stronnictwa zbyt głęboko sympatyzującym z faszyzmem postawił ten dylemat, jaki niedawno postawił Mussolini faszystom-masonom: mają zdecydować się i wybrać jedno z dwojga, kto nie podziela całkowicie programu stronnictwa ludowego, niech raczej z niego się usunie. W ten sposób upadła rachuba Mussoliniego na bezwzględne poparcie ze strony stronnictwa ludowego i ministrowie ludowi usunęli się z gabinetu. Wskutek tego może już najbliższe tygodnie sprowadzą doniosłe zmiany w układzie wzajemnym stronnictw włoskich.

Przed katolicyzmem włoskim staje w tej chwili poważny problem: któremu z dwóch rywalizujących stronnictw okazać swoje sympatje i pomoc. Można przewidywać, że Kościół urzędowo nie przechyli się na żadną z dwóch stron, musi on bowiem pozostać wyższym ponad różnice partyjne. W ostatnich dniach przemknęła w prasie polskiej notatka jakoby papież zdezwuował politykę don Sturza. Może to tylko znaczy, że Stolica Święta nie chce utożsamiać swojej polityki z polityką jednego stronnictwa, które zresztą samo niejednokrotnie zaznaczało swoją w rzeczach czysto politycznych niezależność. A może to tylko *qui pro quo*, w tymże czasie bowiem *Osservatore Romano* oświadczał, że Stolica Św. nie ma nic wspólnego z innem stronnictwem o konserwatywnem zabarwieniu, które świeżo powstało w Medjolanie, a nazwało się „zjednoczeniem katolicko-narodowem“.

Jeżeli zaś Stolica Apostolska nie uzna za właściwe wypowiedzieć się kategorycznie wobec powstałej sytuacji, nie znaczy to, że katolicy włoscy pozostaną na rozdrożu politycznym. Faktem jest, że większość olbrzymia uświadomionych i wysoce karnych katolików włoskich oświadcza się raczej za polityką ludowców, a kongres turyński nie tylko nie rozbił, jak się obawiano, ale jeszcze bardziej zcementował stronnictwo ludowe. Gdy z drugiej strony i związek faszystów posiada wśród katolików swoich sympatyków i zwolenników, przeto przed katolicyzmem włoskim staje wielkie zadanie pogodzenia poważnionych stronnictw przez przywiedzenie ich do ustępstw wzajemnych, takich jednakże, aby w niczem nie ucierpiały zasady chrześcijańskiej moralności ani interesy Kościoła katolickiego.

Ks. J. URBAN.

Potwierdzenie doświadczalne teorii Einsteina.

Od lat kilku świat naukowy przeżywa gwałtowne wstrząsy i walki grupujące się około tak głośnej już i z nazwy znanej chyba wszystkim czytającym choćby codzienne tylko pisma, teorii względności Einsteina. I gdy się uprzytomni, czym jest ta teoria, jaka jej doniosłość zarówno dla fizyki i astronomji, jak i dla filozofji, to nie temu się dziwić przyjdzie, że za i przeciw niej ludzie tak walczą, ale raczej temu, że tak mało, słabo stosunkowo walczą. Bo dość powiedzieć, że ta teoria obala zupełnie podstawy fizyki nowożytnej, jakie dał jej Newton i na jakich całkowicie spoczęła, że ona nadto świadomie czy mimowoli — to już mniejsza — wraca napowrót do tych pojęć zasadniczych, na których swój system filozofji przyrody oparli dwaj najwięksi geniusze ludzkości, Arystoles i Tomasz z Akwinu, a który to system był przez trzy ostatnie wieki przedmiotem szyderstw i lekceważenia wielu uczonych, a tem bardziej nieuczonych. To też filozofowie katolicycy zagranicą z wielką sympatją i zainteresowaniem do teorii Einsteina się odnoszą a katolicki tygodnik londyński *The Universe*¹⁾, podając wiadomość o najnowszym potwierdzeniu teorii Einsteina dodaje, że i kardynał Mercier, ów największy z żyjących dzisiaj filozofów katolickich, sławny współpracownik Leona XIII nad wskrzeszeniem filozofji tomistycznej, już przed wielu laty zajmował się wraz ze swymi uczniami matematyczną i filozoficzną stroną teorii względności. Wobec tego i w imię prawdy, której Kościół katolicki i jako całość i przez największych swych wyznawców zawsze i na każdym polu stanowczo i bezwzględnie bronił, zaprotestować należy już tutaj jaknajśilniej i najuroczyściej przeciwko tym wszystkim, którzy przeciwko teorii Einsteina występują dlatego, że twórca jej jest żydem. Takie ciasne, fanatyczne stanowisko jest wręcz przeciwne duchowi Kościoła, a na tym stanowisku

¹⁾ *The Universe* z 30 kwietnia b. r. str. 8 p. t. Względność sprawdzona (Relativity verified).

stać mogą chyba tylko ci, którzy albo o tego ducha nie dbają wiele, albo też, nie zdołając zgłębić trudnej zresztą i wielkiej tej teorii, balsphemant, quod ignorant, zohydżają prawdę której nie rozumieją. O Einsteina i jego teorię walczą już i walczyć będą różne systemy i szkoły filozoficzne i będą się starać go dla siebie pozyskać. Znamienne pod tym względem są tu słowa Bergsona, owego najniebezpieczniejszego, jaki kiedykolwiek istniał, destruktora nie tylko chrześcijaństwa, ale wogóle ducha i rozumu ludzkiego. Oto co pisze Bergson¹⁾: „H. Wildon Carr utrzymuje, że ta teoria zawiera w sobie idealistyczną koncepcję wszechświata. My nie stabilizujemy tak daleko; lecz z pewnością ku kierunkowi idealistycznemu, jak sądzimy, trzeba by zorientować tę fizykę, jeżeli by się ją chciało podnieść do systemu filozoficznego“.

Ugruntowanie i uzasadnienie powyższych uwag miałem już sposobność podać publicznie na posiedzeniu Towarz. filozoficznego w Krakowie w roku zeszłym, a mam nadzieję, że wkrótce będę mógł czytelnikom Przeglądu podać i uzasadnić je jeszcze obszerniej wraz z przedstawieniem zasadniczych i szczegółowych rysów całej teorii Einsteina. Narazie chodzi mi o rzecz inną, mianowicie o zaznajomienie czytelników z faktem niesłychanie ważnym dla całej teorii Einsteina, a więc i dla nauki wogóle, faktem, który doniosłością swą nie wiele ma sobie równych w powszechnych dziejach myśli ludzkiej. Jest nim zaś wiadomość, jaką dni temu kilkanaście rozniósł telegramy po całym świecie cywilizowanym, o nowem, ostatecznem już potwierdzeniu tej teorii, jakiego z kilku stron dokonano podczas badań zaćmienia słońca 21 września ubiegłego roku. Zanim tedy zdołam w dłuższym może cyklu artykułów przedstawić i ocenić ze stanowiska filozofii chrześcijańskiej całą teorię Einsteina, chciałbym teraz już zaznajomić czytelników bliżej i wyjaśnić znaczenie wspomnianego wyżej faktu potwierdzenia doświadczalnego tej teorii.

Każda teoria fizyczna dwójakie ma do spełnienia zadanie. Najpierw ma ona służyć do wyjaśnienia, to znaczy przyczynowego ugrupowania pewnej grupy zjawisk i w tem celu zwyczajnie właśnie się ją buduje. Po drugie zaś winna ona prowadzić do wykrycia jak największej ilości faktów dotychczas nieznanych, a które z niej wynikają bezpośrednio i koniecznie, lub tłumaczyć te, których dotychczas wyjaśnić zadawałniamy nie zdołano. Fakta te są więc jakby sprawdzianami teorii danej, przynajmniej w sposób negatywny, to znaczy, że jak długo się ich nie wykryje, wartość doświadczalna, rzeczywistość tej teorii zawsze jest jeszcze nieznaną, gdy się zaś je wykryje, teoria staje się prawdopodobną, chociaż jeszcze niekoniecznie musi się stać pewną, może bowiem fakta te dadzą się w inny sposób wytłómaczyć.

Einstein, budując wielką swą teorię uogólnioną względności, podał właśnie trzy takie fakta, sprawdziany, od których istnienia zależy cała wartość jego teorii. Pierwszym sprawdzianem to zdaniem jego jest przesuwanie się perihelium planet. Jak wiadomo, według prawa Keplera i mechaniki newtonowskiej, planety krążą po elipsach naokoło słońca (ściślej: naokoło

¹⁾ Henri Bergson: *Durée et Simultanéité*. — A Propos de la Théorie d'Einstein. Paris, Alcan, 1922. str. 110.

wspólnego środka ciężkości słońca i planety), tak, że słońce (względnie wspólny punkt ciężkości) znajduje się w ognisku tej elipsy. W ten sposób oddalenie planety od słońca ciągle się zmienia i w ciągu całego obiegu znajduje się raz najbliżej słońca, czyli w tak zwanem perihelium. Gdy więc planeta znajduje się w tym punkcie, to znowu po opisanu 360° powinna się w tem perihelium znaleźć. Tak wynikałoby z teorii Newtona — tymczasem z teorii względności Einsteina wynika, że po opisanu 360° planeta nie znajdzie się jeszcze w perihelium, czyli że ten punkt perihelium nie jest stały, lecz posuwa się, mianowicie w tym samym kierunku, co ruch planety. Inaczej można to tak wyrazić, że oś wielka elipsy, po której planeta krąży, nie jest stałą, lecz przesuwają się w tym samym kierunku, co i planeta. Krażenie to osi odbywa się u różnych planet, wedle teorii Einsteina, z różną szybkością, zależnie od odległości planety od słońca, albo ściślej od czasu jej obiegu naokoło słońca, i Einstein podał na podstawie swej teorii wzór dokładny¹⁾ na szybkość kątową tego krażenia osi wielkiej, lub przesuwania się perihelium. Największa jest ona dla Merkurego, bo to planeta najbliższa słońca, i wynosi tu 43 sekundy łukowe na sto lat, dla innych planet jest ona znacznie mniejszą.

Otóż fakt ten krażenia perihelium u Merkura znanym już był w astronomii więcej niż przed pół wiekiem, odkrył go mianowicie w r. 1845 astronom Leverrier, ale wtedy napelił on zdumieniem astronomów, gdyż stał on w zupełnej sprzeczności z prawem grawitacji Newtona i nikt nie umiał tego zjawiska wytłumaczyć. Leverrier w r. 1859, a Newcomb 1895 wyrachowali, że po uwzględnieniu i wyrachowaniu ściśle wszystkich zboczeń biegu Merkura, jakie zaistnieć mogą skutkiem grawitacyjnych działań nań innych planet, pozostaje niewyjaśniony ruch perihelium mniej więcej wielkości 43 sekund na wiek. Starano się fakt ten wytłumaczyć zapomocą rozmaitych hipotez, te jednak albo prowadziły do sprzeczności z innymi zjawiskami mechaniki niebieskiej, albo też były to tylko hipotezy tak zwane *ad hoc*, to znaczy tłumaczyły tylko to jedno zjawisko, a nie łączyły się organicznie z innymi zjawiskami znanymi, stąd nie można ich było sprawdzić. Teoria więc Einsteina, z której krażenie perihelium wynika w sposób konieczny, występuje tu tedy jako ogólniejsza i ściślejsza w rezultatach, niż teoria Newtona, która wobec faktu tego krażenia jest bezsilną a nawet z nim sprzeczną. To jest pierwszy sprawdzian teorii Einsteina. Oczywiście krażenie to perihelium zachodzić musi u wszystkich planet, tylko że u innych jest ono już tak małe, że dotychczas naszymi przyrządami dostrzec jej nie zdołano. W przypadku Merkurego jednak sprawdzian pierwszej teorii Einsteina uznać trzeba za stwierdzony.

A teraz sprawdzian drugi, najważniejszy, o który właśnie chodzi w najnowszych badaniach, dopiero co uczynionych. W teorii Einsteina energia jest jakby masą, posiada ona bowiem, podobnie jak masa, bezwładność, stąd też ulega działaniu siły grawitacyjnej. Wyobraźmy sobie, że między

¹⁾ A. Einstein: Über die spezielle und die allgemeine Relativitätstheorie. Braunschweig, 1921. str. 86.

dwoma punktami, odległymi od siebie o jakie sto metrów, napinamy bardzo silnie drut. Gdyby nie istniało przyciąganie ziemskie, drut ten byłby zupełnie prosty, przedstawiałby linię prostą, ponieważ jednak ziemia go przyciąga, t. j. działa nań siła grawitacyjna przyciągania ziemskiego, więc będzie on pod wpływem tej siły nieco ku ziemi przegięty, nie będzie przedstawiał linii prostej lecz wklęsłą, tak zwaną krzywą łańcuchową. Otóż podobnie wyobraźmy sobie, że z gwiazdy jakiejś dochodzi promień światła, czyli energia świetlna do naszego oka. Gdyby to działo się w próżni, to ten promień miałby kształt linii prostej, gdy jednak zbliży się doń jakieś wielkie ciało niebieskie, na przykład słońce, które stanęło nieco z boku między gwiazdą a nami tak, że promień od gwiazdy do nas idący bardzo blisko koło słońca przejść musi, to na mocy teorii Einsteina słońce działaniem swej masy przyciągnie, ugnie ku sobie ten promień, podobnie jak w powyższym przykładzie ugięła drut ziemia swą siłą przyciągającą. Ponieważ jednak oko nasze, podobnie jak i soczewka aparatu fotograficznego, szuka obrazu zawsze w tym kierunku, skąd bezpośrednio wpada doń promień, więc i nam zdawać się będzie, że gwiazda doznała przesunięcia pod wpływem grawitacyjnego przyciągania słońca, a to samo zjawisko wykaże także i utrwali na kliszy aparat fotograficzny.

Aby tedy to zjawisko stwierdzić, wyobraźmy sobie, że fotografujemy jakiś odcinek nieba z jego gwiazdami w nocy. Otrzymujemy na kliszy liczne punkty, będące obrazami gwiazd, i wykazującymi ściśle wzajemne położenie gwiazd. Gdybyśmy tedy ten sam odcinek nieba z fotografowali za kilka miesięcy, przedtem gdy na niem znajdzie się słońce, które przecież przez przeciąg jednego roku opisuje pozornie podróż naokoło ziemi, i kolejno znajduje się w pośród wszystkich konstelacji zodiaku — tobyśmy mogli stwierdzić na kliszy, czy rzeczywiście wzajemne położenie gwiazd się zmieniło, jak to wynikać musi z teorii Einsteina. Gwiazdy bowiem, których promienie idąc ku nam przechodzą blisko tarczy słonecznej i prawie ją muskają, muszą się pozornie zarówno dla oka jak i dla soczewki fotograficznej od słońca więcej odsunąć, niż te które są od słońca dalej położone, a więc łatwo stwierdzić prawdziwość zjawiska, przepowiedzianego przez teorię Einsteina.

Łatwo — ale jak fotografować wprost w słońce? przecież ono w samej części sekundy oczerni całą kliszę, a tymczasem żeby gwiazdy fotografować, potrzeba naświetlać kliszę przynajmniej kilka sekund. Otóż do pomocy wzywamy księżyc, i prosimy go, by nam zasłonił sobą tarczę słoneczną, bo nie chcemy fotografować słońca, lecz tylko gwiazdy w jego obecności. Usługę taką oddaje nam księżyc często, mianowicie podczas tak zwanych zupełnych zaćmień słonecznych, gdzie tarcza księżycza zasłania sobą tarczę słońca. Gdy więc wtedy sfotografujemy niebo, a z niem gwiazdy, i porównamy kliszę tak otrzymaną z tym obrazem na kliszy tego samego nieba i tych samych gwiazd, zdjętych kilka miesięcy temu, gdy słońce było zupełnie gdzieindziej na niebie, to możemy na pewne stwierdzić, czy pod wpływem słońca nastąpiło czy nie nastąpiło przesunięcie wzajemnego położenia gwiazd, czyli ugięcie promienia światła pod wpływem pola grawitacyjnego, pochodzącego od słońca. Doświad-

czenia takie czyniono i ze skutkiem dodatnim, i na tem polega właśnie drugi sprawdzian teorii Einsteina.

Pierwszy wykonał pomiary angielski astronom królewski Eddington podczas zaćmienia słońca dnia 29 maja r. 1919 na wyspie Principe w zatoce gwinejskiej, w zachodniej Afryce, a równocześnie druga ekspedycja z Londynu wyjechała do Sobral w Brazylii, pod Crommelinem i Davidsonem. Nie wdając się obecnie w szczegóły, bardzo zresztą interesujące, owych doświadczeń, zaznaczę, że obie wyprawy otrzymały rezultaty dodatnie, i stwierdziły istnienie zjawiska przepowiedzianego przez teorię Einsteina, mianowicie przesunięcie obrazów gwiazd, a więc promieni światła przez nie wysyłanych pod działaniem grawitacyjnym słońca.

Przesunięcie to jednak jest niesłychanie drobne, wynosi bowiem wedle wymagań teorii Einsteina zaledwie 1,7 sekundy. Chociaż tedy obliczenia dokonane na płytach obu ekspedycji zgadzały się naogół dostatecznie z cyfrą Einsteina, to jednak gdy na publicznem zgromadzeniu Royal Society i Royal Astronomical Society klisze te przedstawiono, ci z obecnych uczonych, którzy nie posiadali wielkiej wprawy w pracach nad fotografią nieba, mieli wątpliwości co do rezultatów otrzymanych, chociaż sami astronomowie, którzy tych zdjęć i następnie pomiarów dokonali, z całą stanowczością utrzymywali, że fakt przewidziany przez teorię Einsteina rzeczywiście płyty owe stwierdzają. Gdy tedy z różnych stron świata podniesiono teoretyczne wątpliwości i zarzuty co do teorii Einsteina, postanowiono wykorzystać najbliższe zupełne zaćmienie słońca, roku 1922 dnia 21 września, które miało zajść w miejscu nieba, szczególnie do takich obserwacji i obliczeń przydatnem, mianowicie gdzie znajduje się większa liczba gwiazd wybitniejszej jasności, i sprawę ostatecznie rozwikłać.

Wybrało się ekspedycję cztery: jedna z Londynu z obserwatorium w Greenwich, pod kierownictwem Jonesa i Melcttego na Christmas Island (wyspy Bożego Narodzenia), ta jednak wyprawa spotkała się z niebywalem prawie humorystyczno-tragicznem niepowodzeniem. Wyjechała na kilka miesięcy przedtem z Londynu, wybudowała na miejscu szopy, w których ustawiła z wielkim trudem i nakładem pracy olbrzymie, przywiezione ze sobą, przyrządy astronomiczne, wytrenowała ludzi i z całą ufnością czekała nadejścia zaćmienia, a ufność ta była tem większą, że wedle danych meteorologicznych jest tam zawsze w tym czasie trwała, piękna pogoda. Lecz czemuż są ludzkie rachuby! Tuż przed chwilą zaćmienia nadeszła chmura, która dokładnie całe zjawisko osłoniła tak, że o jakichś ścisłych fotografiach i mowy by nie mogło. Skoro tylko zaś zaćmienie się skończyło, chmura odeszła i odsłoniła astronomom widok na piękne niebo. Niezmierne koszty, wysiłki i trudy poszły wszystkie w niwecz.

Lepiej powiodło się trzem innym wyprawom. Jedna z nich i to najważniejsza szła z najpotężniejszego zdaje się na świecie obserwatorium astronomicznego Lick, w Stanach Zjednoczonych Ameryki, które rozporządzając obfitemi środkami materialnemi i znakomitymi astronomami, miało w tej sprawie sprawdzania teorii Einsteina wypowiedzieć najwłaściwsze słowo. Wiódł ją też sam władca naczelny, prof. Campbell i rozbili obozy w Wallal w zachodniej Australji. Trzeciej wyprawie z Kanady

przewodniczył prof. Chant, czwartą zaś stację obserwacyjną urządzili astronomowie australscy.

Zaćmienie słońca miało miejsce, jak już wspomniałem, 21 września 1922, lecz wyprawa kanadyjska i amerykańska dopiero w pół roku, w kwietniu b. r. zdołała ukończyć badania klisz otrzymanych, gdyż badanie to i obliczanie położenia gwiazd odfotografowanych, celem stwierdzenia ich przesunięć, jest niezmiernie mozolne i subtelne. Prof. Campbell zdyktował trzy klisze podczas zaćmienia, i te trzeba było porównać z trzema innymi, które otrzymano trzy miesiące przedtem z tego samego kawałka nieba, a na każdej kliszy było do zmierzenia około 80 gwiazd, między wielkością siódmą a dziesiątą. Na takiej kliszy gwiazdy odbijają się jako kropki o mniejszym lub większym przekroju, stosownie do wielkości czyli jasności gwiazdy, a o jakie pomiary tu chodzi, można nabrać pojęcia z tego, że trzeba było zmierzyć odległość wzajemną tych 80 kropek i z dokładnością jednej pięciotysięcznej cala, czyli jednej dwusetnej części milimetra, a następnie rezultat tych pomiarów użyć za podstawę rachunków i obliczeń, które są tak mozolne, że trwać musiały kilka miesięcy!

I jakież owoc tych niezmiernych wysiłków ducha ludzkiego i tych ofiar czasu i pieniędzy? Oto zdobycz jednej, niewielkiej pozornie prawdy, niewielkiej, lecz w dalszych wynikach niesłychanie doniosłej, mianowicie stwierdzono niezbicie istnienie przesunięcia się gwiazd czyli wpływu grawitacyjnego słońca na promień światła, a przesunięcia w takiej mierze, jaka wynika z teorii Einsteina. Mianowicie wedle płyt Campbella przesunięcie gwiazdy bliskiej słońca wynosiło średnio 1,74 sekundy czyli tylko o jedną setną część sekundy mniej, niż wypada z teorii Einsteina. Jaka zaś pewność i wartość tych pomiarów, widać jasno z słów, które pisze najpoważniejsze może czasopismo naukowe świata, londyńska *Nature*¹⁾: „Prof. Campbell mówi w swym telegramie — czytamy tam — że uważa dalszą pracę w tym kierunku za niepożądaną, tak, że innym zajmie się problemem podczas kalifornijskiego zaćmienia słońca w przyszłym wrześniu“. A dodać trzeba, że i prof. Chant podobnie zupełnie dodatnie otrzymał wyniki z badań swych płyt fotograficznych, jak o tem doniosły świeżo depesze z Kanady. Pozostają jeszcze do obliczenia klisze australskie i tem zajmuje się obecnie, jak donosi *Nature*, obserwatorium w Greenwich, lecz jakikolwiek będzie ich wynik, rezultatów badań Campbella i Chanta nie zmieni, a zresztą fotografie australskie są mniejsze, więc wobec tamtych mniejszego są znaczenia. — W ten sposób i drugi sprawdzian Einsteina zupełnie stwierdzono.

Pozostaje jeszcze sprawdzian trzeci, mianowicie przesunięcie się ku słońcu czerwonych linii spektralnych w widmie słonecznym. Zjawisko to jest jeszcze subtelniejsze od dwu poprzednich, to też choć fizycy i astronomowie w największych ośrodkach nauki pracują nad niem z wielkiem wyczuciem, jednak rezultaty ich badań nie są dość wyraźne i nieraz sprzeczne, tak, że jednakowo są dane za i przeciw istnieniu zjawiska Einsteina. Wielkość, albo raczej dostrzegalność jego na razie leży w obrębie błędów naszych przyrządów, a nadto jest ono zależnem od tylu czynników,

¹⁾ *Nature* z 21-go kwietnia 1923 r. str. 541.

bliżej nam nieznanym, lub takich, które się wyłączyć z obserwacji nie dadzą, że zdaniem najważniejszych badaczy wobec potwierdzenia się pierwszych dwóch sprawdzianów Einsteina, znaczenie tego trzeciego bardzo jest małe, to też w jego rozstrząsanie i opiswaniu się tutaj nie będę.

Ze strony więc fizycznej trzeba uważać teorię Einsteina za dostatecznie stwierdzoną. Nie znaczy to oczywiście, by jej można przypisywać metafizyczną pewność, ale w każdym razie obala ona fundamenta filozoficzne fizyki newtonowskiej, fundamenta kategorycznie przeciwne zasadom filozofii Arystotelesa i Tomasza z Akwinu. Usuwa też teoria Einsteina gruntownie wszystkie szkopy, jakie mógł mieć nowożytny fizyk w przyjęciu filozoficzno-przyrodniczych zasad tych filozofów, a w wielkim jubileuszu przyszłorocznym św. Tomasza mogą się złączyć bez obawy narażenia się na zarzut przedawnienia wszyscy, których jedynym pragnieniem jest szczerze dążenie do prawdy.

Dzień 11-ty kwietnia r. 1923, w którym prof. Campbell przesłał telegraficzną wiadomość o potwierdzeniu doświadczalnym teorii Einsteina jest wielkim dniem w dziejach nauki, wielkim w dziejach neoscholastycznej, jedynej logicznie spójnej chrześcijańskiej filozofii.

Ks. Feliks Hortyński.

ROZMAITOŚCI.

„SKAMANDER” A INDEKS. — Organ naszych literackich bolszewików obruszył się na recenzję, umieszczoną w „Przeglądzie Powszechnym” o „Książkach ciekawych”. Uwagi jego wszakże o naszej recenzji należy również zaliczyć do „ciekawych”. Mniejsza o moralizowanie, jakie kieruje pod adresem recenzentki, p. Z., mniejsza o to, że wyrывa i przekręca jej zdania i słowa, by ułatwić sobie kpiarstwo. Najciekawsze to, co pisze o indeksie książek zakazanych.

Recenzentka przytoczyła czyjeś zdanie, że kultura nigdy nie ucierpiała przez umieszczenie jakiejś książki na indeks. Skamander chce za imponować owemu nieukowi, co takie zdanie wygłosił i oczywiście recenzentce, która je powtórzyła i wylicza cały szereg dzieł, bo aż 40 autorów mających się na indeksie znajdować, których potępienie uważa za zgubne dla kultury, a kompromitujące dla Kościoła.

Lecz cóż się dzieje? Oto, że biegłych w „Indeksie” redaktorów „Skamandra” trzeba zaliczyć albo do „nieuków i ignorantów”, albo, jeśli wolą, do ludzi świadomie nieuczciwych. Bo oto wśród autorów potępionych przez indeks wymienienia „Skamander” nawet Tomasza à Kempis „O Naśladowaniu Chrystusa”. Zaglądamy do Indeksu: na str. 298 wydania urzędowego z r. 1917 czytamy rzeczywiście: Thomas Kempisus, De imitando Christo... interprete S. Castellione. To samo powtórzone pod literą C, a nazwiskiem Castellio. Każdy, kto nie był „ignorantem” i nieuczciwym, zrozumie, że potępione zostało wydanie Castelliona z powodu jego komentarzy niezgodnych z duchem samego dziełka autora „Naślado-

wania". Skamandrytom zachciało się wprost zafrapować katolików sensacyjnym odkryciem, więc, słuchajcie: Kościół potępił nawet Tomasza à Kempis, tego Tomasza, którego czytają miliony najpobożniejszych ludzi! Dalej parę innych nazwisk, przytoczonych przez „Skamandra”, wcale na Indeksie nie figuruje. Zmyślił je dla wzmocnienia swego odkrycia. Niektórych autorów wniesiono na Indeks jedno jakieś dzieło; „Skamander” nie mówiąc o tem, nasunął myśl, że wszystkie ich utwory zostały potępione. Reszta nazwisk (połowa z przytoczonych przez „Skamandra”) to nazwiska koryfeuszów ateizmu, materializmu, moralnego brudu. Może być, że dla „Skamandra” wstrętne paszkwile Woltera, bluźnierstwa Renana i Straussa, pornografja Zoli i France’a są arcydziełami nauki i najwyższymi wytworami ludzkiego ducha, — nie może jednak żądać, by Kościół, stróż prawdy objawionej i moralności, podzielał takie zapatrywanie.

Nieuczciwie bałamuci „Skamander” swoich czytelników, rozdzierając szaty z oburzenia na widok strat, jakie ludzkość ponosi dzięki indeksowowi. Czyż nie wie (nie chce być przecież „nieukiem” i „ignorantem”), że przez potępienie jakiejś książki nie potępia się całej jej zawartości, lecz tylko przestrzega się wiernych przed kryjącą się w niej trucizną? Uczni, specjaliści, literaci, jeśli do jakich książek muszą zaglądnąć, łatwo na to otrzymują pozwolenie Kościoła i z tej dozy prawdy, jaka w nich się znajduje, mogą korzystać ku pożytkowi kultury i ludzkości. Że zaś Indeks obroni wielu prostaczków od zarazy, to chyba nie wielka dla kultury strata.

Na zakończenie dodamy, o czem może „Skamander” nie wie, że oprócz imiennego indeksu autorów i książek potępionych, istnieją w Kościele zasady ogólne, zabraniające wiernym czytać bez pozwolenia wogóle rzeczy sprzeczne z wiarą i dobrymi obyczajami. Pod te ogólne zasady z wielką łatwością podciągnąć można i samego „Skamandra”, choćby za takie utwory, jak bluźnierczy wiersz „Ex voto” w grudniowym zeszyście 1922, albo za powieść „Wniebowstąpienie”. Na pociechę „Skamandrytów” dodamy, że Indeks obowiązuje tylko katolików, a innych pozostawiamy ich własnym sumieniom. Niech budują „kulturę”, jak umieją. Chociaż z drugiej strony społeczeństwa zdrowe winny znaleźć sposób zatamowania ich rozkładowej działalności w życiu i literaturze.

Dekoracja artystyczna kościoła Najśw. Serca Jezusowego w Krakowie.

Suum cuique.

Każdy, czy wielbiciel, czy nawet wróg Towarzystwa Jezusowego, musi przyznać mu wielką gorliwość o chwałę Bożą. Znajdowała ona wyraz, między innemi, w okazałych kościołach, które Jezuici wznosili podczas czterech stuleci swego istnienia i wznoszą po całym świecie, starając się, by pod względem estetycznym były ostatniem słowem artyzmu danej epoki.

W interesie atoli prawdy stwierdzić trzeba, iż w tym kierunku nie zawsze powodzenie towarzyszyło ich dobrym chęciom, t. j. że częstokroć budowali kościoły, szczególnie w pierwszej połowie XVII w., które, mimo swej okazałości zewnętrznej a bogactwa i przepychu na wewnątrz, pięknemi, we właściwym tego słowa znaczeniu, nie były.

A przecież, także w interesie prawdy, należy podnieść, że każdy większy kościół jezuicki był sumą znacznych wysiłków artystycznych, koło których obojętnie przejść niesposób, już choćby dlatego, ponieważ są wiernem odbiciem współczesnych prądów artystycznych. Towarzystwo Jezusowe, posiadające cudowną niemal zdolność zżycia się z każdym okresem kultury, jest tradycyjnie arcyliberalnem na punkcie sztuk pięknych. Nietylko bowiem nie tamuje ich ewolucji, ale owszem jak najchętniej ją popiera w kościołach przez siebie budowanych, wyszukuje młode talenty, godzi się na odstępstwa od utartych formuł i rutyny, krótko powiedziaw-

szy, jest orędownikiem sztuki żywej, szukającej nowych dróg do piękna.

Tak też było przy budowie oraz dekoracji artystycznej świeżo wzniesionego w Krakowie kościoła OO. Jezuitów pod wezwaniem Najśw. Serca Jezusowego.

Wiadomo powszechnie, jak sprzeczne sądy wywołała ta świątynia z uwagi na swą architekturę i dekorację artystyczną. Pozwalam sobie mieć nadzieję, iż zorientowanie się w tej ostatniej ułatwi mój krytyczny rzut oka, nie wyczerpujący wprawdzie przedmiotu, lecz w każdym razie dający o nim ogólne pojęcie, uzasadnione analitycznie i rzeczowo.

I. Słów kilka o powstaniu kościoła.

Najmłodszym co do daty erekcji, wśród czterdziestu kilku świątyń Pańskich „polskiego Rzymu” — Krakowa, jest kościół pod wezwaniem Najśw. Serca Jezusowego, wzniesiony przez OO. Jezuitów, obok ich kolegów, przy ulicy Kopernika.

Jeden z Jezuitów, pisząc o tym przybytku Bożym, wyraził się w ten sposób:

Kto go wznioś? Czy może hojne tysiące bogatych? Nie! Wzniosła go w najprawdziwszym znaczeniu niedola, bieda, ubóstwo polskie. Nie z kamienia on, nie z cegieł, ale z serc ludu polskiego; jego łzy i jego pot skrzepły na twardy ciosowy głaz i wzrosły we wspaniałą świątynię. Ze wszystkich bowiem ziem polskich płynęły i płyną na tę budowę prawdziwie wdowie grosze, które powoli złożyły się na miliony.

Stanowi więc osobliwość tego kościoła, iż jest niejako fundacją ludu polskiego, której OO. Jezuici starali się nadać jak najwspanialszy wygląd w myśl intencji hojnego fundatora, pragnącego, by Najśw. Serce Jezusowe posiadało w grodzie podwawelskim godną Siebie świątynię.

Jaką wagę przykładali OO. Jezuici do tej budowy, świadczy fakt, iż postarali się o wykonanie odnośnych projektów: przez prof. Wiedeńskiej Akademii Sztuk Pięknych, głównego architekta budowy Burżu, Fryderyka Ohmanna (2 warjanty), przez prof. Józefa Pokutyńskiego, przez znakomitego twórcę pomnika Grunwaldzkiego w Krakowie,

Antoniego Wiwulskiego (2 warjanty), a wreszcie przez architekta Franciszka Mączyńskiego (2 warjanty). Z pomiędzy tych wszystkich projektów został zrealizowany drugi projekt Mączyńskiego.

Czy wybór był trafny?... Zdania fachowców i wogóle miłośników sztuki są mocno podzielone na tym punkcie. Jedni zachwycają się dziełem Mączyńskiego, uważając je za arcydzieło nowożytniej polskiej architektury kościelnej, inni odmawiają mu zgola wszelkich zalet, a jeszcze inni, ganiąc całość, dopatrują się w szczegółach dużych walorów artystycznych.

Ponieważ celem niniejszego szkicu jest tylko krytyczne omówienie wysiłku artystów malarzy i rzeźbiarzy, skierowanego do nadania tej świątyni jak najwspanialszego i najbar dziej artystycznego wyglądu — przeto tę sprawę pomijam, zostawiając sąd o niej miłośnikom sztuki rodzimej.

Każdy jednak nieuprzedzony przyzna, że kościół Najśw. Serca Jezusowego jest budowlą okazałą¹⁾ zarówno na zewnątrz, jak i na wewnątrz. Jest to jeden z największych kościołów krakowskich (trójnawowy, bez transeptu, z prezbi-

¹⁾ Przy tej sposobności wypada zapisać ku wiecznej rzeczy pamiętce nazwiska osób ze wzniesieniem tego kościoła bezpośrednio związanych.

I tak, budowę rozpoczęto, gdy Prowincjałem polskiej prowincji zakonu Jezuitów był O. Wojciech Baudiss, skończono zaś za Prowincjała O. Włodzimierza Piątkiewicza.

Pod kierunkiem projektodawcy roboty murarskie prowadził p. Zabłocki, roboty blacharskie wykonał p. Bieniarz, kamieniarskie p. Bodnicki, a po jego śmierci p. Markiewicz.

Stukiem pokrył na wewnątrz ściany kościoła Br. Wojciech Pieczonka T. J. On także wykonał wszystkie mozaiki, z wyjątkiem fryzu w apsydzie, będącego dziełem weneckiej fabryki Gianese'go. Roboty stolarskie (boazerję, konfesjonały) wykonał Br. Antoni Krok T. J., roboty snycerskie — p. Ignacy Sikora, ławki — p. Chrobak, roboty żelazne — Br. Jan Krzysik T. J. Całe roboty doglądał i zajmował się sprzedawaniem materiałów Br. Stanisław Dydek T. J.

Kierownictwo artystyczne spoczywało, do ukończenia budowy, w ręku O. Włodzimierza Piątkiewicza T. J., następnie zaś O. Józefa Tuszwskiego T. J., który prace dekoracyjne powierzył pp. Stachiewiczowi, Bukowskiemu, Raszce, Hukanowi, Stroynowskiemu i Sikorze, podając określone przez siebie tematy zarówno mozaik, jak i rzeźb.

terjum zakończonem apsydą, z jedną osobną kaplicą i z obszerną zakrystją, stanowiącą jakby osobną budowlę z sygnaturką). Mierzy on 52 metry długości, 19 m. wysokości i 18'50 m. szerokości; prezbiterjum, przy tej samej wysokości, co nawa główna, długie jest na 12 m., a szerokie na 9 m. Wieża kościelna ma 68 m., ustępuje zatem tylko wyższej wieży Marjackiej co do wysokości.

Kościół pomieścić może, bez ścisku, 5000 osób, która to liczba daje dobre pojęcie o jego poważnych rozmiarach.

Pierwszą myśl wzniesienia nowego kościoła, w miejsce kaplicy publicznej, istniejącej od r. 1868 przy kolegium OO. Jezuitów (ul. Kopernika l. 26), powzięli oni jeszcze w 1893 roku. Dopiero jednak w r. 1909 nastąpiło 1 listopada poświęcenie kamienia węgielnego pod ten kościół. Praca nad budową postępowała, stosunkowo, dość szybko, tak, że na rok 1915 projektowanem było poświęcenie kościoła. Tymczasem katastrofalna klęska wojny światowej opóźniła je o całe lat sześć, gdyż nastąpiło dopiero dnia 29 maja 1921 r

II. Uwagi ogólne.

Zanim przejdę do szczegółowego omówienia dzieł malarstwa i rzeźby, zdobiących kościół Najśw. Serca Jezusowego, muszę poruszyć jedną okoliczność, wpływającą, do pewnego stopnia, na wyrobienie sobie sądu o tych dziełach, względnie, zaznaczyć rolę, jaką odegrała przy ich powstawaniu.

Przystępując do zdobienia jakiegoś wnętrza, zbudowanego w stylu romańskim, ostrołukowym, renesansowym, barokowym, rokokowym, a choćby i „pierwszego cesarstwa“, ma rzeźbiarz, czy malarz, stałe normy, do jakich może i powinien dostroić swe zdobnictwo figuralne i ornamentacyjne (linearne, roślinne i t. d.). W kościele jednak, o którym mowa, artyści takich norm nie mieli, jest to bowiem budowla, posiadająca wprawdzie pewien nałot romańszczyzny (więcej pozorny, niż rzeczywisty), lecz właściwie zbudowana bez stylu, a tylko pod kierunkiem fantazji artystycznej budowniczego.

Okoliczność ta postawiła z jednej strony wolne, nie-

krępowane formułkami stylowymi pole malarzom i rzeźbiarzom, ale z drugiej — była przyczyną znacznej rozbieżności w szczegółach dekoracji wnętrza kościoła. Każdy bowiem z artystów, biorących w niej udział, nie mając obowiązowego wskaźnika, jakim jest styl, komponował wedle własnego widzimisie. I jeszcze jedno wynikło stąd nieporozumienie: dla ogółu, szczególnie krakowskiego, wzrosłego w kulcie „rzeczy stylowych“, jest kościół Najśw. Serca Jezusowego czemś absolutnie nowem, niebywałem, czemś, dla czego nie może znaleźć ekwiwalentu wśród licznych świątyń krakowskich. Stąd wynika niezrozumienie tylu pięknych rzeczy, jakie „quand même“ mieści w sobie ten kościół, a także niedocenianie zasługi OO. Jezuitów, którzy zdobyli się na czyn śmiały, zrywając z rutyną dla zostawienia zupełnej swobody artystom, mającym budować świątynię i dekorować jej wnętrze.

III. Portal kościoła.

Czy ze względu na konfigurację placu, czy też dla innych jakichś powodów, postawiony został kościół Najśw. Serca Jezusowego do ulicy bokiem, a nie frontem. Skutkiem tego wejście do kościoła znalazło się z boku, a nie na osi nawy głównej, jak zwykle bywa. Wejście to ¹⁾ znajduje się w dolnej części wieży, a nad niem wznosi się wykuty z kamienia okazały portal z grupą dłuta Ksawerego Dunikowskiego.

Już przed wejściem w progi kościoła, grupa ta objaśnia nas, komu został poświęcony. Składa się bowiem z postaci Zbawiciela (wykutej z kamienia) oraz dwóch grup bocznych (odlanych z metalu), symbolizujących cierpiącą, uciśnioną ludzkość, która u Boskiego Serca szuka otuchy, błaga o pomoc. W miejsce kroksztynu, podtrzymywać mającego występ, na którym stoi P. Jezus, umieścił artysta jakąś zagadkową postać (w półfigurze). Alegorja jej nie tłumaczy się

¹⁾ Oprócz tego głównego wejścia, istnieje drugie, prowadzące do bocznej nawy, która biegnie wzdłuż ulicy, oraz trzecie — od ulicy także — przez zakrystję, połączoną wewnętrznym gankiem z klasztorem.

dość jasno. Najprawdopodobniej jednak jest to symbol zła zwyciężonego, które Najwyższemu Dobru za podnózek służyć musi. Górną część portalu zamyka obramienie, wsparte na czterech kolumnkach, stojących po dwie razem z obu boków. I pod względem architektonicznym i z uwagi na rzeźby czyni całość monumentalne i zarazem oryginalne wrażenie, nie łączy się jednak z resztą wyglądu kościoła, który właśnie na zewnątrz posiada największą dążność do elementu romańskiego.

Postać Chrystusa pojął artysta szlachetnie i nie bez sentymentu religijnego. Wyciąga On ręce przed siebie z gestem, zdającym się mówić: „Chodźcie do mnie wszyscy, którzy obciążeni jesteście...” Fałdzista szata Zbawiciela traktowana jest szeroko, a cała postać, choć spokojnie stojąca, nie jest sztywną. Równie dobre są obie grupy boczne, świetnie skomponowane i modelowane z właściwym *D u n i k o w s k i e m u* rozmachem.

Naogół biorąc, rzeźba na tym portalu nie ma nic wspólnego ani z neoklasycyzmem, ani z romantyzmem. Jest ona natomiast dobrym przykładem tego szukania nowych dróg, które stanowi wybitną cechę sztuk plastycznych zagranicą i u nas od początków bieżącego stulecia i, jako taka, ocenioną być winna.

IV. *Prezbiterjum.*

Pierwszem wrażeniem, jakie otrzymuje się, wszedłszy do wnętrza świątyni przez niezbyt jasny przedsionek i ciemną kruchtę, jest podziw nie tyle dla jego struktury, ile dla bogactwa, prawie przepychu jego dekoracji. W budowlu tej wysokości, co kościół Najśw. Serca Jezusowego, wzrok zostaje mimowoli pociągnięty ku górze. Tam wysoko, na sklepieniu prezbiterjum, spostrzegamy malowanie, wykonane wedle projektu prof. Jana *B u k o w s k i e g o*¹⁾.

Ponieważ ściany kościoła aż po sklepienie pokryte są

¹⁾ To, co powiedzianem jest tutaj o malowaniu prezbiterjum, odnosi się także do dekoracji sklepień w nawie głównej, obu nawach bocznych, kaplicach, kruchcie i przedsionku, polichromowanych w ten sam sposób.

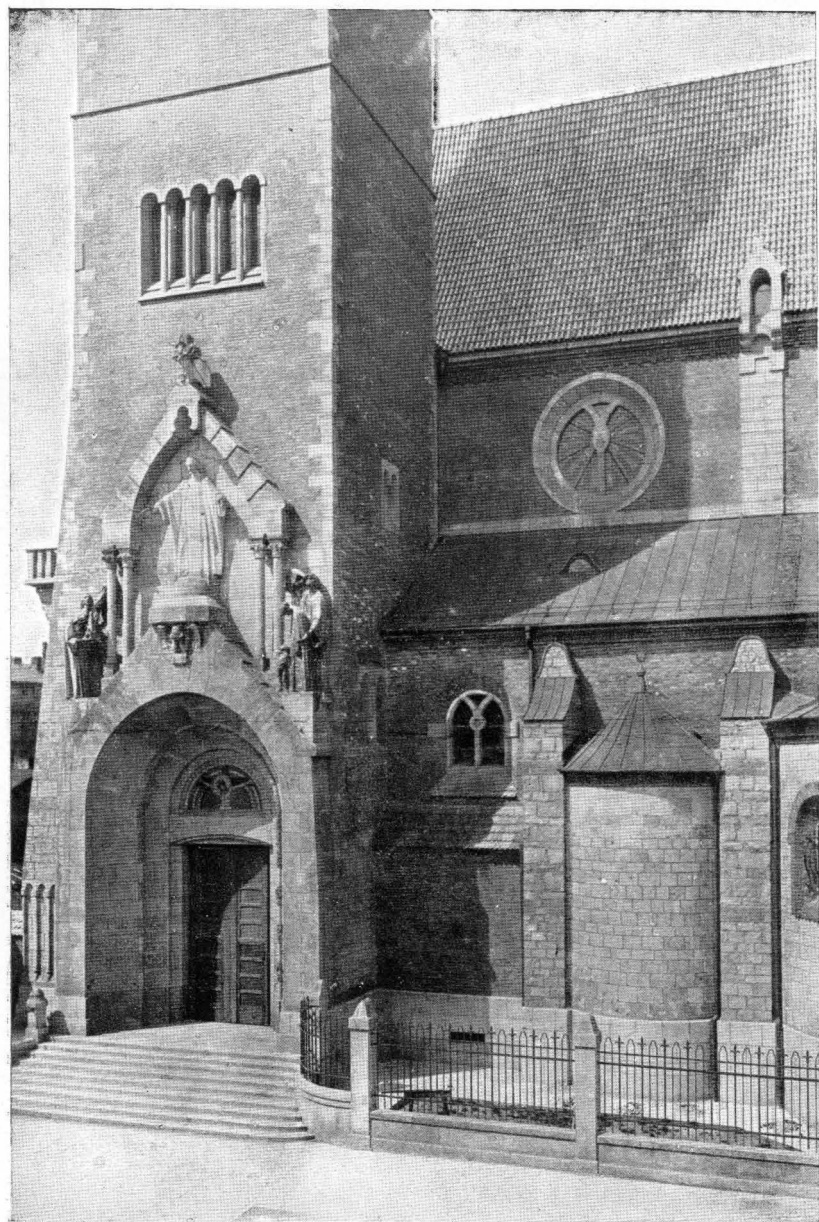
stiukiem — do złudzenia naśladowującym marmur barwny po wypolerowaniu — przeto prof. Bukowski był niejako zmuszony stosować się do tych ścian polichromji. Niestety, wypadła ona dość niefortunnie. Podział ścian na puste pola zapomocą podłużnych, równoległych do posadzki pasów, wywołuje wrażenie czegoś niezmiernie ciężkiego, surowego i pospolitego. W dodatku barwy ścian i owych pasów są tak silne, ale mało przejrzyste, że znalezienie dla nich odpowiedniej tonacji na sklepieniu wcale łatwem nie było. Artysta bowiem, komponujący polichromję sklepienia, musiał mieć na oku dwie rzeczy: dać w całości coś, co by zanadto nie odskakiwało od ścian, a w szczegółach starać się stworzyć ornamentację silną w kolorze, a szeroką w rysunku.

Zarzuty, z którymi spotyka się dzieło prof. Bukowskiego, a które streszczają się przedewszystkiem w twierdzeniu, jakoby polichromja sklepień, przez niego skomponowana, nie posiadała charakteru religijnego, czy kościelnego, nie wytrzymują krytyki. Artysta do swej kompozycji nie wprowadził figur, ani symboli (z wyjątkiem stylizowanego symbolu krzyża), a trzymał się tylko w granicach stylizowanego, w duchu nowoczesnym, ornamentu roślinnego¹⁾. Niema zaś żadnych przepisów na to, jakie motywy ornamentu roślinnego nadają się do kościoła, a jakie do sali teatralnej, balowej, kina i t. p.

Jedynym zarzutem, jaki nie bez racji dałoby się uczynić wielobarwności sklepień kościelnych, jest jej względna jaskrawość. Powtarzam: względna, bo służy do znihiłowania rażącego efektu owych nieszczęsnych pasów na ścianach, do odwrócenia od nich uwagi, a wreszcie, ponieważ artysta liczył się z tem, że czas przykryje swą patyną wnętrze kościoła, łagodząc siłę jego kolorów i złocieli. Dalej i to trzeba wziąć na uwagę, iż witraże barwne, którymi zostaną zaopatrzone wszystkie okna kościoła, przyczynią się znacznie

¹⁾ W tym wypadku nic nie ma do rzeczy, że pewne motywy ze świata roślinnego używane są w religijnem malarstwie (rzeźbie) dekoracyjnem, jako symbole, np. winne grono. Artysta bowiem może, ale nie musi użyć ich w swej polichromji.

Dekoracje artystyczne
kościoła Serca Jezusowego w Krakowie.



Portal. (Grupa rzeźbiarska Ksaw. Dunikowskiego).



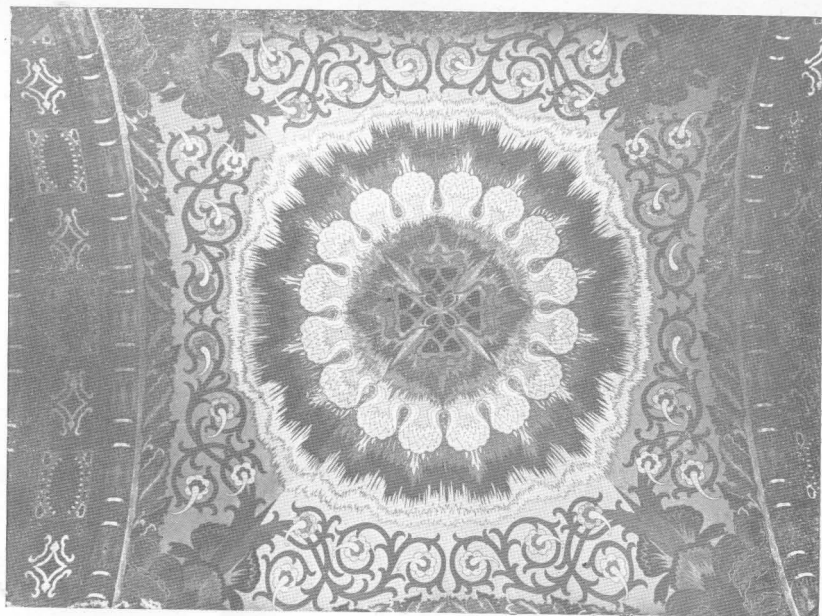
Ołtarz Matki Boskiej (Rzeźba K. Hukana).



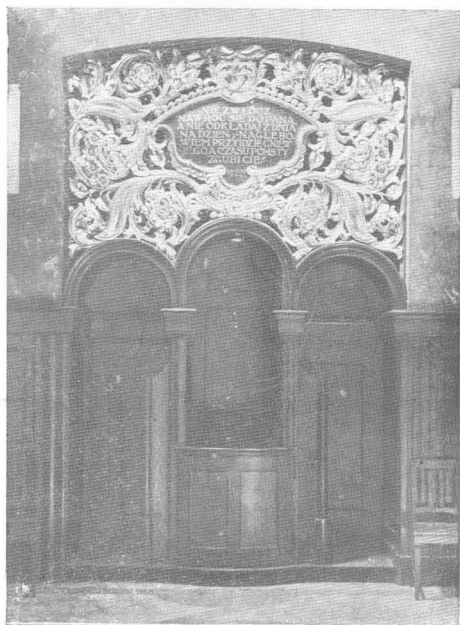
Rzeźba z chóru (K. Hukan).



Kapitel z przedsionka (K. Hukan)



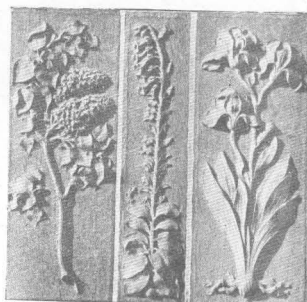
Fragment z polichromji sklepień (Prof. J. Bukowski).



Konfesjonał.



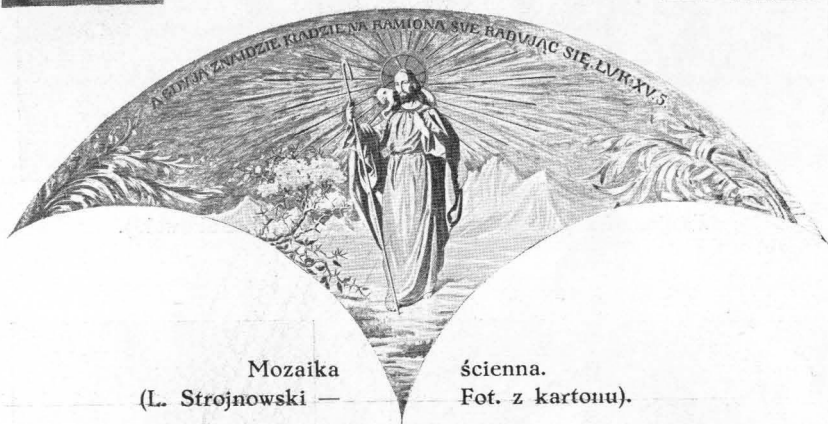
Ławki



Rzeźby do ławek (J. Sikora).

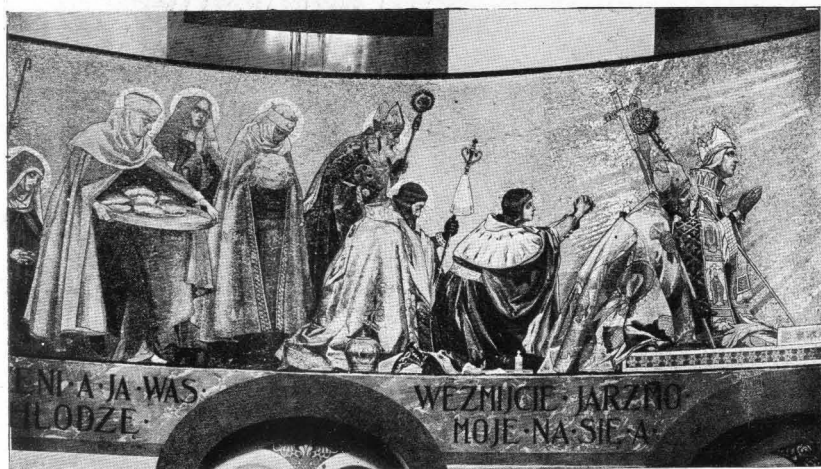


Mozaika w przedsionku.
(L. Strojnowski. — Fot. z kartonu).



Mozaika
(L. Strojnowski —

ścienna.
Fot. z kartonu).



Fragment z fryzu mozaikowego. (Piotr Stachiewicz).

do stonowania wnętrza, do złagodzenia nadmiaru siły kolorów i złoceń¹⁾.

Być może, iż przy innych warunkach architektonicznych polichromja prof. Bukowskiego nie odpowiadałaby otoczeniu. W tych atoli warunkach, w jakich musiała być wykonana, odpowiada swemu celowi. Prof. Bukowski — to artysta, szukający nowych dróg dla malarstwa dekoracyjnego, a szukający nie bez powodzenia, jak to wskazuje np. wykonana przezeń tak oryginalna polichromja wnętrza kościołka św. Józefa w Krakowie (PP. Bernardynek, przy ulicy Poselskiej). I kwestji nie ulega, że w kościele Najśw. Serca Jezusowego dał maximum tego wszystkiego, co w ciągu owego szukania zdobył. Jakaś wyraźnie stylowa wielobarwność w tym kościele byłaby czemś zupełnie niestosownem, nawet rażącym. Taki bowiem śmiały eksperyment nowatorski w dziedzinie sztuk plastycznych, jakim jest nowy kościół Jezuitów, staje się — że użyję paradoksu — stylowym niejako przez swoją bezstylowość. Przytem trzeba mieć na uwadze fakt, że ideą przewodnią OO. Jezuitów przy budowie kościoła Najśw. Serca Jezusowego było osiągnięcie jak największej monumentalności, czem się tłumaczy przejście w niektórych jego szczegółach poza miarę przeciętną, a powszechnie przyjmowaną, inaczej powiedziawszy, poza wszelkiego rodzaju szablon.

V. Fryz w prezbiterjum.

Po silnych, bijących w oczy barwach polichromji sklepienia, spotykamy, spuściwszy wzrok poniżej okien apsydy, fryz mozaikowy²⁾, trzymany w tonie jasnym, freskowo-

¹⁾ Ten ciekawy proces osłabienia początkowo zbyt silnych barw polichromji przez czas, nawet stosunkowo krótki, obserwować można na wnętrzu krakowskiego kościoła Marjackiego, które po odmalowaniu go wywołało głośnie protesty z powodu swej jaskrawości. Dziś jednak ta jaskrawość znikła, a pozostała jedynie zasadnicza, silna bardzo tonacja polichromji.

²⁾ Mozaika, użyta w kościele Najśw. Serca Jezusowego do wykonania wszystkich bez wyjątku obrazów, zdobiących jego ściany, jest t. zw.

akwarelowym, z niewielką stosunkowo przestrzenią tła złotego pośrodku.

Szeroka wstęga tego fryzu, którego autorem jest Piotr Stachiewicz, ciągnie się, poprzez apsydę, od jednego do drugiego końca prezbiterjum. Treść kompozycji odpowiada intencjom, dla których kościół wzniesiono, symbolizuje mianowicie hołd, składany przez całą Polskę, od średniowiecza aż do ostatnich prawie czasów (fryz był skomponowany w r. 1913), Najśw. Sercu Jezusowemu.

Pośrodku kompozycji umieścił artysta postać Zbawiciela, w białej szacie i płaszczu ciemno-niebieskim, na tle złotem. Wzrokiem swym zdaje się On przebijać mury świątyni i ogarniać korzający się w rzeczywistości u stóp Jego cały naród polski. Wspaniała to postać o twarzy pełnej majestatu, jak przystoi Królowi nad królami, Władcy niebios i ziemi. Dalekim jest wyraz tej twarzy od owej niewiele mówiącej, słodkawo-czułostkowej ekspresji, jaką tak często jej nadają przeciętni malarze na obrazach Najśw. Serca Jezusowego. Przeciwnie, posiada ona — powiedziałbym — może nawet zawiele surowości, która byłaby na miejscu raczej wtedy, gdy przyjdzie Chrystus Pan sądzić świat, jako straszny Sędzia, a nie wtedy, gdy, jako uosobienie dobroci i miłosierdzia, przygarnia go do Siebie.

Po lewej (od widza) stronie fryzu umieścił artysta grupy świętych i błogosławionych, patronów Polski, korzających się przed majestatem Bożym pod wodzą św. Wojciecha i św. Stanisława. Najudatniejszymi, najwięcej sentymentu religijnego posiadającymi postaciami w tej części fryzu są: św. Kazimierz królewicz, św. Stanisław Kostka oraz św. Jacek. Po prawej stronie przedstawił Stachiewicz alegorycznie całą Polskę, zaczynając od pary królewskiej, poprzez skrzy-

mozaiką wenecką, która powstaje z mnóstwa drobniotkich kładzionych koło siebie kolorowych kawałeczków szklanych. Inne rodzaje mozaiki, to t. zw. mozaika watykańska z ustawionych pionowo sztyfcików szklanych, wreszcie mozaika florencka, czyli t. zw. pietra dura, robiona z różnobarwnych kamyków, lub kawałków marmurów. Praca nad mozaiką szklaną, naśladowującą, z pewnego oddalenia, malowidło, jest niezmiernie nużącą ze względu na dobieranie kolorów i wymaga od robotnika pełnej znajomości rysunku.

dla rycerstwo, duchowieństwo (kardynał), mieszczaństwo (z wielkim jałmużnikiem ks. Skargą), lud wieśniaczy (chłop z pod Krakowa i góral), aż do grupy wojska polskiego (żołnierz napoleoński, żołnierz z 31-go r., powstaniec z r. 63-go) i starca sybiraka w kajdanach. Tu najpiękniej wypadły postacie: pary królewskiej, ks. Skargi, a także chłopą krakowskiego i górala.

Komponując swój fryz bez świadomości natężenia siły barw w polichromji sklepień i ścian kościoła, nie mógł, oczywiście, Stachiewicz dostosować do nich siły jego koloru. Stąd wynikło, że fryz, oglądany z daleka, wydaje się bladym, nikłym w barwach. Natomiast, widziany z mniejszej odległości, budzi podziw swą finezją i szlachetnością rysunku, w którym udało się artyście zachować „złoty środek“ między zbytniem a pobieżnem opracowaniem w szczegółach.

VI. *Wielki ołtarz.*

Jednym z najoryginalniejszych szczegółów kościoła Najśw. Serca Jezusowego jest jego wielki ołtarz, do którego projekt dał arch. Mączyński, a którego dekorację projektował i wykonał artysta rzeźbiarz Karol Hukan. Przynajmniej w Krakowie nie spotykamy się w żadnym z kościołów z ołtarzem w przybliżeniu nawet podobnym do tego, o którym mowa.

Umieszczony w głębi apsydy, ma nad sobą ten ołtarz rodzaj baldachimu w kształcie konchy, której wewnątrz zdobi 44 mozaik z symbolami osoby Chrystusa Pana i Eucharystji (zacerpniętymi przeważnie ze sztuki starochrześcijańskiej), jak rybę, gryfa, pelikana i t. p. Wzory tych symboli wykonał prof. Bukowski. Gdy zaświecone zostaną odpowiednio umieszczone lampki elektryczne, koncha czyni niezmiernie barwne i efektowne wrażenie.

Obecne tabernaculum — tylko w dolnej części ze stiuku zrobione, z baldachimkiem prowizorycznym — ma być usunięte, a jego miejsce zajmie tabernaculum, całe z bronzu odlane, względnie w szczegółach wykute (repoussé).

Na wysokości podstawy owej konchy ciągnie się po obu stronach wielkiego ołtarza rodzaj architrawy, wspartego na

kolumnach. Na nim umieszczono cztery posągi stiukowe dłuta Karola Hukana. Przedstawiają one: św. Ignacego Loyolę, błog. Andrzeja Bobolę, św. Franciszka Ksawerego i św. Stanisława Kostkę. W chwili, gdy piszemy niniejsze sprawozdanie, nie otrzymały jeszcze te posągi polichromji i skutkiem tego rażą swoją białością na tle tak barwnego wnętrza prezbiterjum. Pod względem rzeźbiarskim są to rzeźby bez zarzutu, wykonane z tem szlachetnem odczuciem celów i środków plastyki, które cechuje wszystkie prace tego znakomitego rzeźbiarza, może w tej chwili jedyne go u nas, który rozumie, jak należy pojmować rzeźbę na usługach kultu katolickiego. Za to, że wspomniane posągi ustawione są niby pionki na szachownicy bez związku ze sobą i architekturą, wina spada, oczywiście, nie na rzeźbiarza, lecz na budowniczego, który ów architrav zaprojektował i nie obmyślił dla nich stosowniejszego pomieszczenia.

Oddziela prezbiterjum od nawy głównej balustrada marmurowa z bronzowymi drzwiczkami, prosta, ale szlachetna w rysunku. Jest to jeden z mniej ważnych, ale naprawdę pięknych, artystycznych i niepretensjonalnych szczegółów wnętrza.

Nadmienić przytem wypada, że prezbiterjum otrzyma niebawem 6 witrażów z obrazami prof. Bukowskiego w liczbie 30. Artysta przedstawił w nich żywot Chrystusa Pana, zaczynając od Zwiastowania, a kończąc na Zesłaniu Ducha Św.

Odnosnie do tych witraży podnieść trzeba z uznaniem, iż prof. Bukowski miał odwagę zerwać z panującą dziś modą umieszczania na każdym oknie jednej wielkiej kompozycji, a powrócił do sposobu, używanego w średniowieczu, gdy jedno okno służyło do umieszczenia nieraz bardzo wielu niewielkich rozmiarami obrazów, jak to widzimy np. na starych witrażach w prezbiterjum krakowskiego kościoła Marjackiego. W ten sposób malowane witraże są naprawdę witrażami, a nie udają obrazów olejnych, czy freskowych.

Wprawdzie małe rozmiary pojedynczych części średniowiecznego witrażu wywołane były niedość wydoskonaloną ówczesną techniką, to jednak niema żadnej dobrej racji, aby,

korzystając z postępów techniki dzisiejszej, pozwalających na wykonanie wielkich witraży, komponować olbrzymie o jednej treści obrazy na oknach. Celem witrażu jest przede wszystkim przyćmienie światła wewnątrz kościoła, a nie co innego.

VII. Nawa główna.

Olbrzymia „tęcza” — belka poprzeczna, na której, znajduje się krucyfiks, z postaciami N. Marji P. i św. Jana po bokach — zamyka prezbiterjum, dzieląc je od nawy głównej.

O rozmiarach tej „tęczy” daje pojęcie wysokość figur na niej umieszczonych, równająca się trzem metrom! Projektował ją i wykonał w drzewie prof. Jan Raszka, nadawszy swemu dziełu wygląd niezwykle, z żadnym ze stylów pokrewieństwa nie mający. Znaczna wysokość, na jakiej jest ono umieszczone, sprawia, że nie ocenia się bogato polichromowanych figur, które na niem się znajdują, z punktu widzenia plastyki, a raczej z punktu widzenia malarskiego, tworzą bowiem, razem wzięte, barwne dopełnienie górnej części wnętrza, gdzie rzeźba, inaczej traktowana, stanowiłaby dyssonans.

Cztery potężne filary granitowe dźwigają mury nawy głównej, oddzielonej od naw bocznych szeregiem łuków, wspartych na kolumnach marmurowych. Pomiedzy temi łukami powstały pola, na których częściowo już są umieszczone, częściowo dopiero będą, wielkie obrazy, wykonane w mozaice przez Br. Wojciecha Pieczonkę T. J., wedle projektów, malowanych przez Leonarda Stroynowskiego.

Obrazów tych jest sześć, a stanowią one jedną z przednich ozdób kościoła Najśw. Serca Jezusowego, jako dzieła niepowszedniej wartości artystycznej i technicznej.

Treści do tych kompozycji dostarczyły teksty, zaczerpnięte z Ewangelji, a odnoszące się wprost, lub w przenośni do osoby Zbawiciela. Rozmieszczone zostały one na ścianach nawy tak, iż tworzą organicznie związaną całość, zostającą w najbliższym związku z Jego Osobą, której Naj-

świętszemu i najdobrośliwшему Sercu kościoł jest poświęcony. Przedstawiają zatem albo uczynki miłosierdzia, będącego najwyższą potencją dobroci, dokonane przez Chrystusa Pana, albo też te, które w swoich przypowieściach, jako przykład godny naśladowania przytoczył.

Po stronie ewangelji znajdują się już, względnie później zostaną umieszczone obrazy następujące: „Miłosierny Samarytanin“, „Dobry Pasterz“ i „Syn marnotrawny“, a po stronie lekcji: „Jawnogrzesznica“, „Pan Jezus u drzwi grzesznika“ i „Samarytanka u studni“.

Pod względem ideowym nadaje tym obrazom piętno dzieł religijnych, wyposażonych w nietuzinkową wartość artystyczną — wielka prostota kompozycji, i to nie ta, której malarz dopiero szuka, którą sobie narzuca, lecz ta, która jest emanacją głębszego sentymentu religijnego i która przychodzi sama z siebie, jako następstwo dostojnego zapatrywania się na sztukę, oddającą się w usługę wiary.

Co się tyczy wykonania, to przedewszystkiem stwierdzić należy zasadniczy punkt wyjścia autora tych sześciu kompozycji, który pozostał sobą, nie czyniąc kompromisów między tem, jak malowano dawniej a jak maluje się dzisiaj. Stroynowski został przy tem, co było dawniej, t. j. nie czyni różnicy między „analitycznym“ a „syntetycznym“ rysunkiem¹⁾, lecz rysował tak, jak zdrowy sens malarski nakazuje rysować od czasów Odrodzenia, używał zaś barw w ten sposób, jak je widzi oko malarza normalnego, którego tenże zdrowy sens malarski nie został jeszcze zdeprawowany utopjami w tym rodzaju, jak np., że każdemu malarzowi wolno widzieć barwy w naturze takimi, jak się jemu wydają, a nie jakimi są w rzeczywistości.

Skutek zasadniczego punktu widzenia, zajętego przez Stroynowskiego, oraz konsekwentnego przeprowadzenia swej zasady jest ten, że z pewnych stron spotkać go może zarzut staroświecczyni, pozostania w tyle poza malarstwem doby ostatniej. Zarzut ten w obliczu odwiecznych

¹⁾ Takie iście dziwolągowe rozróżnienia słyszeć można temi czasy z ust niektórych malarzy, starających się zasłonić niemi własną niedostateczną znajomość rysunku.

i niezmiennych zasad malarstwa ostać się przecież nie może, a czynić go będą najchętniej ci, co, wzgardziwszy temi zasadami, dają wymowne świadectwo swemu świadomemu nieuctwu, a w najlepszym razie bezwiednemu skrzywieniu zdrowych pojęć o celach i środkach sztuk plastycznych.

I właśnie, stało się dobrze, iż w kościele Najśw. Serca Jezusowego, którego podwoje OO. Jezuici otwarli naościę przedstawieliom rozmaitych kierunków w sztuce, znalazło się miejsce i dla przedstawiciela doby wczorajszej w malarstwie, mającej jednak wszelkie szanse, iż stanie się także dobą jutrzejszą, jak tylko miną efemeryczne wybryki podczas gonitwy za nowym sposobem wyrażania się, oraz, gdy zniknie egotyczne do absurdu pojmowanie piękna.

Chcąc ocenić sprawiedliwie projekty mozaik pendzla Stroynowskiego, musimy uprzytomnić sobie dwie kolosalne trudności, jakie udało się mu szczęśliwie pokonać, a mianowicie: złote tło, zastępujące niebo — zresztą konieczne ze względu na bogatą niesłychanie polichromję całego wnętrza świątyni — i bardzo niewdzięczny format, wskazany warunkami architektonicznymi. Przy jednolitem złotem tle wydobyć, względnie zachować tę siłę kolorów, jaką oglądamy na projektach mozaik — to zadanie nielada dla artysty malarza, a zachować ją w mozaice — to zasługa jej wykonawcy. Co się zaś tyczy wyjścia z trudności, które nastroczał format — trzeba stwierdzić, że udało się ono artyście, dzięki odpowiedniemu skomponowaniu postaci, lub grupy, treść kompozycji stanowiącej, a także na skutek umiejętnie zaznaczonego w tle krajobrazu.

Na czterech obrazach przedstawił artysta postać Zbawiciela, trzymając się naogół tego samego typu, lecz w szczegółach zgoła odmiennie. Przez to uniknął monotoni, która musiałaby razić, gdyby wszystkie cztery postacie były identyczne. Rzecz prosta, że przedstawienie Boga-Człowieka w malarstwie, czy rzeźbie, jest najtrudniejszym zadaniem, o jakie najgenialniejszy nawet artysta pokusić się może, zadaniem, którego rozwiązanie w zupełności zadowalające jest dla ułomnego i grzesznego człowieka niemożliwym. Stąd też oceniamy postać Chrystusa Pana malowaną, lub rzeź-

bioną, jedynie z tego punktu, o ile udało się danemu artyście zbliżyć tylko do ideału. Otóż postać ta w koncepcji i wykonaniu Stroynowskiego nie pozostaje daleko w tyle za dziełami najwybitniejszych malarzy religijnych XIX w. Nie możemy, niestety, znaleźć na tym punkcie przykładów do porównania w polskim monumentalnem malarstwie religijnem, a sięgnąć musimy do takiego Overbecka, lub Corneliusa, z którymi twórczość Stroynowskiego posiada pewne analogie.

Powyżej pól, na których mieszczą się dopiero co omówione mozaikowe obrazy, stanie kiedyś w nawie głównej sześć posągów. Już są dla nich przygotowane kroksztyny i baldachimki. Przyczynią się one także w pewnym stopniu do znihilowania wrażenia tyle razy wspomnianych tu pasów na ścianach nawy, ale pod jednym warunkiem. Mianowicie: baldachimy obecne trzeba będzie usunąć, fantazja bowiem tego, co je rysował, poszła za daleko, dając zamiast prostego a lekkiego nakrycia ciężkie i dziwaczne zakończenie pagody indyjskiej, czy sjamskiej.

W swoim rodzaju wspaniałą jest posadzka kościelna, wykonana z włoskiego marmuru. Zasługuje w niej na uwagę bardzo ładnie pomyślany deseń, w niczem niepodobny do tych szachownic, lub ornamentów, czyniących wrażenie wypukłych, któremi zwykle zeszpecone są nasze kościoły, a po których stąpa się z obawą.

Całości wnętrza nawy głównej dopełniają ławki, bardzo proste, ale piękne w rysunku, a wykonane ze wzorową precyzją. Świeże, bardzo dyskretnie stylizowane roślinne motywy rzeźb, zdobiących te ławki, traktował p. Sikora z prawdziwą maestrią, mimo trudności technicznych, jakie przedstawiał materiał (bardzo twarda dębina), na ten cel wybrany. Ta staranność o jeden, ostatecznie, z pośledniejszych sprzętów kościelnych, daje miarę nieznaney wprost u nas konsekwencji, z jaką wzniesli kościół Najśw. Serca Jezusowego OO. Jezuici, którzy powiedzieli sobie w założeniu, że chcą, aby świątynia ta była ostatnim wyrazem artystycznego i technicznego wykończenia w całości i szczegółach.

Niestety, kościół nie posiada jeszcze dotąd ambony,

tak ważnego i charakterystycznego szczegółu każdej świątyni katolickiej. Wiadomo tylko tyle, że zaprojektuje ją i wykona H u k a n, co jest pocieszającym, ponieważ z pod dłuta tego genialnego rzeźbiarza wyjdzie niezawodnie rzecz naprawdę piękna, okazała i monumentalna.

VIII. *Nawy boczne — ołtarze boczne — kaplica Ducha Św. — zakrystja.*

Malowanie sklepień naw bocznych nie różni się — jak to wyżej zaznaczyłem — od polichromji sklepienia nawy głównej i dlatego da się doń zastosować to, co poprzednio zostało powiedzianem o tejże polichromji. Jedynie można zauważyć dodatkowo, że malowanie na sklepieniach naw bocznych, zapewne skutkiem tego, że są one o wiele mniejsze, niż nawa główna, wydaje się jeszcze więcej ciężkiem i przygniatającem w rysunku ornamentacyj oraz jaskrawej ich barwie.

W lewej z naw bocznych znajdują się trzy ołtarze, w prawej — cztery. Umieszczono je we wgłębieniach, mających postać nyż, występujących poza mury nawy, a dających niespokojny, rozerwany wygląd zewnętrznej całości kościoła, widzianego od ulicy.

Przedewszystkiem nie łączą się one z resztą kościoła, mającego zewnętrzne ściany wykonane w cegle nietynkowanej — „rohbau“ — podczas gdy inne oblicowane zostały, nie wiadomo z jakiej racji, kamieniem. Następnie zaś czynią cały bok kościoła rysunkowo niejednolitym, ponieważ jedna z tych nyż jest więcej występującą, niż dwie inne. A wreszcie zostawiają widza, który jeszcze nie zna wnętrza kościoła, w wątpliwości, co właściwie ma przed sobą: czy osobne kaplice, ale wtedy nyże są za płytkie, czy też proste pomieszczenia dla ołtarzy — wtedy są za głębokie i w dodatku ciemne, jak to już z zewnątrz wnioskować można.

Za te niedomogi nie odpowiada oczywiście H u k a n, któremu powierzono wykonanie, wedle własnego pomysłu, wszystkich ołtarzy bocznych. Był to ciężki do rozwiązania problem z uwagi właśnie na owe niedomogi architek-

toniczne, ale dał sobie z nim radę artysta, jak się o tem przekonać można z ołtarzy, które są już gotowe.

W nawie bocznej prawej (od wejścia) znajdują się (zaczynając od jej początku) ołtarze: św. Marji Małgorzaty, św. Ignacego Loyoli, N. Marji Panny i św. Stanisława Kostki, zaś w nawie lewej: św. Franciszka Ksawerego, św. Józefa i bł. Andrzeja Boboli¹⁾.

Miarę tego, czem będzie całość tych siedmiu ołtarzy, gdy zostaną ostatecznie skończone, daje ołtarz N. Marji Panny Królowej Aniołów, przed którym msza św. już się odprawia. Jest to najpiękniejsze dzieło sztuki religijnej, znajdujące się w Krakowie. Środek grupy, z postaciami naturalnej wielkości, zajmuje Matka Boża, której twarz i cała postać, obok wyrazu pobożności podniesionej do ekstazy, obok nadziemskiej powagi, mają wdzięk nieopisany. Królowę swą otacza chór aniołów, a jeden z nich podaje Jej koronę. Wpatrując się w te przepiękne postacie duchów niebieskich, wydaje się, jak gdybyśmy słyszeli szum ich skrzydeł...

Antependjum ołtarza zdobi płaskorzeźba, przedstawiająca szopę betleemską z adorującymi pasterzami.

Aby wyjść z takiego założenia, jakim jest w rzeźbie grupa, mająca czynić wrażenie, iż unosi się w powietrzu i wykonać ją tak, że naprawdę to wrażenie czyni — trzeba mieć talent Hukana o podkładzie genialności. Z opisu mogłoby się wydawać, że rzeźba Hukana jest barokiem, który — jak wiadomo — pozwalał sobie w rzeźbie na pewne założenie czysto malarskie. Tymczasem rzecz ma się inaczej. Bo,

¹⁾ Wszystkie rzeźby w pomienionych ołtarzach wykonane są ze stiuku (z włosk. „stucco“). Jest to mieszanina gipsu, wapna i piasku, do której dodaje się, stosownie do rodzaju stiuku, klej, węgiel sproszkowany, biały cement i t. d. Zanim ta mieszanina stwardnieje na kamień, odznacza się tak wielką plastycznością, że rzeźbiarz może modelować w niej, nieomal jak w glinie. Stąd też rzeźba, wykonana w stiuku, posiadając wszelkie cechy oryginału wykonanego w glinie, po stwardnieniu odporniejszą jest na wpływy atmosferyczne nawet od marmuru. Użyty zaś do obkładania ścian i kolumn a odpowiednio zabarwiony, daje się stiuk polerować i wtedy do złudzenia podobnym się staje do marmuru.

Technika stiukowa, znana dohrze w starożytności, poszła później w zapomnienie i odrodziła się dopiero w XIV w. we Włoszech, a w epoce baroku doszła do największego rozkwitu. Teraz wchodzi ona znów w modę.

choć sam artysta przyznaje, że barokowa rzeźba i dekoracja (wnętrze kościoła św. Anny w Krakowie) były dlań podnietą do chwycenia się techniki stiukowej przy dekorowaniu kościoła Najśw. Serca Jezusowego — to jednak umiał on, posługując się temi samemi środkami, co barokowi rzeźbiarze, stworzyć coś nowego. Główna różnica między rzeźbami barokowymi a rzeźbami Hukana polega na tem, że umie on zawsze zachować miarę w gwałtowności ruchów, że liczy się, koniec końców, z warunkami rzeźby i że postaciom, dochodzącym w ruchach do granic dozwolonych przez plastykę, przeciwstawia postacie owiane wielkim spokojem, jak to widzimy na ołtarzu, o którym wyżej była mowa. Tego rzeźbiarz z epoki baroka nigdy nie czyni. Wszystkie postacie grupy przez niego skomponowanej posiadają ten sam niepokój w rysunku, względnie tę samą nieusprawiedliwioną gwałtowność ruchów, wywołującą w rezultacie wrażenie niesmacznej przesady.

W nawach bocznych znajduje się także jeden z ciekawszych szczegółów kościoła Najśw. Serca Jezusowego, a mianowicie konfesjonały, wykonane wedle rysunków prof. Bukowskiego. Z równie bogato złożonemi i wogóle kosztownemi konfesjonałami można się spotkać chyba w niewielu tylko włoskich kościołach barokowych. Każdy konfesjonał zaopatrzony jest w sentencję moralną, wypisaną złotemi literami na ciemnym kartuszu, umieszczonym ponad częścią środkową. Bogato złożone ornamentacje, wykonane robotą snycerską w drzewie, a umieszczone na tych konfesjonałach, ciężkim swym rysunkiem przypominają ornamentację polichromji sklepień w nawie głównej i nawach bocznych.

Kaplica Ducha Św. jest jedyną osobną kaplicą przy kościele Najśw. Serca Jezusowego i stanowi jakby jego miniaturową w odniesieniu do owej osobliwej inkoherencji, jaka ten kościół co do szczegółów zdobnictwa wybitnie charakteryzuje.

I tak, bardzo skromny, barokowy jej ołtarz stiukowy¹⁾,

¹⁾ Z pięknym, niewielkim obrazem, oryginałem Sassoferrata, przedstawiającym popiersie N. Marji Panny (dar hr. Barbary Łubieńskiej).

wykonany przez Hukana, już ze względu na swój kolor gryzie się z tłem niebieskiem, na którym go umieszczono i z kolumnami stiukowymi, imitującymi *lapis lazuli*. Z tym ołtarzem znów, posiadającym cechy stylowe baroka, nie godzi się zupełnie wielka mozaika na ścianie bocznej, projektowana przez prof. Bukowskiego, a przedstawiająca w sposób alegoryczny „Palec Boży“, artysta bowiem pojął tę alegorię w sposób bardzo nowoczesny, nie licujący wcale z tematem i odskakujący od stylu ołtarza. Także malowania w kopułce kaplicy, wykonane przez tegoż artystę, nie wypadły szczęśliwie.

Prawa ściana kaplicy, nawiasem powiedziawszy dość ciemnej, jest jeszcze wolna. Miejmy nadzieję, że mająca być na niej umieszczona mozaika, przyczyni się do złagodzenia tego ujemnego wrażenia, jakie ta kaplica dotąd czyni. Zresztą mogłaby być ona zupełnie skasowana, a kościół, z którym nie jest związana organicznie, nicby na tem nie stracił.

Widna, obszerna, o ładnej strukturze zakrystja dotąd nie posiada polichromji. Artysta, któremu przyjdzie ją wykonać, znajdzie się w warunkach o wiele pomyślniejszych, aniżeli prof. Bukowski, który, komponując polichromję dla sklepień naw kościelnych, stał wobec faktu dokonanego, a bardzo dlań niekorzystnego, t. j. pokrycia ścian stiukiem wypolerowanym o ciężkiej barwie i podzielonym na jeszcze cięższe pasy, jak to wyżej podniosłem. Ściany i sklepienia zakrystji — to dotąd „tabula rasa“, na której pendzel utalentowanego dekoratora może stworzyć polichromję bez tych ujemnych stron, jakie wykazuje polichromja kościoła. Doświadczenie w tym wypadku powinno dać cenne wskazówki tym, co kierują artystyczną dekoracją kościoła.

Wziąwszy na uwagę pietyzm, dobrą wolę i nieszczędnienie grosza, jakie wykazali do tej chwili OO. Jezuici przy wykończaniu wnętrza kościoła Najśw. Serca Jezusowego, można być pewnym, iż postarają się, aby jego zakrystja przynajmniej odpowiadała wnętrzu, jeżeli go nie przewyższała swym estetycznym wyglądem.¹⁾

¹⁾ Z zakrystji prowadzą ciemne, nadzwyczaj niewygodne, kręcone schody do galerji, otaczającej ambitus apsydy na wysokości kilku metrów.

IX. *Chór — kruchta — przedsionek.*

Chór muzyczny powinien grać znaczną rolę w konstrukcji Kościoła, będąc na drugim jego końcu odpowiednikiem dla wielkiego ołtarza. I, choć znaczenie jego jest o wiele mniejsze, powinien ozdobnością, a przede wszystkim kształtem stanowić dobre zakończenie nawy głównej i zwracać na siebie uwagę.

Dobrze się stało, że budowniczy Kościoła Najśw. Serca Jezusowego liczył się z temi względami, zaprojektował bowiem chór piękny o charakterze monumentalnym, który przedstawiałby się jeszcze okazalej, gdyby filary, podtrzymujące go, nie tworzyły prostej, gładkiej ściany bez żadnych podziałów. Między temi filarami znajdują się, zakończone u góry pełnemi łukami, trzy wejścia do kruchty.

W górze, na wysokości parapetu, przypominającego swym szlachetnym rysunkiem balustradę, oddzielającą prezbiterjum od nawy głównej, znajdują się dwie prześliczne postacie, wykute z kamienia przez Hukana. Personifikują one modlitwę. Niżej od nich widnieją dwie, także kamienne, wypukłorzeźby z postaciami symbolizującymi śpiew religijny i muzykę. Wymienione dopieroco rzeźby różnią się zasadniczo od innych dzieł Hukana, o których dotąd była mowa. Tamte zrodziły się pod tchnieniem baroka — te są owocem studjowania przez artystę sztuki średniowiecznej. Hukan, jak każdy wielki artysta, nie idzie za nią niewolniczo, lecz tworzy w jej duchu.

Obecnie jeszcze niema na chórze organu i dlatego — prawdopodobnie — rzuca się zanadto w oko wielkie okno z witrażem („róża“ w ścianie zachodniej), które kiedyś w dolnej jego części przysłoni organ. Witraż projektował artysta malarz Wąłach. Przedstawia on Zbawiciela, ukazującego się Św. Marji Małgorzacie w otoczeniu aniołów. Rostać Świętej pomyślana i wykonana jest poprawnie. Nie można tego samego twierdzić o postaci Chrystusa P., której ruch nie tłumaczy się a draperja jest sztywna. W dodatku

Z okien tej galerji, wychodzących na prezbiterjum, roztacza się ciekawy widok na wnętrze Kościoła.

przedzielenie tego witrażu kamiennem żebrowaniem okna psuje całość. Do tego okna dadzą się zastosować w całej rozciągłości wyżej poczynione uwagi o „witrażach-obrazach“, tak modnych obecnie.

Niska, ale obszerna kru ch t a posiada dwa przepiękne kapitele (prawie czysto romańskie), rzeźbione w kamieniu przez H u k a n a. Nadzwyczajna szlachetność i wdzięk swoisty, cechujące wszystkie dzieła tego artysty, czynią z tych kapiteli, na których znajdują się pół postacie ludzkie, niepowszednio piękne dzieła plastyki.

Na ścianie północnej kru ch t y (tj. naprzeciw wejścia do niej z przedsionka) umieszczoną będzie wielka mozaika „Ukrzyżowanie“, do której pierwowzór wykonał już S t r o y n o w s k i. Oprócz tych samych zalet, jakie wykazałem, zdając sprawę z obrazów mozaikowych w nawie głównej, posiada, to dzieło S t r o y n o w s k i e g o jeszcze jedną, a mianowicie doskonale odtworzone napięcie dramatyczne, utrzymane w granicach imponującej powagi. Odczuwa się już na pierwszy rzut oka, że osobistościami, biorącemi udział w straszliwej tragedji, jaka rozgrywa się na Golgocie, nie są zwykli śmiertelnicy, że to Bóg-Człowiek przynosi z siebie najwyższą Ofiarę.... Niezmiernie wymowną i pojętą naprawdę w duchu religijnym jest grupa, złożona z Matki Bożej Bolesnej, słaniającej się pod ciosem, który Ją w tej chwili spotyka i św. Jana, którego postać wyraża gorącą, niezachwianą wiarę w ostateczne zwycięstwo Mistrza nad śmiercią. Wyborna w ruchu, charakteryzującym boleść i pokorę, Św. Maryja Magdalena całuje drzewo krzyża, na którym zawisł Zbawiciel świata, oblewając je łzami, setnik zaś Longinus (siedzący na koniu), jeszcze nie nawrócony, z surowym i zimnym wyrazem twarzy, dzierży włócznię, którą przebił bok Chrystusa Pana. Oblicze Zbawiciela, aczkolwiek dusza Jego opuściła powłokę cielesną, posiada cechy Boskiego majestatu, połączonego z czysto ludzkim cierpieniem.

Tegóż artyści wielki obraz mozaikowy, przedstawiający Św. Krzysztofa, przenoszącego Dzieciątko Jezus przez potok wezbrany na swych barkach, symbol chrześcijanina, który winien na duszy swej nosić Chrystusa (Christoforos), symbol bardzo często spotykający się w kru ch t ach średniowie-

cznych kościołów, zostanie umieszczony na prawej (od wejścia) ścianie przedsionka. W ten sposób będzie doskonale zestawiona całość symbolu dekoracji artystycznej Kościoła: w jego przedsionku spotykamy się z Sercem Bożem na krzyżu za nas przebitem, a na przeciwnym końcu świątyni — w prezbiterjum — chylimy kornie nasze czoła razem z całą Polską, alegorycznie wyobrażoną na fryzie mozaikowym, gdy składa hołd temu Sercu Jezusowemu, królującemu w chwale niebieskiej.

X. *Domówienie.*

Opuszczając Kościół N. S. Jez. wynosimy zeń dwa wrażenia ogólne. Pierwszem z nich jest uczucie, że oglądaliśmy dzieła, w odniesieniu do budownictwa, rzeźby i malarstwa, niepospolite, drugiem zaś — przekonanie, że suma stron dodatnich tego dzieła przenosi znacznie sumę stron ujemnych.

Zaśmiałem byłoby przypuszczenie, że krakowski kościół jezuicki rozpoczyna nową erę budownictwa kościelnego u nas; ale wydaje się być nie zanadto ryzykownem twierdzenie, iż kościół ten, wzięty jako całość, wskazuje możliwość modyfikacji dotychczasowych, pozornie niewzruszalnych zasad, których się jeszcze trzymamy w budownictwie kościelnem, a które — każdy przyzna — w znacznej mierze już się przeżyły.

Z tych powodów oczekiwać należy z najwyższem zainteresowaniem, jak wypadnie nowa monumentalna budowa — „Bobolanum“ — mająca być niebawem podjętą przez OO. Jezuitów w Lublinie, a szczególnie, jakim będzie kościół w jej skład wchodzący?

Czy pójdą oni dalej po drodze, na którą wstąpili, budując i dekorując swój kościół krakowski, czy też, przestraszeni własnem nowatorstwem, nawrócą na dawne ufarte szlaki — dowiemy się w nie tak dalekiej przyszłości.

JÓZEF NEKANDA TREPKA.

O mistycyzmie cesarza Aleksandra I.

Szkic historyczny.

Z niewydanych źródeł.

I.

Śmierć Pawła I. — Rok 1812-ty. — Klęska Napoleona. — Zwycięstwa koalicji. — Pobyt cesarza Aleksandra I w Paryżu w 1814 r. — Pietysi i iluminaci zachodni po wojnach napoleońskich. — Przyjaźń Aleksandra I z R. A. Koszelewym. — Książę A. N. Golicyn.

W posepnych i wilgotnych murach Michajłowskiego zamku życie z każdym dniem stawało się cięższe. Wśród licznej dworskiej zgromadzenia panowało przygnębienie i zarazem niepokój, jakaś niepewność i lęk o jutro¹⁾. Wyglądano wypadków — i szeptano sobie, że coś się gotuje, że coś się zmieni i zmienić musi. Utyskiwano na warjactwa cara, na

¹⁾ S. A. Panczulidzew, znany autor historii Kawaleriargardów, na wyraźne żądanie Mikołaja II opisał szeroko śmierć cesarza Pawła I. Opowiadanie swoje oparł na badaniach w tajnym archiwum cesarskim (Sobstwiennaja Jewo Imp. Wieliczeszwa Bibliotieka), skąd wydobył wiele nader ciekawych i nieznanych szczegółów o zamachu z dn. 11 marca s. s. 1801 r. Miał w swoich rękach dziennik Ploetza, lejb-medyka cesarzowej matki Marji Teodorówny, niewydane pamiętniki hr. Pahlena, frejliny Barbary Protasowówny, papiery Depreradowicza, dowódcy Siemionowców etc. etc., oraz korespondencję wielu wybitnych osób, które brały udział w spisku, lub piastowały podówczas wyższe godności przy dworze. Praca Panczulidzewa wyszła z druku w 1901 r. w Petersburgu, w 10 egzemplarzach („na prawach rękopisu”) pod tytułem: „Odinadcatyje Marta”. S. Pietierburg. Tipografia załatwienia gosudarstwiennych bumag. Była przeznaczona wyłącznie dla członków panującego domu. Jeden z tych egzemplarzy szczęśliwym zbiegiem okoliczności dostał się do rąk piszącego.

wzrastającą tyranję, ale po kątach tylko, w największej tajemnicy¹⁾, gdyż ściany miały uszy, a gniew imperatora nie znał granic i miary. Na pozór jednak wszystko przy dworze szło dawnym utartym trybem. Codzień odbywały się rewje, parady i hauptparady na placu przed Zimowym pałacem, lub na Marsowem polu; w złocistych salach nowej rezydencji cesarskiej urządzano „asamble” sztywne i nudne według wszelkich wymagań surowej etykiety, na które wszyscy zaproszeni pod groźbą ciężkich kar mieli się stawić. Przyjmowano uroczyście zagranicznych posłów, jak za czasów nieboszczki cesarzowej i skwapliwie, niby jak ongi, spełniano wolę cesarską²⁾. W dniu 11 marca po śniadaniu przyglądał się car zmianie pałacowej warty; w południe wyjechał konno na miasto z hr. I. P. Kutajsovym, wielkim koniuszym dworu, lecz wkrótce powrócił, bo na dworze padał drobny, przejmujący deszcz. Po powrocie już więcej nikogo nie przyjmował i zamknął się u siebie. Od samego rana mocno go rozdrażnił Pahlen, generał gubernator Petersburga, swoim sąznistym referatem: przez parę godzin zawracał mu głowę wiadomościami o jakichś spiskach i nieporządkach w mieście i tak go zmęczył, że po wyjściu Pahlena odmówił Paweł audjencji nawet Ojcu Gruberowi, którego zawsze z przyjemnością widywał, a który tego dnia właśnie pragnął koniecznie złożyć cesarzowi swoją czołobitność³⁾. W szczególności drażniła cara nieobecność Arakczewewa. Specjalną sztafetę wysłał do niego i natarczywie wzywał go z wygnania do siebie. Chciał z nim się naradzić o wielu palących kwestjach i oddać mu gubernatorstwo stolicy. Przekonał się

¹⁾ Ob.: M. Godlewski et W. Kriksine. *Journal et correspondance de Stanislas Siestrzeńcewicz-Bohusz, premier Archevêque Métropolitain de toutes les Russies. S. Pétersbourg. 1912. 'Années 1799—1800; 1800—1801.*

²⁾ W wigilję morderstwa, t. j. 10 marca, odbył się bal w Michajłowskim zamku. Oficerowie Siemionowcy, stojący na warcie w pokojach cesarskich, drżeli ze strachu, pisze jeden z naocznych świadków, gdy car obok nich przechodził.

³⁾ Istniała tradycja, że Ojciec Gruber, mający szerokie stosunki w kołach dworskich, dowiedział się o spisku i naumyślnie przybył do Michajłowskiego zamku 11 marca w rannych godzinach, aby ostrzec cara o gotującym się zamachu na niego. Cfr. *Diarium Collegii Petropolitani Societatis Jesu. 1801. Martius.*

bowiem, że mógł na niego liczyć, a Pahlenowi nie ufał. Tymczasem Arakczjew ociągał się z przyjazdem. Do wieczery cesarskiej, jak notuje „Kamerfurjerskij żurnal“, zaproszono dziewiętnaście osób z pośród wyższych urzędników dworskich. Car był pogodny i rozmowny, co mu się rzadko zdarzało od dłuższego czasu. Zauważywszy w czasie kolacji, że następca tronu siedział milczący przy stole, zapytał go żartobliwie: „Cóż się dzieje dzisiaj z Waszą Wysokością?“ „Najjaśniejszy Panie, odrzekł Aleksander, nie czuję się zupełnie dobrze“. „Wobec tego, ciągnął Paweł, poradź się lekarza i uważaj na siebie. Należy zawsze leczyć wszelkie dolegliwości w ich zarodku, aby się z nich nie wywiązały poważniejsze choroby“. Wielki Książę nic nie odpowiedział, tylko głowę pochylił nad talerzem¹⁾. Po skończonej wieczerzy, nie żegnając się z nikim, wyszedł car z jadalni i wolnym krokiem udał się na spoczynek. Towarzyszyli mu generał-adjutant Uwarow i ukochany biały pudel „Szpic“. Przy wejściu do prywatnych apartamentów cesarskich zaczął łąsić się Szpic do stojącego pułkownika gwardji Sabłukowa²⁾. Wówczas Paweł odpędził psa kapeluszem i rzekł gniewnie do Sabłukowa: „Wy wszyscy jesteście jakóbinami“... Uwarow, stojący za plecami Pawła, uśmiechał się złośliwie... Gdy nareszcie w tym pamiętnym dniu znalazł się Aleksander wieczorem u siebie, w ubraniu i butach rzucił się na łóżko. Był zmęczony i senny... Ciężkie zaiste chwile musiał wówczas przeżywać! Przecież on jeden, jedyny członek z rodziny cesarskiej, wiedział dokładnie o wszystkim, co się gotowało i miało nastąpić. Zapewne mógł sobie powiedzieć, że przez długi czas o niczem nie chciał słyszeć, że z oburzeniem odrzucał wszelkie rady N. P. Panina i namowy Pahlena, że jęczał i bolał, gdy sprawę spisku przed nim poruszano, że wołał poniewierkę, areszt, więzienie, niż blask majestatu. Tak było w rzeczywistości. A jeżeli ostatecznie uległ namowom; jeżeli zgodził się na zamach, to dopiero wtedy, gdy Pahlen dowiódł mu wyraźnie swoją nie-

) Z niewydanych pamiętników Senatora Księcia Jusupowa. Szylder. Cesarz Aleksander I, t. I.

2) Wspomnienia N. A. Sabłukowa. Russkij Archiw. 1869 r.

ubłąganą logiką, że innego wyjścia nie było, że chodzi o własne jego życie, o byt i losy państwa. Błagał go wszakże i ze łzami zaklinał, aby ojcu żadnej nie wyrządzano krzywdy, i uroczyste słowo od Pahlena otrzymał¹⁾.

Czy jednak słowo głównego spiskowca, choćby najuroczystsze, mogło być dla niego rękojmią? Czy nie znał dobrze gwałtownego charakteru ojca i nie powinien był zgóry przewidzieć, że Paweł dobrowolnie nie ustąpi, że będzie walka i musi się krwawym dramatem przewrót zakończyć? Po ostatniej i decydującej rozmowie z Pahlenem zamknął się Aleksander w sobie, a raczej zapadł w jakiś stan senności, apatii i odrętwienia, w jakiś letarg duchowy — dziwny, niepojęty w dwudziestotrzechletnim młodzieńcu wobec ciężkiej próby, jaka nadciągała²⁾. Na dworze tej nocy deszcz nie przestawał padać...³⁾

Przed północą zapukano do sypialni cesarzewicza. Gdy uchylił drzwi, ujrzał przed sobą mściwe i drewniane oblicze Pahlena... „L'Empereur a cessé de vivre“, rzekł Pahlen tajemniczo... Aleksander stał w rozpiętej koszuli, drżący, przerażony i trupio blady. Zdawało się, że nie rozumiał, co do niego mówiono — po chwili wybuchnął płaczem...

Na pokojach cesarskich, gdzie się zebrali Siemionowcy, powitano młodego cara gromkimi okrzykami. Wyglądał wówczas, jak skazaniec: chwiały się na nogach, łzy płynęły mu po twarzy, miał błędny wzrok i rozczochną głowę. Był tak złamany i zbolaty, że budził litość... Widząc jego bladłość i zmieszanie, szepnął mu Pahlen z właściwym sobie uśmiechem, pełnym sarkazmu: „Soyez donc homme, sire — on vous regarde... dites leur, que vous allez régner, comme feu votre grand-mère“... i machinalnie słabym przerywanym głosem wykrztusił Aleksander słowa Pahlena do żołdactwa, które go otaczało⁴⁾.

Dopiero nazajutrz w rannych godzinach ujrzał car i jego

) Panczulidzew o. c. Pamiętniki Langerona. Récit verbal du comte Pahlen à Langeron.

²⁾ Wielki Książę Mikołaj Michajłowicz. L'Empereur Alexandre I. Essai d'étude historique. S. Pétersbourg. 1912. t. I. str. 8.

³⁾ Panczulidzew o. c. Pamiętniki gwardzisty Półtorackiego.

⁴⁾ Panczulidzew o. c.

matka zwłoki nieszczęśliwego ojca. W małej sypialni Pawła paliły się dwie woskowe świece na nocnym stoliku pod ścianą obok polowego łóżka, na którym nieboszczyk spoczywał. Przywdziano go w granatowy mundur, na nogi zarzucono wojskowy płaszcz... w skostniałych rękach tkwiła złota ikona. Zdołano już mu ufrizować włosy i pokryć twarz różem i bielidłem... Ale róż i bielidło nie zatęrzyły śladów dokonanego mordu. Sina szrama biegła po czole trupa... powieki się nie domykały, miał boleśnie wykrzywione usta... nos obrzękły, a z pod koronek i batystów żabotu wyglądała ciemna złowroga pręga, sięgająca ucha — od rzemienia, którym go duszono. Był tragiczny w śmierci... Cesarzowa padła do łóża i jęła całować ręce męża, łkając głośno. Aleksander szlochał, jak dziecko... Widok ojca na marach, straszne sceny, na które się patrzył tej nocy i w których wziął udział, głęboką brózdą wryją się w jego pamięć i wyobraźnię i podważą jego duchowy organizm. Odezwie się w nim głos sumienia i do grobowej deski nie przestanie go targać... Będzie bolał, będzie się truł, że należał do spisku, ale wpływ tych krwawych reminiscencyj dopiero później wśród innych zupełnie okoliczności w sposób szczególny ujawni się w życiu i psychice cara¹⁾.

O mistycyzmie Aleksandra I w pierwszym dziesięcioleciu jego panowania nie wiele historyk powiedzieć może. Posiadamy jeden tylko ciekawy dokument w tym względzie — własnoręczną notatkę cesarza, pisaną przed 12-tym rokiem i przeznaczoną dla ukochanej swojej siostry, W. Księżny Katarzyny Pawłówny, „o literaturze mistycznej”. Mówi w niej car o powstaniu towarzystw mistycznych, o ich celach i charakterze, o naukach teologicznych, o drogach prowadzących do Boga, o trzech kategoriach pisarzy mi-

¹⁾ Ob. Pamiętniki Ks. A. Czartoryskiego. Kraków 1904 r., t. I, str. 153; Ob. Firsow N. M. Imperator Aleksandr I i jewo duszewnaja drama. Pietierburg 1910, str. 27. Ob. W. Ks. Mikołaj Michajłowicz. L'Empereur Alexander I. c.

styków¹⁾, ale mówi nader pobieżnie, nieściśle i chaotycznie. Widać z owej notatki, że ta dziedzina literatury nie była mu obca — że czytał różnych autorów i nachwytał z nich wiele wiadomości, które wszakże poplątał i których nie przetrawił. Naogół jednak w tym okresie jego życia kwestje wiary, moralności, „rzeczy święte“ specjalnie go nie zajmowały. Był zaprzątnięty wtedy wielką polityką światową, wojnami, przymierzami; ugaśniał się za blaskiem i popularnością; marzył o hegemonji Rosji w Europie, bawił się w musztry i reformy państwowe, hołdował miłośkom i miał ich bez liku, a w sercu, jak później sam powie o sobie, odczuwał pustkę i oschłość²⁾. Dopiero w 1811 r. zbliża się do mistyka R. A. Koszelewa i za poradą księcia A. N. Golicyna, jednego ze swych przyjaciół z lat młodzieńczych, zabiera się do czytania Biblii. Na pytania Golicyna, czy Pismo św. czytuje, odpowiadał car, że sam Biblii nie czytywał, że słyszał niejednokrotnie w cerkwi, jak czytano ustępy z Pisma św., ale miał słabe bardzo o niem pojęcie. Wówczas Golicyn przysłał mu księgę Biblii i prosił go usilnie, aby wziął się koniecznie do czytania przedewszystkiem Ewangelij i Listów Apostolskich, później zaś Apokalipsy i Starego Testamentu, i Aleksander przyrzekł księciu, że się zastosuje do jego życzeń.

Rok 1812, są to dni, jak wiadomo, zmagania się caratu z potęgą Napoleona. Istna nawałnica ciągnie z zachodu na Rosję. Sam genjusz wojny, „ten piekielny antagonistą“ z półmilionową, najpierwszą armją w świecie, której nikt się dotąd nie oparł, idzie na cara. Zdobywa mu twierdze, zagarnia prowincje, pali wsie i miasta, roznosi najlepsze jego wojska i sięga nawet „zbrodniczą ręką“ po „święty gród Moskwy“, po stolicę carów. Aleksander jest pochłonięty walką: rozwija w niej niezwykłą energję i wytrwałość, wyteęza wszyst-

¹⁾ Grand Duc N. Mikhaïlowitch. Correspondance de l'Empereur Alexandre I. avec sa soeur la grande duchesse Catherine Pawlowna. S. Pétersbourg 1910, p. 286.

²⁾ Rozmowa z pruskim biskupem Eylertem. Charakterzüge und historische Fragmente aus dem Leben des Königs von Preussen Friedrich Wilhelm III. Gesammelt von Eylert. Magdeburg 1844, t. I. Zweite Abtheilung.

kie siły, aby powstrzymać wroga i ocalić ojczyznę, ale obawia się niesfety, czy sprostą zadaniu. Czuje się bowiem słaby, nieprzygotowany. Brak mu artylerji, amunicji i dzielnych dowódców. Wie dobrze, że jest niepopularny, a sam nie ufa ani swemu narodowi, ani generałom — słowem, znikąd nie ma prawdziwej pomocy i podpory¹⁾. Dni, tygodnie żyje w gorączce, niepokoju i mniema chwilami, że jego tron i ojcowizna stanęły już nad brzegiem przepaści. W połowie sierpnia 12-go roku za poradą Arakczajewa wyjeżdża car do Moskwy. Jest złamany — nurtuje go trwoga o przyszłość Rosji. Ale niebawem pierzchają te czarne myśli pod wrażeniem przyjęcia, jakiego doznał w stolicy. Cała ludność wyległa na jego spotkanie. Duchowieństwo z krzyżami, z chorągwiami, szlachta, mieszczaństwo, biedota cisną się do jego nóg, wyciągają do niego ręce, jak do ojca i zbawcy, wyprzegają mu konie i ciągną do Kremla, wołając z uniesieniem: „umrzeć lub zwyciężyć“. Wszyscy chcą iść na wroga i ślubują nie odstąpić piędzi ojczystej ziemi. Widok tłumów wielotysięcznych, ich szczery zapał, ofiarność, ich gorące przywiązanie do tronu w chwili tak ciężkiej piorunująco działają na Aleksandra i stają się w jego oczach jakby objawieniem niebios. Zdaje mu się, że Bóg nachyla się do niego, że przez tłumy do niego trafia i odślania mu potęgę Rosji, aby mu z serca wyplenić zwątpienie. „Usłyszałem wtedy wołanie Pańskie“, pisał po wielu latach do Golicyna²⁾. — Opatrzność przemawia w ciemnościach i daje świadectwo, że jest z nim i z jego hufcami. Tymczasem wypadki szybko następują po sobie. We wrześniu pada stolica carstwa. Trójkolorowy sztandar powiewa na Kremlu, a w cerkwiach Francuzi urządzają stajnie. Ale niedługo cieszy się Napoleon swoim zwycięstwem. Błędnie jego gwiazda. Już w połowie października wśród zgłiszcz i pustkowia spieszenie opuszczają Francuzi Moskwę i w niespełna dwa miesiące po jej zdobyciu tylko niedobitki wielkiej armji, przed którą drżała Rosja,

¹⁾ List Aleksandra I do swojej siostry W. Ks. Katarzyny z dnia 18 września 1812 r. Ob. W. Ks. Mikołaj Michajłowicz. Correspondance de l'Empereur Alexandre I, avec sa soeur la grande duchesse Catherine.

²⁾ List Aleksandra do Ks. Golicyna, pisany z Laybach 1821 r. 15 lutego.

wydstają się z jej granic. Ten bajeczny i błyskawiczny sukces oszałamia i podnieca Aleksandra. Nie pamięta o mrozach i głodzie, które zdziesiątkowały zastępy nieprzyjaciół; nie bierze pod uwagę przewagi własnych wojsk nad wrogiem w chwili jego odwrotu, a widzi jedynie w klęsce Napoleona rękę Boga Wszechmocnego, udział bezpośredni Opatrzności w walce — cud prawdziwy miłosierdzia Bożego nad nim i nad Rosją¹⁾. „Pożar Moskwy oświecił moją duszę, powie znów o sobie, a sąd Boży na polach lodowych rozgrzał ją ciepłem wiary, którego dotychczas nie doznawałem. Wtedy poznałem Boga... i od tej chwili stałem się inny“²⁾. Wstrząśnięty tym „cudem“, w kornych modlitwach błaga Aleksander Pana Zastępów o dalszą pomoc i opiekę, aby szczęśliwie prowadzić walkę z wrogiem. Jednocześnie, chcąc Mu wyrazić swoją synowską wdzięczność, ogłasza pompatyczne ukazy „o cudownem ocaleniu Ojczyzny“, nawołuje poddanych do modłów — postanawia, aby dzień Bożego Narodzenia był odtąd dniem dziękczynienia Bogu za łaski i już myśli nawet o wzniesieniu świątyni na pamiątkę zwycięstwa. Teraz w jego pojęciu klęska Napoleona w Rosji jest dopiero pierwszym aktem wielkiego dziejowego dramatu. Bóg sprawiedliwy domaga się zagłady tyrana i ciemiężcy ludów. Wymownie w tym względzie zaznaczył swoją najwyższą wolę, gdy pod Moskwą zmusił dumnego najeźdźcę do odwrotu. A wobec tego — on, car, winien iść z Rosją naprzód, walczyć dalej i zmiażdżyć nieprzyjaciela w samym sercu Francji. Więc ze zdwojoną energją, pełen wiary w Boga, poświęca się sprawie, którą uważa za sprawę Bożą. — Wyślikom młodego cara widocznie błogosławi Opatrzność. 11-go grudnia tegoż roku triumfalnie wjeżdża do Wilna i w tydzień po swym wjeździe zawiera konwencję z pruskim generałem Jorkiem, którego wciąga do walki z Francją. 16-go lutego 1813 r. podpisuje w Kaliszu traktat przymierza z Fryderykiem Wilhelmem III przeciwko Napoleonowi. Na zje-

¹⁾ Ob. Comte de Gabriac. Rapport sur la situation des affaires de la religion en Russie. W. Ks. Michajłowicz o. c. tom II str. 314.

²⁾ Rozmowa z Eylertem o. c. W 1820 roku mówił Aleksander do księdza Ignacego Lindela, że w czasie inwazji francuskiej „Dieu a commencé à exister pour moi“.

ździe w Reichenbachu zyskuje Anglię dla koalicji; po kongresie w Pradze Austrię, Bawarię i inne mocarstwa. Słowem wszystkich skupia wokoło siebie, staje się główną sprężyną — osią wielkiej akcji, mającej zdławić w żelaznych kleszczach nowożytnego Cezara.

Po Lützen i Bautzen, gdzie było jeszcze ciężko sprzymierzonym, nastąpi niebawem Kulm, Katzbach, Grosbeeren i wreszcie wielka bitwa narodów i nowa klęska Napoleona, po której droga do Francji stanie związkowym otworem. „Najwyższa Istota, pisał car do Golicyna po bitwie lipskiej (z Schweinfurtu 31 października) „dowodła, że wobec niej nie masz nic silnego i wielkiego, z wyjątkiem tego, co sama zechce podnieść“. Wymowniej jeszcze wyrażał Aleksander swoją ufność we Wszechmoc Bożą w innym liście do tegoż Golicyna, gdy mu opisywał śmierć generała Moreau, jednego z filarów armji sprzymierzonej, który padł pod Dreznem¹⁾. „Pisałem do Petersburga, są słowa cesarza, iż jest nieszczęście dla nas przypuszczać, że skoro Moreau był z nami, sprawa tem samem była rozstrzygnięta. Nie Moreau, lub kto inny, lecz tylko Bóg jest w stanie sprawę szczęśliwie zakończyć“, a wobec tego „coraz silniej wierzył w moc Boga Stwórcy i ufał jej bardziej, niżli wszystkim generałom Moreau na ziemi“. Koalicja, jej armja i wodzowie stają się w oczach cara narzędziem jedynie Opatrzności, która wyłącznie wypadkami kierowała i prędzej czy później swój cel osiągnąć musiała²⁾. Nietylko niezachwiana wiara w Opatrzność Bożą i głęboka wdzięczność za jej dobrodziejstwa przebijają w korespondencji, jaką młody car prowadził w tym czasie ze swymi powiernikami, ale, co ciekawsza, już wyraźnie zarysowuje się w niej nastrój mistyczny, któremu zaczynał ulegać.

¹⁾ List z Toeplitz, wrzesień 1813 r.

²⁾ List Aleksandra I do hr. Sałtykowa z Toeplitz 18 sierpnia. Wojenno uczenyj archiw, otdiel I nr 459. U Szyldera o. c. t. III. „Vous voyez, rzekł Aleksander do swego adjutanta generała Pozzo di Borgo, gdy się dowiedział o zdradzie marszałka Marmonta, c'est la Providence qui le veut,... Elle se manifeste, Elle se declare... plus de doute, plus d'hésitations“...

Wśród grzmotu dział i zgiełku bitew, wśród rozgrywających się światowych wypadków jest Aleksander przejęty w szczególny sposób myślami o Bogu, o nieskończonej Jego miłości dla ludzi; pragnie duchem z Nim obcować, troszczy się o godne spełnianie swoich obowiązków religijnych i w ich spełnianiu, w modlitwie, w czytaniu Biblii znajduje „niewysłowione szczęście“. „Wiara moja, donosił Koszelewowi z Płocka 25 stycznia 1813 r., jest gorąca i szczerą. Z każdym dniem krzepnie i dostarcza mi rozkoszy, o jakich uprzednio nie miałem najmniejszego pojęcia. Módl się za mnie do Istoty najwyższej, — do Zbawiciela, do Ducha Świętego, pochodzącego od Nich, aby mnie wiedli i umacniali na drodze, która jest jedyną drogą do zbawienia; aby mi dawali potrzebne siły do wypełnienia zadania i pozwolili mi uczynić Ojczyznę moją szczęśliwą, lecz nie w zwykłym znaczeniu tego słowa: w przyspieszeniu prawdziwego Królestwa Jezusa Chrystusa zasadzam całą moją chwałę“.... W Kaliszu przystępuje do Św. Komunii „w skrusze i skupieniu“. W Dreźnie „nad brzegami Elby“ 12 kwietnia 1813 r. o północy w Wielką Sobotę wita radośnie dzień Wielkiejnocy — hymnem paschalnym „Christos woskrese“ i składa hołdy Zmartwychwstałemu Panu. Nie jest w stanie wyrazić Golicynowi, jak był rozrzuwiony, gdy przypominał sobie wówczas, co przez parę miesięcy uczyniła dla niego Opatrzność i dokąd go zawiodła! A gdy dziwnym zbiegiem okoliczności przekroczy Ren w dzień, w którym przed rokiem przekraczał swoje granice, pędząc nieprzyjaciela przed sobą, i zbliży się do Paryża; kiedy w Chaumont zacznie radzić nad losami Francji i Europy i uzyska posłuch wśród wytrawnych dyplomatów, jeszcze większe ogarnie go wzruszenie i żywiołowy pęd do Boga. „Miałem wtedy, mówił do Golicyna, jakieś nieokreślone pragnienie oddania wszystkiego na wolę Bożą. W czasie sesji wyszedłem na chwilę z sali obrad i udałem się do mego pokoju. Tam same z siebie ugięły się kolana pode mną i wobec Pana Najwyższego wylałem całą moją duszę“. 19 marca 1814 r. wchodzi wreszcie do stolicy Francji i wchodzi na czele potężnej koalicji, — w glorii zwycięstw, jako oswobodziciel

ujarzmionych narodów i „Agamemnon nowej Iljady”. Oczy wszystkich są zwrócone na tego młodego blondyna o słodkim uśmiechu i skromnej postawie, który pokonał „niezwykłego”. Gdzie się ukaże, otaczają go tłumy, rzucają mu kwiaty pod nogi; zbiera burze oklasków, zachwyca, pociąga zarówno paryżanki, wpatrzone w jego szafirowe jedwabiste oczy i klasyczne rysy, jak i starych jakobinów, którzy nie szczędzą mu pochwał... Słowem, staje u szczytu chwały, staje się najpopularniejszym monarchą w Europie.

Ale blask, gloria, owacje paryżan, entuzjazm, jaki obudza, nie mają dla niego uroku. „Duch mój, powie Golicynowi, gdy powróci z Francji, topniał wówczas w nieskończonym oddaniu się Panu za cud miłosierdzia, który uczynił; szukał duch mój samotności, wejścia w siebie, garnał się do Boga, aby Mu wypowiedzieć wszystko, co przeżywał.... Pragnąłem koniecznie spowiadać się i przystąpić do Stołu Pańskiego¹⁾. W Paryżu niestety nie było narażenie prawosławnej cerkwi. Ale rzecz ułożyła się szczęśliwie. Poseł rosyjski, wyjeżdżając z Francji, pozostawił sprzęty cerkiewne w poselstwie amerykańskim. Gdy więc rząd francuski dowiedział się o gorącym pragnieniu cesarza Wszechrosji, polecił niezwłocznie nająć odpowiedni lokal w sąsiedztwie pałacu Saint Florentin, gdzie mieszkał Aleksander, przenieść tam owe sprzęty i urządzić kaplicę, dokąd mógł Aleksander swobodnie przechodzić ze swego apartamentu. Nie było jednak rzeczą łatwą dla Aleksandra w ciszy i skupieniu gotować się do sakramentu pokuty, bo chwile były ciężkie i krytyczne. Napoleon stał niedaleko od Paryża; miał mężne i zrozpaczone pułki, mógł je rzucić na sprzymierzone wojska i zalać krwią stolicę Francji. Musiał Car o tem pamiętać, musiał mieć wojsko gotowe do walki, może najstraszniejszej, i jednocześnie czuwać nad samem miastem, aby gorący motłoch paryski nie wszczął ulicznych ruchów na wieść o najdrobniejszym sukcesie Bonapartego. „Ale Opatrzność, ciągnął Aleksander, gdy kogo umiłuje, nie zna granic w swej szczodroblewości dla niego”.

¹⁾ Ob. Razkazy Kniazia Aleksandra Nikołajewicza Golicyna, zapisanyje Jurjem Nikiticzem Bartieniewym. Russkij Archiw. 1886. Kniga II. str. 97-100.

Gdy bowiem rozpoczynał swoje dewocje wielkanocne i nie wiedział, czy będzie mu dane wypełnić spokojnie ten święty obowiązek, dowiaduje się od adjutanta, że Napoleon niespodziewanie abdykował w Fontainebleau na rzecz króla rzymskiego. Odetchnął wtedy swobodnie, bo mógł nareszcie w ciszy, bez roz targnień przyjąć godnie — Ciało i Krew Pańską.

Skruszony na duchu, pod wrażeniem przyjętych Sakramentów, urzęduje Car w sam dzień Wielkiejnocy nabożeństwo polowe na placu, gdzie przed laty zginął „słodki i dobry“ Ludwik XVI. Wzniesiono ołtarz, wystąpiło rosyjskie wojsko w paradnym rynsztunku i uszykowało się w szeregi; zebrało się prawosławne duchowieństwo, ukląkł Car i jego sztab lśniący od złota, — i w tem, wśród morza niezliczonych głów ludzkich popłynęła poważna i rzewna pieśń liturgiczna. „Wszyscy zamilkli i słuchali. Była chwila uroczysta, wzruszająca i niezapomniana dla mnie, mówił Car do Golicyna. Myślałem sobie wówczas: Z niezbadanych wyroków Bożych stało się, że przywiódł moje hufce z chłódnej ojczyzny północy, aby na ziemi tych, którzy niedawno przedtem ciągnęli na Rosję, w ich własnej stolicy, na miejscu, gdzie od wściekłości ludu padła królewska ofiara, zanieść do Pana wspólne ekspiacyjne modły, a tem samem oczyścić niejako to miejsce krwią monarchy zbryzgane“... I modlił się Car z pochyloną głową i „wznosił się duchem do Boga miłosierdzia i miłości“.

Jeżeli pobyt Cara w Paryżu 1814 r. był wypadkiem nader doniosłym w jego życiu politycznem, to niemniej doniosłym wypadkiem był również ten pobyt i dla jego życia wewnętrznego, dla jego psychiki, — pod pewnym względem „chwilami zwrotnemi“ w dziejach jego duszy, jak słusznie spostrzega jeden z ostatnich jego biografów.¹⁾ Uczucia głębokiej wiary, wdzięczności, ufności i oddania się Bogu, które się legły w jego piersiach, odkąd w pamiętne dni sierpniowe 1812 r. zwrócił się do Boga, i które stopniowo wzbiebrały w nim w czasie ofensywy sprzymierzonych i przy wej-

¹⁾ Ob. W. Ks. Mikołaj Michajłowicz. *Piierepiska Impieratora Aleksandra I. z siestroju Wielikoju Kniaginieju Jekatierynoju Pawłownoju. Pietierburg 1910. XII. XIII.*

ściu do Paryża, zaczynają się teraz krystalizować i odślaniają mu nowe cele i nowe drogi w życiu.

To, co uprzednio pochłaniało jego energję, przestaje go zajmować; odczuwa apatię, zniechęcenie, choć tyle doniosłych spraw szczęśliwie zakończył. O ile może, stara się unikać zgiełku świata, wchodzi w siebie, bada siebie, „szuka światła w modlitwie i czytaniu Biblii“, aby lepiej poznać obowiązki swoje względem Boga. „Przygniata go miłosierdzie Boże“, napisze w maju tegoż roku do Golicyna.¹⁾ Jest jakby „przywalony ogromem łask Bożych, jakie na niego spłynęły“ i jednocześnie ogromem swojej nicości (nicztożęstwa swojowo), która mu żywo staje przed oczami. Przeżuwa terażniejszość i przeszłość swoją, tak pełną plam i braków, a zwłaszcza te ciemne i krwawe stronnice przeszłości: „ces péchés et forfaits de sa jeunesse“, które jak widmo Banka spędzają mu sen z powiek. I wówczas wśród łez i szarpaniny sumienia rodzi się w nim gorąca potrzeba ekspijacji i zadośćuczynienia Bogu.

Jak spełni i czy spełni ten imperatyw serca, nie wie, nie zastanawia się nad tem, ale rozumie, że musi go spełnić koniecznie, bo inaczej nie zazna nigdy trwałej i prawdziwej radości w Panu, której gwałtownie pożąda. — Ó te myśli nurtujące głębiej jego ducha, oprze się odtąd nastrój mistyczny w Aleksandrze i szybko będzie się w nim rozwijał. Przyoblecze się w różne kształty, uwydatni się wkrótce w całym szeregu głośnych faktów, aby go wreszcie po wielu niekonsekwencjach, błędach i rozczarowaniach doprowadzić do melancholji i marazmu duchowego, w którym całkowicie ugrzęźnie.

* *

Wiele różnorodnych czynników wpływało na ewolucję mistycyzmu w Aleksandrze. Przedewszystkiem jego własny charakter, nieuchwytny, skomplikowany, będący dziwną mieszaniną najsprzeczniejszych właściwości: „dusza męska i za-

¹⁾ List Aleksandra I do Golicyna z dnia 10 maja 1814 r. Ze zbiorów W. K. Mikołaja Michajłowicza.

razem kobieca“, powie o nim Metternich;¹⁾ serce wrażliwe, przeczulone, łatwo zapalające się, skłonne do pięknych porywów, ale powierzchowne; wola słaba, połowiczna, a umysł mętny, niespokojny, ciągle czegoś szukający, któremu „zawsze czegoś będzie brakowało“. ²⁾ Wpływała dalej na psychikę Cesarza specyficzna atmosfera duchowa, w jakiej się znalazł nazajutrz po swoich triumfach. Nie zapominajmy bowiem, że na zachodzie Europy dokonywał się wtedy ciekawy ruch w życiu moralnem i religijnem społeczeństw. Po długich latach wszechwładnie panującego rozpasania obyczajów i wolterjanizmu następowała reakcja. Budził się z odrętwienia duch wiary u ludzi i zwracał ich do Boga. Gorące dusze, nękane spustoszeniem moralnem, na jakie dotychczas musiały się patrzeć i wstrząśnięte krwawymi wypadkami doby napoleońskiej, chciwie szukały pomocy duchowej, światła; łaknęły wyższych pociech, a, mogąc je tylko u Boga odnaleźć, gorączkowo rwały się do Niego i „Jego Królestwa“. Z tych zaś pragnień i potrzeb, które tak gwałtownie dawały się odczuwać, — jak ze źródła płynęły obfitym strumieniem nastroje mistyczne i coraz szerzej rozlewały się po świecie. Ujawniały się one w rzeszach w sposób rozmaity: w rosnącym zapale do rzeczy Bożych, w nieustannych misjach i nabożeństwach, w trosce o zbawienie duszy, a więc w pokutach, w ćwiczeniach duchownych, w filantropji, w słodkich wreszcie kazaniach i konferencjach o miłości Boga Zbawiciela, o obcowaniu z Nim, o łaskach Ducha Świętego, o chrześcijańskim odrodzeniu ludów, lub o utrwaleniu rządów Chrystusowych na ziemi, do których powszechnie wzdychano ³⁾).

Ruch mistyczny rzerzył się nie tylko wśród katolików. Ogarniał również środowiska i ludzi, stojących poza Kościołem. W Niemczech protestanckich, na tej klasycznej ziemi religijnego marzycielstwa, jak grzyby po deszczu wyrastały wówczas nowe egzotyczne sekty pietystów i illumi-

¹⁾ Mémoires, documents et écrits divers laissés par le prince de Metternich, Chancelier de Cour et d'Etat. Paris. 1881. t. I. — str. 316.

²⁾ Ibidem. str. 315 — Napoleon o Aleksandrze.

³⁾ Ob. Histoire populaire contemporaine de la France. Paris. Lahure. 1864, t. I. La Restauration.

natów z prorokami, z prorocत्वami, z chorobliwym wygładaniem niebieskiego raju na padole płaczu i przyjscia Zbawiciela, — zapalone w swoim pasterstwie, niesforne i mające znaczne powodzenie. W jednych Niemczech środkowych wyliczał Metternich z przerażeniem całą litanję sekt mistycznych, powstałych w tym czasie. A ileż ich było w Czechach lub nad Elbą! Nad brzegami zaś Renu i Menu, w Badenie, w Wirtembergji, w północnej Bawarji operowali jednocześnie dawni sekciarze mistycy, a wśród nich szczególnie rozwijali akcję znani już Herrnhuci-Zinzendorfjanie, czyli odrodzeni Bracia Morawscy; słodcy asceci, filantropi, marzący o wskrzeszeniu w świecie czystego chrześcijaństwa. W Anglii roiło się: od „przyjaciół światła“, od Kwaków „suchych i mokrych“, od Szaków — dzieci Bożych, od Metodystów — dzieci łaski, od nowych Presbyterjan i Swedenborgjan, teozofów, zapatrzonych „w niebieską Jerozolimę“. Rej wśród nich wodzili Metodysci, blisko stojący masonerji, opiekunowie i kierownicy Towarzystwa Biblijnego, które im zdobywało rozległe wpływy i powagę.

W Lozannie i Genewie pracowali nowi Socynjanie. Ich pomysły o zlanu wszystkich wyznań w jedną wyższą religję miłości, o bratnim związku ludów rozejdą się daleko i wkrótce przez Londyn dotrą nawet nad Nową. — A we Francji, na pocziwym zwłaszcza paryskim bruku — po najściu sprzymierzonych wszystkiego było poddostatkiem: wszelkiej maści i kalibru mistycznych utopij, ekstaz, objawień, nabożeństw, a obok nich pokutników, pokutnic i apostołów „czystej religji Chrystusowej“, w rodzaju słynnej Juljanny Krüdenerowej, a co najważniejsza, wiele bogatej literatury mistycznej, która wówczas wchodziła w modę i skwapliwie rozchwytywaną była. Nie dziw, że wśród takich warunków wrażliwa, niespokojna dusza Aleksandra niejedną pożądaną dla siebie strawą posilić się mogła. W sypialni przy jego łóżku znajdzie się tam czuły Henryk Suzo, Jan Gerson, tłumaczenie św. Bernarda Claravalleńskiego, których jeszcze nie miał w ręku. Powróci znów do zapleśniałego Böhme'a, do jego tajemniczej „Aurory“, gdzie mistrz niemiecki tyle ciekawych rzeczy prawi o prawdziwej pokucie, o pokoju i nadziemskim życiu. Będzie wertował uważniej,

niż to uczynił przed laty, „Wyznania“ Augustyna, elukubracje St. Martina, Eckartshausena, mdły zwłaszcza jego modlitewnik: „Dieu est l'amour le plus pur. Ma prière et mes contemplations“ (Breslau 1806). Ale w szczególności zasmakuje w „nieporównanym“ Fenelonie, w jego „Maximes des Saints“ oraz w dziejach starej pietystki pani Joanny Bouvier de la Mothe Guyon. Odtąd już się nie rozstanie z jej cennymi foljami, będzie przetrawiał jej mistyczną naukę i nawoływał swych przyjaciół¹⁾, aby i oni również z tego źródła czerpali potrzebne światło. Jej „Bible traduite en français avec des explications et des reflexions qui regardent la vie intérieure“ (Kolonia 1715) ułatwi mu zrozumienie „głosu Bożego“ w Piśmie Świętem i korzystanie z niego dla wewnętrznego urobienia, a jej głośnie książeczka „Moyen court de faire oraison“ zażreje go do częstej modlitwy, do „spowiadania się samemu Bogu z grzechów“ i do kontemplacji.

W drugiej połowie maja 1814 r. widzimy Cara w Londynie, gdzie bawi wraz ze swoją siostrą W. Ks. Katarzyną parę tygodni w gościnie u Księcia Regenta. Poznaje wtedy bliżej metodystów angielskich, zaprzyjaźnia się z kwakrami Allenem i Stefanem de Grelle de Mobiller, zaprasza ich do siebie nad Newę i na pożegnaniu oświadcza im między innymi, że duchem łączy się z nimi w oddawaniu czci Chrystusowi Panu i podziela w zupełności ich przekonania, że Królestwem sprawiedliwości w świecie, jest jedynie Królestwo Chrystusowe. Wielkie zaciekawienie budziło w Cesarzu londyńskie Towarzystwo Biblijne, o którym tyle słyszał. Parokrotnie je nawiedzał i szczegółowo wypytywał się kierowników Towarzystwa o jego prace, ustrój i cele. Wyłumaczyli mu wówczas w gorących słowach, że chodziło im nie tylko o rozpowszechnianie Pisma Świętego wśród ciemnych i niewiernych, lecz o coś więcej jeszcze: pragnęli bardzo, aby na ziemiach chrześcijańskich drogą propagandy biblijnej mogło z czasem zapanować jedno wyznanie, czyste, doskonałe, mające dźwignąć ludzkość z upadku i odrodzić ją w Chrystusie. Błagali przeto Cara o udział w tej spra-

¹⁾ List Aleksandra I do Golicyna. Laybach 10 marca 1821.

wie Bożej i skuteczne poparcie ruchu biblijnego, jaki już powstał pod jego potężnem berłem. Ich wynurzenia i prośby, jak zobaczymy, na marne nie poszły. W powrotnej drodze z Londynu do Petersburga w Bruchsalu badeńskim u rodziców swojej żony zetknął się Aleksander z herrnhutami i z Jung Stillingiem, głośnym lekarzem, literatem i mistykiem niemieckim. Przedstawiła go Cesarzowi jego dobra przyjaciółka, panna Roksana Sturdza (późniejsza hr. Edling), frejlina rosyjskiego dworu, wielka wielbicielka pietystów i sama cikliwa pietystka.

C. d. n.

BISKUP MICHAŁ GODLEWSKI.

Anarchja umysłów i serc.

Od kilku tygodni żyjemy pod hukiem bomb. Przeglądając przy rannej kawie swój ulubiony dziennik, ciekawie rzucamy okiem na tytuły nowin: czy nie pękła gdzie jaka nowa bomba? Huki bomb następują po sobie z szybkością przyspieszoną. Między pierwszą — pod drzwiami rektora wszechnicy Jagiellońskiej, a drugą — na schodach lokalu „Bundu“ w Krakowie upływa jakieś dwa tygodnie; przedział czasu między drugą a trzecią — w redakcji sjonistycznego dziennika — już się zmniejsza; wreszcie po kilku dniach naraz trzy bomby w czterech redakcjach warszawskich, naza jutrz po nich bomba w uniwersytecie stołecznym; wtóruje jej jakaś bomba w Łodzi, potem znowu jakaś nieudana czy fikcyjna bomba w żydowskiej „Strzesze“. Gdyby tak dalej poszło, mielibyśmy niebawem po kilkanaście bomb na każde śniadanie. Wtedy zapewne przestalibyśmy interesować się nimi i przy porannej kawie szukalibyśmy w ulubionym dzienniku bardziej sensacyjnych nowin.

Zdawało się, że władze sądowe już są na tropie bombiarskiego spisku i że przefną, przynajmniej na razie, serje występowych popisów. Niestety, radość okazała się przedwczesną, i obywatel polski, w oczekiwaniu na nowe huki, może snuć przy rannej kawie różne refleksje. Pierwszej refleksji towarzyszy uczucie pewnej dumy: dotrzymujemy kroku Europie! Wszak pękają bomby fuzinami od kilku już lat w Irlandji — „miłość ojczyzny“ wysadziła tam w powietrze szereg najpożyteczniejszych gmachów i poszarpała na

sztuki dziesiątki ludzi, uważających się również za nienajgorszych synów swego kraju; we Włoszech bomby komunistów długo straszyły „burżujów” i naniszczyły niemało kapitalistycznego mienia, zanim bomby faszystowskie nie poburzyły czerwonych lokalów i nie ponapędzały wczorajszych bombiarzy do mysich dziur; w zagłębiu Ruhry prochy, zamiast rozsadzać pod ziemią pokłady węgla, pękają na powierzchni ziemi, zasypując czerepami i piaskiem oczy tym, co chcieliby pracować na wynagrodzenie wojennych szkód Francji. Wszędzie, gdzie ścierają się ludzie, tam pękają i bomby. Dlaczegooby miało być inaczej u nas, dlaczegoż miałyby Europa kulturalna natrzasać się z nas, żeśmy mocni w kłótni, ale słabi w czynie, żeśmy nie domyślili się, jaki praktyczny użytek można mieć z wynalezionej już dawno prochu?

Ale przychodzi — przynajmniej niektórym — inna refleksja. Robimy spostrzeżenie, że jednak między bombiarstwem europejskiem a naszym są pewne różnice. Tam wiadomo przynajmniej, kto z kim walczy bombami: jest to walka najpierw Irlandczyków z Anglikami, potem walka skrajnych republikanów z rządem „wolnego” państwa Erynu pod berłem Jerzego V; gdzieindziej walka nacjonalizmu z czerwoną międzynarodówką, czy też dotkniętych w swej dumie autochtonów z władzami egzekucyjnej okupacji. Tu i tam jest to wojna podjazdowa, podstępna, ale jeszcze ma coś z rycerskości wojny regularnej; łatwo się też zorientować tam, czyja ręka podłożyła tę, a czyja tamtą bombę i rzucający ją wystawia się na niebezpieczeństwo łatwiejszego ujęcia przez ścigających zbrodnię stróżów publicznego spokoju.

U nas bombiarstwo uderza swą „irracjonalnością”. Łam, obywatelu, głowę, jak chcesz, nie dojrzysz w niem żadnej konsekwencji, ni myśli. Walka partyjna? Ale jak sobie wytłumaczyć wysadzenie jednym i tym samym nabojem redakcyj dwóch dzienników, zwalczających się wzajemnie? Zemsta za głosowanie przeciwko „numerus clausus”? Może na rektora w Krakowie (który pono wogóle nie głosował w tej sprawie), ale za co rzuca się bomby na gmachy uniwersyteckie, w których przecież znajdują się razem zwolennicy i przeciwnicy „numerus clausus”? Więc amator metafizycz-

nych dociekań snuł najbardziej fantastyczne domysły na temat „przyczyny” tych zjawisk. Zemsta, terroryzm, prowokacja, sport, sztuka dla sztuki, szaleństwo... co kto chce. Darmo kusić się o zastosowanie tu jakiejś zasady racjonalnej, w rodzaju: *fecit, cui prodest*, albo popularniejszego *cherchez le juif*. Gdybyśmy chcieli wnioskować w myśl łacińskiego powiedzenia, to wywnioskowalibyśmy, że bombiarstwo nasze jest dziełem jakiegoś piekielnego komplotu szklarzy, boć chyba tylko im przynosi namacalne korzyści. I jak tu dziwować się policji, że tak trudno jej wpaść na trop winowajców? Wszak i policja zwykła kierować się jakimś wnioskowaniem rozsądnym, a tu właśnie — o ile się wzięło cały szereg zamachów — brakowało najcieńszej nawet nitki jakiejś rozumności. Rzucała się więc w swych poszukiwaniach raz na prawo, drugi raz na lewo — stosownie do ślepych domysłów jakiegoś dziennika, czy kawiarnianej publiczności, a rezultat z tego był tylko ten, że narażała się zawsze któremuś obozowi, który oburzał się, jako na zniewagę, na skierowanie podejrzeń w jego stronę. Koniec końców, bombiarstwo nasze ostatniej doby nosi na sobie cechę zupełnie swoistą, iście polską. Jeżeli bombiarstwo wogóle z natury swej jest anarchją, to bombiarstwo nasze ma znamię anarchji w samej anarchji. Mamy więc tu do czynienia z anarchją podniesioną do kwadratu. Słowem, jest coś, w czem wyprzedziliśmy Europę, w czem „górujemy” nad nią.

Snując dalej wątek refleksyj, dochodzimy do pytania: czy ta iście kwadratowa swoistość naszego bombiarstwa nie stoi może w jakim związku z anarchją głębszą, nurtującą w samym wnętrzu naszego społeczeństwa, w jego zbiorowej psychice? Zadawaliśmy sobie podobne pytanie, wołając, po strzale Niewiadomskiego, o „odkazanie naszej atmosfery politycznej”¹⁾. I w tem swoim przekonaniu — o łączności przyczynowej między anarchją rewolwerów i bomb a anarchją umysłów i serc — utwierdzamy się obecnie, zdając sobie zresztą sprawę z tego, że niejeden uzna to za zużyty myślowy szablon.

Niech będzie, jak chce; wypowiadamy nasze *caete*

¹⁾ Por. „Przegląd Powszechny”, styczeń 1923.

rum censeo. Chociażby tylko w małej części istniał taki związek przyczynowy między bombami a nieporządkiem myślenia, to warto o nim mówić, warto wołać o poprawę.

W przypuszczeniach o możliwych sprawcach bombiar-skich zamachów istniała, jak widzieliśmy, wielka różnorodność. Nie brak było i tego przypuszczenia, że bomby są dziełem jakiejś małej grupy łobuzów, albo nawet jednego warjata, a pogrożki tajemnej organizacji „Orła” — mistyfikacją i myleniem pościgu. Dalsze śledztwo zdawało się, że prowadzi na ślad zagranicznego kierownictwa. Może nie doprowadzi do Kowna, może do Berlina, może do Moskwy. Nie wiemy ostatecznie, czy i które się z tych przypuszczeń sprawdzą. Weźmy pierwszą hipotezę. Jeżeli bomby rzucali jacyś uciekinierzy z Tworek lub Kobierzyna, lub kandydaci do tych kolonij, to nie zapominajmy, że i tacy miewają swoje lucida intervalla, w których umieją wmyśleć się w psychikę otoczenia i wyeksploatować ją w swoich warjackich występach. Zresztą każda epoka wytwarza swoich warjatów: epokom religijnej egzaltacji zarzucają, że wydawały nadmiar różnych „proroków” i pseudomystyków; jeżeli dziś rodzą się w większej liczbie warjaci „polityczni”, to znak, że w gruncie, z którego wyrastają, krążą w nadmiarze jakieś niezdrowe zasady polityczne, przeczuć i namiętności niepoohamowane.

Jeżeli potwierdzi się możliwość druga — roboty anarchistycznej, inspirowanej i kierowanej z zewnątrz, to trzeba będzie również uznać, że wybrano dla niej moment bardzo dobry, kiedy łatwo jest o zwrócenie podejrzeń w inną stronę dzięki manji złośliwego podejrzenia o wszystko możliwe politycznych przeciwników, a pobłażliwego sądenia winowajców, jeżeli się przykryją partyjnym czy patriotycznym frazesem.

W jednym i drugim wypadku ostra anarchja jednostek wystrzela z anarchji słabszej społeczeństwa, zbrodnie rąk lęgną się w głębiach myślenia i czucia.

Po wypadkach grudniowych mogliśmy obserwować dezorientację w sądach, jaka — według wyrażenia biskupiego orędzia — groziła „wprowadzeniem zamiętu do pojęć o moralności chrześcijańskiej”. Otóż coś z tej dezorientacji nurtuje jeszcze w zbiorowej psychice różnych obozów na-

szego społeczeństwa i to właśnie stanowi wdzięczne podłoże społeczne dla anarchicznych wystąpień zwarjowanych czy zbrodniczych indywiduów. Po tem, cośmy powiedzieli już, chyba jasnem jest, że nie chcemy rzucać podejrzeń fabrykowania ostatnich bomb na żaden z naszych politycznych obozów. Wogóle w stanowisku różnych odłamów społeczeństwa i prasy wobec ostatnich zamachów raziło to, że zbyt hojnie rzucano takimi podejrzeniami, niby piłką, to z prawej w lewą, to z lewej w prawą stronę; miało się wrażenie, że ludziom więcej chodzi o uczynienie z bomb okazji dokuczenia przeciwnikom politycznym, niż o wykrycie istotnych winowajców. Chcemy tylko powiedzieć, że dezorientacja umysłowo-moralna w kwalifikowaniu anarchicznych występów stwarza dla nich warunki sprzyjające, bez względu na to, czy dopuszczają się ich agenci Lenina, czy Galwanaskasa, czy jacyś domorośli Ku-Klux-Klaniści, czy wreszcie poprostu kandydaci do Tworek. Do jakiegokolwiek bowiem z tych kategorii należą nasi bombiści, w każdym razie mogą mieć na tyle przytomności, by umieć zeskontować tę pobłażliwość, z jaką spotykają się podstępne zamachy i bomby, jeśli się osłonią frazesem „zbawienia” narodu. Jednym może nawet uśmiechać się wieniec bohaterów, jaki gotowa włożyć im na skronie jakaś część społeczeństwa, innym — myślimy tu o obcych wysłańcach — przynajmniej łatwiej liczyć na ujście przed sprawiedliwością, gdy zdołają odwrócić od siebie uwagę przez mistyfikowanie ultra-patrjotycznej akcji.

Na czem polega ta dezorientacja umysłowo-moralna, która według nas ułatwia popisy anarchistom czynu? Oto na tem, że kiedy chodzi o czyny politycznej natury, zatracą się w społeczeństwie absolutne kryterjum do sądzenia o ich wartości moralnej, a patrzy się na te czyny ze stanowiska partyjnych zapatrywań na dobro ogólne, albo nawet ze stanowiska interesu partji. Być może, że to odpowiada duchowi czasu, w którym modną jest teoria „powszechnej względności”. Spotykamy tu rodzaj moralnego agnostycyzmu, który z takimże samym uśmiechem pyta, „co jest dobro?”, jak Piłat pytał: „co jest prawda?”. Ale właśnie to trzęsawisko agnostyczne trzeba nie za niewinną modę, ale za wielkie nieszczęście naszych czasów uważać.

Za normę pewną oceny politycznych działań musi być przez wszystkich uznana praworządność. I jeżeli gdzie, to w ustrojach demokratycznych zasada ta jest widoczna. Prawda, że w takich ustrojach pewna część odpowiedzialności za dobro narodu spoczywa na każdej pełnoprawnej jednostce i dlatego też każdy obywatel jest obowiązany do tego dobra się przyczyniać. Winien to wszakże czynić jedynie na drodze legalnej, w ramach konstytucji, zapewniającej wszystkim wolność słowa, zebrań, jawnych związków. Na tej drodze wolno mu też starać się o rozszerzanie swoich przekonań politycznych i werbowanie dla nich zwolenników, byleby te przekonania nie godziły w zasadnicze podstawy ustroju społecznego i państwowego. Albowiem, jak Kościół, tak i państwo musi posiadać jakieś swoje nienaruszalne dogmaty. Dlatego społeczeństwo i państwo, mając prawo ścigania tych, co godzą w jego podstawy, musi również potępiać i te czyny, które chociażby nie dążyły do zasadniczego przewrotu, posługują się wszakże konspiracją, terrorem, skrytobójstwem w celu wymuszenia na rządzie czy sejmie tych reform, do jakich osiągnięcia stoi otworem konstytucyjna droga. Dla takich anarchicznych czynów nie wolno szukać okoliczności łagodzących ani w pobudkach, jakimi się winowajca mógł powodować, ani w sukcesie, jaki nielegalnym czynem osiągnął. Nawet zbawienie narodu, nie już tylko interes jakiejś partji, ale zbawienie narodu nie zrównoważy moralnego zła, jeżeli to zbawienie przez zło moralne zostało osiągnięte, i zbrodnia nigdy nie staje się cnotą *ex post* i na usprawiedliwienie nie zasługuje, choć może spowodowała jakieś dobro. Z dobra wolno się wprowadzić wtedy cieszyć (nawet w teologii znana jest *felix culpa*), ubolewać jednak nad tem trzeba, że dobro osiągniętem zostało taką drogą, i środki złe należy zawsze potępiać. Gdyby takie zapatrywania wsiąkły w krew i kości całego społeczeństwa i stały się dogmatem politycznego myślenia, jakżeby to utrudniało lęgnięcie się w niem anarchicznych żywiołów, a jak ułatwiałoby represję dokonanych czynów!

Niestety, takie zasadnicze stanowisko względem politycznych zbrodni rzadko kiedy zajmują współcześni ludzie. Wprawdzie do zasady „cel uświęca środki” nikt otwarcie

się nie przyzna; nie można wszakże zaprzeczyć, że ta właśnie zasada tkwi u bardzo wielu gdzieś w głębiach podświadomości i bezwiednie stosowana jest przy ocenie nawet najbardziej zbrodniczych czynów, jeśli tylko podszyją się pod kategorię polityki. Bogu dzięki, że ostatnie występy bombiarskie spotkały się z potępieniem wszystkich odłamów prasy polskiej (komunistyczną prasę zawsze bierzemy poza nawias). Stało się to może dzięki tej irracjonalności w szafowaniu dynamitem, jaką wyżej zaznaczyliśmy. Pragnąć tego należy, aby w dalszem piętnowaniu bezwzględnych złoczyńców, gdy wreszcie zostaną wykryci, była taka jednomyślność, jaka ujawnia się w oburzeniu, gdy jeszcze są nieznani. Będzie to bowiem początkiem tego uzdrowienia moralnego zmysłu, które uważam za konieczne, by utrudnić powstawanie w narodzie naszym „bohaterów” rewolwerów i bomb.

Takie zgodne potępienie już zgóry występnych jednostek czy organizacji, bez względu na ich takie czy inne partyjne pochodzenie, przynależność, czy hasła, należy szczepić zapomocą prasy w całym naszym społeczeństwie. Że zwłaszcza niższe jego warstwy, roznamietnione partyjnie, zdezorjentowane moralnie, potrzebują silnego oparcia w prasie, to chyba jasne. I prasa, jeśli rozumie swoje powołanie w społeczeństwie, poczuć powinna w przeżywanej obecnie chwili podwójną odpowiedzialność. Zamiast podsycać namietności, rozszerzać podejrzenia, uniewinniać czy to próby proletariackiej rewolucji, czy faszystowskie metody, zamiast bawić półinteligentną gawiedź plotkarską sensacją i akrobatycznymi kalamburami, słowem, zamiast iść za niewybrednymi upodobaniami czytającego ogółu, niech pracuje nad jego uszlachetnieniem, nad uzdrowieniem umysłów i serc z anarchji, wszczepiając w nie kult praworządności w całym życiu publicznym. Przy porannej kawie niech znajdzie obywatel polski w swoim ulubionym dzienniku codziennie lekcję zdrowej etyki politycznej. Znajdzie ją, jeśli redakcje naszych dzienników, same wydostawszy się z trzęsawisk amoralizmu politycznego, staną na twardym gruncie zasad bezwzględnych.

Krzywdy Kościoła katolickiego ze strony rządu pruskiego w Wielkopolsce od czasu rozbiórów po r. 1848.

(Dokończenie).

12) Seminarja duchowne a rząd pruski.

„Obydwa seminarja duchowne w Gnieźnie i Poznaniu aż do r. 1834 zostawały pod sterem zakonu Misjonarzy. W rzeczonym zaś roku zostały przez zwierzchność duchowną w porozumieniu ze zwierzchnością świecką o tyle zreorganizowane, że w Poznaniu teoretyczne, a w Gnieźnie praktyczne seminarjum urządzono, do obu zakładów księży świeckich na nauczycieli powołano. Obydwa zakłady posiadają własny, częścią z darowizn dawniejszych biskupów, częścią z legatów innych dobroczyńców wynikły majątek. Samo tylko seminarjum poznańskie pobiera od kilku lat na zaspokojenie większych potrzeb obok tego dodatek z funduszków sekularyzacyjnych. A że wspomniane zakłady wedle postanowień i konciljum trydenckiego i ciągłych ustaw pod wyłącznym nadzorem i przewodnictwem biskupa diecezjalnego stoją i rzeczywiście też stać powinny, że dalej przy obydwóch zakładach od dawna każdoczesnemu arcybiskupowi a respektive biskupowi gnieźnieńskiemu i poznańskiemu służyło prawo powoływania i mianowania nauczycieli bez wszelkich ograniczeń, nie będzie zapewne nikt wątpił, iż upominanie się o toż prawo i dziś jest rzeczą słuszną i sprawiedliwą i że z obowiązku — każdy arcybiskup o takowe upomnieć się winien.

Od czasu zaboru pruskiego trzeba było przecież do każdej instalacji nauczyciela przy tych zakładach zasięgać jeszcze rządowego placet; a choć już i w tem leżało niekorzystne ograniczenie praw arcybiskupich, to przecież środek ten dla sposobu, jakim go się władzy krajowej przy sposobności wykonywać podobało, stał się całkiem nieznośny z tego powodu, że władza krajowa pod płaszczykiem swego placet starała się prawo nominacji sobie przywłaszczyć, a arcybiskupowi li tylko czczy jej pozór zostawić. — I tak, kiedy 1 października 1846 r. zawakowało miejsce regensa przy seminarjum poznańskim, przedstawił arcybiskup władzy krajowej dwóch duchownych jako tych, z których jednego zamierza zamianować na ową posadę, lecz otrzymał odpowiedź, że się ministerstwo z tym zamiarem co do przedstawionych osób nie zgadza, że raczej samo się postara o wyszukanie mężów innych odpowiednich. Gdy wskutek tego arcybiskup, odwołując się do praw swoich, w tym względzie podziękował za takie nieproszone wyłączenie i ze swej strony trzeciego duchownego na tę posadę przedstawił, odpowiedziano mu więcej jak po pół roku w krótkich słowach, że udzielenie rządowego placet dla przedstawionego trafia na zawady i że arcybiskup kogo innego przedstawić winien. Na próżno żądał arcybiskup, aby mu przynajmniej powody odmowy podano; nie uczyniono tego, a na dalsze oświadczenie jego, że w takich okolicznościach, aby na przyszłość zapobiec przerwie w kształceniu się alumnów duchownych przez tak długie оголоcenie posady rzeczzonej, będzie zmuszony przedstawionego duchownego natychmiast tymczasowo na regensa powołać, odrzeczono zagrożeniem, że władzy krajowej nie będzie schodziło na środkach utrzymania swych praw nadzorczych w powadze i obalenia postanowień arcybiskupich z niemi niezgodnych. Po kilkakrotnych reklamacjach i zażaleniach udzieliła wprawdzie nakoniec przy schyłku roku zeszłego władza krajowa swe placet jednemu z duchownych zaraz w początku przedstawionych; lecz ponieważ tenże w tym czasie inne odebrał przeznaczenie i następnie robił trudności w opuszczeniu nowego swego stanowiska, trzeba było powołania jego zaniechać. Wszczęła się przeto znowu korespondencja ze względu na nowy wybór, przez

arcybiskupa uczyniony i ta aż po dziś dzień żadnego jeszcze nie odniosła skutku, tak iż seminarjum duchowne w Poznaniu niemal całe dwa lata pozbawione jest regensa i przy braku i tak już niewystarczających nauczycieli zupełnego rozwiązania się nader jest bliskiem.

A jak władza krajowa pod pretekstem swego placet prawo nominacji arcybiskupa co do nauczycieli usiłuje zamienić na czczą formułę, tak się też stara pod pozorem t. zw. prawa nadzorczego wogóle cały bezpośredni ster i zarząd seminarjum duchownego quoad externa et interna sobie przywłaszczyć i wpływ arcybiskupa pod tym względem na sprawozdania i układanie wniosków do władz rządowych zamienić. Tak np. przed dwoma laty był przypadek, że nauczycielowi teologii przy seminarjum klerykalnem w Poznaniu, który z przyzwoleniem arcybiskupa zarazem chciał wykładać historję filozofji i kolegum to już w planie nauk był ogłosił, wzbroniono wprost z ministerjum wykładu bez wszelkiego poprzedniego zapytania się arcybiskupa w tym względzie.

Podobne też niestosowne wymagania władz krajowych zniweczyły w nowszych czasach zaprojektowane rozszerzenie seminarjum klerykalnego w Poznaniu. Zamierzono albowiem instytut ten, przy którym dotąd tylko 4 nauczycieli etatowych, a mianowicie 1 regens, 2 profesorów teologii i 1 profesor filozofji, się znajduje, w ten sposób rozprzestrzenić, iżby takowy nadal miał do wydziału teologicznego 5, zaś do wydziału filozoficznego 4 profesorów¹⁾ — a to celem ułatwienia aspirantom do stanu duchownego obydwóch archidiecezji, którzy teraz w braku uniwersytetu albo innego instytutu naukowego teologii i filozofji w prowincji, odbierać tylko mogą wykształcenie teoretyczne do stanu duchownego w seminarjum w Poznaniu, sposobności do gruntownego i wielostronnego wykształcenia się tak filozoficznego, jak i teologicznego wedle potrzeb czasu. Plan ten zdawał się być tem łatwiejszym do uskutecznienia, gdy potrzebne na cel ten fundusze bez wszelkiego przyłożenia się skarbu

1) W 1914 było w seminarjum poznańskim tylko 5 profesorów na obu wydziałach.

państwa były w gotowości, ile że renta roczna 16.500 tal. z funduszu sekularyzacyjnego, przeznaczona początkowo na konsystorjum we Wrocławiu, którego urządzenie później za niestosowne i niepodobne do wykonania uznano, dostateczny środek do urzeczywistnienia podawała. — Władza krajowa przystała też początkowo na projekt ten, a po kilkoletnich około niego pracach zostały względem tego rozprzestrzenienia w r. 1846 wszystkie punkta tak dalece załatwione, że tylko już ostateczne potwierdzenie Najjaśniejszego Pana potrzebnem było, aby je w bieg wprowadzić. Mianowicie zaś oświadczyły władze rządowe wyraźnie w ciągu odbywanych w tej mierze narad, że przy powoływaniu nauczycieli do instytutu tego dotychczasowe postępowanie ma być zachowaniem, wedle którego obsadzenie posad wszystkich docentów za poprzedniem zakomunikowaniem i zupełnem porozumieniem się z władzą krajową do arcybiskupa należeć powinno i że się też arcybiskupowi bezpośredni dozór tak nad instytutem pod względem na naukę i karność uczni, jak i nad postępowaniem nauczycieli, zaś naczelnemu prezesowi w imieniu rządu nadzór zastrzeża.

Gdy arcybiskup w dobrej wierze i w zaufaniu na przyrzeczenia te oczekiwał prędkiego otwarcia tak rozprzestrzenionego instytutu, spodobało się ministrowi ułożyć jednostronnie i przedstawić królowi do zatwierdzenia projekt odmienny od dotychczasowych wzajemnych porozumień, który względem powołania docentów i utrzymania ich karności wcale inne zasady w sobie obejmuje. Wedle nich arcybiskupowi już tylko prawo powoływania nauczycieli do wydziału teologicznego przyznano, nominacje zaś nauczycieli do wydziału filozoficznego ministrowi spraw religijnych zawarowano. Podobnie miało arcybiskupowi już tylko służyć prawo zawieszania w urzędzie nauczycieli teologii i z zastrzeżeniem usprawiedliwionego o tem doniesienia do władzy rządowej, gdy przeciwnie prawo zawieszania w urzędzie nauczycieli wydziału filozoficznego odjęte mu zostało z zachowaniem tylko wolności czynienia wniosków we właściwych przypadkach do władzy krajowej, która, co potrzeba, zarządzić ma.

Kiedy więc przy takiej organizacji seminarjum klerykalne przestałoby być czysto kościelnym instytutem i tylkoby

nazwę takową nosiło i gdy postanowienia te sprzeciwiały się wyraźnym umowom z władzą krajową i jej przyrzeczeniom, nie zaniedbał arcybiskup przeciwko tym niespodzianym rozporządzeniom reklamacyj zanosić, które jednak bezskuteczne były. Odpowiedziano mu bowiem, że ma tylko do wyboru postanowienie to przyjąć, albo też odstąpić od zamierzonego rozprzestrzenienia, które wcale do skutku nie przyjdzie i seminarjum we wszystkich swych stosunkach do dotychczasowego swego stanu powróconem zostanie.

Arcybiskup nie mógł sumiennie na to zezwolić, a tak pomimo wszystkich ułatwień z jego strony, pomimo że wszelkie środki gotowe były, nie przyszło wcale po kilkoletnich zabiegach do zamierzonego rozprzestrzenienia, a to jedynie dlatego, że władzy krajowej nie tak zależało na popieraniu interesu katolików, jak na zdobyciu sobie i tu nawet na koszt konsekwencji niewłaściwego wpływu. Niezadowolona wyłącznym kierunkiem i zarządem szkół wyższych i elementarnych, chciała ona jeszcze ze sposobności, nastroczającą się, korzystać, aby i względem seminarjum klerykalnego władzę arcybiskupią usunąć i ad minimum sprowadzić, aby karność z jego rąk wydrzeć, a w ogólności aby instytut ten pod bezpośrednią zwierzchność swoją pociągnąć¹⁾.

13) Polityczne szykany duchowieństwa katolickiego.

„W odezwie Najjaśniejszego Pana z 15 maja 1815 zawartem jest następujące przyrzeczenie dla mieszkańców W. Ks. Poznańskiego: „Każdemu z was ma być w miarę zdolności otwarty przystęp do wszystkich publicznych urzędów W. Ks. Poznańskiego, równie jak do wszystkich urzędów, honorów i godności mojego państwa“. Ale i przyrzeczenie to katolikom dotrzymanem nie zostało. Urzędnicy katolicki, których tu zastano, zostali zwolna usunięci, a ich miejsca zajęli prawie sami protestanci, ze wszystkich części monarchji sprowadzeni. Krajowcy, a mianowicie katolicy, rzadko tylko umieszczani zostali, już to z powodu nieufności naro-

¹⁾ L. c., str. 59—64.

dowej, już też dla odrazy religijnej, tak że z bardzo małemi tylko wyjątkami wszelkie władze administracyjne i sądowe w prowincji, szczególnie zaś pierwsze, samymi tylko urzędnikami protestanckimi obsadzone są, chociaż daleko przeważającą jest ludność katolicka w prowincji. Upośledzenie to i usuwanie to katolików nie jest tylko samo w sobie bolesnem i upokarzającym, ale stosunek ten wywiera też pod wielu względami, a mianowicie w traktowaniu wszystkich na polu wyznań zachodzących nieporozumień najszkodliwszy wpływ, jak się to w rzeczywistości pokazuje przy wydarzających się naprzeciw księdzu katolickiemu denuncjacjach, iż czynem lub słowem wyznanie protestanckie obraził.

W takich wypadkach natychmiast wdają się w rzecz z największą gorliwością władze; w każdym jakokolwiek dwuznacznem słowie upatrują karygodną obrazę dla wyznania protestanckiego i jak najsurowiej karzą. Co gorsza, najmniej uzasadnione denuncjacje przeciw katolickiemu duchownemu dostatecznemi bywają, aby go w nieprzyjemne procesa uwikłać. I tak przed kilkoma laty, jak to wykazywać muszą akta, spisane w sądzie ziemsko-miejskim we Wrześni, doniesiony był członek kongregacji filipińskiej ks. Pajzderski przez urzędników protestanckiego wyznania ze Żerkowa, nie umiejących po polsku, którzy słuchali kazań jego w tamtejszym kościele, lecz ich nie rozumieli, o podburzanie katolików przeciw protestantom. Jakkolwiek zaś w denuncjacji czas nawet nie był oznaczony, w którym te kazania miały być, przecież śledztwo przeciwko ks. Pajzderskiemu, z pominięciem wszelkich prawnych przepisów, z taką żarliwością było prowadzone, jak gdyby Żerkowo i cała jego okolica kazaniem temi w stan zupełnego wprawione były powstania, gdy tymczasem mieszkańcy tamtejsi w najlepszej pomiędzy sobą zostawali zgodzie. Wynik procesu zaś był ten, że ks. Pajzderskiego uwolniono wyrokiem od wszelkiej kary.

W najnowszym jeszcze czasie zasądzono ks. prob. Westfala w Kamionnie wyrokiem pierwszej instancji sądu ziemsko-miejskiego w Międzychodzie z dnia 18 sierpnia 1847 r. o usiłowanie wzbudzenia niechęci i nieukontentowania przeciwko władzy krajowej przez małej wagi przyganę extraordinarie,

tudzież o usiłowanie wzbudzenia nienawiści i rozjątrzenia pomiędzy rozmaitemi, w państwie przyjętymi religijnymi społeczeństwami, niemniej o obrazę wyznania ewangelickiego, w zwyczajnem postępowaniu złożono z posady jako proboszcza i dotknięto karą jednorocznego zatrzymania w twierdzy. Pomijając wyrok kasacji, ubliżający prawom Kościoła, jako nie do zakresu sądu cywilnego, lecz duchownego należący, do dziś dnia jeszcze władza duchowna dowiedzieć się nie mogła, przez jakie czyny ks. Westfal przekroczył prawa krajowe, gdyż jej odmówiono udzielenia akt, a przecież ustawa z dnia 28 marca 1841 w § 7 stanowi wyraźnie, że w śledztwie przeciw duchownemu o obelgi nasamprzód zasiągnięte być ma oświadczenie się przełożonej w służbie władzy, czyli tenże stał się winnym przekroczenia swych prerogatyw urzędowych. Lecz we względzie duchownych katolickich i władzy duchownej katolickiej sądziły władze cywilne, iż im się do owego przepisu stosować nie potrzeba, owszem wytoczyły śledztwo przeciwko ks. Westfalowi, bez wiedzy jego duchownych przełożonych prowadziły takowe i dopiero zgłosiły się do władzy duchownej, gdy mniemały, że zawieszenie ks. Westfala koniecznien nastąpić powinno.

Nie okazały takiej gorliwości też same władze do działania w przypadkach, w których chodziło o obrazę religijnego społeczeństwa katolickiego. Dowodem tego jest postępowanie sądu ziemsko-miejskiego w Pile, który zapadłego w sądzie duchownym w Gnieźnie pod dniem 14 maja 1845 r. przeciwko apostacie Czerskiemu wyroku nie chciał ogłosić, owszem niepowołany i nieupoważniony, przyjął na się charakter obrońcy Czerskiego. Ten sam Czerski dopuścił się później w paszkwilu swym: „Usprawiedliwienie odpadnięcia mego od rzymskiego Kościoła“ najgrubszych obelg przeciwko katolickiemu Kościołowi, jego naczelnej głowie i duchowieństwu. Gdyby katolicki duchowny coś podobnego przeciw protestanckiemu Kościołowi był napisał, byłby niezawodnie przed rozpoczęciem śledztwa uwięziony: ale sądy, złożone z samych członków protestanckich w Pile i w Bydgoszczy, w paszkwilu owym nie mogły i nie chciały nic upatrzeć obrażającego dla religii katolickiej i pomimo wszelkich przełożeń odmówiły wytoczenia śledztwa przeciw Czer-

skiemu. Z równem pobbazaniem uważały władze administracyjne praktyki Czerskiego; reklamacje władzy duchownej przeciwko zupełnie nieprawemu, a publicznemu wykonywaniu jego t. zw. służby Bożej, jakoteż przeciwko przywłaszczaniu sobie katolickiego miana, tudzież przeciwko jego krążeniu po kraju, naruszającemu spokojność, pozbyto odwołaniem się do służącej mu wolności sumienia i gdy mu się spodobało w Poznaniu publicznie wystąpić, nie tylko pozwolono mu do tego celu protestanckiego kościoła, lecz nadto wystawiono całą siłę zbrojną ku osłonie jego i jego stronników, nie wahając się nawet wydać na sztych spokojność i życie obrażonej ciężko w swych religijnych uczuciach przez tę demonstrację katolickiej ludności. Bardzo wątpić przychodzi, czyliby w odwrotnym przypadku, gdyby odpadły od protestantyzmu kapłan, rzuciwszy się w objęcia katolików, krążył był po kraju, w triumfie po kościołach katolickich przyjmowany, rozwodził się był w nich w bluźnierstwach przeciwko wyznaniu protestanckiemu, władze tym samym sposobem były postępowały i z tytułu służącej mu wolności sumienia przy demonstracjach ciężko obrażających uczucia protestanckie były go brały w opiekę, ku jego osłonie nawet siły zbrojnej używając. Owszem byłyby niezawodnie takim krążeniu, mieszącemu spokojność, silnemi środkami bez wszelkiego względu koniec położyły. Lecz w obecnym przypadku nie mogły się władze do wydania zakazu prędzej zdecydować, dopóki nie ujrzały, że spodziewane podkopanie lub obalenie zgoła Kościoła katolickiego nie powodziło się, a oprócz tego t. zw. przyjaciele światła podobne praktyki w protestanckiej dzielnicy rozpoczęły¹⁾.

14) Germanizacja w Kościele katolickim.

„Przeważająca większość katolików w W. Ks. Poznańskim składa się z Polaków; macierzystym ich językiem jest więc język polski; mowa macierzysta zaś jest świętością, której lekceważenie i pogarda tak mocno człowieka obchodzi, jak pogarda jego religji. Pod tym względem udzielono też

¹⁾ L. c., str. 64—68.

w najwyższym patencie z dn. 15 maja 1815 załączenie: „Wcieleni zostaniecie do mojej monarchji, nie wyrzekając się waszej narodowości... język wasz używany będzie obok niemieckiego we wszystkich publicznych czynnościach“.

Jak zaś władza krajowa wbrew temu zaręczeniu przy organizacji szkół do germanizacji nieodstępnie dążyła i tym sposobem uczucia polskiej ludności obrażała, już wyżej powiedziano, i dodać tylko wypada, że gdy we wszystkich polskich szkołach język niemiecki musi być przedmiotem naukowym, równy przepis co do języka polskiego dla szkół niemieckich nie istnieje, tak że i w tym względzie język polski w porównaniu do niemieckiego upośledzono.

Lecz ta dążność do germanizacji szerzyła się z czasem coraz bardziej. Pod dn. 14 sierpnia 1827 wyszedł reskrypt ministerjalny, nakazujący przestrzegać mocno, iżby katolicy inspektorowie szkół umieli po niemiecku, tudzież aby na przyszłość każdy ustanowić się mający duchowny, dziekan, inspektor lub organista i nauczyciel wykazał, że równie w niemieckim, jak w polskim języku jest biegłym. Stosownie do tego przy ustanawianiu plebanów uczyniła władza krajowa zawisłem mianowanie i udzielanie zatwierdzenia od udowodnienia, że powołany do funkcji język niemiecki posiada; a nawet domagano się od władzy duchownej ogłoszenia alumnom seminarjum duchownego, że nadal nikt urzędu pasterskiego otrzymać nie może, kto obydwóch języków krajowych nie posiada. Nadaremnie przekładała władza duchowna niesprawiedliwość tego rozporządzenia, wyłączającego część zasłużonych kapłanów od posuwania dla nieznamomości języka, do którego nabycia ani dotąd nie byli obowiązani, ani też nie zawsze mieli sposobność. Napróżno przywodziła, że prócz tego już wzgląd bywa na to, iżby w miejscach, gdzie znajomość języka niemieckiego w interesie pasterstwa jest potrzebną, obsadzani byli tylko duchowni biegli w języku niemieckim, że tymczasem w większej nierównie części parafji plebani urzędowanie swoje i bez znajomości niemieckiego języka dostatecznie sprawować mogą, gdyż ich parafjanie ze samych składają się Polaków; — pozostało się przy uczynionem rozporządzeniu. Przy obsadzaniu beneficjów zachodziły rozliczne trudności, jak

np. iż w r. 1829 kapłanowi zareprezentowanemu na beneficjum w Opalenicy zatwierdzenie rządowe z tego względu przez rejencję wstrzymano, iż w języku niemieckim nader mierną posiadał znajomość. Oświadczone mu zarazem, iżby albo w przeciągu roku jednego starał się w języku niemieckim wydoskonalić, lub też na mimowolną translokację był przygotowany; a przecież wykazało przedsięwzięte z tego powodu dochodzenie, że w całej parafji w liczbie 1698 komunikujących tylko 19 polskiego nie znają języka.

Zaraz potem postąpiła władza krajowa o krok dalej. Dotąd używanie języka polskiego w komunikacjach z władzami świeckimi nie doznało zaczepki. Konsystorze arcybiskupie, których członkowie wszyscy byli Polacy, równie jak pojedynczy duchowni katolicy polskiego języka pisywali do władz świeckich bez przeszkody w swym macierzystym języku, odbierając odpowiedzi, redagowane w obydwóch językach. Naraz w r. 1831 wyszło najwyższe rozporządzenie, iż językiem w czynnościach urzędowych wszystkich władz kraju ma być język niemiecki. W następstwie tego postanowienia zaczęła też natychmiast regencja zwracać napowrót wszelkie wychodzące do siebie w dotychczasowym sposobie odezwy od konsystorzy, oświadczając równocześnie, iż żadnych odtąd pism ich, w języku polskim zredegowanych, przyjmować nie będzie. Podaremnie odwoływał się arcybiskup do zapewnienia danego w powyższym patencie i na dotychczasową praktykę; napróżno przekładał, że członkowie jego konsystorzy nie są o tyle biegli w języku niemieckim, iżby w nim korespondencję prowadzić mogli, że więc przez to rozporządzenie bieg czynności urzędowych zupełnie przerwanyby został. Napróżno wnosił nakoniec o zawieszenie rozporządzenia tego przynajmniej na lat 6, iżby przez ten czas można się było do zaprowadzenia tej nowości przygotować. Na te reklamacje żadnego nie miano względu, bieg czynności urzędowych pomiędzy duchownymi a świeckimi władzami przez kilka miesięcy był przerwany. Ułatwiono nakoniec jakąkolwiek możliwość wykonania tego rozporządzenia ustanowieniem przy każdym konsystorzu jednego tłumacza, lecz za to wymagało po konsystorzach, iżby wszelkie ich polecenia do dziekanów i plebanów bez wy-

jątku w niemieckim, do tych zaś, którzy tylko po polsku umieją, w niemieckim i polskim języku razem wydawane były. Przytem nie zaniedbały regencje w każdym przypadku, w którym przyszło im przed oczy pismo którego z konsystorz, wydane w natłoku pracy w samym tylko języku polskim do duchownego polskiej narodowości, przeciwko temu jakoby przeciwko ciężkiemu wykroczeniu powstawać. We względzie pojedynczych duchownych katolickich zażądała regencja wykazów, którzy z nich po polsku tylko umieją, a którzy język niemiecki o tyle posiadają, iżby w nim korespondować mogli. Pierwszym dozwolono, jak dotąd, tak nadal używać polskiego języka, drugim zaś bez względu na to, choć macierzystym ich językiem był język polski, tylko w niemieckim z władzami komunikować się było wolno, a jeżeli który z nich pozwolił sobie niekiedy napisać do regencji w płynniejszym sobie macierzystym języku, zganiono mu to surowo z zagrożeniem kary porządkowej.

Tak więc język polski, język macierzysty większej części mieszkańców W. Księstwa, poniżono do rzędu zaledwie cierpianych języków i zredukowano ad minimum publicznego znaczenia, jakkolwiek Polakom utrzymanie ich narodowości, a zatem też przedewszystkiem ich języka macierzystego święcie przyrzeczone było; a władza krajowa, owładniona dążnościami jednostronnej interesowności, wołała takim to upośledzeniem, pogardą tego języka zadać polsko-katolickiej ludności niezgłębioną ranę, aniżeli prostym czynem sprawiedliwości zjednać sobie serca tejże ludności, stawiając rzetelnie na równi oba języki krajowe w szkołach i urzędach¹⁾.

15) Inne uciążliwości dla katolików w całym państwie pruskiem.

„W powyższych 14 punktach wymienione są tylko główne krzywdy, jakimi katolicy tutejszego Księstwa w szczególności dotknięci zostali; oprócz tego zważyć wypada uciążliwości, jakim katolicy państwa pruskiego w ogólności pod-

¹⁾ L. c., str. 68—72.

legają, a którym nie zaradzono, acz wielokrotnie skądinąd o to wnoszono.

W szczególności godzi się tylko przytoczyć:

a) Uciążliwe wolności Kościoła placitum rządowe przy obsadzaniu posad duchownych, jakoteż przy wydawaniu przez biskupów listów pasterskich i w ogólności zbyteczne rozpościeranie t. zw. prawa nadzoru rządowego na sprawy kościelne.

b) Sprowadzone rozp. z d. 21 listopada 1803 i z d. 28 sierpnia 1825, a szczególnie przeciw katolikom wymierzone ograniczenie religijnej wolności, pozbawiające katolików możliwości zastrzegania sobie przy zawieraniu małżeństw mieszanych prawomocnymi układami rękojmi swobodnego dopełniania swych katolickich obowiązków co do wychowania potomstwa w trakcie małżeństwa.

c) Zachowany dotąd jeszcze ciągle, prawo równości względem katolików tak dotykalnie naruszający, wojskowy porządek kościelny.

d) Nadwerężające tak samo równość postanowienie, przepisujące, aby pozwolenie do ochrzczenia w kościele protestanckim dziecka, z ojca katolika, a matki protestantki zrodzonego, przez superintendenta, do ochrzczenia zaś dziecka w kościele katolickim, z ojca protestanta, a matki katoliczki pochodzącego, nie przez dziekana, jakby słuszną i sprawiedliwą było rzeczą, lecz przez radcę ziemiańskiego (landrata) udzielane było i t. d.

Z tego wszystkiego zaś wykazuje się, że Kościół katolicki w Księstwie tutejszem, który przed okupacją pruską panującym był w kraju, w następstwie okupacji zaś za porównany w prawach ogłoszono z Kościołem protestanckim, nie cieszył się bynajmniej tą równością praw, owszem wielokrotnie upośledzany i w swych konstytucyjnych prawach pokrzywdzany, doprowadzony jest do stanu zupełnej zależności od władzy rządowej i stał się prawdziwie Kościołem uciśnionym¹⁾.

¹⁾ L. c. str. 72/73.

Zakończenie.

W ten sposób przedstawił ucisk Kościoła katolickiego pod zaborem pruskim w pierwszej połowie XVIII wieku klasyczny wprost świadek arcybiskup Przyłuski i jego kapituła w chwili wiosny narodów w r. 1848. Ucisk ten w drugiej połowie w czasach Bismarcka i Wilhelma II miał się stać jeszcze większym. Dość wspomnieć walkę kulturową, walkę z dziećmi polskimi o polski katechizm i polski pacierz, germanizację przez Kościół, obsadzanie najważniejszych posterunków kościelnych przez księży niemieckich i germanizatorów, a usuwanie z nich prawdziwych i energicznych Polaków — a stwierdzić musimy w całej pełni fakt, że Kościół katolicki na ziemiach zwłaszcza polskich był rzeczywiście Kościołem uciśnionym przez cały ciąg rządów pruskich. Przetrwał jednak ten pruski, jak i ruski i rakuski ucisk obronną ręką. Dziś rządy pruskie i wogóle zaborców dzięki Opatrzności Bożej należą do przeszłości. Nie należą niestety do przeszłości normy pruskie i ruskie, regulujące stosunek państwa do Kościoła zarówno co do stanu prawnego tego Kościoła, jak i do jego wyposażenia. Całkiem słusznie żali się prymas Polski J. E. kardynał Dalbor w jednym z memoriałów episkopatu polskiego do rządu, że w wolnej Polsce tylko Kościół katolicki jęczy pod ciężarem starych po zaborcach odziedziczonych ustaw wyjątkowych, a najsłuszniej w świecie podnosi, że sam honor narodu nie powinien ani dnia jednego cierpieć i dopuścić do podobnie opłakanego stanu ¹⁾). Rumieniec wstydu wprost oblewa oblicze każdego uczciwego Polaka katolika, gdy czyta oburzającą do żywa taką skargę polskiego prymasa: „Rządy zaborcze uciśnęły Kościół, zabierały jego dobra, ale starały się przynajmniej o pozory, że dóbr kościelnych nie konfiskują, tylko biorą je w zarząd, a w zamian za to przyznają Kościołowi materialne utrzymanie. Jakkolwiek utrzymanie to nie było w żadnym stosunku do dóbr zabranych i t. zw. kongrua była bardzo skromna, ale ostatecznie była i istniała. Tym-

¹⁾ Memoriały z dnia 17 stycznia i 8 września r. 1922. Wiadomości dla duchowieństwa nr 11, listopad 1922.

czasem Rząd polski, pozostawiając kler na pensjach dawnych, albo podwyższając je nieznacznie tylko, pozbawia Kościół najprymitywniejszych warunków utrzymania. Bo do wiary to niepodobne, a jednak prawdziwe, że kapłan zajęty w duszpasterstwie pobiera rocznie sumę daleko nie dochodzącą 2 tysięcy marek... My zaś biskupi nie jesteśmy już w możności utrzymać naszych seminarjów, z których każde ma niedobór. A już nie mówię o pensji biskupów, która w Polsce wynosi mniej niż pensja woźnego, bo około 10.000 marek miesięcznie. Jest to stan bezprzykładny stosunków tak niezdrowych i tak nieznośnych, iż dłużej utrzymać się nie dadzą.

Żydzi i protestanci mają w Polsce podatek wyznaniowy, który ściągany jest z urzędu przez państwo, a idzie w duże miliony, o jakich Kościołowi katolickiemu ani marzyć nie wolno. A mimo tego olbrzymiego źródła dochodu jeszcze państwo osobno ze swej państwowej kasy nieraź łoży na pensje dla tych wyznań więcej, niż dla dygnitarzy Kościoła katolickiego...

My biskupi jesteśmy przymuszeni wyciągać już dziś rękę za granicę do naszych kolegów w Ameryce, we Francji, Belgii i t. d. o jałmużnę na Kościół w Polsce. Biskup sufragan poznański i kanonicy w Poznaniu, mając na kwartał 70.000 mk. pensji, wyprzedają meble, książki, przedmioty drogocenniejsze, ażeby głód zaspokoić“.

To są wprost straszne rewelacje i ubliżające rządowi polskiem. Dziwić się też należy, że społeczeństwo katolickie na nie nie reaguje i przez posłów swych nie zażąda natychmiastowej naprawy tych stosunków. Przecie państwo polskie, które po zaborcach co najmniej 300.000 ha dóbr zabranych kościelnych i klasztornych odziedziczyło, nie mówiąc nic o budynkach i kapitałach, ma święty obowiązek znaleźć środki na wyposażenie godne Kościoła i sług jego. Episkopat polski okazał jak najdalej idące ustępstwa wobec państwa naszego, oświadczając gotowość poświęcenia dóbr kościelnych na reformę rolną, uchwalił z chwilą uregulowania płacy dla kleru przez państwo uregulować sprawę jura stolae, aby w ten sposób ulżyć ludowi. Duchowieństwo katolickie spełnia szereg funkcji w interesie państwa bezintere-

sownie; jest więc obowiązkiem państwa polskiego duchowieństwo w tych opłakanych czasach i stosunkach tak wyposażyć, aby nie było zmuszone wprost wyciągać ręce o wsparcie do zagranicznych katolików i popierać stronnictwa obecnym stosunkom i niedawnym rządów przeciwne. To bowiem państwu polskiemu, a zwłaszcza rządowi dotychczasowemu, wstyd przynosiło, że duchowieństwo, które wszędzie prawie jest i winno być podporą i ostoją rządów sprawiedliwych, stawać w rzędzie przeciwników rządów polskich czuło się zmuszonem.

Ufamy też, że nowy prezydent państwa i jego rząd, który z Bogiem i od Boga rozpoczął swe urzędowanie, bezwzględnie słusznym postulatami Kościoła i duchowieństwa uczynią zadość w interesie sprawiedliwości i we własnym interesie państwa i rządu, zwłaszcza przy zawierającym się obecnie konkordacie między Kurją a państwem polskiem. Dobrym znakiem w tej mierze jest ta okoliczność, że sama konstytucja polska, uznając potrzebę konkordatu z Kościołem, tem samem wyraziła w imieniu państwa polskiego zerwanie się bezwzględnego zwierzchnictwa nad sprawami Kościoła katolickiego. Nie jesteśmy zbyt zachwyceni ustawami konstytucji co do wychowania religijnego młodzieży, ale skoro państwo polskie w swej konstytucji uznało wielkie znaczenie religji w wychowaniu publicznym i to we wszystkich szkołach po r. 18 życia, ufamy, że uzna także wszelkie prawa i wolności Kościoła na wzór Anglii, Belgji lub Włoch. Polska bowiem ma dla Kościoła, a Kościół dla Polski wyjątkowe znaczenie. Nie darmo przecież Polska jest przednią czatą Kościoła katolickiego, najbardziej na północny wschód wysuniętą między niemiecko-protestanckim a rosyjsko-prawosławnym, a dziś bolszewickim światem. Nie darmo też Polskę łączył zawsze najściślejszy sojusz z Kościołem, już od Miszki I czasów, a był treścią polskich dziejów i polskiej duszy i niewątpliwie ostanie się dziedzictwem nowej Polski. Dlatego to podzielam w całej pełni zdanie prof. Abrahama, że ten „konkordat nasz z Kościołem nie może być ani szablonowy, ani zbyt ogólnikowy, ale musi szerzej i dokładniej, a gdzie zajdzie potrzeba, w sposób zupełnie oryginalny ustalić przyszły stan prawny, aby jak najmniej było

wątpliwości i jak najmniej możliwości przyszłych konfliktów, szkodliwych i dla Kościoła i dla państwa“¹⁾). Jest pewna nadzieja, że do tego konkordatu najpomyślniejszego dla Polski i Kościoła przyjdzie. Przecież na Stolicy Apostolskiej zasiada dziś Pius XI, były nuncjusz w Polsce i przyjaciel Polski, a rządy obecne w Polsce nie są już rządami z przeszłego roku.

Jak „Bóg i Ojczyzna“ jest nierozdzielne hasłem dla każdego uczciwego Polaka — tak Kościół katolicki i Polska winny być nierozzerwalnymi pojęciami dla każdego polskiego męża stanu.

¹⁾ Wł. Abraham. Polski konkordat. Przegląd współczesny, nr 7 i 8, str. 167.

DR. K. KROTOSKI.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Najnowsza powieść w Polsce.

Powieść zawsze była łataniną ze scen dramatycznych, publicystyki, liryki, refleksji. Forma to najbardziej eklektyczna ze wszystkich form literackich. Forma najłatwiejsza, zawierająca w sobie najwięcej gliny jeszcze nieukształtowanej w posąg. Nie wymagając przeważnie tego napięcia duchowego, jakie wywołuje czytanie poezji, powieść daje strawę łatwą, codzienną. Stąd jej wpływ ogromny na ogół czytelników. Powieść przechodziła różne etapy rozwojowe, była wykładnikiem to zagadnień psychologicznych, to społecznych. Raz nabrzmiewała liryką, to znów stawała się compendium obserwacji realistycznej, epiką aktualności lub historii. W Europie rozwija się obecnie w powieści to migawkowa wivisekcja psychologiczna (Proust, Klabund), to kinematograficzność — powieść — scenariusz, a wszystko okraszone egzotyką. Filmowość wywołuje w powieści przewagę pierwiastka dramatycznego. Olbrzymi rozwój teatru, dążącego do samowystarczalności i grożącego nawet dramatopisarzowi i poecie kompletnym upośledzeniem, położył piętno na powieści współczesnej. W technice powieści sceny (nie koniecznie dialogi, zalewające zwłaszcza każdą powieść lichą a sensacyjną) zajęły miejsce narracji. Nie opisuje się tego co było, ale pokazuje się, jak to było.

W Polsce powieść nie ruszyła prawie z miejsca. O ile poezja stała się terenem wszelkich eksperymentów, o tyle powieść zawsze sobie czcigodnie wegetuje, wsparta na starych a krzepkich imionach. Jedno z wydawnictw szerzących prawie wyłącznie literaturę sensacyjną, podszytą erotomanją, mianowicie „Lector“, podjął wydanie wszystkich dzieł Gabrieli Zapolskiej. I wyszło już podobno przeszło sto tomów.

Wielki talent zgasłej autorki wybujał w epoce wiary w materję, jej sprawy i władztwo jej na ziemi. Gdyby bajeczna obserwacja, doskonałe intuicje psychologiczne, malowanie mikroskopijnie ściśle, pierwszorzędnie artystyczna wrażliwość na śmieszności, oparte się u Zapolskiej o inny światopogląd, gdyby wogóle miała światopogląd, gdyby była malarką, a nie fotograficznym kodakiem — wyszłaby na świetną moralistkę i psychologa, wyszłaby na polskiego Bourgeta o plastyce bez porównania zdolniejszej.

Potrafiła ona odkrywać czasami pęknięcia życia, jego mielizny, jego mulistości, jego sprzeczności i beznadziejną szarość małych ludzi, ich oportunistyczną, płazią pozaetyczność. Ale z tego nie wysuwa się, jak kształt z poza rzucanego cienia, żadna określona a przeciwna temu ideologia. Ideologia taka może tkwić w dziele satyryka w stanie utajonym, negacja bywa często potwierdzeniem. Ale nieśmiertelnie zasłużona malarka Pani Dulskiej, juwenalisowemi ciosami napiętnowawszy dulszczyznę, nie wyzwoliła z niej nikogo. Prawdopodobnie, nie wyzwoliła się sama. Brak w jej „romans à thèse” kośca, którym jest jasno prze-myślana i wyraźnie postawiona tendencja. W „Szaleństwie” np. teza roz-szczepia się i nie możemy określić, o którą z nici psychologicznych Za-polskiej chodziło, czego miało dowieść samobójstwo histerycznej Reni.

„To, o czym się nie mówi”, „To, o czym się nawet myśleć niechce” — i niektóre dawniejsze utwory Zapolskiej, kreśląc ropiejące wrzody ludzkości, dawały właściwie to, co możnaby nazwać tragedją fizjo-logiczną. Na tle cierpiącej i znieważanej nieczystością człowieka materji mogą powstawać tragedje — ale miejsce na nie w higienie społecznej, nie w wieczystej sztuce. „Upiory” Ibsena, „Przed wschodem słońca” Hauptmanna są najbardziej niewyzwolonymi, tępymi, nie obchodzącymi nic duszy ludzkiej utworami wielkich pisarzy. Przypadkowość materji nigdy nie miała miejsca w wiecznej sztuce.

W „Córce Sułki” i związanych z nią powieściach, Zapolska odtwo-rzyła istnienia, spętane szarzyzną, miotające się w pętach dokuczliwego niedosytu życiowego, nie mające ani jednej jasnej idei na odżywienie swej piwnicznej wegetacji, chyba — sen o estetycznej, unoszącej poza codzien-ność, a najczęściej niedozwolonej miłości.

Razem z nawrotem do naszych brzegów tego zapomnianego, prze-zwyciężonego prądu Gebethner i Wolff podjął zbiorowe wydanie dzieł Władysława Reymonta. W wydanych tomach („Na zagonie”, „Osądzona”) dużo jest tych samych tonów, co w Zapolskiej. — Winien i tu naturalizm. Ale u Zapolskiej występują cechy pospolitaków, przystosowane, przykro-jone do miasta, ugłaskane, udrobnione, jak unoszące się w wirującym promieniu pyłki, które kiedyś były cząsteczką wielkiego kamienia. U Za-polskiej są niecnoty karaluchów, u Reymonta — wilków i byków. Rey-mont zna przyrodę i wniósł do literatury wygnany z niej potężny, nie-okiełznany żywioł. Brutalne, pierwotne żądze i pobudki kierują ludźmi. Chciwość stała się cechą dominującą, głumiącą te ludzkie uczucia, które prymitywna kultura moralna wsi polskiej wpoili w ludzi, „Śmierć”, „Sąd” — są takimi zolowskimi obrazkami wsi polskiej.

Ale Reymont ma własne oczy, oczy artysty. Dlatego potrafił we wsi polskiej zobaczyć takie rzeczy, których nie podsuwała mu żadna for-mułka literacka, żaden nakazany przez malarzy wsi szablon. Chłopi Reymonta i w jego wielkiej epopei i w mniejszych utworach mają zdol-ność do uniesień religijnych, dzieciinną ciekawość do nadzwyczajnych historii i obok twardego sobkostwa uczynność prawdziwie chrześcijańską. Reymont, opisując wilczy świat miasta przemysłowego w „Ziemii Obie-canej” — wierzy, chce wierzyć, że na wsi żyje jeszcze nakazana przez

Boga wspólnota ludzi ze sobą. W „Tomku Baranie”, w „Chłopach” z dręczącym potężnego wzruszenia maluje akty miłosierdzia gromadzkiego.

Reymont nie jest w tej chwili pisarzem najmodniejszym. Ale do Reymonta powrócą. Będzie z niego czerpał grasujący obecnie urbanizm — bo potrafił on pierwszy w Polsce oddać swoiste, straszne w ruchliwej swej martwocie życie maszyn (Ziemia Obiecana, Pewnego dnia). Będzie z niego czerpało najmłodsze pokolenie, które przeciwstawi się urbanizmowi i ogłosi powrót do przyrody, zaduszonej przez miasta polipy.

Z pisarzy poprzedniego okresu pisze zawsze jednakowe swe egzotyzymy Wacław Sieroszewski, sięgnęła do aktualności życia Polski Niepodległej Rygier-Nałkowska w „Miłości Teresy Hennert” (Świat). Biblioteka Polska wydała trzy powieści tak niezmiernie interesującego pisarza, jakim był ś. p. Tadeusz Rittner. „Zamknięte drzwi” są przesmutnym nastrojem człowieka przedwojennego, którego szare życie ścisnęło w swych trybach. Człowiek spotyka przed sobą przez całe życie zamknięte drzwi. Nie wpuszcza go życie do przybytku, w którym przechowują się dary życia. Głodnymi oczami patrzy się na ucztę życia i z westchnieniem liczy swe niedokonania. Człowiek zostaje przez całe życie właściwie dzieckiem, a walory życiowe, zmieniając formę, nie przestają być żołnierzami cynowami dziecka. Jest to takie samo literackie ujęcie, jak malarskie u Wojtkiewicza. Wojtkiewicz malował, śmiertelnie smutnych rycerzyków w papierowych kaskach na koniach drewnianych. Stylizował świat pod kątem widzenia dziecka. Epoka nasza coraz bardziej rozumie dziecko i znużona własną przemądrzałością i wykrętnością, stara się zachować lub odzyskać bezpośredniość i szczerość dziecka, jego świeżość odczucia, świeżość duszy, która dopiero przyszła na świat. Jakby epoce tej dopiero świtały, dopiero rozjaśniały się słowa: „Jeżeli nie będziecie, jako ci maluczy, nie wejdziecie do Królestwa Bożego”.

Książka Rittnera jest zwierzeniem się człowieka, który nigdy nie zatracił ciągłości swej osobowości i w sobie — dorosłym odnajduje siebie — dziecko ze wszelkimi marzeniami, ze wszystkimi pragnieniami, które nie urzeczywistniły się nigdy. Pozostałaby melancholia i pesymizm bez granic, gdyby w końcu książki nie była wypowiedziana wiara, że wieczność ziszcza to, czego odmówiło życie. W chwili śmierci dopiero otwierają się zamknięte drzwi...

Rittner doskonale kreśli charaktery. Nie tylko zaobserwowane w życiu, lecz i zgoła zmyślone. Narzuca nam ich prawdopodobieństwo, nawet niezbitą pewność ich istnienia. Tak jest w dwóch powieściach: „Duchy w mieście” i „Między nocą a brzaskiem”, osnutych na tle rewolucji socjalnej. Weszło w te utwory, oczywiście, to, co zaobserwował przy przewrocie społecznym w Austrii, ale dużo czerpał z fantazji. Walka starej i nowej formy społecznej jest przedstawiona z punktu widzenia inteligenta, tracącego przy rewolucji swe przywileje, zdeklasowanego, obrabowanego z kultury, niepotrzebnej i niezrozumiałej dla nowej chamskiej generacji.

Rittner patrzy na przewroty ze znużonym, zrezygnowanym uśmiechem człowieka, którego nic już nie zdziwi. Maluje z pogardą i wstrętem

bezmądry, krwawy motłoch uliczny, ale i odepchnięty od rządów klasy uprzywilejowanej są w jego oczach społeczeństwem truposzy, cmentarzem niezdołnym do życia, sprzymierzonym z umarłymi. Jest to, jak u Kraszińskiego, „zmiana pokolenia“. Bezwzględnej prawdy, jak i w „Nieboskiej“, nie posiada żadna ze stron walczących. Jedno tylko jest drogiem i ważnem dla Rittnera: kultura. I dobiera on jaskrawych, satyrycznych obrazów dla chłostania tych, co ją odrzucili i obchodzić się bez niej potrafią. Książki Rittnera robią wrażenie, że wyszły z pod pióra schyłkowca, przedśmiertnie wyczerpanego, bladego, już widmowego prawie. Zasługą tych książek jest, że uderzają w brutalność, okrucieństwo, egoizm i podłość ludzi przewrotu — w te wszystkie antyludzkie, zgola potworne, antychrystowo-apokaliptyczne bestjalstwa, które nam pokazał bolszewizm, zarówno rosyjski, jak węgierski.

Obok tych wybitnych pisarzy, ukazują się nowi: Marjan Tey („Hańdzia“), Ferdynand Goetel (Kar-Chat). Ograne to motywy, stara technika pisarska — już snąc rupieciarnią stają się niektóre nasze firmy wydawnicze. Dużo wspomnień z piekła bolszewickiego, czasem nawet do dawnych ruchów niepodległościowych. W wydanej przez polsko-amerykańską spółkę wydawniczą „Myśl“ książce Jerzego Orwicza „Warjat“ przesuwają się przed nami szereg sylwetek z rewolucji 1905 roku. Orwicz ukazuje socjalistyczną młodzież polską tego okresu, jej styczność z Żydami, wnoszącymi do Polski wpływy rosyjskie. Bohater powieści, zmuszony uciec do Ameryki, postanawia pracować odtąd zawsze dla Ojczyzny. Złe wpływy, chcące wyzyskać siły polskie pod płaszczykiem międzynarodowego braterstwa dla zachłannych sąsiadów, odbiły się od młodzieńca polskiego, nie nadwerężając w niczem jego patriotyzmu.

Jeżeli zwrócimy się do najnowszych kierunków literackich, to zobaczymy, że nie wydają one prawie powieści. Styl telegraficzny, rozmyślna urywkowość, krótkie myśli, migawkowe uczucia — wszystko to nie stwarza gruntu dla powstania powieści, która wymaga tchu długiego.

Jarosław Iwaszkiewicz skonstruował podług modnych recept, nie zaniebując egzotyizmu geograficznego, swoją „Zenobię Palmurę“, mającą niebezpieczny czar hedonistycznego indywidualizmu, ważącą się nawet na nierośnię kapryśnej miłości. Powieść ta dowodzi raz jeszcze tej prawdy niedzisiejszej, że pełnię rozkoszy artystycznej daje utwór, zaspakajający wszystkie strony naszej duszy, nie wzbudzający w niczem sprzeciwu i dwugłosu dialektycznego, bo to rozbija jedność wrażenia. Jeżeli nam się podoba strona artystyczna utworu, a jednocześnie stanowisko autora budzi w nas sprzeciw i odrazę, pełnia szczęścia estetycznego ulega rozbiciu.

Szkic powieściowy: „Jack, Isy i Sasza“ Iwaszkiewicza i Rytarda, również z Klabunda rodem, w swej kinematograficzności prawie nie odśladania dusz osób działających, a obrazy jego za mało ją uplastyczniają.

Iwaszkiewicz daje czasem Altenbergowskie podpatrzenia. Gdyby wyszedł z deptaka indywidualistycznej erotomanji, gdyby, oprócz egotycznych nastrojów wystarczających tylko dla liryki, posiadał szerokie idee i koncepcje psychologiczne, możeby stworzył coś wartościowego. Na samej technice, w dodatku naśladowanej, daleko się nie zajadzie.

Nowa książka Iwaszkiewicza „Hilary syn buchaltera” kreśli antypatyczną sylwetkę egotysty i megalomana, dekownika wojennego, który żeni się dla kariery z cudzą kochanką, podczas gdy jego przyjaciel ginie dla Ojczyzny. Proza Iwaszkiewicza nie ma tu jędrności i świeżości takiej, jak w „Zenobii Palmurze”. Legło na stylu ciężkie zasepienie indywidualisty, oderwanego od wszystkiego żyjącego na ziemi, niemrawość przesyconego i niedosyconego zarazem żerowicza miasta, nie okupującego swych apetytów na żer niebylejaki wysokością i przekonywaniem nas pięknem poezji swojej. Są tu stronicze z psychologią Hilarego zgoła nudne i nieudane. Najżywszy jest koniec. Ale autor, który zapewne nie utożsamia się z antypatycznym Hilarym, nie podkreślił dostatecznie swojej z nim rozbieżności, któraby była wyraźnym potępieniem takiego typu, przeciwnie, amplifikowaną liryką jakby wyraża mu sympatię. To do reszty mąci wrażenie. Powieść słabsza od poprzednich.

Antoni Słonimski dał rzecz ciężką, niewyzwoloną, zgryzliwą; „Teatr w więzieniu”. Przemiana w świecie socjalnym, czasem marzycielskie i szlachetne dążenie do zmiany ustroju może wydać ładne typy. Mogą one się mylić co do swej drogi, ale szukają prawdy i zdolne są do wyrzeczeń. Ile głębokiego, szczerzego, niekompromisowego szukania prawdy, jest w „Jean Christoph'e” Romain Rolland'a. Takie gorące, niesprzedajne łaknienie prawdy w naturze prawej i czystej prędkiej czy później do prawdy ją doprowadzi.

U Słonimskiego jest jakaś dziwna tandeta duchowa, zasadnicza niemożność życia wyżynnego. Prekursorowie zmiany socjalnej u niego nie przekonywują nas. Ci ludzie wyzwoleni z szablonów społecznych nie wzbudzają naszej sympatii, jak niektóre sylwetki rewolucyjne np. Zapolskiej lub Struga. Wiemy, że typy tych dwóch pisarzy nie znają całej prawdy, ale ich ofiarność i zapał przekonywują do nich.

Tak więc zdaje się rzeczą ustaloną, że krótki dech literatów futurystycznych nie pozwala im na stworzenie powieści. Próby nowellistyczne są częstsze. Zajmujące są nowele Stefana Grabińskiego (Demon Ruchu), nowe co do tematu, nie przynoszące żadnej rewelacji w zakresie formy. Ładne są fantazje Balińskiego, np. „Miasto księżyców” i in., „Dom filozofów” Jerzego Sosnkowskiego i t. d. Czy pisarze ci z czasem przejdą do powieści, trudno powiedzieć.

Zdarzeniem bardzo wybitnem w świecie powieści jest „Generał Barcz” Juliusza Kaden-Bandrowskiego. Zbudowana mocno bez słamażarności lirycznej, tak bardzo często psującej powieść polską. W rytmie tej jędrnej, oryginalnej pracy tętni krok gotowych do czynu legjonów polskich. Styl napęczniał sokami ziemi, bogactwem i autentycznością obserwacji. Czy dalekim jest od realizmu? Nie, to najczystszy realizm, jakże niepodobny do pierwszej Verhaerenowskiej książki Kadena („Zawody”), I podłoże ideowe jest realistyczne, w człowieku widzi się i podkreśla instynkta i dążenia zgoła cielesne, egotyczne, samozachowawcze, ambitne, wszystką glinę, obciążającą ducha i gnącą ku ziemi. Kaden ma dziwny sposób ujmowania zjawisk: reaguje on na nie czuciem mięśniowem, dotykem, powonieniem. Jego organem styczności ze światem zdają się być

wyłącznie zmysły. Notuje zaropiałe twarze, nieprzyjemne mlaśnięcia, przelewanie się fałd fluszczu pod ubraniem. Jest niezrównany w plastyce wrażeń materialnych.

Gdy chodzi o oddanie przeżyć wewnętrznych, Kaden jest tak powściągliwy (wyszedł bo z krzepkiej formacji strzeleckiej, plującej na sentymentalizm i dążącej do typów twardych, bojowych), że pozostawia nam czasem wątpliwości co do prawdziwych uczuć swych bohaterów, np. Barcza w pewnych chwilach. Budowa powieści przeważnie oparta jest nie na narracji, lecz na kreśleniu scen, co Kadenowi się udaje. W powieści współczesnej, coraz to bardziej bierze górę pierwiastek dramatyczny, wypierając narrację, lirykę, refleksję, analizy psychologiczne. Powieść niesłychanie zyskuje przez to na barwności i żywości.

Teraz strona ideowa... Że też to legioniści, który walczył o niepodległość, ręka nie drgnęła przy kreśleniu postaci, w których opinia publiczna może się domyślać wodzów naszych walk wyzwoleniczych. I to podstawienie pod ciemne i nieznane bliżej społeczeństwu zdarzenia, antagonizmy, zamachy tego fatalnego komentarza: *cherchez la femme*. I ten Barcz, postać historyczna, taki nieumiły i w swym stosunku do żony, kobiety naprawdę wartościowej, i taki wyrachowany w grze politycznej, którą czasem wygrywa się wielkim szczerym gestem prawdy wewnętrznej nie intrygą i dyplomacją, taki bezwzględny w stosunku do owej Drwęskiej, paskarki i agentki politycznej, handlującej swą cnotą, nie na wiele zasługującej, ale zawsze... Nie chcemy nic wiedzieć, że tak powstawało Państwo polskie, nie uwierzymy nigdy i uważamy rozbijanie złotej legendy za zbrodnię przeciwko duszom naszym. Pewnie, że ci, którzy wypędzali Niemców z kraju, szli pod Przemyśl i Lwów, bili bolszewików, byli tylko ludźmi. Ale my nie chcemy nic wiedzieć o ich ludzkich słabościach. Narodowi potrzeba legendy. I czyż to zadanie twórców — dawać mu kamień zamiast chleba?

Ciężkie wrażenie robi typ wojennego zepsucia kobiety — Drwęska. Nie pomogą jedwabie, koronki, stroje tenisowe, perfumy. Ta kobieta formalnie cuchnie. Wiemy, że wojna wniosła wiele zepsucia. Ale nie wierzymy w istnienie w społeczeństwie naszym takich Drwęskich. I opisywanie ich bez odpowiedniego oświetlenia ośmiela do naśladownictwa i utrwała niejako złe cechy. Tem bardziej, że w powieści tego „święteckiego ciasta” posmakować chcą wszyscy. Nawet ten niby najideowszy Rasiński nie może się obyć bez nagich tańców. Świat Kadena robi wrażenie ograniczonej cieśni, w której zabija prawie odór i smród ziemi.

Ale ten duży i młody talent znajdzie jeszcze zapewne wyjście z tej cieśni. Ma czas.

Widzimy więc, że powieść nasza przeżywa w tej chwili okres przejściowy i dosyć szary. Nie jest nawet dominującą formą w literaturze. Młode talenty rzucają się raczej do poezji, bo tam mają określone nowe formy, dla powieści zaś nic tak bardzo odmiennego dotąd nie wypracowano. Widzimy tylko z niektórych książek, że dla społeczeństwa przyszedł czas porządkowania swych przeżyć ostatnich burzliwych czasów, dotąd tak pogmatwanych i niesformułowanych.

HANNA ZAHORSKA

H. Pinard de la Boullaye: *L'Etude comparée des religions. I. Son histoire dans le monde occidental.* Paris, G. Beauchesne, 1922, str. XVI + 515 in 8^o mai.

Historja porównawcza religij, jako odrębna gałąź nauki, jest stosunkowo młodą: datuje się ona od początku ostatniego kwartału ubiegłego stulecia. Nie znaczy to wszakże, by przedtem ludzie nie porównywali religij jednych z drugimi i nie snuli refleksyj wobec ich podobieństw w jednych, a różnic w innych szczegółach. Czynili to zawsze, ilekroć zetknięcie się ze światem sobie obcym otwierało im oczy na istnienie form religijnego kultu, odrębnych od tych, jakie posiadali we własnej ojczyźnie. Zestawiając jedne wierzenia, obrzędy i nakazy religijne z innymi, musieli też zadawać sobie pytania: czy wszystkie one są jednakowo dobre i prawdziwe, czy też różnią się swoją wartością, a w takim razie które z nich są prawdziwe i skąd pochodzą różnice.

Rzeczywiście, zarówno opisy różnych wierzeń i obrzędów religijnych, jak i krytyczne nad nimi uwagi można spotkać już u wielu starożytnych autorów. Zapewne nie brak ich także w zabytkach piśmiennych obcych i dalekich nam kulturalnych światów. Zestawienie ich wszechstronne stanowiłoby jeden z najbardziej interesujących rozdziałów historii filozofji. Jest to jednak, jak dotąd, zbyt trudne zadanie i trzeba poprzestać na tem, co jest możliwe do osiągnięcia — na zbadaaniu przedewszystkiem materiału ze świata kulturalnego, nam bliższego.

Takie właśnie zadanie postawił sobie jeden z najgruntowniejszych znawców historii porównawczej religij, profesor apologetyki w jezuickim kolegium w Enghien (w Belgji), ks. H. Pinard. Sięgnął on do literatury klasycznej, greckiej i rzymskiej, przedarł się przez średniowiecze, zlustrował literaturę religijną europejską i amerykańską aż do dni naszych i jako rezultat swych badań, daje nam wielki tom sumiennie opracowanego studjum. Uprzytomnijmy sobie jeszcze raz, o co autorowi chodzi. Nie pisze on sam historii rozmaitych religij, ale historję stawiania i rozwiązywania różnych problemów, wywoływanych przez fakt wielości i różnorodności religijnych kultów. Więć zaznajamia nas z warunkami, w jakich te problemy umysłem spostrzegawczym narzucały się, z systemami filozoficznymi, jakie wpływały na takie czy inne rozwiązanie postawionych pytań, z wynikami myślowymi, do jakich doprowadzały te rozwiązania, z wpływem wreszcie tych rozwiązań na dalszy rozwój myśli religijnej i stosunku ludzi do Boga. Że w takim ujęciu przedmiotu przesuną się przed nami — poczynwszy od teogonij greckich, najwięksi filozofowie greccy, rzymscy, Ojcowie Kościoła, prądy gnostyckie, manichejskie, Żydostwo, Islam, Scholastyka, Odrodzenie, nowoczesna filozofja wszystkich kierunków aż do amerykańskiego pragmatyzmu włącznie — to wynika z natury przedmiotu, ale też to wprowadza czytelnika w obcowanie z największemi umysłami ludzkości i właśnie wtedy, kiedy one zajmują się najgłębszemi zagadnieniami, jakie kiedykolwiek interesować mogły człowieka.

Obok fenomenalnej wprost erudycji autora, trzeba podziwiać nie mniej jego skrupulatny obiektywizm. Nie tając swej przynależności do

Kościół katolickiego i do zakonu, zabrania on sobie wszakże najsurowiej oceniania ze swego stanowiska wyznaniowego wartości tych wysiłków, jakie podejmowały wieki przy rozwiązywaniu problemów religijnych. Jest on tylko sumiennym badaczem dziejów myśli ludzkiej, umie wykrywać związki źródeł i rezultatów; wartość wszakże tych wysiłków, jakie myśl w ciągu tysiącleci podejmowała, by ocenić filozoficznie religię, ma czytelnikom okazać się z samego przytoczonego materiału, z następstwa systemów, które następowały jedno po drugim, albo powracały odgrzewane, po wyczerpaniu koła możliwych pomysłów.

Tom, który mamy pod ręką, jest dopiero pierwszą częścią większej całości. W drugim tomie autor ma zająć się syntezą dotychczasowych systemów i metod i wskazaniem właściwych dróg, po jakich winny pójść dalsze badania różnych religij i wyciąganie wniosków merytorycznych. Te dopiero dwie części razem wzięte będą stanowiły dzieło, pierwsze dotąd tego rodzaju w światowej literaturze, niezmiernie ważne nie tylko dla apologetyki chrześcijaństwa, ale w szczególności dla młodej gałęzi nauki historycznej. Że zaś autor gruntowność naukową umie szczęśliwie połączyć z potocznością opowiadania i jasnością w ujmowaniu treści, dzieło jego może być z wielkim pożytkiem i przyjemnością czytane także przez każdego prawdziwie inteligentnego człowieka, choćby nie fachowca w danym przedmiocie. Należy ono do tych dzieł, które ukazują się rzadko, ale których wartość trwa długo.

Ks. J. Urban.

Mozart. Seine Persönlichkeit in den Aufzeichnungen u. Briefen seiner Zeitgenossen u. seinen eigenen Briefen. Herausgeben von prof. Dr. O. Hellinghaus. Mit einem Titelbild (wydane jako 6 tom: Bibliothek wertvoller Denkwürdigkeiten) 12^o, XXIV u. 254 S. Freiburg in Br. 1922. Herder.

Bardzo ruchliwe przedsiębiorstwo wydawnicze katolickie Herdera rozpoczęło w ostatnim czasie kilka różnych wydawnictw pod ogólną nazwą „Bibliotek“. Jedna z nich nosi tytuł: „Bibliothek wertvoller Denkwürdigkeiten“. Wychodzi pod kierownictwem Dr. O. Hellinghaus. Cztery pierwsze tomiki poświęcono historii Niemiec z okresu Napoleona i wojny duńskiej (1864). Piąty i szósty tom przynosi nam obraz życia i psychiki dwu największych katolickich muzyków niemieckich: Beethovena i Mozarta. Nie są to, a przynajmniej książka o Mozarcie, bo teraz o niej tylko mówimy, nie jest skończoną monografią o wielkim kompozytorze, ale zbiorem listów Mozarta i jego współczesnych oraz przeróżnych notatek czy wspomnień, jakie nam o nim pozostały. Z ogromnej korespondencji Mozarta i obfitego materiału biograficznego wybrał wydawca to, co uznał za najważniejsze dla charakterystyki Mozarta, jako człowieka. Nie opracował jednak tego materiału, ale dał go czytelnikowi, aby sam na tej podstawie wytworzył sobie sylwetkę duchową wielkiego mistrza tonów. — Można zasadniczo tego rodzaju wydawnictwa uważać za mniej wartościowe; w naszym jednak przypadku, może właśnie dlatego, że przemawiają do nas bezpośrednio źródła, na ich tle osobowość Mozarta rysuje się żywo i wyraziście.

S. B.

Erich Przywara S. J.: *Vom Himmelreich der Seele*. Christliche Lebensführung, IV Band: Heimat (VIII, u. 96), V Band (VIII, u. 114 S) Freiburg in Br. 1923 Herder.

J. H. Newmann: *Christentum*, — Ein Aufbau. Aus seinen Werken zusammengestellt und eingeleitet von E. Przywara S. J. Übertragungen von O. Karrer S. J. acht Bände. Freiburg in Br. 1922—1923 Herder.

O pierwszych trzech tomikach dziełka Ks. Przywary „Vom Himmelreich der Seele“ mówiliśmy już w numerze grudniowym Przeglądu z r. 1922 (str. 565). Obecnie wyszły dwa ostatnie. Wkraczamy przez nie w najwyższą sferę królestwa niebieskiego dusz ludzkich. Przez przypowieści Chrystusa patrzymy na ojczyznę dusz naszych, doczesną, która polega na życiu świętem i wieczną u Boga. Boga jednak osiągnąć nie potrafimy jak tylko przez Chrystusa, i oto w ostatnim tomiku staje przed nami Boski Oblubieniec dusz, jako ich brama do wieczystej Ojczyzny, jako pasterz, światło, winny szczep, chleb żywota, zmartwychwstanie i droga. — Sąd nasz wyrażony o pierwszych tomikach, nie uległ zmianie. Wady i przymioty Ks. Przywary pozostały te same, z tym dodatkiem, że wady a przedewszystkiem przesadna aforystyczność stylu i za wielkie naciąganie przypowieści skupiły się w tomiku 4 (Heimat), a zalety w ostatnim (Chrystus).

Na trudną rzecz odważył się Ks. Przywara przez wydanie rodzaju chrestomatji z dzieł Newmana pod ogólnym tytułem: „Christentum“. Trzeba bowiem było najpierw samemu zdobyć syntezę filozofji, teologii i ascetyki newmanowskiej, a potem dopiero podobierać wyjątki z tak ogromnej spuścizny wielkiego Kardynała. Wyniki tej pracy przygotowanej zawiera t. 4 cyklu p. t. „Einführung in Newmans Wesen u. Werk“. Wydawca dzieli się z czytelnikiem rezultatami swych studiów nad Newmanem, pragnie nam ukazać duszę jego i cały system filozoficzny i religijny, prostując przytem przeróżne błędne sądy, jakie wydawano o Newmanie. I tu musimy u Ks. Przywary podziwiać wielką znajomość i opanowanie wszystkich dzieł Kardynała, nie tylko traktatów jego, ale i mów i kazań. — W pozostałych 7 tomikach przemawia do nas już sam Newman; za jego przewodem odbywamy „Drogę do Chrześcijaństwa“ (t. 1—3) drogę upadłego człowieka do religji zbawienia. Z jednej strony widok nędzy, spowodowanej grzechem (t. 1), a z drugiej postać Chrystusa, jako Odkupiciela i istnienie Kościoła, jako Królestwa Zbawienia (t. 2), prowadzą duszę do wiary, aby w niej znalazła odkupienie. Droga do chrześcijaństwa skończona, pozostaje jeszcze dalszy jej ciąg w chrześcijaństwie (Weg im Christentum, t. 5—8). Treścią jej, to urzeczywistnianie jaknajpełniejsze naczelnej idei wiary: „Nieskończony i niepojęty Bóg, przebijający się w obliczu Chrystusa, który ciało swe ma w Kościele“. Myśl tę rozprawiają cztery tomiki. Życie chrześcijanina, to przedewszystkiem życie w łączności z Bogiem i życie w Bogu (t. 5); nie zamyka się ono jednak w ciasnem kole egoizmu duchownego, ale jest równocześnie życiem społecznem w społeczeństwie Kościoła, życiem czynnej miłości braci (t. 6). Nie będąc jeszcze ojczyzną, ale drogą do niej, życie pozostawia człowieka między doczesnością a wiecznością, każe mu być na świecie, ale nie ze

świata, każe mu ten świat przekształcać (t. 7), w rodzinę dzieci Bożych, uczestniczących w Bożej naturze i w Bożem życiu (t. 8), i w ten sposób doprowadza do szczytu godności.

Takim jest w ogólnych zarysach plan i rozkład pracy Ks. Przywary, mającej nam w wyjątkach odtworzyć możliwie najwierniej cały system Newmana. Zapewne nie wszyscy się zgodzą, że to odtworzenie jest naprawdę w każdym szczególe wierne, że oddaje rzeczywistą myśl newmanowską. Ale to nie zmniejsza wartości pracy, ponieważ i Newman, jak każdy wielki pisarz i każda wybitna indywidualność, będzie miał i musi mieć różnych interpretatorów i różne interpretacje, inaczej nie byłby wielkim. Krytyka niemiecka przyjęła omawiane dzieło przychylnie, jedep tylko zarzut uczyniono wydawcom, a mianowicie, że posiekali Newmana na kawałeczki. Zarzut ten słuszny, bo przecież i najlepsza chrestomatja z tak wielkiej spuścizny, jaką jest newmanowska, nie da nam prawdziwego pojęcia o samym autorze. Dodalibyśmy jeszcze drugi zarzut, rażący przede wszystkim nas Polaków. Ks. Przywara nie tylko, że w czwartym tomiku cały trzeci rozdział poświęcił na przedstawienie treści 7 tomików swej pracy, nie dość, że do tego rozdziału dodał jeszcze schematyczny podział materiału przy użyciu całego aparatu „Abteilungów“, rozdziałów, liczb rzymskich i arabskich, ale także każdy poszczególny tomik poprzedza najpierw spisem treści, potem streszczeniem całego tomu, wreszcie streszczeniem poszczególnych rozdziałów. Naprawdę, to trochę za wiele nawet na niemieckie głowy; zbyt nas nuży czytanie i mimo najlepszej sympatji dla pracy Ks. Przywary, nie możemy się uwolnić od wrażenia sztuczności i pewnego naciągania wybranych wyjątków do zgóry obmyślanego planu.

S. B.

Dr. J. Makarewicz: *Przebudowa Społeczna*, Lwów - Warszawa Książnica polska T-wa Nauczycieli Szkół Wyższych, 1923, str. 270.

Po przewrotach światowej wojny zmartwychwstała Polska znajduje się w stadjum wielkiej przebudowy. Praca ta mozolna i trudna tylko wtedy będzie owocną i trwałą, gdy oprze się na zdrowych, rozumnych i syntetycznie ujętych zasadach, bo „jak żaden rozumny budowniczy nie przystępuje do budowy bez dokładnego planu i kosztorysu, tak niepodobna myśleć o jakimkolwiek ustawodawstwie bez wyraźnej decyzji zgóry powziętej, co budować należy“.

Wiele głębokich myśli i rozumnych a zdrowych zasad, tak pożytecznych dla tej tak ważnej a doniosłej budowy, przynosi nam książka Dr. Makarewicza p. t. „Przebudowa Społeczna“. Napisana na ogół „sine ira et studio“, gdyż, jak nam autor na wstępie zaznacza, książka jego „nie ma na celu ani obrony pewnego programu politycznego, ani dostarczania rad, jak w polityce postępować, ma za zadanie tylko zbadanie zjawiska zwanego demokratyzacją i warunków, pod któremi zjawisko to dla społeczeństwa jest korzystnem“ (str. IV). Cel ten osiągnął autor całkowicie. Ścisłe trzymanie się tego założenia uchroniło go od wszelkiego zacietrzewienia partyjnego i pozwoliło mu utrzymać się aż do końca w tonie poważnego naogół studjum i głęboko naukowego. Teoretyczne po-

jęcie demokratyzacji, indywidualizacji, funkcjonaryzacji, niwelacji, socjalizacji i protestalizacji (zawiele tych „acyj”) są ściśle naukowo rozróżnione, co ułatwia bardzo zrozumienie wywodów i twierdzeń autora.

Książka omawia przede wszystkim wszechstronnie demokratyzację społeczeństwa, którą określa autor, jako „dążenie do dostarczenia jednostce równych warunków rozwoju indywidualnego” (str. 182). — Cały szereg świetnych myśli i głębokich twierdzeń, gruntownie przemyślanych i opartych na silnych dowodach o równości i wolności, niwelacji prawnej, ekonomicznej i towarzyskiej, indywidualizacji i centralizacji majątków, dyletantyzmu rządu, znaczeniu warstw wykształconych dla odbudowy państwa, proletaryzacji i infiltracji, ideologii proletarjackiej stanowi bogatą treść książki. Przebija się w niej wielkie i głębokie ukochanie prawdy i dobra narodu. Rozdziały o wielkiem znaczeniu wykształconego i oddanego państwu urzędnika, dyletantyzmie rządu i znaczeniu inteligencji dla państwa są wprost świetne.

Lecz obok tych wielkich zalet są też i braki. I tak jakkolwiek chrystjanizmowi poświęcił autor kilka kart (str. 175—180) i znalazł dlań parę słów uznania, wyczuwa się mimo to, że nie docenia on społecznego znaczenia Kościoła, bo inaczej więcejby widział jego zasług w przeszłości i w czasach obecnych, niż widzi i uznaje.

Także nie można żadną miarą zgodzić się na rozwiązanie kwestji żydowskiej u autora. Demokratyzacja, jak ją pojmuje autor, prowadzi wprawdzie do indywidualizacji, lecz ta ostatnia nie rozwiązuje już bynajmniej kwestji żydowskiej, chyba tylko tam, gdzie skupienie Żydów jest znikomo małe. Natomiast w krajach o milionowych masach zwanego żydostwa, indywidualizacja nie tylko nie rozwiązuje tej zawiłej kwestji, lecz przeciwnie jeszcze ją zaostrza i bardziej zabagnia, gdyż, jak sam autor zaznacza na str. 275, jednostki takie zasilają tyko „szeregi indyferentów”, mające „tendencje kosmopolityczne, ateistyczne, pokrywane maską liberalizmu”. To wszystko jest dla danego społeczeństwa, wśród którego te jednostki są w większym skupieniu, strasznem niebezpieczeństwem tak dla jego narodowości jak dla czystości etyki chrześcijańskiej i wiary. Dlatego absolutnie nie można się zgodzić na zdanie autora, że „nie straci nikt na tem (t. j. na indywidualizacji Żydów) przede wszystkim otaczające społeczeństwo” (str. 267).

Także dziwnem jest twierdzenie, że sjonizm ma na celu przede wszystkim skupienie jednostek, które wyzwoliły się z więzów wspólnoty żydowskiej (str. 260). Przyznajemy, że może to być celem jego drugorzędnym, lecz przyznać trzeba, że ruch ten narodowy (sjonizm) zrodził się pod wpływem nacjonalizmu, który tak potężnie zapanował w 19 w. i wciągnął i „Żydów w orbitę głębokich przemian, tak że poczuli się odrębnym narodem”, jak mówi Chołoniewski (Trzy listy polemiczne), dobry znawca kwestji żydowskiej.

Zarzucić jeszcze można powtarzanie tych samych myśli i dowodów n. p. na str. 107 na dole mówi o skutkach dewaluacji — to samo powtarza znów na następnej zaraz stronie, lub dwukrotnie mówi o dualistycznej etyce szczepu brazylijskiego Bakari (na str. 41 i 169). Podobnie

o odpowiedzi pewnego ministra danej urzędnikom (na str. 136 i 239). Dalej takie wyrażenia, jak „egalitarność“ str. 152, lub „cuganty“ str. 36., nie powinny się znaleźć w polskiej książce.

Sądźmy także, że daleko lepiej odpowiedziałby treści książki tytuł: „Demokratyzacja nowożytnych społeczeństw“ niż „Przebudowa Społeczna“, tem bardziej, że ta ostatnia jest tylko drugim wydaniem książki, wydrukowanej przed 10 laty tegoż samego autora pod powyższym tytułem (t. j. „Demokratyzacja now. społ.“), tylko wzbogaconą wynikami badań ostatnich lat dziesięciu, bez powtórnego przytoczenia bogatego materiału statystycznego i literatury.

Zresztą książka napisana jest stylem prostym, przystępnym, zrozumiałym. — Znaleźć się ona powinna przede wszystkim w rękach naszych posłów i mężów stanu, którzy znajdują tu rozwiązanie jasne i głębokie rozlicznych trudności i niedomagań we wszelkich dziedzinach naszego życia społecznego.

Ks. W. Macko.

Józef Ign. Kraszewski: *Stara baśń*. (Biblioteka Narodowa, Serja I. N. 55), w opracowaniu prof. Konst. Wojciechowskiego, str. XLVIII + 401.

J. W. Goethe: *Cierpienia młodego Wertera*. (Biblioteka Narodowa, Serja II. N. 22), przełożył Franciszek Mirandola, opracował dr. Zygmunt Zagórowski, str. XLVI + 134.

W. Szekspir: *Hamlet*. Przełożył i opracował Andrzej Tretiak, str. 83 + 264. (Krakowska Spółka Wydawnicza).

W epoce nowego narodzenia Polski jako państwa, mile powitać musimy „Starą baśń“, usiłującą rozprościć nieco mroki pierwszej naszej kolebki. Utwór Kraszewskiego, wybijający się nad inne zakrojem epickim i urokiem scen rodzimych słowiańskich, zasługiwał na tak pracowite wydanie, jakim jest „Stara baśń“ w ramach „Biblioteki Narodowej“. Wyczerpujący wstęp prof. Wojciechowskiego mile zachęca do powtórnego choćby przeczytania dzieła, znanego starszym z lat szkolnych i cudnych obrazów Andriollego. Sama powieść, mimo właściwej Kraszewskiemu rozwlekłości, budzi dziś jeszcze żywe zainteresowanie, miłość przeszłości rodzimej, a nowe jej wydanie może zachęci niejednego literata do prób wstawienia odrodzonej Polski równie interesującą powieścią. („Pożoga“ p. Szczuckiej mimo wielu zalet, pozostaje pamiętnikiem).

Piękny, gładki i potoczysty przekład „Cierpień młodego Wertera“ dokonany przez Mirandolę, zasługuje na pełne uznanie. Ważnym on jest dla naszej literatury ze względu na ścisły związek Wertera z „Dziadami“ Mickiewicza. Dr. Zagórowski w pełnym erudycji wstępie daje nam poznać tło, na jakim powstała powieść i oddziaływanie jej na literaturę tak powszechną, jak szczególniejszą polską.

Nie mniej interesującym dla nas jest nowe wydanie „Hamleta“, jako duchowego ojca naszego „Kordjana“. Wstrząsający tragizm królewicza duńskiego, do dziś dnia należy nie wyjaśniony przez krytykę, obudzać będzie zawsze żywe zajęcie wśród kulturalnego świata. Dowodem tego są liczne w ostatnim czasie przedstawienia teatralne tej sztuki. Wstęp ś. p.

Tretiaka rzuca dużo światła na postacie tragedji, jej genezę i środowisko literackie. Sam przekład acz gładki i poprawny, robi wrażenie pewnej ciężkości, tam gdzie poemat przechodzi we formę wierszowaną.

Ks. T. Karyłowski.

Tadeusz Sinko: O tradycjach klasycznych Adama Mickiewicza. Kraków 1923, str. IV + 128. (Krakowska Spółka Wydawnicza).

Stanisław Tarnowski: O „Panu Tadeuszu”. Wydanie II., do druku przysposobił Stanisław Pigoń, Kraków, (Krakowska Spółka Wydawnicza), str. 104.

Wszystko, co pozwala nam głębiej wniknąć w nieśmiertelne utwory Mickiewicza, co daje nam lepiej je zrozumieć i odczuć — stanowi cenny nabytek dla naszego piśmiennictwa. To też uznaniem wielkiem cieszą się studja Mickiewiczowskie tak znakomitego krytyka, jakim jest prof. Sinko, tembardziej, że przynoszą nam one zgoła nowe niespodziewane odkrycia. Zostały w nich objaśnione czynniki, wpływające na stworzenie sonetu „Do Niemna”, odsłaniają się tajniki tradycji literackich „Ody do młodości”, którą nie tak dawno objaśniał też prof. I. Chrzanowski. Improwizacja Konrada staje się nam bardziej zrozumiałą — a nawet owo ciemne imię „44” trafnie jest objaśnione. Zupełnie oryginalną jest próba odgadnięcia zakończenia baśni o królewnie Lali, drukowana już uprzednio w Tygodniku Literackim. Mimo naukowej treści rozpraw broszurę czyta się mile, niby zajmującą powieść, tak lekkim stylem jest pisana.

Rozprawka St. Tarnowskiego o „Panu Tadeuszu” bardzo jest na czasie. W czasie niewoli Macierz Polska dziesiątkami tysięcy egzemplarzy szerzyła w ludzie znajomość precudnej epopeji, której nam pozazdrościć mogą wszystkie nowożytnie narody. Czemuż też we wskrzeszonej Polsce tak potężny czynnik w budzeniu ducha narodowego i miłości swojskich obyczajów — zupełnie został zaniedbany?

Ks. T. Karyłowski.

Edward Leszczyński: Radość samotna. Warszawa 1923, str. 144.
Petroniusz: Uczta Trymalchjona, w opracowaniu Leopolda Staffa, Warszawa 1923, str. 121.

Wacław Sieroszewski: Pism tom VII. Nowele. Warszawa 1923, str. 376.
Tenże: Tom VIII. Na kresach lasów. Powieść. Warszawa 1923, str. 336.

„Radość samotną” witamy mile wśród zalewu surogatów poetyckich, jako dziełko istotnego natchnienia i poezji prawdziwej. Piękna okładka prof. Procajłowicza gustownie zdobi książeczkę, jeszcze piękniejszą dla niej ramę stanowi pełen polotu wstęp Grzymały Siedleckiego, same przecież piosenki mówią o sobie najlepiej. Przebija w nich szczerość uczucia, treść bogata a wyrobiona forma czyni z niektórych zwłaszcza istne cacka literackie, coś na wzór Asnykowskich wierszy. Do takich należy wierszyk:

Zdobywać musisz sam
Swój własny świat w wszechbycie,
Bo wszystko — — sen i kłam
A prawdą — ducha życie.

Ku własnym celom idź
 Niezłomnej wiary siłą,
 Twym prawem rósć i żyć,
 By mocą serce biło, i t. d.

To są perły nieskażone pleśnią futuryzmu, to jakby zwycięski okrzyk niespożytej młodości ducha przeciw wszelkim zakusom wyzwolenia z pęt treści i uczucia, głoszonemu przez wolnych „poetów”.

„Uczta Trymalchjona” w przekładzie wykwiwnym i nowoczesnym daje zajmujący przyczynek do „Quo vadis” Sienkiewicza i jego „Arbitra elegantiarum” Petronjusza.

Oryginalna na tle erotycznym osnuta powieść Wacława Sieroszewskiego: „Na kresach lasów” wzbudzi z pewnością żywe zainteresowanie wśród czytelników. Obraz to walki z dziką przyrodą o podstawowe warunki bytu, pełen tragicznych sytuacji i umiłowania piękna. Znakomity folklorysta kreśli obrazy pełne życia, serce jego umie odczuć niedolę dzikich Jakutów, umie radować się z niemi, to też powieść pełna jest wdzięku i ciepła.

Nowele: „Małżeństwo”, „Być albo nie być”, „Tułacze” znamionuje podobny rozmach epiczny. Obrazy pełne kolorytu i słońca. Szkoda tylko, że psują ich piękno sceny drastyczne i zmysłowe.

Ks. T. Karyłowski.

Kazimierz Morawski: *Walka o język polski w czasach Odrodzenia*. Kraków, nakładem Krakowskiej Spółki wydawniczej, 1923 str. 54.

Olbrzymie trudności i przeszkody miał język polski do pokonania, zanim wywalczył należne sobie miejsce, zanim zdobył prawo obywatelstwa w piśmiennictwie. Od nieśmiałych pierwocin polszczyzny, aż do wspańiałej, majestatycznej prozy Reja, Górnickiego, Orzechowskiego, Skargi. poezji Kochanowskiego krok olbrzymi, osiągnięty dopiero po ciężkich zmaganiach z silnie zakorzenioną u nas łaciną. Dziejami zajmującej tej walki o wprowadzenie języka polskiego i używanie go w piśmiennictwie zajął się znakomity filolog a zarazem gruntowny znawca Złotego wieku, prof. Kazimierz Morawski w ostatniej swej pracy. „Zebrał w niej — jak sam powiada — w pewną całość znane, lecz rozproszone po rozmaitych miejscach wiadomości a przydał im nieco nowych i niewyżyskanych”.

Obudzenie się literatur narodowych przypada na Zachodzie Europy na wiek XI — XIV. Mimo to, język łaciński pozostał nadal panującym, szczególnie w prozie, która wytrwale przez dłuższy czas opiera się wprowadzeniu języków ojczystych; o wiele łatwiej narodowe języki przyjęła poezja. Wyższość jednak łaciny do tego stopnia powszechnie uznawano, że pisarze, chcąc zapewnić sobie rozgłos, tłumaczyli utwory swe na łacinę.

I u nas łacina niepodzielnie panuje w piśmiennictwie przez całe średniowiecze. O ile jednak w średniowieczu ograniczała się znajomość łaciny do sfer wykształconych, do elity umysłowej, to w XVI wieku poczęła przenikać do warstw kulturalnie niższych. W Europie specjalnie Polacy w XVI stuleciu znani byli ze swej biegłości w łacinie, budząc tem

podziw u cudzoziemców. Jako wyraz samowiedzy politycznej i miłości ojczyzny poczyną się budzić w Polsce za panowania Zygmunta I reakcja przeciw powszechnie używanej łacinie. Dołącza się do tego działalność drukarzy krakowskich, takich jak H. Victora, F. Unglera, którzy z dobrze zrozumianego interesu wydają dzieła polskie. Reformacja walczy przyczyniła się do zwycięstwa polszczyzny nad językiem łacińskim. Reformatorzy rozumiejąc, że do mas przemówić mogą tylko językiem ojczystym, zaczęli w dziełach swych używać języków narodowych. Już w 1522 wydał Luter Nowy Testament, a w 1534 całe Pismo św. Przykład ten wkrótce poczęto naśladować we wszystkich krajach, ogarniętych „nowinkami religijnymi“. U nas w 1551 r. wydał Seklucjan w Królewcu Ewangielistów. Ze tłumacz — prawdopodobnie St. Murzynowski — zdawał sobie sprawę z pożytku płynącego z przekładu, świadczy jego przedmowa do Zygmunta Augusta; oświadcza w niej, że przekład ten więcej znaczy niż przyłączenie chociażby kilku królestw do korony polskiej. Działalność różnowierców budzi wreszcie zrozumienie dla języka polskiego u kleru, który niechętnie dotychczas na jego używanie patrzył. Owocem tego zrozumienia są Kromera Rozmowy dworzanina z mnichem (1551-54), wydanie t. zw. Biblii Leopolicy, nieco później dzieła Wujka, Skargi.

Gdy wśród warstw wykształconych za Zygmunta I łacina wszechwładnie jeszcze panuje, to u dołu powstaje tendencja do rugowania jej i zastępowania językiem polskim. Już w 1534 szlachta wielkopolska domagała się na sejmiku w Środzie książek polskich, głównie biblii. „Albowiem — wołała ona wtenczas — każdy język ma swym językiem pismo, a nam księży każą głupimi być.“¹⁾ Już w 1543 statuty sejmowe zrehabilitowano w języku polskim; dalej poszła uchwała sejmowa 1562/3, która żądała, by dawne statuty przetłumaczono na język polski, czego też w siedm lat później dokonał Jan Herburt. Powoli poczyną się wdzierać polszczyzna do kancelarii królewskiej i na dwór Zygmunta Augusta.

Zainterosowanie się językiem polskim zaznaczyło się między innymi nowymi pomysłami ortograficznymi: St. Zaborowskiego, St. Murzynowskiego, Kochanowskiego, Górnickiego, Januszowskiego, powstaniem pierwszej gramatyki polskiej, skreślonej dziwnem zrządzeniem losu przez Francuza, Piotra Statorjusza (Stojeńskiego) w 1568 r., który już dziesięć lat wcześniej, w programie nauki dla szkoły ważne miejsce wyznaczył językowi ojczystemu, i wydaniem przez Jana Mączyńskiego pierwszego słownika łacińsko-polskiego (1564).

Pierwociny piśmiennictwa polskiego, o mało oryginalnej treści, posiadają przeważnie charakter dydaktyczno-moralny. Utwory te bowiem przeznaczone były dla szerszej publiczności nie znającej łaciny. Również poczynne już w średniowieczu psalterze dużo znajdują tłumaczy, żeby tylko wymienić najważniejszych: W. Wróbla, Reja, Trzycieskiego, Jakóba Lubelczyka, Kochanowskiego. Jestto refleksem prądów panujących na Zachodzie Europy, gdzie przekładów psalterza dokonują wybitni pisarze (Luter, Buchanan, Marot, Flamminino).

¹⁾ L. Kolankowski, Zygmunt August, wielki książę Litwy do 154, Lwów, 1913, s. 52.

Prócz literatury religijno-dydaktycznej w latach 1550-1570, w dobie ruchu egzekucyjnego szlachty, pojawiają się pisma polityczne. Dopiero około 1570 nastąpił rozkwit piśmiennictwa narodowego o celach wyłącznie już literackich.

Różne gatunki prozy w niejednakowym czasie poczęły posługiwać się językiem polskim. Szczególnie teologia broniła się, uważając języki narodowe za niezdolne do wyrażania subtelnych pojęć metafizycznych. Kaznodziejstwo polskie, rozwijające się od założenia Uniwersytetu krakowskiego i mające tęgich przedstawicieli w osobach Pawła z Zatora, Łukasza Lwoczyka, Melchjora z Mościsk, stosunkowo mało wydało kazań w języku polskim, głównie dlatego, że tłumaczono je następnie na łacinę. W historjografii dość późno poczęto używać polszczyzny, obok dzieł M. Bielskiego, Górnickiego pojawiają się dzieła Kromera, Heidensteina i i. Również w tak ulubionej w epoce humanistycznej epistolografii, zastępującej poniekąd dzisiejsze dzienniki, łacina panuje wszechwładnie.

Trudności, jakie napotymano, czyto z powodu małego wyrobienia polszczyzny, braku słów, czyto z powodu nieustalonych reguł gramatycznych, powodowały liczne zapożyczenia się z języka czeskiego (M. Bielski, Matelius), ruskiego (Sz. Budny), łacińskiego (Orzechowski, Kochanowski, Skarga).

Rok 1543 stanowi, zdaniem autora, moment przełomowy w walce języka polskiego o swe prawa. W roku tym bowiem umiera największy poeta polsko-łaciński Kl. Janicius, a wychodzą pierwsze dzieła Orzechowskiego, Modrzewskiego (który dziwnem zrządzeniem nic po polsku nie napisał), Reya.

Zmaganie się polszczyzny z łaciną odzwierciedla się najdokładniej w twórczości J. Kochanowskiego. Pod wpływem postulatów narodowej literatury włoskiej i francuskiej, z której przodownikiem Ronsardem poznał się Kochanowski osobiście w czasie swego pobytu w Paryżu, począł autor Francuz tworzyć w języku polskim. Za Windakiewiczem przecenił jednak autor wpływ Plejady na twórczości Kochanowskiego w języku polskim. Tworzył jednak autor Odprawy przez całe życie w obydwu językach, z uwielbieniem odnosząc się do łaciny.¹⁾

Do śmierci Kochanowskiego utrzymał się język łaciński w literaturze polskiej jeszcze przez dwa wieki, pozostał jednakowoż płodem sztucznym.

Wytwornie napisane, nie obciążone balastem naukowym, cenne, chociaż drobne rozmiarami dziełko prof. Morawskiego stanowić będzie dla czytelników lekturę miłą i przyjemną, a dla badaczy, interesujących się zagadnieniem wprowadzenia polszczyzny do piśmiennictwa, będzie punktem wyjścia.

¹⁾ Por. epigramat „O Rzymie“.

Prócz tego nadesłano do Redakcji:

- X. A. Krześciński: Rzeczywistość, poznanie i prawda w dziejach filozofji. Kraków 1923. Gebethner i Wolff. 8^o 131.
- J. Morawski: Le Facet en françoys, édit. critique des cinq traductions des deux Facetus latins avec introduction, notes et glossaire. Poznań 1923. Gebethner i Wolff. 8^o 128.
- X. Kamil Kantak: Początki Franciszkanów w Polsce. Gdańsk 1923. Towarzystwo Wydawnicze Pomorskie. 8^o str. 60.
- O. Mateo Crawley: Notatki i wspomnienia z nauk rekolekcyjnych, przekład z francuskiego. Kraków 1923. 8^o str. 69.
- Adam Żółtowski: Filozofja Kanta, jej dogmaty, złudzenia i zboczenia. Księg. Fischera, Poznań 1923. Nakł. Pozn. Twa Przyjaciół Nauk. 8^o str. 521.
- Paul Janet: Historia doktryn politycznych wraz z historją filozofji prawa, przełożyła E. Rutkowska. Cz. I. Od Sokratesa do Machiavellego. Poznań 1923, Fiszer i Majewski. 8^o str. 192.
- St. Rachwał: Mieczysław Darowski, czyny i słowa. Lwów 1923. 8^o str. 123.
- Dr. Kaz. Konarski: Dzieje szkolnictwa w b. Królestwie Kongresowem 1915—1918. Kraków 1923. Skład główny: Warszawa, Książnica Polska. 8^o str. 280.
- Dr. J. Stufier S. J.: D. Thomae Aquinatis doctrina de Deo operante. Oeniponte 1923. Sumptibus librariae „Tyrolia“. 8^o str. 423.
- Theoph. Spácil S. J.: Conceptus et doctrina de Ecclesia iuxta theologiam Orientis separati. Roma. Pontif. Instituto Orientale. 8^o str. 72.

Z Krakowskiej Spółki Wydawniczej:

Biblioteka Narodowa:

- Jul. Słowacki: Sen srebrny Salomei, wstępem i objaśnieniami zaopatrzył St. Turowski. 12^o str. 187.
- Maur. Mochnacki: O literaturze polskiej w wieku dziewiętnastym. Opracował H. Życzynski. 12^o str. 146.
- J. I. Kraszewski: Budnik, opracował W. Hahn. 12^o str. 139.
- Arystofanes: Chmury, przełożył Bog. Butrymowicz ze wstępem Jerz Kowalskiego. 12^o str. 128.
- Horacy: Wybór poezyj przełożył i opracował J. Zawirowski. 12^o str. 152.

Z nakładu Fel. Raucha, Innsbruck:

- Donat S. J.: Logica, ed. 5 aucta. 8^o str. 227.
- Ontologia, ed. 5. 8^o str. 259.
- Psychologia, ed. 5 aucta. 8^o str. 474.
- Fr. Kortleitner O. Praem.: Hermeneutica biblica. 8^o str. 59.

Z Książnicy Polskiej Twa Nauczycieli Szkół Wyższ. Warszawa:

- Zygm. Łempicki: Renesans, oświecenie, romantyzm. 8^o str. 234.
- T. Małarski: O radiotelegrafji. 8^o str. 68.
- Z. Fuchs: Budowa materji. 8^o str. 32.
- J. Łomnicki: Z życia mrówek. 8^o str. 24.
- Przyroda i technika, rocznik II, zes. III i IV.
- Przegląd wydawnictw Książnicy Polskiej. r. IV nr 3.

Pawłowski, Bystroń, Peretiatkowicz: Polska Współczesna, geografia kultura, ustrój. 8^o str. 173.

Z nakładu J. de Gigord'a, Paris (Casette, 15):

Mgr. Baunard: Frédéric Ozanam d'après sa correspondance 5 édit. 8^o str. 616.

— Le Vieillard. La vie montaine. Pensées du soir. 40 tys. 8^o str. 523.

Mgr. d'Hulst: Pages choisies. 8^o str. 380.

— Hélène Touvé (1881—1915) Soeur André de Marie-Immaculée, catechiste-missionnaire aux Indes, d'après sa correspondance. 8^o str. 461.

Lacordaire: Lettres a deux jeunes Alsaciens-Lorrains (1846—1861). 8^o str. 237.

Elis. Leseur: Lettres a des incroyants. 12^o str. 380.

— La vie spirituelle. 20 tys. 12^o str. 449.

— Lettres sur la souffrance. 28 tys. 12^o str. 345.

— Journal et pensées de chaque jour. 67 tys. 12^o str. 338.

Alb. Bessières: Ames nouvelles, préface de M. R. Bazin, 8 édit. 12^o str. 242.

Z Instytutu Wydawn. „Biblioteka Polska“, Warszawa:

W. Shakespeare: Venus i Adonis z angielskiego przełożył Jan Kasprowicz. 24^o str. 52.

W. Sieroszewski: Pisma, t. IX. Ucieczka. 8^o str. 433.

Leop. Staff: Wawrzyny, dramat w 3 aktach. 12^o str. 112.

— Ścieżki polne, wyd. 2. 12^o str. 155.

— Łabędź i lira, wyd. nowe. 12^o str. 191.

— To samo, dramat w 3 aktach, wyd. 2. 12^o str. 121.

J. Weysenhoff: Puszcz, powieść, wyd. nowe. 12^o str. 412.

Z wydawnictw Herdera we Fryburgu:

Die deutsche Dichtung in ihren kulturellen Zusammenhängen mit charakteristischen Proben. Eine Geschichte der deutschen Literatur. 8^o str. XXXII i 1108.

I. Teil: Dichtung des Mittelalters, von Dr. A. Kahle.

II. Teil: Vom Humanismus bis zu Goethes Tod, von Dr. Friedr. Kortz.

III. Teil: Von der Romantik bis zur Gegenwart, von Dr. F. Fassbinder.

P. Klotz O. S. B.: Vom Nil zum Kap. Reisebilder aus Afrika mit 24. Bildern u. 1. Karte. 12^o str. 152.

H. Perreyve: Der Tag des Kranken. 12^o str. 188.

Alf. Heilmann: Zwischen Alltag und Ewigkeit. Sonntagsgedanken. 12^o str. 200.

Mor. Meschler: Apostolat. 12^o str. 98.

A. M. Weiss O. Pr.: Die Kunst zu leben. 13. Aufl. 12^o str. 562.

P. Lippert S. I.: Die Sakramente Christi. 12^o str. 142.

Jos. Dahlmann S. I.: Japans älteste Beziehungen zum Westen 1542—1614 in zeitgenössischen Denkmälern seiner Kunst, mit 6 Tafeln, 8^o str. 72.

Rud. Borch: Bilderatlas zur Geschichte der Pädagogik mit begleitendem Text, chronologischer Übersicht u. Bücherkunde, Fol. str. 123.

P. Sinthern S. J.: Religionen und Konfessionen im Lichte des religiösen Einheitsgedankens. 8^o str. 192.

Sprawozdanie z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Tegoroczne beatyfikacje. — Tydzień pisarzy katolickich w Paryżu. —
O święto kościelne na 3 maja.

Rzymska wiosna jest nie tylko porą budzącej się bujnie przyrody. Świeża zieleń rozkwitłych winnic i żywiczna woń rozwiniętych pąków pinii pod niepokalanym a głębokim błękitem włoskiego nieba służy za tło, na którym rozwija się haft złoty duchowego bogactwa Kościoła. W miesiącach wiosennych zwykły się odbywać kanonizacje i beatyfikacje, wymowne dowody nieustannego życia i niezamierającej płodności Oblubienicy Chrystusowej.

W tym roku nie było uroczystych kanonizacyj. Za to poczet błogosławionych pomnożył się o trzy imiona, świętynie katolickie wzbogaciły się o trzy ołtarze. Dekrety beatyfikacyjne Piusa XI wyniosły na nie trzy postacie, które, żyjąc w różnych i wzajemnie odległych czasach, służyły tejże sprawie: czci Bożej przez miłość Chrystusa i ludzkich dusz.

Beatyfikowani zostali w kwietniu i maju tego roku: Robert Bellarmin, jezuita, potem arcybiskup i kardynał, Michał Garicoïts, założyciel zgromadzenia kapłanów Serca Jezusowego z Betharram, i Teresa od Dzieciątka Jezus (z domu Martin), karmelitanka.

W tych trzech postaciach wypowiedziała się harmonijna różnorodność środków, jakimi spełnia swoje dziejowe posłannictwo Kościół katolicki. Kard. Bellarmin to typ i wzór tych żołnierzy wojującego Kościoła, co słowem i piórem bronią jego dziedzictwa — nauki objawionej przed zakusami błędu; Ks. Garicoïts to jeden z tych cichych bohaterów, co żyjąc tylko poświęceniem się dziełom miłosierdzia i nauczania, pozyskują rzesze dla królestwa Bożego; wreszcie Teresa od Dzieciątka Jezus to ukryta dziecięca miłość, która gdy inni

pracują i walczą, ona zatopiona w kontemplacji Bożej miłości, kocha, modli się i kochaniem i modlitwą zjednywa łaskawe wejrzenie Jezusa i Jego błogosławieństwo dla pracującego i walczącego z wrogami Kościoła.

Zestawienie tych trzech postaci błogosławionych, a zwłaszcza historii ich popularności w Kościele zdaje się uczyć nas jeszcze jednej bardzo ważnej rzeczy. Chrystus potrzebuje w swoim Kościele bez wątpienia i poświęcających się misjonarzy i wychowawców i żarliwych apologetów — i takich Kościołowi nigdy nie zabraknie; ale przez historję czci nowych błogosławionych zdaje się potwierdzać nanowo wyrzuczone przez siebie do Marty słowa o Marji: „Ona lepszą część obrała“. Zapewne niemała jest chwała największego apologety katolickiego z końca XVI wieku, znaną jest i w ojczyźnie i za morzami postać założyciela jednego z misyjnych zgromadzeń — jednak imię żadnego z nich dwóch nie stało się tak szybko znanem i tak szeroko popularnem wśród wierzących wszystkich krajów, jak imię „małej Tereski“, cichego kwiatka Jezusowego ogrodu, która ukryta przed światem na dzisiaj, zwróciła ku sobie oczy świata katolickiego prawie na jutro po swojej śmierci i dostąpiła już u współczesnych sobie tej czci publicznej, jaką wielkim pracownikom Kościół przyznaje niekiedy dopiero po kilku pokoleniach, albo i wiekach. Czy nie mamy tu lekcji oceniania tych powołań, które materialistyczny światopogląd uważa za niepożyteczne, i tych cichych cnót, o których nie piszą współcześni, które wszakże są prawdziwem bogactwem ludzkości?

Do najbardziej obiecujących objawów odrodzenia religijnego Francji należy odnieść rozwój katolickiego piśmiennictwa. Nie chodzi o teologiczne piśmiennictwo francuskie, które i liczbą i wysokim naukowym poziomem publikacyj zajmuje dzisiaj pierwsze miejsce; chodzi o piśmiennictwo pozaszkolne, o publicystykę, powieść, dramat, historję etc, które natchnione duchem wiary i kościelności spełnia iście apostołską w świecie misję. Właściwością Francji, godną szczególniejszego podkreślenia, jest wielki udział świeckich piór w tej służbie wierze i Kościołowi. Jakby dla zrównoważenia tej szkody, jaką chrześcijaństwu wyrządza od czasów Woltera, wydając apostołów i fanatyków ateizmu, posiadała Francja również zawsze zdecydowanych i konsekwentnych katolików wśród szczytów swej świeckiej inteligencji. Kraj, w którym wciągali się w służbę religijni ludzie tej miary, co Ozanam, Veuillot, Brunetière, Coppée i całe szeregi innych znakomitości literackich, ma zapewnioną katolicką przyszłość.

Francuscy pisarze katoliccy nie tylko w pojedynkę każdy

orze swój zagon, ale odczuwają żywo potrzebę jednolicie skoordynowanej pracy. W tem odczuciu zarodziła się myśl zwoływania corocznie pisarzy katolickich na tydzień, poświęcony omawianiu zadań prasy katolickiej. W chwili, gdy piszemy niniejsze sprawozdanie, odbywa się właśnie w Paryżu taka „La Semaine des Écrivains catholiques“, otwarta 28 maja. Mamy dopiero sprawozdanie z dwóch dni tego „tygodnia pisarzy“ i dlatego nie możemy jeszcze dać oceny rezultatów zjazdu. Możemy wszakże zwrócić uwagę naszych czytelników na wytyczne jego myśli.

Tegoroczny „tydzień“ jest trzecim z rzędu tygodniem pisarzy katolickich. Każdy z nich grupował roztrząsane zagadnienia około jakiejś jednej centralnej idei. W roku ubiegłym naprz. omawiano w szeregu roztrząsań laicyzm, to jest zeświecczenie rozmaitych dziedzin publicznego życia, a więc małżeństwa, szkoły, prawodawstwa, literatury, sztuki, nauki. Tego roku uczestnicy „tygodnia“, nawiązując do tegoż tematu, stanęli wobec faktu, jaki laicyzm stworzył: postępującego coraz bardziej odchrześcijanienia kraju i zamierzają nakreślić plan obrony ideałów chrześcijańskich, receptę na „odkażenie dusz“ z zarazy laicyzmu. Z przemów, jakie zaraz po otwarciu „tygodnia“ wygłosili Mgr Lesne, O. de Grandmaison, O. Cavallera, p. Bernoville i inni, widzimy, że zjazd zdaje sobie sprawę z potrzeby spopularyzowania pisarstwa katolickiego, by oddziaływało nie na samą tylko elitę społeczeństwa, ale starało się dotrzeć swemi wpływami do szerokiego ludowego mas. Drugą wytyczną myślą — to *solidarność* wystąpień publicystów katolickich we wszystkich sprawach, w których wchodzi w grę interesy religii i moralności narodu. Przy dopuszczalnych różnicach zapatrywań w kwestjach politycznych i społecznych, katoliccy pisarze muszą jednomyślnie działać, gdy chodzi o obronę podstaw. W dalszych dniach swego „tygodnia“ mają właśnie pisarze katoliccy uświadomić sobie, jakie pozycje katolickiej nauki i katolickiego życia wymagają w tej chwili zgodnej obrony i zorganizowanej propagandy.

Tydzień pisarzy katolickich we Francji czy nie mógłby posłużyć za wzór do zszerzegowania pisarskich sił katolickiej Polski? Charakterystycznymi cechami naszych literatów i publicystów jest małe na ogół uświadomienie katolickie i pewna żenada do otwartego przyznania się do katolickich przekonań. Otwartych wrogów wiary i Kościoła znajduje się u nas mniej, niż gdzieindziej, za to ci, co naogół do katolicyzmu się przyznają, szkodzą mu przez swój absenteizm, kiedy chodzi o wyznaczenie jego zasad, lub przez niezręczną ich obronę. Gdyby się dało przyzwyczyć żenadę i obojętność, wzajemne zbliżenie się katolickich pisarzy i wspólne przestudjo-

wanie przez nich katolickich zasad i postulatów przyczyniłoby się do wyciśnięcia na naszej literaturze i publicystyce bardziej katolickiego piętna i wzmocniłoby te podstawy, na jakich wspiera się w pierwszej mierze budowa naszego narodowego bytu.

Uporządkowaniem świąt w Polsce winien się zająć sejm w jaknajbliższym czasie. Nie ulega wątpliwości, że nadmierna ilość dni świątecznych w roku szkodzi sprawie uprzemysłowienia naszego kraju i ten wzgląd miał na myśli Benedykt XV papież, gdy zredukował znacznie ilość obchodzonych uroczyscie świąt. W Polsce po ogłoszeniu nowego kodeksu prawa kanonicznego również ustał już obowiązek kościelny świętowania pewnych dni, jakkolwiek w świątyniach zachowano do czasu w te dni dawne nabożeństwa. Kolej teraz na Państwo, by skreśliło nieobowiązujące już święta z katalogu dni, w których odpoczywają urzędy, szkoły, przemysł i handel.

Kiedy życie domaga się od Państwa przystosowania swego kalendarza do kalendarza kościelnego, poważne również względy zdają się przemawiać za ustanowieniem jednego nowego kościelnego święta w przystosowaniu się do kalendarza narodowego Polski. Chodzi o dzień 3 maja. Dzień ten, pamiątka wiekopomnej próby odrodzenia narodu, został, jak wiadomo, uchwałą sejmu konstytucyjnego zmartwychwstałej Polski, podniesiony do godności obowiązkowego narodowego święta. W dniu tym ustaje wszelka praca ciężka obywateli i wszelka działalność publicznych urzędów. Dlaczegożby nie obowiązać wierzących katolików do odwiedzenia w ten dzień świątyni Pańskiej i połączenia modłów z Kościołem o błogosławieństwo dla Ojczyzny? Zresztą usankcjonowałoby się tylko prawie już powszechny zwyczaj: wszak niema w Polsce kościoła, w którymby nie odprawiano w tym dniu „patriotycznego“ nabożeństwa i który nie byłby pełen wierzących synów Polski.

Pytanie się tylko nasuwa, jakie kościelne miano nadać temu świętu? Ośmielamy się poprzeć projekt, który, jak słyszeliśmy, jest już rozpatrywany w poważnych kościelnych sferach. Miesiąc, w którym Sejm czteroletni ogłaszał konstytucję Polski, stał się z zaprowadzeniem majowych nabożeństw miesiącem Marji. Marję, Królowę niebios, naród nasz czci jako królowę Polski. Z jej rezydencji częstochowskiej powiał w dni potopu na nasz naród powiew odradzającej otuchy; do jej przemożnego wstawiennictwa instynkt religijny naszego narodu odnosi „cud Wisły“. Dlaczegożby święta narodowego odrodzenia nie uczynić świętem Tej, która królowała narodowi wtedy, kiedy zaginęły królewskie

insygnja Polski, Tej, w której naród widzi niebieską obro-
nicielkę swego ducha i swojej wolności? Dlaczegożby nie
poświęcić szczególnie Królowej Korony polskiej tego
jednego dnia w miesiącu poświęconym jej, jako Królowej
chrześcijańskiego świata? Takie rozwiązanie tembardziej się
narzuca, że już niektóre diecezje wyrobiły dla siebie u Sto-
licy Apostolskiej indult na obchodzenie takiego święta
w pierwszą niedzielę maja; inne znowu posiadają święto pod
wezwaniam Matki Boskiej Częstochowskiej. Wypadałoby
tylko ujednostajnić ten kult dla całej Polski, dając mu jeden
wyraz i przeznaczając jeden stały dzień, dzień święta naro-
dowego Konstytucji 3 maja. Kościelne officium, jakie na ten
dzień przypada, Znalezienia św. Krzyża, musiałoby być na stałe
przeniesione na dzień inny. Nie wątpimy, że obecny papież,
przyjaciel Polski, Pius XI, z radością przyjąłby prośbę w tym
duchu i usankcjonował nowe święto, symbol zespolenia na-
szego narodu z Kościołem i ze czcią Królowej niebieskiej.

Ks. J. URBAN.

Wycieczka z ks. Breuil w czasy przedhistoryczne.

Francję można słusznie uważać za kolebkę i centrum archeologii
przedhistorycznej, przynajmniej co do epoki paleolitycznej (wczesnego
kamienia). Liczba i jakość odkrytych pokładów, różnorodność typów prze-
mysłu i kultury, i fakt, że Francuzi rozpoczęli przed innymi te prace,
sprawiły, że okresom czwartorzędu paleolitycznego nadano powszechnie
nazwy stacyj francuskich, w których porobiono poszczególne odkrycia.
Aurignac w Haute-Garonne, Solutré w Saône-et-Loire, La Madeleine
w Dordogne dały nazwę poszczególnym fazom przemysłu z epoki kamie-
nia. Wykopaliska La Chapelle-aux-Saints, La Ferrassie i La Quina, do-
starczyły najbardziej kompletnych i znanych typów rasy kopalnej, zwa-
nej néanderthalską, współczesnej narzędziom z Mouster; bardziej jeszcze
pierwotne fazy przemysłu, właściwe rasie kopalnej weimarskiej i krapień-
skiej, zostały od miejscowości francuskich nazwane.

Pomiędzy inicjatorami tej gałęzi wiedzy należy wymienić w pierw-
szym rzędzie Piette i Mortillet. W szkole obecnej, obok szerokiej syntezy,
opracowanej przez Dechelette w jego „Manuel d'archéologie préhistori-
que“, na nieszczęście przerwanej przez bohaterską śmierć autora, widnieją
nazwiska Carthailhac i ks. Henryka Breuil. Ten ostatni przyczynił się
więcej niż ktokolwiek inny do uczynienia z archeologii przedhistorycznej
wiedzy, opartej wyłącznie na obserwacji, wolnej od uprzedzeń i roman-
tycznych hipotez.

Ks. Breuil specjalizował się w studjach okresu paleolitycznego
starszego. Jego głównymi dziełami z tej dziedziny są „La question auri-
gnacienne“ (1907) i „Les subdivisions du paléolithique supérieur“ (1912).

Razem z Carthailhac i dr. Capitan poświęcił się on zwłaszcza badaniom sztuki, malarstwa i rzeźby w epoce czwartorzędu starszego. Podczas uciążliwych i długich podróży badał on osobiście jaskinie i schroniska skalne we Francji poł. i Hiszpanji, zbierając z rysunków, obrazów rytych i malowanych i z rzeźb najbardziej drobiazgowo i ściśle kopje, które weszły do wszystkich podręczników i publikacyj naukowych.

Tak przedstawia się uczony, który w ciągu podróży naukowej, przedsięwziętej po Europie środkowej w celu wejścia w styczność z uczonymi tych krajów i zobaczenia jaskiń, pokładów i zbiorów naukowych, zabawił niedawno temu krótki czas w Polsce. Kraj nasz interesował go szczególnie. Jak się tego spodziewał, przekonał się osobiście, że już w tych odległych czasach ziemie polskie służyły jako punkt zbieżny dla różnych prądów, biegnących ze wschodu i zachodu. W zbiorach Akademii Umiejętności w Krakowie podziwiał najpiękniejsze okazy ostrzy z kości słoniowej z Aurignac, jakie kiedykolwiek widział. Podczas krótkiej wycieczki do znanych jaskiń w Ojcowie nie znalazł tam wprawdzie śladów malarstwa ani sztuki skalnej, ale uznał to miejsce za niezmiernie ważną stację dla badań epoki paleolitycznej w Europie środkowej. Oglądnął również z żywym zainteresowaniem piękną kolekcję czaszek, zwłaszcza azjatyckich, zebranych przez prof. Talko-Hryniewiczza w instytucie antropologicznym uniwersytetu Jagiellońskiego. Ks. Breuil przywiązuje wielką uwagę do współpracy uczonych polskich, którzy przez swe prace, znajomość języków i stacyj wschodnich, nawet azjatyckich, są przedewszystkiem powołanymi do pośredniczenia pomiędzy nauką zachodnią a temi mało jeszcze znanemi krajami.

Ks. Breuil został w Czechosłowacji przyjęty przez wysokie ciała naukowe w sposób godny jego sławy i zasług; umiał też ocenić serdeczną gościnność polską. W Krakowie, Warszawie i Lwowie miał odczyty publiczne o sztuce w epoce renifera. Odczyt krakowski, urządzony staraniem prof. Talko-Hryniewiczza i koła d' Etudes françaises, na którego czele stoi dziekan Kallenbach, ściągnął do sali Tow. lekarskiego doborową publiczność, która nie zdołała się nawet pomieścić. Dzięki uprzejmości uczonego profesora, możemy podać dokładne streszczenie tego odczytu, mianego 19 kwietnia b. r.

W epoce zimnej i suchej, która kończy okres lodowców, wtedy kiedy nasze okolice zaludniały jeszcze mamuty, rynecerosy wełniste, reny, piżmowce, żubry, dzikie konie, lwy, wielkie niedźwiedzie i hieny, Europa zamieszkaną była przez ludy różnych ras, powstałych pod innym niebem, ale podobnych do niektórych dzisiejszych typów białych (rasa Cro-Magnon), żółtej (rasa Chancelade) i czarnych (rasa Grimaldi). Te ludy które żyły wyłącznie z polowania i zbieraniem owocami, i które nie znały jeszcze ani zwierząt domowych ani uprawy ziemi, ujarzmiły po swem przybyciu ludność pierwotną, pochodzącą z prastarej gałęzi ludzkości, bardzo jeszcze prymitywną i znaną w paleontologii pod nazwą rasy Weimar, Krapina i Néanderthal.

Nowi przybysze przebiegali Europę podczas swych wędrówek;

w ziemie mieszkali w grotach i schroniskach skalnych, w lesie obozowali pod gołem niebem w namiotach ze skór. W miejscach tych obozowisk gromadzili dokoła swych siedzib resztki swej kuchni i szczątki narzędzi z krzemienia, kości słoniowej, rogów lub kości rena. Znalezione również groby z tych czasów. Tam też, w miejscach owych obozów i grobach, znaleziono, naprzód we Francji w r. 1863, pierwsze ślady sztuki rzeźbiarskiej i graficznej, postaci drobnych figur ludzkich i zwierzęcych, wykonanych w kości słoniowej, rogach rena i kamieniu. Znalezione również obrazy ryte linjami podłużnymi na tym samym materiale i przedstawiające ówczesne zwierzęta. W epoce Aurignac przeważa tu postać ludzka, zwłaszcza kobiety o kształtach bardzo wydatnych, według typu, zwanego niekiedy Venus hottentocka. Postać ludzka jest wyrażona w statuetkach, płaskorzeźbach i sztychach. W epoce solutryjskiej zastajemy najwięcej rzeźb w kości słoniowej, kamieniu, oraz nieco sztychów. Stacja Predmost w Czechach dostarczyła pięknych okazów tej sztuki. W epoce Madeleine zauważa się już pewną ewolucję. Z początku napotyka się rzeźby i sztychy, przeważnie zwierząt; w przedmiotach tych uderza wielki realizm w sposobie przedstawiania; artysta potrafił ze zdumiewającą genialnością przystosować swój motyw do własności materiału, z którego wykonał dzieło. Później zadawano się wyrzynaniem sylwetek na płaskich lub drobnych kościach; pod koniec tego okresu przeważa, a nawet panuje wyłącznie sztych, wykonany ostrym krzemieniem.

Lecz sztuka ówczesnych myśliwych, polujących na reny, nie ograniczyła się tylko do rzeźby lub rycia w kamieniu i kości zwyczajnej lub słoniowej. Zdolności swych użyła także do ozdabiania ścian jaskiń, do których dotarła; jest to tak zwana *sztuka ścienna*.

Nieprędko ją spostrzeżono, a odkrycie, czysto przypadkowe zawdzięczamy siedmioletniej dziewczynce. W r. 1879 markiz de Santuola kopął ziemię w grocie Altamira w pobliżu Santander. Córeczka jego była przy nim i zapewne nudziła się nieco; podniósłszy przypadkiem czyiś na powałę jaskini, ujrzała pięknie i doskonale zachowane obrazy zwierząt. Piękność ich wzbudziła nawet u uczonych powątpiewanie o ich autentyczności. Lecz w r. 1895 E. Rivière odkrył w jaskini La Mouthe, w Dordogne, figury wyrte, pokryte częścią stalaktytami, częścią zasypane nie ruszaną jeszcze ziemią. Następnego roku inny badacz znalazł znowu w Pair-non-Pair (Gironde) obrazy zwierząt, pokryte całkowicie jeszcze nienaruszonymi pokładami z epoki aurignacjeńskiej.

Poczynając od r. 1901 odkryć tych jest coraz więcej w Périgord, w Pirenejach francuskich i w Hiszpanji, w okolicy Santander. Pomiędzy niemi zasługuje na wzmiankę odkrycie, dokonane przez hr. Bégouen i jego synów w jaskiniach sąsiadujących z Tuc d'Audoubert et des Trois Frères, w Pirenejach francuskich. Tuc d'Audoubert jest to obszerne grotę, do której można się dostać łodzią na odległość 60 metrów w głąb. Dolne jej galerje przedstawiają niektóre ciekawe rysunki; na górnym piętrze, do którego dostęp jest bardzo trudny, znajduje się galerja, zamknięta przez stalaktyty, które trzeba było dopiero wyłamać, aby móc wejść do środka. Gliniasta powierzchnia ziemi stwardniała w tej jedno-

stajnej, niezmiennej atmosferze, a w niej zachowały się wszystkie ślady. Widać tu ślady łap niedźwiedzia jaskiniowego i szerokie zagłębienie z wyciśniętymi włosami; w tem miejscu zwierzę położyło się, aby zgiąć. Potem nadszedł człowiek; znalazł zwłoki i usiadł, aby je poćwiartować; widać bowiem ślady nóg ludzkich i miejsce, gdzie myśliwy usiadł. Na końcu galerji blok odpadły podtrzymuje oparte o niego dwie wspaniałe statuy, modelowane w glinie, przedstawiające dwa żubry, idące jeden za drugim, każdy z nich długi 60 cm. W grocie Trois Frères znajduje się na końcu galerji, długiej na 700 metrów, rodzaj naturalnej absydy, której dolne ściany są ozdobione długim fryzem z wizerunkami zwierząt, żubrów, koni, renów i kozłów skalnych; wysoko nad nimi figuruje jakaś wielka postać; ma ona korpus męczyzny, głowę czy też maskę z brodą, długimi uszami i rogami jelenia; jest to może czarnoksiężnik, albo prawdopodobniej bożek tego szczepu myśliwskiego.

Ks. Breuil badał i kopjował prawie wszystko co znamy z tych dekoracyj malowanych, rytych lub rzeźbionych na ścianach jaskiń. Usiłował on odkryć cały ich rozwój, poczynawszy od skromnych rysunków, wykonanych prymitywnie rylcem, aż do wspaniałych fresków w rodzaju polichromji, najwyższego ostatniego stadjum tej sztuki, która miała również swe skromne początki, potem epokę klasyczną i wreszcie epokę upadku, zanim jeszcze cywilizacja, której była wyrazem, znikła pod inwazją form nowokamiennych (neolitycznych).

Ewolucja ta idzie w dwóch liniach równoległych. Z jednej strony sztuka malarska bierze początek w odciskach rąk i śladach palców, zrazu może przypadkowych. Wnet dołączają się do nich rysunki, nieśmiałe jeszcze. Potem już sylwetki zgrabniejsze, wykonane linjami delikatnymi lub grubemi i zamazanemi, albo też rysowane zapomocą kropek. Znajduje się również piękne rysunki czarne modelowane, o wybitnym już smaku artystycznym, przedstawiające zwierzęta z uwagi godnem odczuciem linii i ruchów: konie, żubry, reny itd. Figury bez wątpienia późniejsze były malowane bez modelowania; innym, brunatnym, towarzyszą linje ryte, bardzo staranne. W końcu następują piękne kompozycje wielokolorowe, w barwach: czerwonej, czarnej i brunatnej, przedstawiające stale te same zwierzęta, niekiedy w połączeniu z postaciami ludzi, jak np. bożek z Trois Frères. W tym czasie zauważamy wtargnięcie z południa pewnej schematycznej sztuki, która się kończy figurami azylijskimi, o jakich wspomniemy poniżej.

Farby przygotowywano z okry mineralnej, zmieszanej i rozfartej z tłuszczem i nakładanej zapomocą pędzla i łopatk.

Z drugiej strony rytownictwo i rzeźba poczynają się w podobnych warunkach z odcisków, robionych palcami na gliniastej powierzchni. Myśliwy paleolityczny bawił się zrazu temi dziwaczными zarysami, potem przyszło mu na myśl, żeby otaczać linjami naturalne nierówności skał i w ten sposób wynaleziono nowy sposób przedstawiania. Później rytowano ostrym końcem krzemienia na twardej skale. W dawnym „Madeleine” spotyka się figury wcale głęboko wryte; widzi się nawet zwierzęta przedstawione w bardzo silnej płaskorzeźbie, zwłaszcza na jednym

fryzie, przedstawiającym rząd koni. Mówiliśmy już o całkowicie modelowanych figurach dwóch żubrów w Tuc d' Audoubert. Pod koniec Madeleine sztychy stają się coraz płytsze i przechodzą w końcu w prosty rysunek, którego używa się dla naszkicowania fresków polichromowanych.

Jaki cel i znaczenie miały te figury? Przedewszystkiem wypada zaznaczyć, że najlichniesze i najpiękniejsze dzieła sztuki nie zdobią jaskiń, któreby zwyczajnie mogły służyć za mieszkania. Znajdują się one w miejscach, do których dostęp najtrudniejszy, ukrytych przed światłem dziennem. Artysta musiał je oświetlać pewnego rodzaju prymitywnymi świecami, zrobionymi z tłuszczu, w którym się palił knot z włókien. Dostęp do tych izb malowanych jest niekiedy możliwy tylko zapomocą drabiny lub czołgania się. Zwierzęta, przedstawione w nich, są często prześzyte strzałami, albo też widać jakiś ich organ życiowy, np. serce. Charakterystycznym jest również, że przeważają samice zwierząt. Naprowadza to na myśl, że owe przyozdobione miejsca były pewnego rodzaju sanktuarjami. Podobne zwyczaje, obserwowane u niektórych ludów myśliwskich w Australji, mogą nam dać klucz do zrozumienia tych figur. Zwierzęta przedstawiano w ten sposób zapewne dlatego, aby dać człowiekowi magiczny środek oddziaływania na pomyślny wynik polowania i na mnożenie się zwierząt. Postać czarnoksiężnika czy też bożka w jaskini Trois Frères tłumaczy się też bardzo dobrze w tem przypuszczeniu.

W tym samym okresie, kiedy paleolityczni myśliwi południowo-wschodniej Francji i północno-wschodniej Hiszpanji ozdabiali w ten sposób swe sanktuarja, inny lud, zamieszkujący wschodnią Hiszpanję, malował w schroniskach skalnych sceny z polowania i życia swojskiego. Zwierzęta są zwyczajnie prawie te same, co w sztuce, którą się tu głównie zajmujemy; przeważnie jeleni, bawół i kozioł skalny. Ale zwierzęta te znajdują się obok licznych postaci ludzkich, myśliwych i wojowników, uzbrojonych w łuki i strzały, o głowie ozdobionej piórami, noszących u kostek lub kolan rodzaj ozdobnych podwiązek. Niekiedy mężczyzna jest uzbrojony w dzidę, albo też ma rodzaj torby myśliwskiej lub szeroki kołnierz. Jest on bez ubrania. Widzi się go napinającego strzałę na zwierzynę, albo ścigającego ją całym pędem, to znowu siedzącego lub rozmawiającego z niewiastami, albo tańczącego. Kobiety są ubrane w rodzaj krótkiej spodnicy, sięgającej zaledwie poniżej kolan i niekiedy w coś podobnego do bluzy; ramiona i rzadziej łydki są ozdobione pierścieniami; na głowie niema nigdy piór. Tu widzi się kobietę, prowadzącą za rękę nagiego chłopczyka; tam inne tańczą grupami dokoła postaci, podobnej do satyra. Niekiedy kobieta jest wmieszana do sceny polowania, lecz wtedy jest bez ubrania. Niektóre sceny z polowania lub walki są bardzo charakterystyczne przez intensywne życie, jakie się tam objawia.

Sztuka ta wyradza się jednak i staje schematyczną; żywe formy przechodzą stopniowo w system linii, przypominających w coraz bardziej nieokreślony sposób pierwotną sylwetkę i przechodzących ewolucję aż do form czysto dekoracyjnych. W pierwszych swych formach schematyzowanych sztuka ta charakteryzuje epokę przejścia do neolityku, później zaś sam neolityk. We Francji zastępuje ona sztukę z okresu magdaleń-

skiego; w Hiszpanji kończy się utworzeniem zespołu symbolów, podobnych do tych, które we wschodnich krajach śródziemnomorskich dały początek pierwszemu pismu.

Tak przedstawia się w grubszych zarysach historia sztuki u myśliwych okresu paleolitycznego, którzy okazują tak żywe odczucie kształtów linii i ruchów zwierząt i którzy bez wątplenia odślaniają równocześnie do pewnego stopnia swe pojęcia religijne. Zastępują je później ludy osiadłe, które będą uprawiały ziemię i chowały zwierzęta domowe, założą osady na miejsce hord koczujących i wogóle wprowadzą formy społeczne, które żyją jeszcze pośród nas.

Będąc specjalistą paleolityku starszego, ks. Breuil interesuje się jednak wszystkimi rodzajami działalności czasów przedhistorycznych; jego rozległe wiadomości etnograficzne pozwoliły mu wydać uzasadniony sąd w sprawie bardzo ciekawego zbioru drobiazgów kopalnych, przechowywanych w krakowskiej Akademji Umiejętności. Przedmioty te znalazł w wielkiej ilości G. Ossowski w grotach Mnikowa. Są one wyrzynane w kości kopalnej i w płytach wapienia i przedstawiają na przedmiotach do codziennego użytku, jak rylcach i ostrzach nożów, wielką ilość drobnych postaci ludzkich i zwierzęcych, ssaków i ptaków, wyrzniętych z niepospolitą zmyślnością. Kształt naturalny i wystające części kamienia czy kości zostały niekiedy zużytkowane z wielkim sprytem. Zagraniczni badacze czasów przedhistorycznych, zwłaszcza de Mortillet, osądzili, że Ossowski padł ofiarą fałszerzy i że owe przedmioty, zamiast pochodzić z epoki paleolitycznej, zostały zapewne podrobione przez wieśniaków, aby je drogo sprzedać badaczowi. Inni uczeni, a w szczególności członkowie komitetu ekspertów, wyznaczonych przez komisję antropologiczną Akademji Umiejętności, oświadczyli się za autentycznością zabytków. Mimo to opinja przeciwna przeważała powoli. Ks. Breuil jest przekonany, że owe przedmioty nie należą do epoki paleolitycznej i co najwyżej sięgają epoki żelaza. Sądzi jednakże, że pomijając niektóre przedmioty, których sfalszowanie zdaje się nie podlegać wątpliwości, nie można tego powiedzieć o pozostałych; stan materiałów, styl, który przypomina bardzo sztukę dawnych ludów z nad wybrzeży Bałtyku, i technika wykonania zdają się wykluczać takie przypuszczenie. Przedmioty te mogą sięgać końca okresu, poprzedzającego wejście krajów polskich do historii i to już bez wątplenia za ery chrześcijańskiej. Jest bardzo możliwem, że mamy przed sobą kolekcję przedmiotów, przeznaczonych do obrzędów religijnych, jakie poszukiwania etnograficzne wykryły gdzieindziej. Uczony ksiądz francuski byłby niezadowolonym, gdyby kto chciał rozstrzygać sprawę, opierając się tylko na jego powadze. Zdanie jego jest jednak na tyle poważne, aby skłonić do rewizji procesu, co może przywróciłoby zbiorom krakowskim niektóre przedmioty, niesłusznie uznane za fałszywe, które nie będąc wprawdzie z epoki mamuta, przedstawiałyby jednak nie małą wartość dla etnografji.

Ks. P. David.

ROZMAITOŚCI.

NIECO Z... HUMORYSTYKI. Przed organem polskich bolszewików „Kulturą robotniczą” stanął wielki problem. Omawiając książkę ks. J. Urbana „Makryna Mieczysławska w świetle prawdy”, opracowaną „bardzo sumiennie i pełną dowodów”, recenzent zachodzi w głowę: co mogło skłonić Jezuitów do opublikowania takiej książki. Istotnie problem zbyt złożony i kłopotliwy. Posłuchajmy.

„...choć okres romantyzmu w literaturze i w dziejach posiada licznych historyków, choć liczni pisarze świeccy bardzo drobniagowo zajmowali się Mickiewiczem lub Słowackim, żaden nie ośmielił się spojrzeć krytycznie na „Matkę Makrynę”; żaden ze szperaczy po rękopisach nie odważył się zbadać sprawy Makryny, tak samo jak wówczas nikt nie odważył się zaproponować, aby jej „rany” poddano badaniu lekarskiemu. I trzeba było dopiero, aby całą sprawę wydobył na światło dzienne ksiądz jezuita. Do co jezuitom potrzebne było zdemaskowanie Makryny Mieczysławskiej i narażenie na niewątpliwą kompromitację najwyższych dostojników kościoła (dwóch papieży, którzy wierzyli w Mieczysławską), to trudno zgadnąć. Może to tylko stara kłótnia ze Zmartwychwstańcami, lub z Mickiewiczem? a może jakieś posunięcie polityczne w stosunkach społecznych. Zgóry tylko powiedzieć można, że nie jest to bezinteresowne odśłanianie prawdy, bo sami jezuita niejedną taką sprawę mają na sumieniu i są organizacją zbyt zwartą i zbyt zdyscyplinowaną, aby pozwolili komu ze swoich ludzi na drukowanie rzeczy jakby odśłaniającej część tajemnic kościelnych. Wydanie tej książki jest niewątpliwie jakimś jezuitckim posunięciem politycznem.

Doszukiwać się tego nie będziemy; zaznaczyć tylko należy, że, dzięki bezwzględniemu katolickiemu terrorowi w Polsce, żaden z oficjalnych literatów, historyków i profesorów nie ośmielił dotknąć się tematu, o którym kościół wołałby milczeć. Trzeba dopiero jakichś tam kłótni wewnętrznych w kościele, trzeba aby jedni księża na złość drugim prawdę odśłonić chcieli — abyśmy coś nie coś i o sprawach kościelnych dowiedzieć się mogli. — Teraz, po książce jezuita, ks. Jana Urbana, liczni literaci zajmą się sprawą Matki Makryny — zajmą się, ponieważ ksiądz jezuita oficjalnie upoważnił ich do tego.

Mamy dowód, jak szkodliwą jest rzeczą dać sobie zatruć mózg bolszewicką toksyną. Taki osobnik nie jest potem zdolny do pojęcia nawet takiej prostej rzeczy, jaką jest „jezuicka polityka”.

ZANIK KOMUNIZMU W ROSJI. — Na ostatnim zjeździe komunistycznym w Moskwie liczba komunistów podaną była 400.000 z uwagą, że jest to liczba mniejsza niż w roku przeszłym. Nie znając cyfry zeszłorocznej, nie można określić liczbowo ubytku w szeregach komunistycznych. Ale znamienity jest sam fakt cofania się tej liczby, fakt, którego nie mogą ukryć nawet sami wodzowie komunizmu. Świadczy on, że nie osiąga zamierzonego celu szalona propaganda, jaką bolszewizm rosyjski prowadzi w kraju w celu wzmocnienia swych zastępów. Owszem, widocznie trzeźwieją i sprzeniewierzają się sztandarowi rewolucyjnemu nawet niektórzy z wczorajszych jego szeregowców. Jeśli się doda, że zbankrutowała również ideologia komunistyczna na rzecz handlu prywatnego i przemysłowych koncesyj, to wynika wniosek, że komunizm, jako taki, w Rosji bankrutuje. Żeby udowodnić jednak, że on coś robi, że kontr-rewolucję

zwalcza i t. d., inscenizuje procesy religijne i błazeńskie kpiny z religii. Bóg — to ostatni nieprzyjaciół, którego pragnie zwalczyć, — może i przed Nim cofnie się, jeśli częściowo skapitulował przed kapitalizmem. W rezultacie pozostaje z komunizmu tylko ta garstka, niecałe $\frac{1}{2}$ miliona, bolszewików, która uzurpowała sobie rządy nad nad 120 milionami ludu, który ich nienawidzi. Nazywa się to „dyktaturą proletariatu”; w rzeczywistości zaś jest to dyktatura nowej, tym razem żydowsko-ateistycznej oligarchji.



REDAKTOR I WYDAWCA: KS. JAN URBAN T. J.

Druk ukończono 7 czerwca 1923 r.

Spis rzeczy tomu 158.

Artykuły:

	Str.
Epfe: Dokoła nawrócenia Rosji	5
Ks. Dr. Wład. Szczepański: Badania naukowe w Palestynie	12
Ks. Feliks Hortyński: Filozoficzna jedność organizmu wobec najnowszych badań biologicznych	28, 138
Dr. K. Krotoski: Krzywdy Kościoła katolickiego ze strony rządu pruskiego w Wielkopolsce od czasu rozbiorów po r. 1848. 43, 120,	239
Tadeusz Sinko: Pochodzenie trzech formuł poetyckich	58
Ks. Stanisław Podoleński: Francja nad kolebką dziecka	97
Franciszek Sypowski: Głos kultury polskiej	116
J. Andrasz: Ze współczesnych dziwactw religijnych	157
Józef Nekanda Trepka: Dekoracja artystyczna kościoła Najśw. Serca Jezusowego w Krakowie	193
Ks. Biskup Michał Godlewski: O mistycyzmie cesarza Aleksandra I. Szkic historyczny	215
Ks. Jan Urban: Anarchja umysłów i serc	232

Przegląd piśmiennictwa.

Michel d' Herbigny S. J.: L' Anglicanisme et l' Orthodoxie gréco-slave (Ks. J. Urban)	68
A. Palmieri: La missione politica e religiosa della Polonia. (Ks. Jan Urban)	69
Szymon Askenazy: Napoleon a Polska (Dr. Józef Eeldman)	70
Dr. Aleksander Czołowski: Marynarka w Polsce. (A. Prochaska)	74
POEZJE. Antoni Słonimski: Godzina poezji. — Kazimierz Wierzyński: Wielka niedźwiedzica. — Julian Tuwim: Poezji tom IV. — Eugeniusz Małaczewski: Pod lazurową strzechą. (Hanna Zahorska)	77
August Cieszkowski: Ojciec nasz. — Hoenie-Wroński: Prolegomena do Mesjanizmu, t. I. (St. Bednarski).	168

	Str.
Dr. Leopold Caro: Ku nowej Polsce. (K s. J. Urban)	170
Aleksander Rogala Lewicki: Jak dostarczyć Polsce kapitału? (K s. J. Urban)	171
Ks. Władysław Chotkowski: Redukcje monasterów bazylikań- skich w Galicji. (G. J.)	171
Ludwik Madelin: Francja Dyrektorjatu 1795—1799. (S. Be- dnarski)	173
L. A. Birkenmajer: Niccolo Copernico e l' universita di Pa- dova. — Tenże: Młodzieńcze lata Mikołaja Kopernika. — Tenże: Geneza odkrycia heljocentrycznej budowy świata. — Alessandro Birkenmajer: Witelo e lo studio di Padova. (K s. M. Skibniewski)	174
Der Junge Fährmann, ein Buch für werdende Männer. (St. Po- doleński)	175
Najnowsza powieść w Polsce. (Hanna Zahorska)	255
H. Pinard de la Boullaye: L' Étude comparée des religions. (K s. J. Urban)	261
Mozart: Seine Persönlichkeit in den Aufzeichnungen und Brie- fen seiner Zeitgenossen u. seinen eigenen Briefen. (S. B.)	262
Erich Przywara S. J. Vom Himmelreich der Seele. — J. H. Newmann: Christentum. (S. B.)	263
Dr. J. Makarewicz: Przebudowa społeczna. (K s. W. Macko)	264
Józef Ign. Kraszewski: Stara Baśń. W opracowaniu prof. Konst. Wojciechowskiego. — J. W. Goethe: Cierpienia młodego Wertera. Przełożył Franciszek Mirandola, opracował Dr. Zygmunt Zagórow- ski. — W. Szekspir: Hamlet. Przełożył i opracował Andrzej Tretiak. (K s. T. Karyłowski)	266
Tadeusz Sinko: O tradycjach klasycznych Adama Mickiewi- cza. — Stanisław Tarnowski: O „Panu Tadeuszu“ (K s. St. Kary- łowski)	267
Edward Leszczyński: Radość samotna. — Petroniusz: Uczta Trymalchjona, w opracowaniu Leopolda Staffa. — Wacław Sieroszew- ski: Pism tom VII. Nowele. Tenże: Tom VIII. Na kresach lasów. Powieść (K s. T. Karyłowski)	267
Kazimierz Morawski: Walka o język polski w czasach odro- dzenia. (Henryk Barycz)	268
Nadesłane do Redakcji	175, 271

Sprawozdanie, z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła. (K s. J. Urban T. J.).

Kwiecień: Mord moskiewski a obowiązek cywilizowanego
świata 80

Maj: Dalsze paroksyzmy ateuszowskiej wścieklizny u bolsze-
wików. — Faszyzm włoski wobec katolicyzmu i partji ludowej . . . 178

SPIS RZECZY

287

	Str.
Czerwiec: Tegoroczne beatyfikacje. — Tydzień pisarzy katolickich w Paryżu, — O święto kościelne na 3 maja	273
Pokłosie z wystaw krak. Towarzystwa Sztuk pięknych. (Józef Trepka)	86
Szkoły ruskie w Małopolsce Wschodniej. (St. P.)	93
Potwierdzenie doświadczalne teorii Einsteina. (Ks. Feliks Hortyński)	175
Wycieczka z ks. Breuil w czasy przedhistoryczne. (Ks. P. David)	277
Rozmaiitości	191, 283
